



# GWIEZDNE WOJNY

## Trylogia Hana Solo

### Tom II GAMBIT HUTTÓW

A.C. CRISPIN

Przekład  
ROBERT PRYLIŃSKI



Tytuł oryginału  
THE HUTT GAMBIT

Redakcja stylistyczna  
MAGDALENA STACHOWICZ

Redakcja techniczna  
ANNA BONISŁAWSKA

Korekta  
WIOLETTA WICHROWSKA

Ilustracja na okładce  
DREW STRUZAN

Opracowanie graficzne okładki  
STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład  
WYDAWNICTWO AMBER

Copyright © 1997 by Lucasfilm, Ltd. & TM  
All rights reserved.

For the Polish translation  
Copyright © 2000 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7245-414-0

*Mojemu dobremu przyjacielowi  
i zarazem koledze, pisarzowi Kevinowi J. Andersonowi  
z podziękowaniem za pomoc i wsparcie*

# ROZDZIAŁ

# 1

## NOWI PRZYJACIELE I STARZY WROGOWIE

Han Solo, były oficer Floty Imperium, siedział zniechęcony przy lepiącym się od brudu stole w obskurnym barze na planecie Devaron. Sączył cienkie alderańskie piwo, marząc o samotności. Nie przeszkadzali mu inni klienci baru - ani rogaci Devaronianie, ani ich kudłate samice, ani cały ten tłum istot z przeróżnych światów. Han przywykł do obcych; dorastał wśród nich na pokładzie „Farciarza” - wielkiego transportowca, przemierzającego pustkę galaktyki. Zanim skończył dziesięć lat, władał chyba tuzinem nie-ludzkich narzeczy.

Nie, nie chodziło o obcych wokół niego, ale o jednego obcego, siedzącego wraz z nim przy stole. Han łyknął kwaśnego piwa, skrzywił się, a potem spojrzął na źródło wszystkich swoich kłopotów. Wielka kudłata istota również wpatrywała się w niego zatroskanym spojrzeniem niebieskich oczu. Han westchnął ciężko. Żeby on wreszcie pojechał do domu! Ale Wookie- Chew... coś tam- uparcie odmawiał powrotu na Kashyyyk, mimo równie upartego nalegania Hana. Obcy wbił sobie do głowy, że jest coś winien byłemu porucznikowi Imperium, Hanowi Solo; nazywał to „długiem życia”.

Dług życia... cudownie. Tego tylko mi brakowało, pomyślał ponuro Han. Skacząca wokół mnie wielka futrzana niańka, która wciąż daje mi dobre rady, prycha, gdy za dużo piję, i opowiada, jak to będzie się mną opiekować. Cudownie. Po prostu cudownie.

Pochylił się nad swoim piwem. Z głębi kufła spojrziała na niego blada twarz o rysach tak zniekształconych przez wodniste odbicie, że przypominała istotę z innego świata. Jak właściwie nazywał się ten Wookie? Chew... coś tam. Wprawdzie przedstawiał się na początku, ale Han nie mówił biegle narzeczem Wookiech, chociaż doskonale rozumiał ich język.

Poza tym wcale nie chciał się nauczyć tego imienia. Jeśli je zapamięta, nigdy już nie pozbędzie się tego futrzastego cienia. Przesunął w zadumie dłonią po twarzy, wyczuwając kilkudniowy zarost. Odkąd wyrzucono go ze służby, nie przywiązywał specjalnej wagi do codziennego golenia. W czasach gdy był kadetem, podporucznikiem

czy wreszcie porucznikiem, dbał bardzo o swój wygląd, jak przystało na oficera i dżentelmena. ... ale teraz... co to za różnica?

Uniósł kufel lekko drżącą dłonią i pociągnął ostatni łyk. Odstawił puste naczynie i rozejrzał się po sali w poszukiwaniu kelnera. Potrzebuję jeszcze jednego, pomyślał. Jeszcze jedno piwko i będę czuł się znacznie lepiej. Jedno...

Wookie warknął cicho. Han nachmurzył się jeszcze bardziej.

- Zachowaj swoją opinię dla siebie, futrzaku - burknął. - Sam wiem, kiedy mam dosyć. Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to Wookie w roli niańki.

Wookie Chewbacca -bo tak naprawdę brzmiało jego imię -zawarczał miękko. Jego niebieskie oczy nabrały jeszcze bardziej zatroskanego wyrazu.

Han przygryzł wargę.

- Naprawdę doskonale potrafię o siebie zadbać. Bądź łaskaw o tym pamiętać. A za uratowanie twojego kudłatego tyłka nie jesteś mi nic winien. Już ci mówiłem... za wdzięczałem kiedyś sporo jednej Wookie. Kilka razy uratowała mi życie, więc po prostu załapałeś się na zaległy odruch wdzięczności.

Chewbacca wydał z siebie dziwny dźwięk, coś pomiędzy skomleniem a warczeniem. Han potrząsnął głową.

- Nie. To po prostu oznacza, że nie masz żadnych zobowiązań. Nie możesz tego pojąć? Miałem u tej Wookie dług wdzięczności, ale nie zdążyłem go spłacić. Pomogłem więc tobie i niech będzie, że jesteśmy kwita. Więc weź z łaski swojej te kredyty, które ci dałem, i jedź na Kashyyyk. Zostając tutaj nie sprawiasz mi więcej przyjemności niż drzazga w tyłku.

Obrażony Chewbacca powstał na całą wysokość olbrzymiego cielska. Z głębi jego gardła dobył się niski warkot.

- Taa... wiem, że straciłem posadę i szansę na rozwój kariery, kiedy na Coruscant przeszkodziłem komandorowi Nyklasowi zastrzelić cię. Nienawidzę niewolnictwa, a Nyklas chłosczący cię biczem energetycznym nie był specjalnie przyjemnym widokiem. Znam Wookiech. Kiedy dorastałem, samica Wookie była moim najlepszym przyjacielem. Wiedziałem, że rzucisz się na Nyklasa, zanim jeszcze o tym pomyślałeś... i byłem pewien, że Nyklas użyje Mastera. Nie mogłem tak po prostu stać i patrzeć, jak wyparowujesz. Ale nie rób ze mnie z tego powodu bohatera, Chewie. Nie potrzebuję partnera i nie szukam przyjaciela. Przecież wiesz, jak mam na imię, stary. Solo! -Han stuknął się energicznie kciukiem w tors. - Solo! W moim języku oznacza to faceta, który chadza tylko własnymi drogami. Sam. Załapałeś? Tak właśnie jest. I to mi odpowiada. Więc... nie bierz tego do siebie, Chewie, ale dlaczego stąd nie spłyniesz? Tak po prostu. I to już na zawsze.

Chewbacca wpatrywał się w Hana przez chwilę, w końcu parsknął z niechęcią, odwrócił się i wymaszerował z baru.

Han pomyślał bez specjalnych emocji, że może wreszcie udało mu się przekonać to wielkie futrzane stworzenie, aby opuściło go na dobre. Jeśli tak, byłoby co uczcić następnym piwem...

Gdy tak rozglądał się leniwie po barze, zauważył, że grupa stałych bywalców zaczyna gromadzić się wokół stolika w rogu sali. Najwyraźniej formował się właśnie

skład do gry w sabaka. Han rozważył możliwość przyłączenia się do nich. W myślach przejrzał zawartość swoich kieszeni i uznał, że nie byłby to najgorszy pomysł. Zazwyczaj przy sabaku miał sporo szczęścia, a teraz przydałby się każdy kredyt..

Takie czasy...

Han westchnął ciężko. Ile to już minęło od pamiętnego dnia, kiedy wysłano go do pomocy komandorowi Nyklasowi przy nadzorze grupy robotników Wookie, którzy mieli wykończyć nowe skrzydło Imperialnego Domu Bohaterów? Zaczął liczyć i zmarszczył brwi, bo zdał sobie nagle sprawę, że stracił rachubę czasu pośród tego morza piwa i ciągłego obwiniania się. Za dwa dni miną pełne dwa miesiące...

Zacisnął wargi i przecesał dłonią potargane brązowe włosy. Przez ostatnie pięć lat strzygł się krótko, zgodnie z wojskowymi zasadami, ale teraz włosy zaczęły mu odrastać, tworząc bujną czuprynę. Nagle niezwykle wyraźnie zobaczył siebie takiego, jakim był wtedy - nieskazitelnie czysty mundur, wypolerowane guziki, lśniące buty...

Spojrzał w dół, na swoje ubranie. Jakiż kontrast pomiędzy tym, co było, a tym, co jest... Miał na sobie poplamioną szarą koszulę, która kiedyś była biała, równie brudną kurtkę ze sztucznej skóry, którą kupił niedawno od poprzedniego właściciela, i ciemnoniebieskie, wojskowego kroju spodnie z czerwonym koreliańskim lampasem biegnącym wzdłuż nogawek. Tylko buty były wciąż te same. Dopasowywano je dokładnie do stóp każdego kadeta, kiedy awansował na oficera, więc Imperium nie zażądało ich zwrotu. Han został oficerem niewiele ponad osiem miesięcy temu i chyba nigdy żaden podporucznik nie był tak dumny ze swojego awansu... i z tych lśniących butów, teraz już mocno znoszonych.

Westchnął ciężko spoglądając na nie. Zużyte, bez wcześniejszego blasku i szyku... właściwie to samo można było powiedzieć o nim.

W tej chwili bolesnej szczerości Han musiał przyznać, że nie pozostałby w służbie Floty Imperium, nawet gdyby się nie wplątał się w ratowanie Chewbacki. Zaczął tę służbę pełen wielkich nadziei, ale szybko pozbawiono go złudzeń. Powszechnie we flocie uprzedzenia rasowe wobec nie ludzi były trudne do zaakceptowania dla kogoś, kto dorastał w takim środowisku jak Han. Z tym jednak powoli uczył się żyć, zaciskając często zęby, natomiast nie kończące się, idiotyczne biurokratyczne procedury, uderzająca głupota większości oficerów... Zastanowił się, jak długo właściwie mógłby to jeszcze wytrzymać. Cóż, nie spodziewał się, że czeka go niehonorowe wydalenie, pozbawienie odprawy i przywilejów emerytalnych, i wreszcie, co najgorsze, uniemożliwienie wykonywania zawodu pilota. Nie, nie zabrano mu licencji, ale Han szybko odkrył, że nie zatrudni go żadna legalna kompania. Przemierzał przez całe tygodnie port na Coruscant, w przerwach między ostrym picciem, by upewnić się w końcu, że drzwi wszystkich przyzwoitych firm pozostają odąd przed nim zamknięte.

Pewnej nocy, kiedy topił troski w podłej knajpie obok getta obcych, wyłoniła się z cienia i podeszła do niego wielka kudłata istota. Zamroczony alkoholem Han długo nie rozpoznawał Wookiego, którego niedawno uratował. Stało się to dopiero wtedy, gdy Chewbacca zaczął dziękować mu za uratowanie życia i ocalenie z niewoli. Chewie powiedział krótko - jego rasa nie jest przesadnie elokwentna - że ma dług wdzięczności

wobec Hana i będzie mu towarzyszył, by go strzec, gdziekolwiek Han od tej pory się uda.

Tak też się stało.

Kiedy wreszcie Han zdołał wyrwać się z Coruscant, zostając pilotem statku z kontrabandą z Tralusa (ładunek był zabezpieczony magnetycznie w skrytce, a Han nie miał ani odpowiedniego sprzętu, ani też ochoty, by się do niej włamać i sprawdzić, co właściwie wiezie), Chewbacca pojechał wraz z nim. W czasie tej tygodniowej podróży Han zaczął wprowadzać Wookiego w podstawy pilotażu. Podróż przez przestrzeń jest śmiertelnie nudna, a tak miał przynajmniej coś do roboty oprócz ciągłego rozpamiętywania zmarnowanej przyszłości.

Na Tralusie zdał statek wraz z ładunkiem i zaczął poszukiwania następnej roboty. Trafił w końcu do Używanych Statków Gwiezdnym Prawdomównego Toryla i złożył Durosowi ofertę pracy. Toryl był znajomym z dawnych czasów; znał Hana jako godnego zaufania i doskonałego pilota. W tym czasie Imperium zaczęło wzmacniać swój dławiący uścisk na podlegających mu światach, a także własnych obywatelach. Durosi mieli przemysł stoczniowy nie ustępujący koreliańskiemu, ale ostatnio Imperium zabroniło im umieszczania systemów obronnych na ich statkach. Tym razem przemycany przez Hana ładunek miały stanowić części tych właśnie systemów. Zanim dotarli na Duro, Chewie stał się wcale niezłym drugim pilotem i strzelcem. Han miał nadzieję, że kiedy już nauczy go tych sztuczek, łatwiej mu przyjdzie pozbyć się towarzystwa Wookiego na którymś z światów. Wiedząc, że Chewie ma szansę znaleźć jakąś robotę, nie miałby wyrzutów sumienia, porzucając go przed rozpoczęciem następnego lotu. Tak przynajmniej sobie wmawiał.

Na Duro spędził trochę czasu, przepijając zarobione kredyty i czekając na następnego klienta. Pewnego dnia jego cierpliwość została wynagrodzona. Jakiś Sullustianin zaoferował niezłą sumkę za przeprowadzenie statku z Duro na Kothlis - jedną z bothańskich kolonii - pod warunkiem, że ominie porty i uniknie statków Imperium. Oznaczało to podróż przez jedną trzecią galaktyki. Oczywiście zgrabny, mały stateczek był „gorący” - czyli kradziony z któregoś z prywatnych lądowisk. Han musiał stale sobie przypominać, że jego praca nie polega już na ochronie prawa, ale wręcz przeciwnie - na jego łamaniu. Zacisnął więc zęby i odwiózł pojazd na Kothlis. Tam rozglądał się czas jakiś za nowym zatrudnieniem i wkrótce je znalazł. W dodatku pozornie wyglądało na całkiem legalne. Poproszono go mianowicie o przetransportowanie wielkiego nalargonu z Kothlis na Devaron.

Han nigdy dotąd nie słyszał grającego nalargonu, co nie było specjalnie zaskakujące, bo niewiele miał dotąd wspólnego z muzyką. Nalargon okazał się instrumentem naprawdę sporych rozmiarów, a grało się na nim za pomocą klawiatury i pedałów nożnych. Różnej barwy tony powstawały dzięki elektrycznym syntezatorom i zestawowi rurek akustycznych. Ten rodzaj instrumentu zyskał ostatnio na popularności z powodu przetaczającej się przez galaktykę mody na muzykę jizz.

Nalargon dostarczono na statek, który miał pilotować Han, przymocowano do pokładu i wreszcie zabezpieczono w pomieszczeniu transportowym.

Han przyjrzał się instrumentowi dokładniej, gdy wraz z Chewiem lecieli już bezpiecznie przez nadprzestrzeń. Poklepał go, postukał, włączył i spróbował po kolei wszystkich klawiszy i pedałów. Nie usłyszał żadnego dźwięku oprócz hałasu, który sam robił próbując uruchomić instrument. Opukując obudowę przekonał się jednak, że wielka skrzynia nalargonu nie jest pusta w środku. Przysiadł obok i przyjrzał jej się z uwagą. Oczywiście przewoził skrytkę... tylko na co?

Han wiedział jeszcze z czasów służby we Flocie Imperium, że na Devaronie panują ostatnio niepokoje. Nie tak dawno grupa rebeliantów podniosła bunt przeciwko namiestnikowi Imperium, żądając niepodległości. Han skrzywił usta z niechęcią. Głupcy. Sądzą, że mają jakieś szanse w tej walce. Siedmiuset rebeliantów schwytano, gdy imperialne oddziały zajęły starożytne, święte miasto Montellian Serat. Ludzie ci zostali straceni bez sądu, zamordowani bez litości. Niedobitki rebeliantów wciąż ukrywały się w górach, atakując czasem z ukrycia, ale Han wiedział, że było tylko kwestią czasu, zanim ulegną zdeptom ciężkim butem Palpatine'a. Ich świat znów trafi pod twarde rządy Imperium, jak stało się to ze wszystkimi pozostałymi światami dawnej Republiki.

Han domyślał się, co może zawierać w środku nalargon, który przyszło mu przewozić.

Laserowe samobieżne działko o krótkim zasięgu zmieściłoby się tu akurat. Taką bronią, zamontowaną na pełzaczku, można było rozwalać małe obiekty - budynki, nisko lecące myśliwce Imperium. W skrzyni mogły też być ręczne miotacze laserowe. Dzieścięć, może nawet piętnaście, sprytnie upchniętych. Cokolwiek tam zresztą schowano, Han nie był specjalnie zadowolony ze swojego ładunku. Zdecydował, że gdy tylko osadzi statek na planecie, zniknie i więcej się tam nie pojawi. Miał wszystkie fałszywe kody lądowania dostarczone przez Bothaninów i zamierzał ich użyć: więcej nie miano go tam zobaczyć...

Stało się to wczoraj. Han wiedział, że jego statek wciąż stoi na lądowisku, a nalargon znajduje się w ładowni. Miał jednak dziwne przeczucie, że rebelianci na Devaron nie marnowali czasu...

Potrząsnął głową, w której lekko mu wirowało. Żałował trochę, że wypił ostatnie piwo. Wciąż czuł w ustach jego kwaskowy smak. Rozejrzał się badawczo po pomieszczeniu i doszedł do wniosku, że jeszcze nie ma zaburzeń wzroku. To dobrze. Nie był zatem na tyle pijany, by nie móc zagrać i wygrać w sabaka. A więc do roboty, Solo. Przyda się każdy kredyt...

Przemytnik podniósł się i podszedł równym krokiem do stolika.

- Pozdrawiam, przyjaciele - powiedział we wspólnym. - Zmieści się jeszcze jeden gracz?

Rozdający, devaroński samiec, odwrócił ku niemu głowę z gładko wypolerowanymi rogami i obrzucił go uważnym spojrzeniem.

Uznał najwyraźniej, że przybyły nie wygląda podejrzanie, bo wskazał mu puste krzesło przy stole.

- Witaj, pilocie. Będziesz mile widziany tak długo, jak długo masz choć jeden kredyt - uśmiechnął się pokazując ostre zęby. Han skinął głową i usiadł na wskazanym miejscu. Nauczył się grać w sabaka jeszcze gdy miał czternaście lat. Ułożył przed sobą

kredyty w kilka wysokich stosów, a potem podniósł dwie karty, które mu przypadły w tej kolejce i zajrzał w nie, przyglądając się jednocześnie minom swoich przeciwników. Kiedy nadeszła kolej na jego otwarcie, przesunął po stole wymaganą liczbę kredytów. Miał Szóstkę Buław oraz Królową Przestrzeni i Mroku, ale rozdający w każdej chwili mógł wcisnąć przycisk i wartości kart ulegały zmianie. Han uważnie przyglądał się partnerom - małutkiemu Sullustianinowi, futrzastej devarońskiej samicy, rozdającemu Devaronianinowi i wreszcie olbrzymiej samicy - gadowi z planety Barab Jeden. Han pierwszy raz widział Barabela z bliska, i był to dość imponujący widok. Samica miała ponad dwa metry wzrostu i była pokryta czarnymi, twardymi łuskami, które odbiłyby nawet strzał z Mastera. Do tego natura wyposażała ją w podobne do sztyletów kły i maczugowaty ogon; te istoty musiały być naprawdę groźnymi przeciwnikami w walce. Jednak ta, co z nimi grała - przedstawiła się jako Shallamar - wyglądała na dość pokojowo nastawioną. Uniosła kartę, którą właśnie dostała, i uważnie studiowała jej elektroniczną powierzchnię zwężonymi gadzimi oczami.

W sabaku chodziło o zebranie w kartach dwudziestu trzech punktów, ujemnych lub dodatnich; nie można było przekroczyć tej liczby. W przypadku, gdy udało się to dwóm graczom naraz, dodatnie punkty wygrywały z ujemnymi. Karty, które teraz trzymał w ręku Han, miały wartość czterech punktów dodatnich, bo Królowa Przestrzeni i Mroku liczyła się za minus dwa. Han mógł rzucić tę kartę na pole interferencyjne, co zamroziłoby jej wartość, w nadziei, że dostanie Głupca i jakąś inną kartę liczoną za trzy punkty. Głupiec miał wartość punktową zero, więc taki układ dałby Hanowi Rozdanie Głupca, co było warte nawet więcej niż czysty sabak, czyli układ kart wynoszący dodatnie lub ujemne dwadzieścia trzy punkty. Han zawahał się patrząc na swoją Królową i wtedy pola kart zamigotały i zmieniły się. Jego Królowa stała się teraz Królem Mieczy, a Sześć Buław okazało się Ósemką Pucharów. Han miał plus dwadzieścia dwa punkty. Odczekał chwilę, zanim pozostali gracze przyjrzeliby się swoim kartom. Barabel, devarońska samica i rozdający z niechęcią odrzucili karty - wypadli z gry, bo przekroczyli dwadzieścia trzy punkty. Sullustianin za to podniósł stawkę, a Han dołożył i jeszcze trochę podniósł.

- Sprawdzam - powiedział maleńki obcy odkrywając swoje karty. - Dwadzieścia - zakomunikował.

Han uśmiechnął się krzywo i pokazał swoje karty.

- Dwadzieścia dwa - odparł niedbale. - Obawiam się, że ten stosik jest mój, bracie.

Pozostali gracze popatrzyli ponuro, gdy Han zgarnął kredyty. Samica Barabel syknęła i posłała mu spojrzenie, które byłoby w stanie stopić tytan, ale nie odezwała się ani słowem. Następną partię wygrał Sullustianin, a kolejną rozdający Devaronianin. Han spojrział na rosnący stos skumulowanego sabaka i zdecydował, że czas zaatakować główną stawkę. Zagrani jeszcze kilka kolejek i znowu wygrał rozdanie, ale nikt nie zdobył skumulowanej kwoty. Han odrzucił Trójkę Monet i Głupca na pole interferencyjne i wtedy objawiło się jego szczęście następna zamiana przyniosła mu Dwójkę Pucharów.

- Rozdanie Głupca - powiedział z triumfem, dorzucając Puchary do poprzednich dwóch kart na pole interferencyjne. - Stos skumulowany jest mój, panie i panowie...

Pochylił się, by zgarnąć kredyty, ale nagle samica Barabel ryknęła przeraźliwie:

- Oszust! Ma skifftera! Musi mieć! Nikt nie może być takim szczęściarzem!

Han wyprostował się i łypnął na nią wściekle. Wiele razy zdarzało mu się oszukiwać w sabaka przy użyciu skifftera -karty, która zmieniała wartość, gdy odpowiednio postukało się w jej brzeg. Ale tym razem wygrał zupełnie uczciwie.

- Wepchnę ci te oskarżenia prosto w gardło - wybuchnął urażony Korelianin. Niezauważalnie opuścił rękę i odpiął pasek nad rękojeścią swojego Mastera, a na użytek widzów potrząsnął energicznie głową i dodał: - Nie oszukiwałem! Po prostu cię ograłem, siostrzo!

Lewą ręką chwycił ze stołu garść kredytów i schował je do kieszeni. Nikt nie poruszył się ani nie odezwał, więc zgarnął pozostałe kredyty. Porośnięta rudym włosiem ręka devarońskiej samicy wystrzeliła nagle do przodu, chwyciła go za nadgarstek i przycisnęła do stołu.

- Może Shallamar ma rację - powiedziała we wspólnym, choć z silnym akcentem. - Powinniśmy go przeszukać.

Han spojrzał na nią.

- Zabierz łapy - powiedział cicho. - Inaczej pożałujesz.

Coś w głosie lub spojrzeniu Hana musiało wywrzeć odpowiednie wrażenie, bo puściła go i cofnęła się o krok.

- Ty tchórze! - warknęła Shallamar. - To przecież tylko nędzny człowiek!

Devaronianka potrząsnęła głową i wycofała się; dała w ten sposób do zrozumienia, że nie zamierza dłużej być stroną w tym sporze.

Han uśmiechnął się chytrze i sięgnął po swoje karty. Widząc ten uśmiech Barabel ryknęła wściekle. Jedna z jej opancerzonych, zakończonych ostrymi szponami rak opadła z przerażającą siłą na stół, rozbijając go na dwie części; pozostałe tam jeszcze kredyty i karty rozsypały się na wszystkie strony. Shallamar warcząc zbliżała się do Hana.

- Odgryzę ci łeb, oszuście! Zaraz zobaczymy, jaki jesteś dobry!

Han zerknął na jej otwartą paszczę i stwierdził, że byłaby w stanie spełnić swoją groźbę. Sięgnął po blaster; jego prawa dłoń momentalnie znalazła się na twardej rękojeści broni. Szarpnął, ale nadaremnie; blaster zaklinował się w kaburze.

Han miał zaledwie ułamek sekundy, by zorientować się, że celownik zawadził o spód kabury. Spróbował uwolnić broń, bo Barabel już zbierała się do skoku. Zrobił krok do tyłu, ale zbyt wolno. Ostre pazury Shallamar zahaczyły o jego bluzę i rozerwały gruby materiał, jakby to był jedwab. Szarpiący się z uwięzioną bronią Han znalazł się nagle tuż przy otwartej paszczy potwora. Pociemniało mu w oczach i zakrzuszył się, gdy owiał go gorący, smrodliwy oddech gada.

Niemal jednocześnie dostrzegł kątem oka brązowe futro i usłyszał donośny ryk, który zupełnie go ogłuszył. Długa, pokryta filtrem łapa opasała szyję Shallamar i odciągnęła ją od Hana.

- Chewie! - jęknął Han. Nigdy w życiu nie ucieszył się bardziej z czyjegoś widoku.

Barabel ryknęła równie donośnie jak Wookie, wypuściła Korelianina i zwarła się w uścisku z potężnym przeciwnikiem.

- Przytrzymaj ją przez chwilę, Chewie! - wrzasnął Han szamocząc się z blasterem. Nareszcie! Wyrwał broń z kabury i wymierzył w Barabel, która tarzała się po ziemi razem z Wookiem, więc trudno byłoby trafić właściwe cielsko.

Olbrzymie istoty rycząc, warcząc i sycząc demolowały pomieszczenie, rozbijając w zacieklej walce wszystkie meble, jakie stały im na drodze. Pozostali gracze i bywalcy knajpy zebrali się wokół, wyrzaskując dobre rady i przekleństwa we wszelkich możliwych narzeczach. Grający z nimi poprzednio Sullustianin sięgał po swoją broń, ale widząc blaster Hana schował się za barem. Shallamar i Chewbacca szamotali się spleceni w parodii miłosnego uścisku, testując nawzajem swoją siłę.

- Chewie, spadamy! - krzyknął Han. - Jazda stąd!

Chewbacca i Shallamar wirowali nadal w obłądnym tańcu czarnych łusek i brązowego futra; wreszcie Shallamar ugryzła Wookiego w ramię. Jej ostre jak sztylet zęby wyrwały kawał futra razem z ciałem. Wookie ryknął i jakby ból dodał mu sił, chwycił Barabel za ramię i zakręcił nią tak gwałtownie, że straciła równowagę. Kiedy padała, Chewie złapał jej ogon i szarpnął z całej siły. Shallamar znowu znalazła się w powietrzu.

Ze skowytom triumfu Chewbacca rozluźnił chwyt i posłał olbrzymiego gada lotem w poprzek pokoju. Kibice z wraskiem rozproszyli się na wszystkie strony, aby uniknąć trafienia tym niezwykłym pociskiem. Shallamar wylądowała z hukiem pomiędzy rozbitymi stołami i krzesłami.

Na ogłuszaniu nie zadziała, a nie chcę jej zabić, przemknęło Hanowi przez głowę, kiedy przesuwiał zasięg mocy na Blasterze. Wypalił w kierunku Shallamar mierząc pod kolano. Trafiona syknęła z bólu i osunęła się na ziemię. Jej ciemne łuski dymiły.

- Chewie, w nogi! - wrzasnął Han. Strzelił z przestawionej na ogłuszanie broni do drugiego ze swoich niedawnych partnerów który właśnie zamierzał położyć trupem Wookiego. Devaronianin osunął się bezszelestnie. Broczący krwią Chewie pognał w ślad za Hanem ku drzwiom, przeskakując nad połamanymi meblami.

Właścicielka tawerny stanęła im na drodze, wrzeszcząc i przeklinając. Han walnął ją w łeb łufą blastera nie zatrzymując się w biegu. Uderzył ramieniem w drzwi i odbił się od nich. Zamknięte!

Przeklinając w co najmniej sześciu nieludzkich językach, Han przestawił potencjometr broni na pełną moc i przestrzelił zamek. Właścicielka zaskomlała w proteście, ale Korelianin i Wookie byli już na zewnątrz.

Przemknęli gwarną alejką i wyskoczyli na większą ulicę. Stały tu podniszczone domy zbudowane z tutejszego błękitnego drzewa i pokrytego stiukiem permabetonu.

Han poczuł podmuch chłodnego wiatru, który natychmiast wywołał u niego atak dreszczy. Była wczesna wiosna, a znajdowali się na jednym z subpolarnych kontynentów Devarona.

Korelianin schował blaster i zwolnił tempo do szybkiego marszu.

- Jak twoje ramię, stary?

Chewie ryknął, kończąc zdanie warknięciem. Han przyjrzał się ranie, chcąc ocenić jej stan.

- Cóż, sam chciałeś wrócić - zauważył. - Nie, żebym żałował, że to zrobiłeś... właściwie to chciałem... no, dziękuję za uratowanie mi tyłka.

Wookie wydał z siebie pytające warknięcie. Han wzruszył ramionami.

- Jeśli o to chodzi, to chyba... sądzę... - wymamrotał. - Nigdy dotąd nie miałem współnika, ale... właściwie czemu nie? Ostatecznie podczas długich lotów jest strasznie nudno, jak nie ma do kogo zagadać.

Chewie mimo bólu ryknął z satysfakcją.

- Nie przeciągaj struny - skomentował sucho Han. - Słuchaj, trzeba coś zrobić z tą raną. Po drugiej stronie ulicy jest klinika medrobotów. Wejdziemy tam.

Godzinę później byli z powrotem na zewnątrz. Ramię Chewiego po odkażeniu owinięto bandażem, a robot zapewnił, że rany Wookiech goją się bardzo szybko.

Chewie wspomniął coś o pustym żołądku, gdy Han usłyszał ciche wołanie dochodzące z najbliższej bramy.

- Pilocie Solo...

Han zrobił krok w tamtym kierunku i zobaczył Durosa, który przyzywał go ruchem dłoni. Korelianin rozejrzał się na wszystkie strony, ale ulica była pusta i cicha. Ta część miasta, wokół głównego rynku, była zarezerwowana dla ruchu pieszego.

- Tak? - odezwał się cicho.

Niebieskoskóry Duros bez słowa wskazał Hanowi najbliższą alejkę.

Korelianin poszedł nią do pierwszego rogu, skręcił i przystanął, opierając się plecami o ścianę. W rękę cały czas trzymał blaster.

- Dalej nie pójde ani kroku, dopóki nie dowiem się, czego chcesz - oznajmił.

Duros zachmurzył się.

- Nie ufasz nikomu, pilocie Solo. Poleciał mi cię nasz wspólny przyjaciel, Prawdomówny Toryl. Powiedział, że jesteś doskonałym pilotem.

Han rozluźnił się odrobinę, ale nie opuścił broni.

- Fakt, jestem niezły - potwierdził. - Jeśli przysłał cię Toryl, pewnie potrafisz to udowodnić?

Duros spojrział na niego. Miał łagodne, okrągłe oczy.

- Kazał ci powiedzieć, że Talizman, który mu przywiozłeś, już nie istnieje.

Han uspokoił się i schował broń.

- Dobra, przekonałeś mnie, że to on cię przysłał. Jaki masz do mnie interes?

- Muszę wysłać statek do Nar Hekka w systemie Hurtów - wyjaśnił Duros. - Zapłacę dobrze, ale... nie możesz dopuścić, by na pokład statku wszedł choć jeden żołnierz Imperium. Gdybyś wpadł na patrol...

Han westchnął ciężko. Znów jakieś ciemne interesy. Ale oferta Durosa była interesująca. I tak zamierzał wybrać się na Nar Shaddaa - Księżyc Przemysłowców, który orbitalował wokół Nal Hutta. Dlaczego więc nie zrobić tego teraz? Z Nar Hekka bardzo łatwo będzie znaleźć statek na Nal Hutta lub Nar Shaddaa.

- Powiedz coś więcej - zażądał.

- Pod warunkiem, że obiecasz wystartować za dwie godziny - powiedział Duros. - Jeśli nie, powiedz od razu, a ja poszukam innego pilota.

Han rozważał to przez chwilę.

- Cóż... mógłbym zmienić swoje plany... za dobrą zapłatą. Duros wymienił kwotę i szybko dodał:

- Drugie tyle po wykonaniu roboty.

Han parsknął i potrząsnął przecząco głową, chociaż zdumiała go wysokość wstępnej stawki.

- Chodź, Chewie - powiedział spokojnie. - Musimy jeszcze odwiedzić parę miejsc i porozmawiać z paroma facetami.

Duros natychmiast wymienił wyższą sumę. Facet naprawdę jest zdesperowany, pomyślał Han udając, że zastanawia się nad propozycją.

- Nno, nie wiem... nie wiem, czy warto nadstawiać karku, jeśli tego statku poszukuje Imperium. Co mam przewozić?

Twarz Durosa ani drgnęła.

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Zapewniam cię jednak, że jeśli dostarczysz bezpiecznie statek i jego ładunek Tagcie Huttowi, zyskasz jego wdzięczność. Wszyscy wiedzą, że dobre stosunki z lordem Huttów są bardzo korzystne finansowo. Tagta zaś jest najwyższym stopniem podwładnym Jiliaka Hutta na Nar Hekka.

Han nadstawił uszu. Jiliak Hutt był naprawdę wysokiej rangi lordem Huttów. Gdyby ten Tagta mógł dać rekomendacje swojemu szefowi...

Han przekrzywił głowę i sam wymienił sumę.

- I to z góry - dodał.

Bładoniebieska skóra Durosa stała się jeszcze bledsza, ale ostatecznie skinął głową.

- Zgoda co do kwoty, ale tylko połowa z góry. Resztę, pilocie Solo, otrzymasz od Tagty.

Han zastanowił się przez moment i wreszcie przytaknął:

- Interes ubity. Chewie - zwrócił się do Wookiego, który stał obok słuchając z uwagą - przejdź się do tej skrytki, gdzie zostawiliśmy nasze graty i przynieś je, jeśli łąska, a ja w tym czasie skończę interesy z naszym przyjacielem.

Chewie mruknął potakująco.

- Dzięki. Spotkamy się za godziną na rynku, dobrze?

Chewbacca skinął głową i oddalił się ku głównej ulicy.

Han podszedł do Durosa.

- Masz pilota. Za dwie godziny startujemy, wprowadź mnie więc w szczegóły. Gdzie mam znaleźć tego Tagtę Hutta?

Kilka minut później Han wiedział już wszystko. Duros wręczył mu zwitek kredytów, podał kod zabezpieczający statku i jego lokalizację. Zaraz potem niebieskoskóry obcy rozplynął się w mroku alejki.

Han miał trochę wolnego czasu, więc wstąpił coś przekąsić do najbliższej knajpy. Musiał wprawdzie pokłócić się z devaroniańską kucharką, żeby ugotowała mu jakieś jadalne żarcie, ale było warto. Pełny żołądek zlikwidował resztki oszołomienia po wypitym piwie. Z nową energią i jasnym umysłem Han poczuł się bardzo zadowolony z życia.

Po drodze na rynek wstąpił jeszcze do sklepu z używaną odzieżą, który zaopatrywał podróżników wszelkich możliwych ras. Kupił ocieplaną kurtkę ze skóry czarnego jaszczura, aby zastąpić tę, którą rozdarła Barabel. Znów przyzwoicie ubrany, udał się na umówione spotkanie z Chewbacca.

Że dzieje się coś niezwykłego, domyślił się na długo przedtem, zanim dotarł na rynek. Nie można było pomylić z niczym hałasu wielkiego tłumu, krzyczącego coś chórem. Włoski na karku Hana nagle się zjeżyły; wydało mu się, że w wykrzykiwanych słowach słyszy coś znajomego. Nie był to wspólny, ale jednak gdzieś już słyszał te proste, powtarzające się frazy.

Ale gdzie?

Mam złe przeczucia, pomyślał wychodząc zza rogu wprost na tłum. Zebrani śpiewali, kołysali się i drżeli, ogarnięci religijnym uniesieniem. Większość stanowili oczywiście Devaronianie, ale było też pomiędzy nimi kilkoro ludzi i przedstawicieli innych humanoidalnych ras. Han popatrzył po zebranych i przeniósł wzrok na przód zgromadzenia. Stało tam wzniesione pospiesznie podium, a na jego szczycie przewodziła modłom postać dobrze znana Hanowi.

O nie! To jest Objawienie Ilezji, a ten misjonarz to Veratil. Nie może mnie zobaczyć!

Pięć lat temu Han spędził prawie pół roku na wilgotnej i zagrzybionej Ilezji.

Pracował tam jako pilot, zanim wstąpił do Akademii, gdzie szlifował swoje umiejętności pilotażu. Ilezja była światem na pograniczu obszaru władania Hurtów. Rasa istot nazywanych t'landa Til - odległych kuzynów Hurtów - oferowała tam pobyt w świętym schronieniu licznym przybywającym na planetę pielgrzymom. Tlanda Tilowie wysyłali do wielu światów swoich misjonarzy, aby nauczali o Jedynym i Wszechogarniającym. Han wiedział o tym od dawna, ale pierwszy raz trafił w sam środek misyjnego Objawienia Ilezji. Przemknęła mu przez głowę szalona myśl, aby sięgnąć po blaster i zastrzelić Veratila, a potem zawołać na cały głos do zebranych:

- Idźcie do domu! To wszystko jedno wielkie oszustwo! Oni po prostu chcą was zniewolić, wy głupcy! Wynoście się stąd!

Ale jak miałby ich przekonać, by uwierzyli w jego słowa? Dla większości ras w galaktyce Ilezja była religijnym sanktuarium, gdzie zbierali się wierni, pragnący uciec przed swoją przeszłością. O tym, że to sanktuarium było zwyczajną pułapką, wiedzieli tylko nieliczni szczęśliwcy, którym, jak Hanowi, udało się stamtąd uciec. Z pewnością Veratil miał tu gdzieś statek transportowy, który mógł przyjąć wielu pielgrzymów. A ci nieszczęśliwcy, którzy za nim podążą, do końca podróży nie będą mieli pojęcia, że wiozą ich do niewolniczej pracy w fabrykach przypraw, gdzie będą ich trzymać, dopóki nie staną się zbyt słabi. Wtedy ostatecznie znajdą śmierć przy wydobywaniu przyprawy w kopalniach Kessel. Ilezja, ten złoty sen dla wiernych, w rzeczywistości była światem nie kończącej się morderczej pracy i zniewolenia.

Teroenza, zwierzchnik Veratila, był Najwyższym Arcykapłanem Ilezji. Przed swoją ucieczką Han obrabował arcykapłana z rzadkich i cennych okazów z jego kolekcji dzieł sztuki. Zranił go nawet, ale zostawił przy życiu. Han uciekł z Ilezji na pokładzie osobistego jachtu Teroenzy - „Talizmanu”. Niebawem przekonał się, że t'landa Tilowie

i ich huttyjscy władcy wyznaczyli dużą nagrodę za głowę Vykka Draygo - bo takie nosił wtedy nazwisko. Musiał więc zmienić tożsamość, a nawet wzory tęczywki; dzięki temu udawało mu się dotąd uchodzić ich zemście.

Teraz, gdy zobaczył Veratila, Han pochylił się i odwrócił, żałując, że nie ma kaptura, który mógłby narzucić na głowę. Jeśli ten świętoszek go dostrzeże, może spowodować naprawdę wielkie kłopoty. Otaczający go wierni śpiewali coraz głośniejsze.

Han spociał się mimo mroźnej devarońskiej pogody, wiedział bowiem, ku czemu zmierza sytuacja. Na skraju placu dostrzegł wysoką, włochatą postać, przyglądającą się ceremonii z dużym zaciekawieniem.

Chewie! Nie mogę dopuścić, by dał się w to wciągnąć! Najwyżej za kilka minut nastąpi Uniesienie! - uświadomił sobie Han.

Zanurkował w tłum i zaczął rozpychać się łokciami, nie podnosząc głowy. Gdy dotarł do Wookiego, z trudem łapał oddech, a łokcie i żebra naprawdę go bolały.

- Chewie! - wrzasnął i chwycił swojego wielkiego opiekuna za ramię. - Wynośmy się stąd. Za chwilę będzie tu wielkie zamieszanie!

Wookie warknął pytająco.

- Nieważne, skąd wiem! - Han próbował przekrzyknąć głośny śpiew. - Po prostu wiem! Zaufaj mi!

Chewbacca skinął głową i odwrócił się. Przy jego wielkim cielsku torowanie drogi przez tłum było znacznie łatwiejsze, toteż Han podążał za nim. Nagle dostrzegł coś kątem oka i odwrócił gwałtownie głowę w tamtym kierunku. Blask czerwieni i złota, i te włosy... Widział ją tylko przez moment, ale jego ciało i umysł natychmiast zareagowały, jakby biegnąc trafił na twardą ścianę.

Bria? Bria! Zobaczył tylko zarys jej pięknej, bladej twarzy i błysk rudozłotych loków, ale to wystarczyło. Ona tam stała, pomiędzy tłumem, w czarnym płaszczu z kapturem narzuconym na głowę. Nagle wspomnienia napłynęły z tak wielką siłą, że aż się przeraził.

Bria - blada niewolnica w fabryce przyprawy na Ilezji. Bria przerażona, ale zdecydowana, gdy razem okradali Teroenzę z jego skarbów. Bria siedząca obok niego na złocistej plaży Togorii -jej usta, miękkie i czerwone, prosiły o pocałunek. Bria leżąca w jego ramionach tej samej nocy... Bria, która go zostawiła, by samotnie walczyć ze swoim uzależnieniem od Uniesienia. ...

Przez ostatnie pięć lat Han przekonywał sam siebie, że o niej zapomniał. Po czterech latach w Imperialnej Akademii i roku służby, zdołał nawet uwierzyć, że już mu na niej nie zależy. Ale wystarczył moment szalonego galopu wspomnień i już wiedział, że to nieprawda. Nie wahając się ani chwili dłużej, ponownie zanurkował w tłum, przepychając się ku kobiecie w czarnym płaszczu. Był w połowie drogi, gdy na tłum spadło Uniesienie. Wszystkie obecne istoty padły na kamienny rynek, jak skoszone promieniem lasera. Han zapomniał już, jak silne jest to uczucie. Fale intensywnej rozkoszy dotarły do każdego zakamarka jego ciała i umysłu. Nic dziwnego, że pielgrzymi sądzili, iż t'landa Tilowie są obdarzeni mocą przez Jedynego. Nawet Han, choć świetnie się orientował, że Uniesienie polega na empatycznej transmisji i przesyłaniu poddźwiękowej wibracji, która powodowała rezonans fal rozkoszy w mózgach większości



humanoidalnych istot, musiał mocno się starać, aby oprzeć się temu uczuciu. Wiedział nawet bez patrzenia, że fałda pod podbródkiem Veratila nabrzmiała, gdy kapłan koncentrował się na podtrzymywaniu tych emocji. Dla kogoś nie przygotowanego było to przeżycie odurzające jak silny narkotyk. Umiejętność wywoływania Uniesienia mieli wszyscy samce flanda Til - było to zresztą powiązane z ich życiem seksualnym; tej samej sztuczki używali do przyciągania uwagi samic.

Wszyscy wokół Hana poddali się temu uczuciu; leżąc na ziemi, wili się z rozkoszy. Na ten widok Hanowi zrobiło się niedobrze. Opanował już efekty Uniesienia i skoncentrował się na tym, aby nie deptać po leżących ciałach, gdy przesuwiał się ku kobiecie w ciemnym płaszczu. Nie widział już jej twarzy ani tego błysku włosów, który ją zdradził. Przypomnił sobie nagle, jak miękkie były te włosy w dotyku... uwielbiał bawić się jej lokami i patrzeć, jak odbija się w nich światło, bo wtedy złoto i czerwień stawały się jeszcze żywsze...

Kobieta w czarnym płaszczu znikła mu z oczu za kamienną ławą, gdy tłum pochylił się ku ziemi w pierwszej fali rozkoszy. Han z trudem przelknął ślinę. Bria zostawiła go, bo była uzależniona od Uniesienia. Czy tak właśnie spędziła ostatnie pięć lat? Jako dobrowolny niewolnik Ilezji, przywiązany do swych władców w zamian za codzienną dawkę przyjemności? Śmieszne... sądził, że Bria jest silniejsza.

Dotarł do ławy, zatrzymał się i rozejrzał wokół. Kobiety w czarnym płaszczu nigdzie nie mógł dostrzec. Gdzie się podziała? Bria! - pomyślał rozpaczliwie, wciąż szukając jej wzrokiem. Ze wszystkich stron słyszał stękania i jęki skłębionych ciał. Wskoczył na kamienną ławę i wyteżył wzrok. Szybko zdał sobie sprawę, jak straszliwy popełnił błąd; zrozumiał, że patrzy ponad zbiegowiskiem prosto w oczy Veratila. Wielka czworożna istota z małą przednią kończynami i szeroką ozdobioną jednym rogiem głową spoglądała na niego; w małych czerwonych oczkach Han dostrzegł błysk zaskoczenia. Korelianin nie miał wątpliwości, że Veratil rozpoznał Vykka Draygo - człowieka, który zniszczył fabrykę błyszczostymu, zrabował skarby Teroenzy i spowodował śmierć huttyjskiego władcy Ilezji, Zawala.

Okrzyki rozkoszy wokół Hana przeszły w jęk zaskoczenia i żalu. Przez dekoncentrację Veratila Uniesienie zakończyło się w sposób nieoczekiwany i przykry. Wielu z leżących płakało głośno, inni drżeli konwulsyjnie, a niektórzy podnosili się już na nogi z wściekłością i gniewem. Han pochylił głowę i zanurkował między nich, starając się zniknąć w tłumie. Nagle z przodu dostrzegł znajomą smugę czarnego płaszcza.

Bria!

Zapomniawszy o Veratilu i niebezpieczeństwie, na jakie się narażał, Han skoczył w tamtym kierunku. Roztrzącał niedosłych pielgrzymów, tratując ich i bijąc.

- Bria! - wrzasnął. - Stój!

Gnając ile sił, wydostał się z tłumu. Kobieta przed nim biegła, ale Han ruszył teraz z maksymalną prędkością i dopadł ją po kilku metrach. Zdołał chwycić czarny materiał; teraz wziął ją bezceremonialnie za łokieć i obrócił twarzą ku sobie... tylko po to, by przekonać się, że kobieta, którą ścigał, była mu zupełnie obca.

W jaki sposób mógł pomylić ją z Brią? Nie była brzydka, i choć nie najmłodsza, mogła się nawet podobać, ale to przecież nie Bria z jej oszołamiącą urodą. Bria była

najcudowniejszą kobietą, jaką Han kiedykolwiek widział. W dodatku włosy tej kobiety miały kolor brązowy, a nie czerwono-złoty; była też znacznie niższa od wysmukłej Brii. No i bardzo rozzłoszczona.

- Co ty wyprawiasz! - krzyknęła we wspólnym. - Puść mnie natychmiast, bo zawołam ochronę!

- Prze... przepraszam- wymamrotał Han. Cofnął się o krok, próbując w zakłopotaniu zrobić coś z rękami. - Sądziłem, że to ktoś inny.

- Ach tak? W takim razie bardzo mi jej żal - odparła tamta ze złością. - Znajomość z takim prostakiem...

- Posłuchaj - przerwał jej pojednawczo Han, unosząc obie dłonie do góry. - Powiedziałem, że mi przykro, siostró. Już sobie idę, zgoda?

- Tak będzie lepiej - odparła z naciskiem. - Zdaje się, że kapłan też wezwał ochronę.

Han obejrzał się za siebie, zaklął i ruszył pędem przed siebie. Dojrzał z przodu Chewbacę i pomachał do niego. Kiedy obejrzeni się po kilku zakrętach, stwierdzili, że zgubili prześladowców.

Za dużo wypilem, zdecydował Han nie zwalnając tempa. To chyba jedyne wytłumaczenie. Muszę jednak bardziej uważać.

- Czy Han się stamtąd wydostał? - zwróciła się Bria Tharen do swojej przyjaciółki Lanah Mało, która weszła do pokoju z czarnym płaszczem Brii przerzuconym przez rękę. Bria siedziała na ludzkim krześle, jednym z niewielu mebli w tanim pokoju, jaki obie wynajmowały na Devaronie.

- Myślę, że tak - odparła Lanah. Rzuciła płaszcz przyjaciółce i wzięła z łóżka swoją podróżną torbę. - Kiedy ostatni raz go widziałam, wskakiwał razem z tym olbrzymim Wookiem do publicznego pełzacza. Ochrona wciąż była w pełnej gotowości, prawdopodobnie z jego powodu.

- No to chyba jest już poza planetą- stwierdziła Bria pełnym nadziei głosem. Podniosła się i podeszła do okna, by popatrzeć na niebo Devarona o koralowym odcieniu. W jej niebieskozielonych oczach zalśniły łzy.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę go znowu. Nie sądziłam też, że będzie to takie bolesne, pomyślała.

Ten ból zupełnie przyćmił jej wielki triumf. Oto dziś przeżyła Uniesienie... i oparła mu się. Po latach walki z uzależnieniem zyskała wreszcie całkowitą pewność, że jest wolną kobietą. Czekala na ten dzień bardzo długo, ale radość, którą powinna odczuwać, ustąpiła miejsca wielkiemu smutkowi - bo znów zobaczyła Hana i nie mogła z nim zostać.

- Nie lepiej byłoby z nim porozmawiać? - zapytała przyjaciółka, jakby czytając w jej myślach.

Bria odwróciła się i patrzyła w milczeniu, jak jej towarzyska walki wciąga na siebie zniszczoną bluzę koloru khaki. Szybko skończyła pakowanie reszty skromnego dobytku do małej podróżnej torby.

- W końcu co by to szkodziło? - zakończyła Lanah rzucając Bria zaintrygowane spojrzenie.

Bria zadrżała i otuliła się płaszczem. Teraz, gdy słońce stało nisko nad horyzontem, zrobiło się całkiem chłodno.

- Nie - odparła cicho. - Nie mogłabym się z nim zobaczyć.

- Ale dlaczego? - zapytała Lanah. - Nie ufasz mu?

Poruszając się powoli i sztywno jak robot, Bria sprawdziła ładunek blastera, który nosiła na biodrze - zawieszony nisko, tak jak nauczył ją Han, gdy pięć lat temu byli partnerami, towarzyszami... kochankami.

- Ufam - odparła po chwili. - Powierzyłabym mu wszystko, co należy do mnie. Ale to, czego próbujemy dokonać, jest sprawą nas wszystkich. Zdrada w tej chwili mogłaby oznaczać koniec naszych planów. Nie mogłam podjąć takiego ryzyka.

Lanah skinęła ze zrozumieniem głową.

- Pojawienie się Solo już nam przeszkodziło - dodała. - Trudno powiedzieć, kiedy znów trafi się taka dobra pozycja do zastrzelenia Veratila. Moim zdaniem on zabierze się stąd na Ilezję, aby zameldować Teroenzie, że spotkał twojego byłego chłopaka.

Bria przytaknęła ze znużeniem i zagłębiła palce w bujnych lokach. Han uwielbiał tak robić, przypominała sobie nagle. To nią wstrząsnęło. Och, Han...

We wzroku Lanah współczucie mieszało się z drwiną.

- Teraz nie możesz się rozklejać, Bria. Musimy dostać się z powrotem na Korelię. Komendant oczekuje pełnego raportu. Nie udało nam się usunąć Veratila, ale jednak nawiąaliśmy kontakt z grupą na Devaronie... więc ta wyprawa nie była zupełną klęską.

- Nie zamierzam się rozklejać - powiedziała cicho Bria. Schowała blaster nie parząc na niego... tego również nauczył ją Han. - Z Hanem skończyłam dawno temu.

- Jasne - zgodziła się Lanah uprzejmie. Obie kobiety wzięły torby i skierowały się ku drzwiom. - Jasne, że skończyłaś...

## ROZDZIAŁ

# 2

### PRZEMYTNICZY SZLAK

Han wcisnął się z trudem do małej kabiny na statku Duro-sów. Trzymał w ręku kubek pobudzającej stymherbaty. Ekran pokazywał migoczące uspokajająco gwiazdy nadprzestrzeni. Han zerknął rozspanym wzrokiem na olbrzymiego Wookiego, który siedział wciśnięty w fotel drugiego pilota.

- Zaspałem - powiedział oskarżycielsko. - Nie obudziłeś mnie.

Chewbacca skomentował to krótkim chrząknięciem.

- No, może... niech będzie, że potrzebowałem więcej snu - zgodził się Han. - Ale to ty zostałeś ranny. Jak ręka?

Wookie zapewnił go, że goi się szybko. Korelianin przyjrzał się ranie i musiał się z tym zgodzić. Opadł na fotel.

- W porządku. Muszę przyznać, bracie, że pojawiłeś się tam w samą porę. Ta Babel się nie patyczkowała. Mogło być naprawdę kiepsko.

Chewie zaznaczył dobitnym chrząknięciem, że już było kiepsko.

Han wzruszył ramionami.

- Fakt. I to mi o czymś przypomina.

Wstał z fotela i podszedł do schowka z narzędziami, które były standardowym wyposażeniem każdego statku. Wrócił z miniaturowym laserem i pilnikiem. Wydobył z kabury swój blaster, precyzyjnie odciął laserem celownik na końcu lufy i zaczął wyrównywać pilnikiem to miejsce.

Chewbacca dał wyraz swojemu zaciekawieniu pytającym pomrukiem.

- Ulepszam broń, aby nie zaczepiała się więcej o kaburę - wyjaśnił Korelianin. - Te kilka sekund, kiedy się z nią szarpałem w tawernie, mogło mnie wiele kosztować. Jestem dobrym strzelcem, celownik nie jest mi specjalnie potrzebny.

Chewie przyglądał się jego pracy. Po chwili człowiek przemówił znowu.

- Kiepsko wtedy stały sprawy. Gdybyśmy mieli do czynienia z człowiekiem, a nie z tępym mięśniakiem, nie wiem, czy obaj uszlibyśmy z życiem. Ale i tak mogło być gorzej. Znacznie większe niebezpieczeństwo groziło nam podczas tych ilezjańskich

modłów. Gdyby ludzie Veratila nas złapali... wierz mi, ci flanda Tilowie nie są sympatyczni. Siedzielibyśmy po uszy w gównie, przyjacielu.

Chewie warknął pytająco.

- No tak, zdaje się, że jestem ci winien wyjaśnienie - odpowiedział Han z westchnieniem. - Jakież pięć lat temu potrzebowałem doświadczenia w pilotowaniu dużych jednostek, bo miałem zamiar dostać się do Akademii. Nająłem się więc jako pilot dla flanda Tilów z Ilezji. Słyszałeś coś o niej?

Chewie zamruczał głucho.

- Zgadza się. Kolonia pielgrzymów. No więc zapamiętaj sobie, bracie, że wcale nie. To jest po prostu wielkie bagno, jedna olbrzymia pułapka. To miejsce kontrolują Huttowie. Pielgrzymi, którzy tam przybywają, mają nadzieję na bliskie spotkanie z Absolutem albo czymś podobnym, ale stają się niewolnikami harujących w fabrykach przypraw. Większość tych biednych głupców nie wytrzymuje zresztą długo. Kiedy tam byłem, mieli na Ilezji tylko trzy kolonie, ale słyszałem, że interes się rozwija i teraz jest ich pięć albo sześć.

Chewie potrząsnął ze smutkiem głową. Han skrzywił się i spojrzał wymownie na lufę swojego blastera.

- Ktoś tam powinien kiedyś się wybrać i powystrzelać tych łajdaków, Chewie. Byłem już złodziejem, przemytnikiem, kanciarzem, hazardzistą... parałem się jeszcze kilka innymi profesjami, z których nie jestem specjalnie dumny... ale niewolnictwo? Tego nie mogę znieść! Podobnie jak handlarzy niewolników. Największe łajno wszechświata. Za dwa kredyty zamieniłbym ich w kupkę popiołu...

Chewbacca poparł wywody Hana donośnym rykiem. Korelianin uśmiechnął się złowieszczo i przeciągnął kciukiem po gładkiej lufie. Zadowolony schował broń do kabury.

- Zgadza się, zapomniałem, z kim rozmawiam. Wracając do opowieści... to długa historia. Ostatecznie zakończyła się tym, że w końcu uznałem, że czas stamtąd wiać, a przy okazji ukradłem trochę kłopotów Najwyższemu Arcykapłanowi. Miał sporą kolekcję dzieł sztuki i klejnotów. Jedyne problemy polegały na tym, że Teroenza i jego huttyjski szef Zawal pojawili się w najbardziej nieodpowiednim momencie. Zaczęła się strzelanina i Zawałowi to zaszkodziło.

Chewbacca chrząknął pytająco.

- Nie, nie zastrzeliłem go - westchnął Han. - Ale mogę się zgodzić, że było w tym trochę mojej winy.

Chewie skomentował, że z tego, co słyszał o Huttach, zdrowiej jest trzymać się od nich z daleka.

- Właściwie się z tym zgadzam - powiedział Han. - Ale tak się składa, że właśnie pracujemy dla Hutta, więc nie afiszuj się z nadto z taką opinią.

Upił łyk herbaty i przez chwilę wpatrywał się w migające gwiazdy, zatopiony we wspomnieniach.

- Nieważne, w końcu uciekłem. Ale wolałbym, żeby Veratil nie zauważył mnie wczoraj. Mam niestety złe przeczucia. Tlanda Tilowie potrafią być naprawdę niesympatyczni...

Chewie zadał pytanie, a Han spojrzał na niego pokaszując z zakłopotaniem.

- Dlaczego tam polazłem i pozwoliłem, żeby mnie zobaczył? No wiesz, stary... była tam dziewczyna...

Wookie zamruczał zdanie, które można by przetłumaczyć: „Dlaczego mnie to nie dziwi?”.

- Nie, ta była wyjątkowa - tłumaczył się Han zepchnięty do defensywy. - Bria Tharen. Wczoraj zdawało mi się, że w tym tłumie... - wzruszył ramionami, a oczy mu przysgasty. - Sądziłem, że to ona. Przysiągłbym, że stała na tym placu. Pięć lat temu byliśmy... przyjaciółmi. Bliskimi przyjaciółmi.

Chewbacca przytaknął ze zrozumieniem. Po miesiącu pobytu z Hanem Wookie był doskonale świadom faktu, że ludzkie samice, prawie bez wyjątku, uważają Korelianina za atrakcyjnego. Han ponownie wzruszył ramionami.

- Ale niestety okropnie się pomyliłem. Kiedy w końcu ją złapałem, okazało się, że to nie Bria. To było... - chrząknął speszony. - Chciałem powiedzieć, że byłem nieco rozczarowany. Naprawdę ucieszyłem się, że mogę ją znów spotkać. - Pociągnął następny łyk chłodnej już herbaty. - Śniła mi się zeszłej nocy - powiedział cicho, jakby sam do siebie. - Miałem na sobie mundur, a ona uśmiechała się do mnie...

Chewbacca mruknął ze współczuciem. Han spojrzał na niego, wyrwany z zamyślenia.

- Ale Bria to przeszłość! A ja muszę patrzeć w przyszłość. A jak z tobą, stary? Masz dziewczynę?

Wookie przez chwilę zawahał się. Han uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Ktoś szczególnie? Czy może tylko chciałbyś, żeby tak było?

Chewie zaczął się bawić przyciskiem stabilizatora.

- Ostrożnie, nie naciskaj go! - ostrzegł Han. - Dobra, nie musisz mi mówić. Aleja... ja ci powiedziałem. Jeśli mamy być partnerami, musimy sobie ufać, nie?

Jego kudłaty kompan zastanawiał się nad tym przez chwilę. Potem skinął głową i z początku powoli, potem nieco składniej zaczął opowiadać. Była taka młoda samica Wookie imieniem Mellatobuck, która bardzo mu się podobała. Widział ją kilka razy, gdy przychodziła opiekować się starszymi członkami wspólnoty Wookiego na Kashyyyk; pomagała Chewiemu zajmować się jego ojcem, bo Attichitcuk był bardzo starym i niezdolnym Wookiem.

- A więc ona ci się podoba? - zapytał Han. - A ty podobasz się jej?

Chewbacca nie był pewien. Niewiele spędzili czasu ze sobą. Ale doskonale zapamiętał ciepło w jej błękitnych oczach...

- Ile czasu minęło, odkąd ostatnio się widzieliście? - zaciekawił się Han.

Chewie zastanowił się przez chwilę, a potem warknął w odpowiedzi.

- Pięćdziesiąt lat! - krzyknął z niedowierzaniem Han. Wiedział, że Wookie żyją wielokrotnie dłużej niż ludzie, ale...

Przełknął jeszcze łyk herbaty.

- Hej, stary, nie chciałbym cię martwić, ale twoja Mellatobuck może już mieć męża i szóstkę małych Wookiech. Nie można wymagać od dziewczyny, żeby czekała tak długo.

Chewbacca zgodził się, że powinien wrócić na Kashyyyk i odnowić kontakt tak szybko, jak to możliwe.

- Powiem ci coś - stwierdził Han. - Jak tylko kupimy sobie własny statek, Kashyyyk stanie się naszym pierwszym celem, zgoda?

Wielki Wookie zaryczał z entuzjazmem.

Han spojrział na niego i uznał, że właściwie miło jest mieć obok siebie kogoś, z kim można pogadać. Podróże kosmiczne, gdy już zrobiło się skok w nadprzestrzeń, bywały śmiertelnie nudne.

- Widziałem tę paczkę, którą przyniosłeś na pokład - powiedział Han zmieniając temat. - Co kupiłeś?

Chewbacca poszedł po pakunek i wrócił na siedzenie pilota. Rozwinął paczkę. Wewnątrz była prawdziwa płatanina metalowych drutów i drewnianych tyczek oraz uchwyt z potężną sprężyną.

Han spojrział ze zdumieniem.

- Co to jest?

Wookie wychrzakał wyjaśnienie.

- Ach, coś w rodzaju kuszy - zrozumiał Han. - Życzę szczęścia przy obsłudze. Ta sprężyna jest tak wielka, że żaden człowiek by tego nie naciągnął.

Chewie zgodził się z nim, ale wyciągnął wszystkie części i zaczął składać broń.

- Dobrze strzelasz? - spytał Han.

Chewbacca skromnie przyznał, że pomiędzy swoim ludem był uznawany za specjalistę.

- To dobrze - skomentował Han. - Lecimy na Nar Shaddaa, więc często będziemy musieli chronić sobie nawzajem plecy. To jest księżyc planety Hurtów, Nal Hutta. Słyszałeś kiedyś o nim?

Chewie zaprzeczył.

- Ja też tam nigdy nie byłem, ale z tego, co słyszałem, może być ciężko. Nawet Imperium nie posyła tam ludzi. Jeśli jesteś ścigany albo chcesz ubić nielegalny interes, jedziesz na Nar Shaddaa. To tego typu miejsce.

Han sprawdził przyrządy, by upewnić się, że wszystko przebiega sprawnie. Już niedługo znów mieli się wynurzyć w przestrzeni, i to niedaleko Nar Hekka.

Chewie przyjrzał mu się badawczo niebieskimi oczami, a potem warknął ciche pytanie.

Han podniósł wzrok.

- Starąłem się odnaleźć Brie - przyznał po chwili milczenia. - Na początku byłem wściekły, że mnie zostawiła, ale... ona bardzo wiele przeszła. Kilka lat temu, kiedy byłem na ostatnim roku w Akademii, odwiedziłem jej ojca, Renną Tharena. Powiedział, że nie miał od niej wieści od lat. Nie miał pojęcia, gdzie może być. - Han westchnął. - Lubilem jej ojca. Reszta jej rodziny była strasznie męcząca, ale Renną polubiłem. Pomógł mi, kiedy znalazłem się w kłopotach. Przez pierwszych sześć miesięcy służby we flocie większość moich poborów wysyłałem do niego, żeby zwrócić mu dług. Był...

Rozległ się dźwięk sygnału alarmowego.

- Wychodzimy z nadprzestrzeni - oznajmił Han pochylając się nad pulpitem sterowniczym. - Następny przystanek to Nar Hekka. Musimy tam znaleźć huttyjskiego lorda o imieniu Tagta, stary.

Po osadzeniu statku Durosa w porcie docelowym, Han i Chewbacca pozbiali swój skąpy dobytek i opuścili maszynę, nie mając specjalnej nadziei, że znajdą ją w tym miejscu po powrocie. Razem załadowali się na podziemny transporter i udali do centrum miasta, gdzie miał znajdować się pałac Tagty Hutta. Han był kiedyś na Nal Hutta i wcale mu się tam nie podobało. Był to świat wilgotny, oślizgły i śmierdzący jak sami Huttowie. Spodziewał się tego samego na Nar Hekka, więc poczuł się przyjemnie zaskoczony. Chłodna planeta krążyła wokół małej czerwonej gwiazdy, leżącej na skraju systemu Y'Toub. Kredyty Huttów i praca kolonistów wszelkich możliwych ras zmieniły ją w prawdziwy raj. Nad olbrzymimi ogrzewanymi domami niebo miało kolor błękitu wpadającego w delikatny fiolet. Na ubogą w roślinność planetę zdołano przeszczepić wiele gatunków z innych światów, które teraz starannie kultywowano w niezliczonych parkach, ogrodach botanicznych i szkółkach. Gdziekolwiek Han i Chewie spojrzeli, widzieli dywany kwitnących kwiatów we wszelkich możliwych odcieniach i kolorach.

Idąc przez miasto cieszyli oczy przyjemnymi widokami. Sztuczne prądy powietrzne łagodnie owiewały im twarze. Spacer był naprawdę wspaniałą odmianą po dniach spędzonych w ciasnej kabinie pilotów. Co do tego obaj byli zgodni.

Uznali, że o wiele za szybko stanęli przed wielkim gmachem z białego kamienia, który, jak im powiedziano, miał być domem i zarazem biurem Tagty Hutta. Choć Tagta pracował dla Jilliaka, sam też był ważnym i bogatym huttyjskim lordem.

Weszli w górę po rampie (w budowlach Huttów nie stosowano schodów z oczywistych przyczyn) i zatrzymali się przed olbrzymimi wrotami, przez które mógłby przejechać nawet Hutt na platformie antygravitacyjnej. Rolę majordomusa pełniła małeńka Sullustianka. Jej szczęki drgnęły lekko, gdy Han przedstawił się i zażądał audiencji u lorda Tagty. Odeszła, pewnie po to, by sprawdzić referencje gościa; wróciła kilka chwil później i przemówiła:

- Lord Tagta was przyjmie. Kazał mi zapytać, czy już jedliście, bo właśnie spożywa południowy posiłek.

Han był głodny, więc uznał, że Chewie też by coś zjadł. Pomyślał jednak, że jedzenie w towarzystwie Hutta nie będzie zbyt apetyczne. Smród tej rasy był na tyle przenikliwy, że jego żołądek mógłby się zbuntować.

- Dopiero jedliśmy - skłamał. - Ale dziękujemy lordowi Tagcie za jego uprzejmość i troskę.

Eskortowani przez odzianych w liberię trzech gamorreńskich strażników, wkroczyli do prywatnej jadalni Hutta. Pomieszczenie, zwieńczone olbrzymią kopułą, Hanoi skojarzyło się z katedrą, jaką kiedyś widział. Przez wypełniające całą ścianę okno wpadały czerwone promienie słońca, które barwiły białe ściany na lekko różowawy odcień. Gospodarz leżał (anatomia Huttów nie pozwalała na przybranie pozycji siedzącej) za stołem zastawionym „wykwintnymi potrawami”. Han rzucił okiem na wijące się robactwo, które stanowiło południową przekąską, i szybko odwrócił wzrok w drugą

stronę. Kiedy zbliżyli się z Chewbaccą do Hutta, twarz pilota miała już całkowicie obojętny wyraz.

Han nauczył się huttyjskiego podczas swojego pobytu na Ilezji i rozumiał ten język całkiem dobrze. Nie potrafił nim jednak mówić, bo znaczenie dźwięków zmieniało się zależnie od subtelnych różnic w tonach, a budowa ludzkiego gardła nie pozwalała na właściwe ich artykułowanie. Zastanawiał się, czy do tej rozmowy nie będzie przypadkiem potrzebny robot translacyjny, ale niczego takiego nie zauważył. Tagta spoczywał na lewicującej platformie antygravitacyjnej, ale Han miał wrażenie, że potrafiłby się obejść także bez niej. Niektórzy Huttowie byli tak opaśli, że nie mogli poruszać się o własnych siłach, ale Tagta nie wyglądał ani na tak starego, ani tak tłustego. Patrząc, jak Hutt wyciąga następne wijące się stworzenie z wypełnionego obrzydliwym szlamem akwarium i pakuje je sobie do ust, Han uznał, że Tagta wkrótce także wkroczy w „dojrzały” etap życia. W kącikach ust gospodarza pojawił się zielony śluz, gdy przeżuwał pracowicie żywego robala, by wreszcie go przełknąć. Han zmusił się, aby nie odwracać wzroku.

W końcu obrzydliwa uczta dobiegła końca. Tagta odezwał się:

- Czy któryś z was rozumie język jedynek naprawde cywilizowanych istot?

Wiedząc, że Tagta ma na myśli huttyjski, Han skinął głową i przemówił we wspólnym:

- Tak, lordzie Tagta, ja rozumiem. Niestety nie potrafię prawidłowo wymawiać.

Hutt zamachał krótkimi, tłustymi rączkami i wytrzeszczył ze zdumienia i tak już wylupiaste oczy.

- Świadczy to na twoją korzyść, kapitanie Solo. Rozumiem twój prymitywny wspólny, więc nie będziemy przy tej rozmowie potrzebowali tłumacza. - Wskazał na Wookiego. - A twój towarzysz?

- Mój przyjaciel i pierwszy oficer nie mówi w języku twego dostojnego ludu, lordzie Tagta - odparł Han. Nienawidził takiej unizoności, ale bardzo mu zależało na dobrych układach z Tagtą. Zresztą przy robieniu interesów z Hurtami było to niezbędne, nie mówiąc już o tym, że Han chciał prosić tego akurat Hutta o przysługę.

- Bardzo dobrze, kapitanie Solo - ciągnął Tagta. - Czy przyprowadziłeś mój statek zgodnie z umową?

- Tak, ekscelencjo - odparł Han. - Jest w doku numer trzydzieści osiem na platformie portu Q-7.

Nar Hekka miała wielki port kosmiczny, bo leżała na skrzyżowaniu głównych szlaków handlowych wiodących z systemów i do systemów Hurtów.

- Doskonale, kapitanie - pochwalił go Tagta. - Dobrze to zrobiłeś. - Machnął ręką dając im do zrozumienia, że audyencja skończona. - Masz nasze pozwolenie na odejście.

Han nawet nie drgnął.

- Eee... lordzie Tagto, wciąż jeszcze należy mi się połowa zapłaty.

Tagta aż się cofnął ze zdumienia.

- Co? Przyszedłeś tu oczekując ode mnie kredytów?

Han wziął głęboki wdech. Najbardziej ze wszystkiego pragnął szybkiej ucieczki. Doprowadzenie do gniewu huttyjskiego lorda nie było rozsądnym posunięciem. A jednak pozostał tam gdzie stał, zmuszając się do przybrania obojętnej miny. Miał przeczuć, że właśnie jest testowany.

- Tak, ekscelencjo. Obiecano mi drugą połowę zapłaty po dostarczeniu statku na Nar Hekka, jeśli dokonam tego unikając imperialnych statków, które mogłyby się zainteresować moją maszyną... albo raczej jej zawartością. Powiedziano, że to ty wręczysz mi resztę kredytów.

Tagta parsknął obraźliwie.

- Jak śmiesz przypuszczać, że zawarłbym taką śmieszna umowę? Natychmiast stąd wyjdź, człowieku!

Teraz Han też był już wściekły. Mocno skrzyżował ręce na piersiach, śmiało zrobił krok do przodu i pokręcił przecząco głową.

- Nic z tego, ekscelencjo. Wiem, co mi obiecano. Płać!

- Śmiesz wysuwać żądania?

- Kiedy chodzi o kredyty, mało jest rzeczy, na które bym się nie odważył - odparł z niezmaconym spokojem Han.

- HiTrrrrmmmmph! - warknął Tagta pełen odrazy. - To twoja ostatnia szansa, Korelianinie - ostrzegł. - Idź precz albo wezwę straż!

- Uważasz, że ja i Chewie nie poradzimy sobie z bandą Gamoreańczyków? - zapytał Han z groźbą w głosie. - Przemysł to, ekscelencjo.

Tagta rzucił mu wściekle spojrzenie, ale nie wezwał strażników.

- Czy chcesz, ekscelencjo, żebym powtarzał każdemu napotkanemu pilotowi, że Tagta Hutt nie wywiązuje się z danego słowa? - Han wydam usta. - Będziesz miał wtedy spore kłopoty, by znaleźć kogoś, kto zechce dla ciebie pracować.

Lord huttyjski wydał z głębi gardzieli gromki ryk. Han poczuł nagłą suchość w ustach. Czyżby nadużył swojego niezwyklego szczęścia?

Mijały kolejne sekundy. Han całą siłą woli zmuszał się do nieporuszonego trwania w miejscu.

Wreszcie Tagta zachichotał. Tak przynajmniej sądził Han, bo ten bulgoczący dźwięk nie mógł być niczym innym.

- Odważny z ciebie osobnik, kapitanie Solo. A ja wysoko sobie cenię odwagę. - Pogrzebał chwilę w stosie leżącym u jego stóp i rzucił Hanowi mieszek. - Masz. Myślę, że suma się zgadza.

Stary łajdak! - pomyślał Han z pewnym podziwem. Miał wszystko przygotowane. Naprawdę tylko mnie sprawdzał!

Wraz z tą myślą poczuł przypływ pewności siebie. Ukłonił się nisko.

- Przyjmij moje podziękowania, lordzie Tagto. Chciałbym także prosić o pewną przysługę, ekscelencjo.

- Przysługę? - odezwał się Hutt mrugając szybko wylupiastymi ślepiami. - Naprawdę mężna z ciebie istota! Cóż to za przysługa?

- Przypuszczam, lordzie, że znasz lorda Jiliaka.

Osadzone na czubku głowy oczy zmrużyły się podejrziwie.

- Tak. Robię interesy z Jiliakiem. Należymy do tego samego klanu. I co z tego?  
 - Słyszałem, że na Nar Shaddaa jest robota dla dobrych pilotów. A lord Jiliak posiada albo kontroluje znaczną część Księżyca Przemysłowców. Jestem naprawdę dobrym pilotem, lordzie. Byłbym wdzięczny, gdybyś mógł zarekomendować mnie lordowi Jiliakowi. Chewie i ja chcielibyśmy dla niego pracować.

Z szerokiej piersi Hutta wyrwało się głębokie westchnienie.

- Rozumiem. Więc co mam powiedzieć mojemu przywódcy klanu? Że jesteś hardy i chciwy, kapitanie Solo?

Han uśmiechnął się, nagle ośmielony. Nauczył się już, że Huttowie mają poczucie humoru - pokręcone, ale jednak.

- Jeśli sądzisz, że to pomoże, lordzie Tagto...

Huttyjski lord wybuchnął donośnym śmiechem.

- Powiem ci, kapitanie Solo, że niewielu jest ludzi na tyle inteligentnych, by uważać te cechy za cnoty. Ale pomiędzy moim ludem są one doskonałą rekomendacją.

- Jeśli tak twierdzisz, lordzie... - wymamrotał Han, niepewny, co powinien odpowiedzieć.

- Pisarz! - ryknął Tagta w huttyjskim i natychmiast zza jednej z licznych zasłon wyszedł humanoidalny robot.

- Tak, Wasza Wielkość!

Tagta machnął ręką i wydał polecenie w huttyjskim, mówiąc tak szybko, że Han ledwie zdołał pojąć ogólny sens. Było tam coś o pieczęciach i wiadomości.

W chwili później robot powrócił niosąc małą mieszczącą się w dłoni kostkę hologramu. Wręczył ją Hurtowi i cofnął się, czekając z szacunkiem na dalsze polecenia. Tagta wziął kostkę, przesłuchał zawartą tam wiadomość i chrząknął z satysfakcją. Po chwili polizał jedną ze ścianek kostki, zostawiając na niej zielony śluz.

Potrzymał ją jeszcze przez chwilę, aż zielonkawa maź pokryła się lekką mgiełką.

- Proszę, kapitanie Solo - powiedział wreszcie wręczając Hanowi kostkę. - Dzięki temu Jiliak będzie wiedział, że to ja cię przysłałem. Rzeczywiście potrzebuje zdolnych pilotów. Pracuj dla niego dobrze, a zostaniesz też dobrze nagrodzony. My, Huttowie, jesteśmy znani ze swojej hojności dla niższych form życia, które wiernie nam służą.

Han przyjął kostkę, opanowując uczucie obrzydzenia, ale wbrew temu, czego się spodziewał, nie była już wilgotna. Spojrzał na zielonkawy śluz i zdał sobie sprawę, że Jiliak pozna po smaku wydzielinę krewniaka, co potwierdzi autentyczność rekomendacji. Sprytnie, chociaż obrzydliwe, pomyślał.

Pokłonił się głęboko i szturchnął Chewbacę, który zrobił to samo.

Dziękujemy, ekscelencjo!

Ściskając w rękę kostkę hologramu, Han opuścił huttyjskiego lorda. Kiedy wychodzili po rampie z siedziby Hutta, pilot nakłonił Chewiego, by przyjął połowę zapłaty.

- Na wypadek, gdyby któregoś z nas okradziono - wyjaśnił, ucinając ciche protesty współnika. - W ten sposób przynajmniej jeden z nas będzie miał kredyty.

Gdy byli już na ulicy, Han zaproponował, żeby coś przekąsić, zanim skierują się do portu, by złapać jakiś statek na Nar Shaddaa. Zatrzymali się przy stoisku z kwiatami,

a Han zapytał właściciela - szczupłego humanoida o długich, turkoczących bokobrodach i kudłatych uszach - o najbliższą dobrą restaurację. Obcy wskazał mu „Gwiezdną Strawę”, położoną o kilka budynków dalej.

Szli gawędząc wesoło. Byli już w połowie drogi, gdy Han zamilkł w pół zdania i obejrzał się gwałtownie, tknięty nagłym przecuciem, którego nie umiałby wytłumaczyć. Kątem oka dostrzegł zarys błędnego humanoida z dwoma długimi, mięsistymi ogonami zamiast włosów. Twi'lek! Wychylał się zza drzwi za ich plecami, a w rękach trzymał blaster. Widząc odwracającego się ku niemu Hana, krzyknął głośno w silnie akcentowanym, ale zrozumiałym wspólnym:

- Stać obaj, bo zastrzelę was natychmiast!

Han wiedział doskonale, że jeśli posłucha rozkazu, i tak zginie prędzej czy później. Nie zawahał się nawet przez ułamek sekundy. Z ogłuszającym wrzaskiem rzucił się w bok i na ziemię, przeturlał się błyskawicznie i przyklął na jedno kolano z Maste-rem w dłoni. Broń Twi'leka wystrzeliła niebieskozielonym płomieniem. Han uskokzył.

Ogłuszacz!

Teraz on z kolei strzelił, a czerwony płomień uderzył napastnika w sam środek piersi. Wróg upadł martwy lub unieszkodliwiony. Korelianin upewnił się, że Twi'lek nieprędko się podniesie, a potem spojrzał w stronę, gdzie powinien być Chewie. Wo-okie leżał za stojącym obok transporterem, oszołomiony. Najwidoczniej dosięgnął go strzał z ogłuszacza. Han podbiegł do niego, a serce wciąż waliło mu mocno od nadmiaru adrenaliny.

- Bardzo cię uszkodził, stary?

Przytłumionym warczeniem Chewbacca zapewnił partnera, że przeżyje. Han spoj- rzał w owłosioną twarz Wookiego i stwierdził, że nie ma szklistych oczu, a w źrenicach widnieje ożywiony błysk. Odetchnął z ulgą. Nagle zdał sobie sprawę, że przywykł już do obecności tego wielkiego kudłatego cielska. Gdyby coś się stało Chewiemu...

Han ukląkł przy powalonym Twi'leku. Wystarczył jeden rzut oka na wielką dziurę wypaloną w jego piersiach, by stwierdzić z całą pewnością, że jest martwy. Han poczuł coś w rodzaju żalu. Zdarzało mu się już zabijać, ale nigdy nie czuł się z tego powodu szczęśliwy. Zaciskając zęby zmusił się do przeszukania trupa. Znalazł wibroostrze ukryte w rękawie i drugie na łydce. Po wewnętrznej stronie nadgarstka Twi'lek miał urządzenie do wystrzeliwania małych, bardzo niebezpiecznych igiełek, a przy pasie - zakryty przez tunikę usypiacz, broń o małym zasięgu, ale bardzo skuteczną. Mógł pójść za Hanem, wymierzyć w jego plecy i nacisnąwszy spust po prostu wysłać Korelianina do krainy snów.

Han popatrzył na tę kolekcję i poczuł, że ma sucho w ustach.

Łowca nagród, doszedł do wniosku. Świetnie. Jakoś mnie to nie dziwi. To robota Teroenzy. Już wie, że żyję i chce mnie dostać...

Gdyby nie instynkt i refleks, Han, nieprzytomny, jechałby właśnie na Ilezję na spotkanie straszliwego losu. Słyszając zaniepokojone chrząkanie Chewbacki podniósł głowę i zobaczył, że zdarzenie spowodowało niewielkie zbiegowisko. Wstał, wciąż ostentacyjnie trzymając blaster w dłoni. Tłum cofnął się szmerząc. Przeszedł obok nich z gracją tancerza, ani na moment nie odwracając się tyłem do zbiegowiska, aż znalazł

się obok Chewiego. Wiedział, że do tej pory ktoś na pewno wezwał strażników, ale wiedział też, że łowca nagród znajduje się poza ochroną prawa. Łowca nagród powinien sam dbać o swoje bezpieczeństwo. A jeśli ofiara pokazywała czasem zęby... cóż, pech.

Han i Wookie cofali się krok za krokiem obserwując tłum, aż dotarli do rogu najbliższej alejki. Działając jak połączeni telepatyczną więzią, jednym susem skoczyli za róg i ruszyli przed siebie biegiem.

Nikt nie biegł za nimi.

Teroenza - wysoki kapłan i nieoficjalny władca wilgotnego świata Ilezji, świata, który produkował niesłychane ilości narkotyków i niewolników - siedział w swoim wieszającym legowisku, a zisiański sługa, Ganar Tos, masował mu potężne ramiona. T'landa Tilowie mieli wzrost dorosłego mężczyzny, nawet gdy stali na czterech klockowatych nogach. Ze swoimi baryłkowatymi cielskami, małymi rączkami i wielkimi głowami przypominali nieco wyglądem odległych kuzynów, Hurtów... może z wyjątkiem olbrzymiego rogu sterczącego pośrodku twarzy. Nie przeszkadzało to t'landa Tilom uważać się za najpiękniejsze istoty w galaktyce, chociaż zdecydowana większość innych ras nie bardzo zgadzała się z tą opinią.

Teroenza uniósł jedną z maleńkich rączek i cienkimi palcami zaczął wsmarowywać delikatny balsam w swoją szorstką skórę. Najwięcej maści nałożył wokół wylupiających oczu. Słońce Ilezji często kryło się za chmurami, ale miało dość siły, żeby wysuszyć mu skórę, gdyby o nią nie dbał. Częste kąpiele błotne były bardzo pomocne, ale nie tak, jak ten drogi środek zmiękczejący. Zaczął wcierać krem w róg i przypomniał sobie swój ostatni pobyt w domu na Nal Hutta. Udało mu się wtedy przywabić samicę Tilennę i spędzili razem całe godziny, nawzajem smarując sobie ciała olejkiem...

Najwyższy Arcykapłan westchnął. Służba dla dobra ojczyzniego świata i klanu Huttów, któremu podlegała jego rodzina, wymagała poświęceń. Jednym z nich było to, że na Ilezji potrzebowano wyłącznie męskich osobników flanda Til, którzy potrafili wywoływać Uniesienie, więc nie było tu samicy jego rasy. Nie miał więc szansy na potencjalną partnerkę...

- Mocniej, Ganar Tos - mruknął Teroenza w swoim języku. - Ostatnio za ciężko pracuję. Za dużo pracy, za dużo stresu. Muszę zwolnić, rozluźnić się trochę...

Zerknął tęsknie na wysokie drzwi, które prowadziły do komnaty zawierającej jego cenną kolekcję. Najwyższy Arcykapłan był zapalonym kolekcjonerem tego, co niezwykle, rzadkie i piękne. Kupował i zdobywał rarytasy i cenne obiekty sztuki w całej galaktyce. Ta kolekcja była jego jedyną radością w tym zamglonym, zapadłym kącie wszechświata, zaludnionym głównie przez poddanych i niewolników.

Niemal cztery lata zajęło mu odrobienie strat spowodowanych przez tego odrażającego dzikusa Vykka Draygo, który się tu włamał i ukradł wiele z jego najrzadszych i najcenniejszych eksponatów. I oto kilka dni temu Teroenza dowiedział się, że Vykka Draygo wciąż żyje. Po sprawdzeniu w rejestrze władz portowych Devaronu dowiedział się też, że ten koreliański kundel naprawdę nazywa się Han Solo. Samo wspomnienie tej straszliwej nocy, kiedy uległa zniszczeniu część jego kolekcji, spowodowało, że krótkie rączki Teroenzy odruchowo zacisnęły się w pięści, a głowa pochylała się, jakby

chciał nadzieć nieobecnej ofiarę na róg. Palce Ganara Tosa ścisnęły napięte nagle mięśnie, a flanda Til drgnął i zaklął soczyście. Ten barbarzyńca Solo wystrzelił z blastera w samym środku jego ukochanej komnaty, powodując niepowetowane straty wśród dzieł sztuki. Wprawdzie biała jadeitowa fontanna została naprawiona przez najlepszego rzeźbiarza w galaktyce, ale nigdy już nie będzie taka sama...

Wyrwał go z tych ponurych rozmyślań trzask otwieranych drzwi, przez które wszedł do komnaty Kibbick. Młodemu Huttowi daleko jeszcze było do wieku i stopnia otyłości, przy którym potrzebowałby platformy antygravitacyjnej. Bez trudu poruszał się o własnych siłach, pełną po podłodze wypychany skurczami potężnych mięśni podbrzusza i ogona. Teroenza wiedział, że powinien wstać z hamaka i powitać swojego nominalnego władcę, ale nie uczynił tego. Kibbick ledwie wszedł formalnie w pełnoletność i w dodatku wcale nie chciał znaleźć się na Ilezji. Był bratankiem nieżyjącego Zawala, poprzedniego huttyjskiego nadzorca Teroenzy. Brat Zawala, potężny lider klanu Huttów, lord Aruk, także był jego wujem.

Najwyższy Arcykapłan uniósł dłoń i pochylił uprzejmie głowę. Nie chciał lekceważyć Kibbicka.

- Witam, ekscelencjo. Jak samopoczucie?

Hurt podpełzł bliżej i zatrzymał się tuż przed Teroenza. Był na tyle młody, że jego skóra miała odcień jasnego brązu, bez zielonkawego pasa wzdłuż kręgosłupa i na ogonie, który mieli starsi, unieruchomieni już Huttowie. Nie był też tak opasły jak zazwyczaj jego krewniacy, więc oczu nie zakrywały mu jeszcze fałdy skóry. Wyglądał dzięki temu jak ktoś wiecznie zdziwiony. Teroenza wiedział jednak doskonale, że to niewinne, zaciekawione spojrzenie jest bardzo mylące.

- Obiecałeś mi żaby z drzewa nala - odezwał się w huttyjskim Kibbick. Nie miał tak szerokiej klatki piersiowej jak starzy Huttowie, więc jego niski głos nie był przesadnie dudniący. - Dostawa nie dotarła, Teroenza! A ja dziś wieczorem miałem taką ochotę na przekąskę z żab z drzewa nala! - westchnął teatralnie. - Tak niewiele przyjemnych rzeczy jest na tym mrocznym świecie! Możesz o to zadbać, Teroenza?

Najwyższy Arcykapłan uspokajająco machnął drobną rączką.

- Oczywiście, ekscelencjo. Będziesz miał swoje żaby z drzewa nala, bez obaw. Osobiście za nimi nie przepadam, ale wiem, że lubił jej też Zawal. Wyślę ekspedycję, żeby zebrała kilka jeszcze dzisiaj.

Kibbick ucieszył się wyraźnie.

- Tak lepiej - powiedział. - Aha... i jeszcze potrzebuję następnej niewolnicy do łaźni. Poprzednia coś sobie zrobiła, gdy unosiła mi ogon do naoliwienia, więc kazałem jej wracać do fabryki. Jej płacz działał mi na nerwy... a ja mam bardzo delikatne nerwy, jak wiesz.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - powiedział Teroenza, choć w głębi ducha zgrzytnął wściekle. Muszę pamiętać, że Kibbick mimo swego ciągłego marudzenia zapewnia mi jednak całkowitą swobodę, pomyślał. Jeśli już muszę mieć huttyjskiego nadzorcę, ten jest zdecydowanie najlepszy... - Oczywiście tym też natychmiast się zajmę - zapewnił Kibbicka.

Teroenza miał pewność, że potrafiłby zarządzać ilezjański-mi fabrykami i niewolnikami bez nadzoru Huttów. Podczas roku, który nastąpił po śmierci Zawala z rąk Hana Solo, Najwyższy Arcykapłan miał okazję się o tym upewnić. Ale nielegalne przedsiębiorstwo Besadiich - kajidic było zarządzane przez potężnego starego Hutta o imieniu Aruk, wyjątkowo przywiązanego do tradycji. Na czele każdej filii Besadii musiał stać Hutt z jego klanu. Dlatego Teroenza miał na karku tego nieznośnego Kibbicka. Westchnął z niechęcią. Mądrzej jednak będzie nie okazywać zniecierpliwienia.

- Czymś jeszcze mogę służyć, ekscelencjo? - zapytał, zmuszając się, aby w jego głosie zabrzmiała uniżoność.

Kibbick przez chwilę myślał intensywnie.

- A tak, coś sobie przypomniałem. Rozmawiałem dziś rano z wujem Arukiem, który sprawdzał rachunki z zeszłego tygodnia. Chciałby wiedzieć, co ma znaczyć te pięć tysięcy kredytów nagrody, które wyznaczyłeś za pojmanie człowieka imieniem Han Solo.

Teroenza zatarł delikatne dłonie.

- Poinformuj lorda Aruka, że kilka dni temu dowiedziałem się, iż Vykk Draygo, morderca Zawala, rzekomo martwy od pięciu lat, znów się pojawił. Jego prawdziwe imię brzmi Han Solo i dwa miesiące temu został wydalony z Floty Imperium. -Oczy Teroenzy błyszczały gniewem, ale także radosnym oczekiwaniem. - Zaoferowałem taką nagrodę za pojmanie go żywcem. Zapewniam, że ten morderca Huttów trafi znów na Ileżję, gdzie odpowie za swoje zbrodnie.

- Rozumiem - odparł Kibbick. - Wyjaśnię to Arukowi, ale nie sądzę, by zgodził się na zapłacenie wyższej stawki za pochycenie go żywcem. To nie jest naprawdę konieczne. Zwykły dowód, że Solo jest martwy... na przykład jego materiał genetyczny... na pewno by wystarczył.

Teroenza zeskokczył jednym ruchem z wiszącego łoża i zaczął przechadzać się po komnacie machając wściekle ogonem.

- Nie rozumiesz w pełni ogromu jego zbrodni, ekscelencjo! Gdybyś tylko był tutaj wtedy! Gdybyś mógł zobaczyć, co Solo zrobił twemu wujowi! Gdybyś słyszał jego przedśmiertne jęki! I to wszystko przez jednego nędznego człowieka!

Najwyższy Arcykapłan wziął głęboki oddech. Zdawał sobie sprawę, że trzęsie się z wściekłości.

- Kara za to musi być przykładna! Taka, która zostanie zapamiętana na wieki przez każdą istotę niższej rasy, która tylko pomyśli o zranieniu Hutta! Solo musi umrzeć na torturach, błagając o litość!

Teroenza zatrzymał się pośrodku komnaty, trzęsąc się z furii i machając drobnymi piąstkami.

- Zapytaj Ganara Tosa! - wrzasnął z pasją, świadom, że robi z siebie przedstawienie na oczach Kibbicka, ale niezdolny zapanować nad gniewem. - Zapytaj go o arogancję i bezczelność Solo! Zasługuje na okrutną śmierć, czy nie?

Głos Najwyższego Arcykapłana nabrał wysokich, historycznych tonów. Stary zisiański majordomus uklonił się sztywno; jego oczy też błyszczały nienawiścią.

- Prawdą mówisz, mój panie. Han Solo zasługuje na śmierć tak długą, bolesną i okrutną, jak tylko zdołasz mu zadać. Zranił wiele istot, także i mnie. Ukradł mi żonę, moją piękną Brie! Czekam z niecierpliwością na dzień, kiedy łowca nagród przywlecze go tutaj żywego i skazanego na twoją karę. Będę tańczył z radości przy wtórze jego krzyków!

Kibbick cofnął się nieco, zdumiony szalem, w jaki wpadli jego towarzysze.

- Ro... rozumiem - bąknął w końcu. - Postaram się przekonać wuja Aruka.

Teroenza skłonił głowę i po raz pierwszy jego wdzięczność nie była udawana.

- Przekonaj go, proszę - powiedział, a w jego głosie brzmiała pasja. - Od dziesięciu lat pracuję wiernie i ciężko dla klanu Besadii. Wiesz dobrze, jak trudno jest żyć w tym świecie, ekscelencjo. Nie proszę o wiele... ale Hana Solo muszę mieć. Będzie umierał w moich rękach bardzo, bardzo długo.

Kibbick pochylił wielką głowę.

- Wyjaśnię to Arakowi - obiecał. - Han Solo będzie należał do ciebie, Najwyższy Arcykapłanie...



## ROZDZIAŁ

# 3

### NAR SHADDAA

Zanim Han zdecydował się udać razem z Chewiem na Nar Shaddaa, spędził trochę czasu w mniej rzucającej się w oczy części gwiazdowego portu Nar Hekka, pracowicie zacierając ich trop. Kilka dość kosztownych rozmów w obskurnych knajpach zaprowadziło go w końcu do najlepszego fałszerza na tej planecie.

Okazała się nim Tsyklenka z planety Tsyk - okrągła, bezwłosa istota o gładkiej bladej skórze. Była dobrze wyposażona przez naturę pod kątem wybranej przez siebie profesji. Miała wielkie oczy zapewniające doskonały wzrok i siedem palców u każdej z rąk, tak smukłych i delikatnych, że przypominały miniaturowe macki. Mając po dwa przeciwstawne kciuki na każdej dłoni, mogła równocześnie obsługiwać dwa holoprojektory. Han patrzył z fascynacją, jak sprawnie pod jej dłońmi powstawały dokumenty identyfikacyjne, które nadawały mu imię Gariss Kyll, a Chewbaccy - Arrikabukk.

Han nie miał pojęcia, czy Teroenza wie cokolwiek o Chewiem, ale nie zamierzał ryzykować. Z fałszywymi dokumentami i znacznie odchudzonym zapasem gotówki zaokrętowali się na „Gwiazdną Księżniczkę” zmierzającą na Nar Shaddaa.

Podróż przebiegła spokojnie, chociaż Han nie potrafił zrezygnować z napiętej do granic uwagi. Ponowny status ściganego nie był tym, czego pragnął w początkach nowej kariery przemytnika. Podróż zajęła nieco więcej niż standardowy dzień, chociaż Nar Hekka leżała tuż za krańcem systemu Y'Toub. Jednak musieli lecieć z prędkością podświetlną. „Księżniczka” była starym statkiem i jej antyczny komputer pokładowy nie potrafił wyliczyć dokładnie parametrów skoku w nadprzestrzeń tak blisko studni grawitacyjnych gwiazdy Y'Toub i jej sześciu planet. Studnie grawitacyjne, o czym wiedział każdy pilot, czyniły prawidłowe wyliczenie skoku niezwykle trudnym, a sam skok zdradliwym. Tej nocy, śpiąc na wąskiej koi transportera, Han śnił, że znów jest kadetem w Akademii na Karydzie. We śnie kończył polerowanie butów, by następnie wraz z całym oddziałem przygotowywać się do parady. Jego mundur lśnił czystością, każdy włos na głowie był ułożony we właściwy sposób, a buty świeciły tak, że mógł w nich zobaczyć odbicie swej twarzy. Stał ramieniem w ramieniu z innymi kadetami, jak zdarzało mu się to w prawdziwym życiu, i wpatrywał się w maleńki księżyc Karydy błyszczący

między gwiazdami na nocnym niebie. Kiedy tak patrzył, zupełnie jak kiedyś w rzeczywistości, ten nagle w kompletnej ciszy eksplodował, zamieniając się olbrzymią ognistą kulą, która oświetliła jasno całe niebo. Pośród zebranych kadetów rozległ się wielki krzyk zdumienia i konsternacji. Han obserwował w milczeniu żółtobiałą kulę i rozchodzące się wokół niej koncentryczne pierścienie rozżarzonych gazów, którym towarzyszyły szybujące w przestrzeni fragmenty materii. Kataklizm wyglądał jak miniaturowa eksplozja gwiazdy.

Gdy kadet Han przyglądał się eksplozji, nagle - tak nieprzewidywalnie, jak to się zdarza tylko w snach - spostrzegł, że jest już w zupełnie innym miejscu, przed trybunałem wojskowym złożonym z wysokich rangą oficerów Imperium. Jeden z nich, admirał Ozzel, czytał coś beznamiętnym, monotonnym tonem, a w tym czasie podporucznik Tedris Bjalin metodycznie odrywał jeden za drugim wszelkie oznaczenia i insygnia wojskowe z ubrania Hana, pozostawiając go w podartym na strzępy mundurze. Bez najmniejszego śladu emocji na twarzy podporucznik wyciągnął następnie ceremonialną oficerską szablę Hana i złamał ją na kolanie (ostrze już wcześniej osłabiono laserem, aby mogło łatwo trzasnąć).

I wreszcie, wciąż z twarzą nieruchomą jak u robota (choć Tedris awansował na oficera zaledwie rok przed Hanem i byli dobrymi przyjaciółmi), podporucznik uderzył otwartą dłońią w twarz Hana, w sposób, który miał oznaczać najwyższą pogardę i obrzydzenie, po czym nastąpił ostatni gest w tym rytuale poniżenia i odrzucenia: Tedris splunął na buty Hana. Han patrzył na ich lśniąco powierzchnię, po której spływała srebrno-biała ślina...

W chwili, gdy się to naprawdę działo, był wdzięczny Tedrisowi, że ten nie napluł mu w twarz, co prawdę mówiąc miał prawo zrobić. Korelianin wytrzymał to wtedy bez najmniejszego drgnienia, zmuszając się do tego całym wysiłkiem woli, ale tym razem, we śnie, zaprotestował nagle donośnym krzykiem i rzucił się na Tedrisa...

...i obudził się w swojej koi, drżący i zlany zimnym potem.

Usiadł poprawiając drżącymi dłońmi włosy i uspokajając sam siebie, że to tylko sen, że to poniżenie jest już przeszłością i już nigdy więcej nie będzie musiał przeżyć czegoś takiego.

Nigdy więcej!

Han westchnął. Tak wiele wysiłku kosztowało go dostanie się do Akademii, tak wiele wysiłku, by tam wytrwać. Mimo wielu braków w wykształceniu ciężko pracował nad sobą, by stać się najlepszym kadetem, jak tylko to było możliwe. I odniósł sukces. Zaciśnął wargi przypominając sobie dzień mianowania. Skończył Akademię z wyróżnieniem i był to jeden z najszcześniejszych dni w jego życiu.

Potrząsnął głową odpędzając tę myśl. Rozpamiętywanie przeszłości nie przyniesie niczego dobrego, napomniął się surowo. Wszyscy ci ludzie - Tedris, kapitan Meis, admirał Ozzel (coż to był za stary idiota!) - wszyscy oni dawno już znikli z jego życia. Nigdy więcej nie zobaczy Tedrisa.

Przełknął ślinę. To było jednak bolesne. Kiedy wstępował do Akademii, miał tak wiele marzeń, tak wielkie nadzieje na jasną przyszłość. Chciał zerwać ze swoim dawnym przestępczym życiem i stać się szanowanym człowiekiem. Przez całe życie marzył

skrycie, by stać się oficerem Imperium, szanowanym i podziwianym przez wszystkich. Han wiedział dobrze, że jest zdolny, więc ciężko pracował, by uzupełnić braki wykształcenia i dostawać dobre noty. Widział już siebie w mundurze admirała Imperium dowodzącego flotą, albo generała na czele skrzydła myśliwców TIE...

Generał Solo... Han westchnął znowu. Ładne marzenie, ale czas już obudzić się do normalnego życia. Wszelkie szanse na szacunek odplynęły w dal, gdy nie pozwolił zastrzelić z zimną krwią Chewbacki. A jednak nie żałował swojego postępu. Podczas lat spędzonych w Akademii, a potem w siłach Imperium był naocznym świadkiem rosnącego okrucieństwa oficerów Imperium i ich podwładnych. Nieludzie byli ich ulubionym celem, ale zaczęli już przejawiać brak skrupułów także w stosunku do ludzi. Imperator zmieniał się stopniowo z łagodnego dyktatora w bezlitosnego tyrana, zdecydowanego zmusić podległe mu światy do całkowitego poddaństwa. Dlatego Han wątpił, czy nawet gdyby nic nie zaszło, zdołałby długo wytrzymać we flocie. W końcu jakiś oficer wydałby mu rozkaz uczestniczenia w jednej z demonstracji siły, mającej powalić na kolana jakiś buntujący się świat; Han doskonale wiedział, że posłałby go wtedy do wszystkich diabłów. Wiedział, że nigdy nie zdobyłby się na osobisty udział w masakrze, o jakich słyszał - jak na przykład tej na Devaronie... siedmuset ludzi zabitych bez litości.

Han zabijał niejednokrotnie. Robił to z zimną krwią i bez wahania, gdy miał do czynienia z uzbrojonym wrogiem. Ale zabijanie jeńców... potrzęsła głową. Nie! Nigdy! Już lepiej było pozostać przemytnikiem albo złodziejem.

Zaczaj się ubierać. Najpierw ciemnoniebieskie, wojskowego kroju spodnie z czerwonymi koreliańskimi lampasami wzdłuż szwów. Kiedy wyrzucano go ze służby, Han spodziewał się, że odprują mu te lampasy, tak jak to zrobili z pozostałymi insygniami, ale tak się nie stało. Sądził, że to dlatego, że lampasy nie były odznaką Imperium. Otrzymał je wprawdzie za służbę wojskową i za niezwykle w niej bohaterstwo, ale pochodziły z rąk rządu Korelii i odznaczono nimi Korelianina.

To było kilka ciężkich dni... Wrócił na chwilę myślami do czasów, kiedy otrzymał to odznaczenie. Przesunął dłonią po czerwonym pasku, gdy skończył wkładać prawy but. Lampasy były zaprojektowane w taki sposób, że można je było usunąć i przyczepić do nowej pary spodni. Han wiedział też, że większość nie-Korelian nie miała pojęcia, jakie jest ich prawdziwe znaczenie, i uważali je wyłącznie za dekorację, co zresztą Hanowi bardzo odpowiadało. Nosił je, bo była to ostatnia rzecz, która przypominała mu służbę wojskową, ale też nie opowiadał nikomu, jak i gdzie wszedł w ich posiadanie. Tak było po prostu lepiej.

Na końcu włożył jasnoszarą koszulę i ciemniejszą nieco kamizelkę. Spieszył się teraz wiedząc, że powinni już zbliżać się do Nar Shaddaa.

Z małą podrózną torbą na ramieniu wyszedł na korytarz i podążył w stronę pokładu obserwacyjnego. Transporter służył do przewozu zarówno pasażerów, jak i towarów, toteż niewiele tu było rozrywek; największą był pokład widokowy. Przyglądanie się gwiazdom było interesujące i podniecające dla większości istot, toteż niemal każdy transporter zapewniał im taką atrakcję.

Kiedy Han tam dotarł, zauważył, że Chewbacca także już jest i wpatruje się w gwiazdy. Han stanął obok niego przypatrując się punktowi, który był celem ich podróży.

Zdążali w stronę dużej planety, większej niż Korelia, choć składającej się głównie z brązowych pustyń, małych obszarów wilgotnej zielonej roślinności i szaroniebieskich oceanów. Han rozpoznał ją od razu. Był już tam pięć lat temu. Wskazał to miejsce Chewiemu.

- Na Hutta - powiedział krótko. - Znaczy to po huttyjsku Klejnot Chwały, ale wierz mi, bracie, nie jest tam zbyt pięknie. Trochę bagien i mokradeł, a poza tym piach. Śmierdzi to wszystko jak ściek albo wielkie wysypisko śmieci. - Korelianin skrzywił się na samo wspomnienie.

Przez ten czas „Gwiezdna Księżniczka” minęła rodzinny świat Hurtów, korzystając z grawitacji planety, by wyhamować szybkość.

Chewie mruknął pytająco.

- Nie. Nigdy nie byłem na Nar Shaddaa - wyjaśnił Han. - Kiedy leciałem tędy pięć lat temu, nawet nie miałem okazji przyjrzeć mu się z bliska.

Teraz zobaczyli brzeg wielkiego księżyca, który właśnie pojawił się na horyzoncie.

Chewie znowu o coś zapytał.

- Tak, planeta i księżyc mają te same fazy, więc zawsze są zwrócone do siebie tą samą półkulą - odparł Han. - Synchroniczna orbita.

„Księżniczka” zatoczyła łuk wokół wielkiej kuli. Han spostrzegł, że przestrzeń po tej stronie planety jest pełna dryfujących śmieci. Kiedy zbliżyli się bardziej, przekonał się, że to pozostałości statków kosmicznych wszelkich rozmiarów i kształtów. Po szkoleniu w Akademii Han potrafił rozpoznać wiele typów, ale niektóre widział po raz pierwszy.

Księżyc Przemysłowców był wielką planetą, jednym z największych satelitów, jakie Han do tej pory widział. Także on był otoczony dryfującymi wrakami statków, na tyle licznymi, że „Księżniczka” musiała kilkakrotnie zmieniać kurs, by uniknąć kolizji. Wiele z tych wraków miało wypalone w kadłubie wyraźne dziury - ślad po ogniu laserowych działek. Z ilości dryfujących wokół księżyca kosmicznych odpadków można było wnioskować, że gromadziły się tu przez całe dekady, a może i stulecia. Han dziwił się z początku, skąd tyle tego tu krąży, dopóki nie zauważył delikatnego migotania światła planety, które załamywało się lekko na niewidocznym polu energetycznym otaczającym księżyc. W chwilę później jeden z kosmicznych śmieci, zmierzających w tamtym kierunku, rozjarzył się jasną eksplozją. - Hej, Chewie! To tłumaczy te wraki - zawołał Han wskazując w tamtym kierunku. - Widzisz to migotanie wokół Nar Shaddaa? Księżyc ma tarczę ochronną. Te statki chciały lądować, a oni nie podnosili tarczy. Potem pewnie walili do nich z działek jonowych. Na grabieży i plądrowaniu wraków też musieli co nieco zarabiać.

Chewbacca wydał niskie, chrapliwe warknięcie, które miało potwierdzić słowa Hana.

Z powodu migotania tarczy trudno było dostrzec szczegóły budowy księżycy; Han mógł tylko stwierdzić, że większość jego powierzchni pokrywały sztuczne struktury. Ze szczytów większych budowli sterczały liczne anteny komunikacyjne.

Jak mniejsza wersja Coruscant, pomyślał Han przypominając sobie tamten świat, który był jednym olbrzymim miastem - tak szczelnie pokrytym niezliczonymi budowlami, że naturalny krajobraz niemal zupełnie pod nimi zniknął, z wyjątkiem obszaru biegunów. Kiedy tak patrzył na słynny Księżyc Przemysłowców, Han przypomniał sobie swój sen z ubiegłej nocy. Patrzył w nim na zupełnie inny księżyc. Zmarszczył brwi. Dziwna rzecz - wydarzenie z tamtym miniaturowym księżycem naprawdę miało miejsce. Han stał wtedy w szeregu kadetów i był świadkiem eksplozji małego satelity na nocnym niebie Karydy.

Może jego podświadomość zesłała mu ten sen, aby przypomnieć o czymś ważnym...

Han w zadumie poprawił torbę na ramieniu.

- Mako - mruknął.

Chewbacca spojrzał na niego pytająco.

- Tak sobie pomyślałem, że może powinniśmy na początek poszukać Mako - wzruszył ramionami pilot.

Chewie przekrzywił głowę i wywarczał pytanie.

- Mako Spince. Znałem go w czasach, gdy był kadetem na starszym roku. Ma podobnie jak ja ciekawą przeszłość - wyjaśnił Han.

Mako Spince był jego starym przyjacielem. Han słyszał, że ma jakieś związki z Nar Shaddaa. Niektórzy twierdzili, że nawet mieszka tu od czasu do czasu. Nie zawadzi więc odnaleźć Mako i sprawdzić, czy przypadkiem nie pomógłby staremu kumplowi w znalezieniu jakiejś roboty...

Mako był o dziesięć lat starszy od Hana; każdy z nich miał zupełnie odmienne dzieciństwo. Han był dzieckiem ulicy, dopóki nie wziął go pod opiekę okrutny i sadystryczny Garris Shrike, który wprowadził go w przestępczy proceder. Mako był synem ważnego senatora Imperium. Przyszedł na świat mając zapewnione wszelkie możliwe wygody, jednak brakowało mu twardości i determinacji Hana. Głównym zajęciem Mako w Akademii było poszukiwanie rozrywek. Był o dwa lata dłużej w Akademii niż Han. Mimo różnicy wieku i pochodzenia, ci dwaj stali się bliskimi przyjaciółmi. Latali jak wariaci, wyprawiali w tajemniczy dzikie przyjęcia, płatali niezliczone figle sztywnym instruktorom. Mako zresztą zawsze był głównym podżegaczem, Han zaś tym, który wprowadzał w te działania nieco rozsądku i powściągliwości, bo dobrze pamiętał, ile trudu kosztowało go dostanie się do Akademii. Młodszy kadet był także na tyle ostrożny, aby nigdy nie dać się złapać, za to Mako, pewien, że znajomości ojca wyciągną go z każdego kłopotu, nie dbał o nic w poszukiwaniu coraz dziwniejszych rozrywek i wymyślaniu coraz to nowych psikusów. Zniszczenie miniaturowego księżycy, będącego symbolem Akademii, było największym i zarazem ostatnim z jego żartów. Han wiedział z dawna, że szykuje się coś dużego. Mako namawiał go, by mu towarzyszył we włamaniu do laboratorium fizycznego. Ale Han miał właśnie przed sobą trudne testy i od-

mówił udziału w tym przedsięwzięciu. Gdyby wiedział, co dokładnie planuje Mako, zapewne postarałby się wyperswadować przyjacielowi ten pomysł.

W nocy, gdy Han wykreślał orbity i wkuwał Ekonomię ruchów wojsk w nadprzestrzeni, Mako włamał się do laboratorium profesora Cal-Mega. Ukradł stamtąd gram antymaterii, a potem z hangaru Akademii mały jednoosobowy prom kosmiczny, na którego pokładzie wystartował. Wylądował nim na małej planetoidzie, najbliższym z trzech księżyców Karydy, i umieścił kapsułę z antymaterią w samym środku wielkiego symbolu Akademii, który wryto laserem na powierzchni satelity dekady temu, kiedy Karyda była planetą szkolącą żołnierzy nie istniejącej już Republiki. Mako uruchomił reakcję z bezpiecznej odległości, zamierzając zmieść z powierzchni księżycy tylko symbol Akademii. Ale nie docenił siły reakcji antymaterii, którą ukradł. Cały satelita eksplodował, co Han i pozostali kadeci mogli dokładnie obserwować z powierzchni planety.

Mako natychmiast stał się głównym podejrzanym. Był już odpowiedzialny za tak wiele kawałów, spowodował tyle zamieszania, że oficerowie zaczęli go poszukiwać, jeszcze zanim satelita do końca rozleciał się na kawałki, które potem utworzyły regularny pierścień kosmicznego śmiecia otaczający Karydę. Han zresztą też był podejrzewany o współudział, ale na szczęście dla niego w nocy, kiedy miało miejsce włamanie, odwiedził go jeden z kolegów, by pożyczyć bryk do astrofizyki. Miał więc niepodważalne alibi.

Mako niestety go nie miał.

Podczas procesu oskarżono Mako, że jest terrorystą, który przeniknął do Akademii. Han ze swej strony zgłosił się na ochotnika, by zeznawać pod wpływem serum prawdy, że to oskarżenie jest nieprawdziwe. Musieli przyjąć jego zeznania, że Mako działał sam, a jego motywem było wyłącznie zrobienie dobrego - jego zdaniem - kawału. Oszczędzono mu poważnego wyroku za terroryzm, ale został usunięty z Akademii.

Tym razem ojciec nie mógł mu pomóc; wspomógł go tylko sporą sumą kredytów, aby zaczął jakiś biznes. Nie spodziewał się biedny senator, że jego jedyny syn wyda te pieniądze na zakup statku kosmicznego i zacznie trudnić się przemytem. Potem Mako znikł, ale Han wiedział, że nie jest to facet, który potrafi bez śladu wtopić się w otoczenie. Nie Mako. Tam, gdzie czekały rozrywki i hazard, gdzie można było łatwo wydać i zarobić pieniądze, tam z pewnością można było spodziewać się spotkania z Mako Spince'em.

Han gotów był się założyć, że ktoś na Nar Shaddaa będzie wiedział, gdzie można znaleźć jego przyjaciela.

Na razie obserwował, jak „Księżniczka” podchodzi coraz bliżej wielkiego księżycy. Nar Shaddaa miał rozmiary małej planety - był zaledwie trzykrotnie mniejszy od Nal Hutta. Han mimo tarczy widział wyraźnie liczne światła.

Kiedy „Księżniczka” była już naprawdę blisko Księżyca Przemysłowców, część migoczącej sfery, która wyznaczała brzeg tarczy, znikła nagle. Han wiedział, że właśnie opuszczono osłonę, by ich przepuścić. Statek pokonał zewnętrzne pole ochronne i wchodził w atmosferę. Teraz Han mógł zidentyfikować źródła światła - były to olbrzy-

mie holograficzne reklamy rozmaitych towarów i usług. Zwłaszcza jedna zwróciła jego uwagę:

Wejdźcie tutaj, a spełnimy każde wasze życzenie! Jeśli macie kredyty, dostarczymy wam każdą istotę i każdą rzecz, którą pragniecie kupić!

Oto miejsce z klasą, pomyślał z sarkazmem Han. Widywał już różne reklamy domów rozrywki, ale nigdy tak krzykliwych i jednoznacznych.

„Księżniczka” zaczęła opadać na wielki płaski dach jakiegoś olbrzymiego budynku. Han zdał sobie sprawę, że to zapewne ich lądowisko. Rozejrzał się szybko za jakimś miejscem, w którym mógłby usiąść i zapiąć pasy, ale zorientował się, że nikt z obecnych pasażerów zdaje się nie kłopotać o takie szczegóły. Zobaczył, że złapali tylko za niewielkie uchwyty przymocowane do ścianek pomieszczenia. Spojrzał więc porozumiewawczo na Chewbaccę i obaj zrobili to samo. Korelianin odkrył przy okazji, że podchodzenie do lądowania przeżywał znacznie gorzej jako pasażer, niż gdy siedział za sterami. Kiedy samemu się pilotuje, nie ma czasu na myślenie o ewentualnym zagrożeniu.

W chwilę później nastąpił lekki wstrząs i statek usiadł pewnie na platformie.

Han i Chewbacca podążyli za resztą pasażerów ku służbie i stanęli w długiej kolejce oczekujących na wyładunek. Han miał teraz okazję przyjrzeć się towarzyszom podróży. Zauważył, że mają wiele cech wspólnych. Otaczali go twardzi i zaprawieni w kosmicznych lotach samce i zaledwie kilka równie twardo wyglądających samic. Można tu było spotkać reprezentantów wszelkich ras, ale nie zdarzały się osobniki stare ani rodziny.

Barabel by tu pasowała, pomyślał. Z przyjemnością poczuł uspokajający ciężar blastera na biodrze.

Drzwi służby otworzyły się i pasażerowie zaczęli schodzić po rampie na powierzchnię lądowiska.

Han wciągnął głęboko tutejsze powietrze i zmarszczył ze wstrętem nos. Za jego plecami Chewie parsknął cicho.

- Wiem, że śmierdzi - powiedział Han. - Lepiej zacznij się przyzwyczajać, stary. Spędzimy tu trochę czasu.

Znaczące westchnienie Chewiego nie wymagało wyjaśnień.

Han nie chciał sprawiać wrażenia nowego przybysza, więc zwalczył chęć gapienia się na wszystko, gdy schodził na płytę lądowiska. Dopiero gdy się tam znalazł, rozejrzał się uważnie

wokół.

Na pierwszy rzut oka Nar Shaddaa przypominał Coruscant -nigdzie nie widział otwartej przestrzeni. Budynek, wieże, kopuły, ruchome chodniki dla pieszych i platformy dla małych promów - wszystko to tworzyło wielką płataninę sztucznych konstrukcji, przypominającą betonowo-metalowy las ze świecącym reklamami zamiast liści i owoców. Wędrowali powoli z Chewiem przez platformę lądowiska. Han szybko się zorientował, że najwyższe poziomy planety różniły się bardzo od najwyższych poziomów Centrum Imperialnego, jak teraz oficjalnie nazywano Coruscant. Tamte były czyste, dobrze oświetlone, zabudowane piękną marmurową architekturą. Dopiero gdy zje-

chało się kilkaset poziomów niżej, do głęboko położonych obszarów wielkiego miasta, Coruscant stawał się brudny i odpychający.

Najwyższe poziomy Nar Shaddaa przypominały Hanowi nisko położone obszary Coruscant. Jeśli tak wygląda najwyższy poziom, pomyślał Han dostrzegając kątem oka migoczące światelka w ciasnej alejce między dwoma olbrzymimi, pokrytymi graffiti budynkami, wolę nie myśleć, jak jest tam na dole.

Han trafił raz na najniższe poziomy Coruscant i nie było to przeżycie, które chciałby powtórzyć. Przyglądając się z niechęcią otaczającym go budynkom Nar Shaddaa, zapisał sobie w pamięci, żeby nigdy nie odwiedzać niższych poziomów Księżyca Przemysłowców.

Niebo nad ich głowami miało dziwną barwę, jakby na błękit ktoś nałożył ciemnobrązowy filtr. Wisiała tam Nal Hutta, równie wielka i opasła jak istoty, które nazywały ją swoim domem. Zajmowała co najmniej dziesięć stopni nieba. Han zdał sobie sprawę, że Nar Shaddaa musi mieć dwie pory nocne: jedną normalnej długości, gdy księżyc odwrócony był tyłem do słońca, i drugą stosunkowo krótką, kiedy słońce było zasłanianie przez olbrzymią Nal Hutte. Jednak ta krótka noc też musiała trwać ładnych parę godzin, uznał, gdy dokonał w pamięci przybliżonych obliczeń.

Chewie warknął i zaskomlał cicho.

- Masz rację, stary - poparł go Han. - Na Coruscant zasadzili przynajmniej trochę drzew i ozdobnych roślin. Ale nie sądzę, by coś wyrosło w tym śmietniku. Nawet nie liczyłbym na grzyby gnilne.

Podeszli do rampy prowadzącej z platformy lądowiska. Schodziła spiralą w dół i była marnie oświetlona. Chociaż wyładowali za dnia, wznoszące się wokół strzeliste wieże i kopuły, które otaczały budynek z lądowiskiem, blokowały dostęp słonecznym promieniom. Okolica stawała się coraz ciemniejsza, w miarę jak schodzili niżej. Wkrótce znaleźli się w półmroku. Pozostali pasażerowie dawno opuścili platformę, toteż byli teraz zupełnie sami w pobrzmiwającym echem, wysokim mrocznym tunelu. Tylko nikłe światelka z przodu wyznaczały kierunek marszu. Han odruchowo oparł się plecami o ścianę; przez głowę przemknęła mu niewesoła myśl, że to doskonałe miejsce na zasadzkę. Ręka opadła mu na kolbę miotacza dokładnie w momencie, gdy dosłownie znikąd błysnął niebiesko-zielony promień energii.

Han zawsze miał dobry refleks, a zmuszony do ciągłej ucieczki, doprowadził go niemal do perfekcji. Zanim promień uderzył w ścianę, zszedł mu z drogi padając płasko na ziemię. Przetoczył się po korytarzu i zerwał prawie natychmiast z miotaczem gotowym do strzału. Dostrzegł sylwetkę poruszającego się szybko napastnika - niskiego humanoida z owłosioną twarzą. Prawdopodobnie Bothanin, pomyślał. Z całą pewnością zaś łowca nagród.

Korelianin strzelił do niego, ale chybił wypalając tylko dziurę w permabetonowej ścianie. Klęczał teraz bez ruchu, czekając na ponowne pojawienie się przeciwnika. Chewbacca warknął. Han spojrział w kierunku partnera, który wcisnięty w załom korytarza, zdawał się na razie bezpieczny. Ręką nakazał mu pozostać bez ruchu. Chewbacca popatrzył na niego i uniósł znacząco kuszę.

Czego on chce? - zastanowił się Han.

Chewie ryknął. Dla każdego, kto nie rozumiał mowy Wookiech, był to tylko głos gniewu. Ale Han zrozumiał. Skinął głową w kierunku partnera i nagle ruszył w dół korytarza strzelając na oślep. Dwa strzały ponownie trafiły w ścianę, odłupując po kawałku, i wtedy z ciemności znów uderzył ogłuszający promień, chybiając o włos. Han krzyknął jakby z bólu, przekoziołkował przekonująco i legł przy ścianie, wypuszczając z ręki miotacz. Leżał tak bez ruchu, pozornie ogłuszony.

Lepiej, żeby to podziało...

Usłyszał zbliżające się kroki, szybkie i zdecydowane, a zaraz potem brzęk mechanicznej kuszy, głośniejszą eksplozję i krótki, urywany krzyk. Han przetoczył się na bok i błyskawicznie zerwał na nogi, akurat w porę, by zobaczyć, jak jego przeciwnik osuwa się na kolana ze skrzywioną z bólu twarzą. Rzeczywiście był to Bothanin. Dłonie przyciskał do dymiącej dziury na środku piersi. Bothański łowca nagród - Han świetnie znał ten typ, chociaż nigdy nie widział tego właśnie osobnika. Bothanin padł na twarz, drgnął jeszcze kilka razy, zacharczał i znieruchomiał.

Han spojrział na Wookiego i skinął z uznaniem głową.

- Dobry strzał, Chewie. Dzięki.

Przechodząc nad powalonym Bothaninem pilot obrócił go nogą na plecy. Jego kudłata twarz była już tylko beznamiętną śmiertelną maską. Han obejrzał ranę na piersi łowcy nagród.

- To nie wygląda na zwykły strzał z blastera, a nie sądzę, by na Nar Shaddaa było wielu Wookiech. Lepiej zatrzeć ślady.

Wyciągnął miotacz, odwrócił głowę i wypalił pełną mocą w pierś trupa. Kiedy spojrział znowu, przekonał się, że korpus Bothanina praktycznie przestał istnieć. Uznał, że wszelkie ślady użycia nietypowej broni Chewiego zostały zatarte.

Teraz Han przeszukał sakwę łowcy nagród. Znalazł w niej kilka kredytów i tabliczkę z nagłówkiem „Poszukiwany”, zawierającą opis niejakiego Hana Solo wraz z informacją, że cel zmierza prawdopodobnie na Nar Shaddaa. Nagroda za Hana wynosiła siedem i pół tysiąca kredytów. Wyłącznie za żywego, nie za dezintegrację. Han przyjrzał się uważnie i wepchnął list gończy do kieszeni.

- Zdaje się, Chewie, że sprawy przybierają ciekawy obrót - powiedział. - Lepiej bądźmy czujni.

- Hrrrrrrrrr - przytaknął Wookie.

Han zastanowił się, co zrobić z Bothaninem. Czy powinni zniszczyć ciało, czy zostawić je tutaj jako ostrzeżenie? A może lepiej byłoby je ukryć, żeby znalezienie trupa zajęło trochę czasu? Wreszcie Han zdecydował, że po prostu go tu zostawia. Jeśli ciało jednego łowcy zniechęci następnego, tym lepiej. Razem z Chewibacca poszli dalej w dół. Han oczekiwał z napięciem, czy nie objawi się partner łowcy, ale nikt więcej już ich nie niepokoił.

Kilka minut później wyszli na ulicę Nar Shaddaa. Han wkroczył na jasno oświetlony ruchomy chodnik. Jadąc naprzód, uważnie rozglądał się po okolicy. Nar Shaddaa przypominał permabetonowo-metalowy labirynt zbudowany przez szaleńca. Napowietrzne mosty i ruchome chodniki łączyły budynki zbudowane w niezliczonych stylach, spotykanych we wszystkich światach. Spirale, kopuły, łuki, wiszące sześciany i

parabole tworzyły kamienny gąszcz, a mieszanka kształtów przyprawiała o zawrót głowy. Stał, kamień, permabeton, syntetyki, szkło i jeszcze inne materiały, których Han nie potrafił nawet rozpoznać, a wszystko to przykryte warstwą brudu, sprośnych napisów i rysunków do wysokości pierwszego piętra. Niektóre największe budowle wzniesiono prawdopodobnie całe dekady temu, gdy Nar Shaddaa był szanowanym portem kosmicznym i miejscem rozrywki, które bogaci mieszkańcy wielu światów odwiedzali w poszukiwaniu przyjemności. Okazałe gmachy, które niegdyś były luksusowymi hotelami, zmieniły się w zniszczone wielopoziomowe nory, zamieszkałe przez wyrzutki ze wszelkich możliwych planet. Niższe ulice były ustawicznie bombardowane toksycznymi, śmierdzącymi odpadkami, wyrzucanymi z położonych wyżej domostw. Powietrze miało zapach bagien z Nal Hutta.

Woń żywności z wielu światów mieszała się z odorem ścieków, a nad tym wszystkim unosił się zapach przypraw i dymu z narkotyków. Dochodziły do tego także wszechobecne gazy wylotowe pojazdów, które jeden za drugim przecinały z rykiem silników powietrze, nurkując i skręcając nad głowami przechodniów, lądując i startując w zwirowanym balecie.

Niektóre hotele i kasyna wciąż jednak funkcjonowały - prawdopodobnie należały do huttyjskich lordów, jak domyślał się Han. Istoty wszelkich możliwych ras kłębiły się na ulicach, unikając kontaktu wzrokowego, zawsze czujne, zawsze gotowe skorzystać z chwili nieuwagi lub słabości innej istoty, jeśli tylko mogło to przynieść jakąś korzyść. Niemal każdy, z wyjątkiem robotów, był uzbrojony.

Korelianin poczuł głód, ale nie miał zaufania do żadnego z produktów żywnościowych sprzedawanych na ulicy.

- Podobno jest tu dzielnica koreliańska - mruknął do Chewiego. - Chyba tam powinniśmy się udać.

Nie chciał nikogo pytać o drogę, bo się bał, że przyciągnie uwagę złodziei albo łowców nagród, jednak w kilka minut później zauważył ogłoszenie przypięte na żaluzji, chroniącej - jak wszędzie - przed odpadkami spadającymi z góry. Napis w sześciu językach i we wspólnym głosił: „Sprzedaż informacji”.

Han zszedł z ruchomego chodnika i skierował się do tego budynku. Chewie deptał mu po piętach.

Sprzedawcą informacji okazała się samica Twi'lek, tak stara, że sznurkowate maczki sterczące z tyłu głowy miała zupełnie poskręcane i zaplątane w węzły. Spojrzała na Hana ostro i zapytała we własnym języku:

- Co chcesz wiedzieć, pilocie?

Han wyjął monetę półkredytową i położył ją na brzegu lady, przyciskając znacząco palcem.

- Dwie rzeczy - odparł we wspólnym wiedząc, że handlarka musi go znać. - Jak dostać się do dzielnicy koreliańskiej najkrótszą i najbezpieczniejszą drogą... - zawiesił na chwilę głos widząc, że samica wprowadza dane do antycznego komputera stojącego na stole - ... i gdzie mogą znaleźć przemytnika o nazwisku Mako Spince.

Stara Twi'lek uśmiechnęła się pokazując poczerniałe i połamane zęby.

- Jeśli chodzi o pierwszą sprawę... - wychrypiała -... weź to. - Podała mu strzęp papieru.

Han przyjrzał mu się i stwierdził, że trzyma w ręku fragment mapy. Obok czerwonego punktu widniał napis: „Jesteś tutaj”. Droga do koreliańskiego sektora Nar Shaddaa była dokładnie oznaczona.

Han skinął głową.

- W porządku. A co z Mako?

Spojrzała na niego rozbawiona.

- Idź, pilocie, do koreliańskiego sektora. Pytaj w barach, w burdelach, w jaskiniach hazardu. Nie znajdziesz Mako, o nie. Ale wtedy on znajdzie ciebie, pilocie.

Han skrzywił się niechętnie.

- Taaa... chyba masz rację. Zdaje się, że zarobiłaś na swojej zapłacie.

Zabrał palec z monety, która znikła tak szybko, że wyglądało to na sztuką magiczną.

Małe pomarańczowe oczka starej handlarki błyszczały jasno na pomarszczonej twarzy.

- Pilot przystojny - powiedziała z zalotnym uśmiechem. Efekt, zważywszy na stan jej uzębienia, był dość paskudny. - Oodonnaa stara, ale ma w sobie jeszcze wiele życia. Pilot zainteresowany?

Czubkiem jednej z macek pokiwała zapraszająco w kierunku Korelianina. Oczy Hana rozszerzyły się w zdumieniu. Na demony Xendoru, ona chce mnie uwieść? - pomyślał ze zgrozą. Cofnął się gwałtownie, czując gorąco na policzkach.

- Nnie... dziękuję, madam - powiedział sztywno. - Jestem zaszczyczony, ale... złożyłem... przysięgę czystości. Tak. Ślubowanie.

Stara, bardziej rozbawiona jego zakłopotaniem niż rozgniewana odrzuceniem oferty, pomachała mu na pożegnanie. Han obrócił się na pięcie i wymaszerował. Za jego plecami Chewbacca wydał serię dźwięków, których znaczenie było dość czytelne.

- Stul pysk - sapnął Han. - Zobaczmy czy następnym razem będę nadstawiał za ciebie karku.

Chewie roześmiał się jeszcze głośniej.

Dwie godziny później dotarli do koreliańskiego sektora. Wyjaśnienia i mapa starej Twi'lek okazały się dokładne, ale często brakowało ulicznych znaków, a inne były poprzekane przez różnych żartownisiów. Han poczuł się znacznie lepiej, gdy wreszcie dotarli na miejsce i zobaczyli budynki wzorowane na architekturze jego ojczystego świata. Z okolicznych restauracji kusiły wonie znajomych potraw.

- Chodź, zjemy coś - powiedział Han do Chewiego wskazując na jeden z barów, który wyglądał nieco czystiej od pozostałych. Pod czerwono-zielonym daszkiem na zewnątrz baru ustawiono krzesła i stoły, kiedyś zapewne białe. Han zamówił gulasz z traladona. Był mile zaskoczony jakością potrawy, niemal tak dobrej jak w domu. Zajął się z rozkoszą jedzeniem; tymczasem Chewbacca zaatakował wielki talerz z sałatką i krwistymi, surowymi żebrami traladona.

Kiedy Han skończył posiłek, rozparł się z zadowoleniem na krześle. Popijał miejscowe piwo starając się określić, czy mu smakuje, czy nie. Kiedy pojawił się obsługujący robot z rachunkiem, zapytał go:

- Przychodzi tu czasem Mako Spince? Średniego wzrostu, szerokie bary, krótkie ciemne włosy, lekko posiwiałe na skroniach?

Głowa robota przekreśliła się z boku na bok.

- Nie, proszę pana. Nie widziałem osoby, którą pan opisał.

- Powiedz swojemu szefowi, że o kogoś takiego pytałem, dobrze? - dodał Han.

Skończył piwo i razem z Chewbacca poszli główną ulicą w stronę jaskrawo oświetlonych barów. Właśnie zapadała krótsza noc, kiedy to Y'Toub zostawała przysłonięta przez wielką kulę Nal Hutta. Prawdziwa noc była jeszcze daleko, miała za to trwać ze czterdzieści godzin. Han nie był pewien, czy kiedykolwiek zdołałby się przyzwyczaić do tak długich nocy. Chyba zresztą dla mieszkańców nie miało to wielkiego znaczenia, bo to wielkie księżycowe miasto nigdy nie kładło się spać.

W „Wytchnieniu Przemytka” Han znowu zapytał o Mako Spince'a. Oczywiście nikt nigdy o takim nie słyszał. To samo zrobił w „Szczęśliwej Gwieździe”, nędznej pozostałością luksusowego niegdyś kasyna, i jeszcze w dwóch lub trzech innych barach. Zaczynał już się przyzwyczajać do odpowiedzi „nie”.

Wzdychał tylko i kontynuował podróż.

„Ucieczka Przemytka”.

„Kordiańska kawiarnia”.

„Złoty Glob”.

„Egzotyczna Rozkosz”. (Tancerki na żywo! Pokazy specjalne!)

„Kasyno pod Kometą”.

„Pijany Perkusista”.

Zaczynały go już boleć stopy od wydeptywania kamiennej ulicy w górę i w dół niezliczonych ramp. Niektóre miejsca na Nar Shaddaa były trudno dostępne, jeśli nie miało się skrzydeł albo plecaka odrzutowego. Zdarzało się, że patrzyli z tarasu na cel, odległy zaledwie o dziesięć metrów w dół, ale trzeba było do niego maszerować piętnaście minut po rampie. Niektóre budynki były wprawdzie połączone wiszącymi linami albo drutami, ale Han nie był aż tak zdesperowany czy szalony, aby przeciągać się po nich na wysokości trzydziestu lub czterdziestu pięt.

Mosty pomiędzy budynkami często wymagały naprawy; zdarzało się, że Han jednym spojrzeniem oceniał ich stan i wybierał dłuższą drogę naokoło. Niektóre mosty wytrzymałyby może jego wagę, ale na pewno nie ciężar Wookiego.

Zastanawiał się, czy na razie nie powinni zaprzestać poszukiwań i zatroszczyć się o jakąś kwaterę, w której mogliby w miarę bezpiecznie przespać kilka godzin. Zdał sobie nagle sprawę, że minęło już dwanaście godzin, odkąd obudził się na pokładzie „Księżniczki”.

Mijali właśnie wylot śmierdzącej alejki. Han odwrócił głowę, by podzielić się tą myślą z Chewbaccą, gdy wynurzająca się z cienia ręka chwyciła go za gardło. Pół sekundy później podduszonego Hana przyciśnięto do jakiegoś humanoidalnego ciała, a do skroni przyłożono łufę Blastera.

- Ani kroku dalej - usłyszał niski, rozkazujący głos, najwyraźniej skierowany do Chewbacki. - Albo mózg wypłynie mu uszami.

Wookie zatrzymał się; warczał i obnażał kły, ale najwyraźniej nie miał zamiaru atakować w obliczu takiej groźby.

Han znał ten głos. Sapnął, ale zabrakło mu powietrza, aby wykrztusić choć słowo. Żelazna obręcz wciąż ścisnęła mu gardło. Mako! - próbował powiedzieć, ale zdołał wydobyć tylko coś w rodzaju zduszonego:

- Ma...

- Nie czas teraz wołać mamę, dzieciaku - odparł głos za jego plecami. - Na wszystkich sługusów Xendoru, mów, kim jesteś i dlaczego o mnie rozpytujesz.

Han zakrztusił się, przełknął ślinę, ale nadal nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Chewbacca warknął i wskazał na zdławioną ofiarę.

- Haaaaaannnnn - wyartykułował z niemalym trudem.

- Co? - zdumiał się nieznanomy. - Han?

Korelianin, puszczony nagle wolno, obrócił się dookoła własnej osi. Jęknął przyciskając dłonie do bolącego gardła. Jego pogromca, czyli Mako Spince, zmiażdżył go w entuzjastycznym uścisku, aż ponownie zabrakło mu oddechu.

- Han! Jak wspaniale znów cię widzieć! Jak się masz, stary draniu?

Twarda pięść wylądowała między łopatkami Korelianina.

Han zakrztusił się i znowu nie zdołał wymówić ani słowa. Mako ostrożnie poklepał go po plecach, co niewiele poprawiło jego stan.

- Mako - zdołał wreszcie wyjąkać. - Sporo czasu minęło. Zmieniłeś się.

- Ty też - odparł jego przyjaciel.

Przyglądali się sobie nawzajem. Włosy Mako sięgały teraz ramion i były już bardziej siwe niż czarne. Miał za to bujne wąsy i zyskał trochę na wadze, ale głównie rozrósł się w barach. Na szczęście przybyła mu wąska blizna. Han ucieszył się, że taki człowiek jest po jego stronie. Wołałby nie mieć w nim wroga. Mako nosił podniszczoną skórzaną kurtkę, cienką i elastyczną, a jednocześnie tak twardą, że mogłaby chyba wytrzymać wewnętrzne ciśnienie w próżni.

Patrzyli na siebie w milczeniu, a potem równocześnie wyrzucili z siebie pytanie. Rozśmieszyło ich to.

- Jeden mówi pierwszy - zdecydował Mako.

- Dobra - odparł Han. - Ty zaczynasz...

Kilka minut później siedzieli wszyscy w tawernie, pijąc i odpowiadając na pytania. Han opowiedział Mako swoją historię i stwierdził, że przyjaciel wcale nie jest zdumiony porzuceniem przez niego służby.

- Wiedziałem, że nigdy nie pogodzisz się z niewolnictwem, Han - wyjaśnił krótko.

- Zauważyłem, jak denerwowało cię nawet obserwowanie z daleka niektórych scenek. Wkurzało cię do szaleństwa, chłopie. Byłem pewien, że gdy pierwszy raz każą ci nadzorować niewolników, będzie to koniec twojej wspaniałej kariery.

Han był nieco podпиты po drugim kuflu alderaańskiego piwa.

- Za dobrze mnie znasz, Mako - przyznał. - Ale co miałem robić? Nyklas miał zamiar zastrzelić Chewiego.

Lodowate niebieskie oczy Mako zaiskrzyły się cieplejszym uczuciem.

- Nic innego nie mogłeś zrobić, dzieciaku - odparł.

- A co się dzieje z tobą? - zapytał Han. - Jak interesy?

- Super, Han - odparł Mako. - Wszelkie zakazy Imperium robią z nas, przemytników, bogaczy. Kontrabanda idzie pełną parą. Przyprawy... te wciąż mają się nieźle. Ale ostatnio zarabiamy znacznie więcej szmuglując broń, jej części, generatory i tym podobne. Także luksusowe rzeczy, jak perfumy i askajańskie tkaniny. Powiem ci coś, Han: stary Palpatine nie spałby dobrze, gdyby wiedział, jak bardzo niezadowolone z jego rządów są niektóre światy.

- Więc jest tu robota? - zapytał z entuzjazmem Han. - To znaczy robota dla pilotów. Wiesz, że jestem dobry, Mako.

Mako wezwał gestem robota i zamówił następną kolejkę piwa.

- Jasne, jesteś jednym z najlepszych, każdemu to powiem - odparł klepiąc Hana po ramieniu. - Nie na darmo Badure nazwał cię „Zręcznym”. Jeśli chcesz ze mną pracować, roboty będzie w bród. Potrzebuję dobrego drugiego pilota, a jak się ze mną parę razy przelecisz, pokażę ci kilka dobrych szlaków. No i wprowadzę cię w towarzystwo. Niektórzy z nich też będą potrzebowali wsparcia.

Han zawahał się.

- A znajdzie się tam coś dla Chewiego?

Mako wzruszył ramionami i pociągnął tęgi łyk piwa.

- Potrafi strzelać? Zawsze przyda mi się dobry strzelec.

- Taa - odparł Han kończąc swój kufel. Starał się, by jego głos brzmiał pewnie, ale wcale tak się nie czuł. Chewie świetnie strzelał z kuszy, ale z działkiem miał do czynienia dopiero od miesiąca. - Doskonale strzela.

- A zatem wszystko ustalone - podsumował Mako. - Znalazłeś już sobie jakieś lądowisko?

Lądowisko w gwarze przemytników oznaczało mieszkanie. Han potrząsnął głową czując, że knajpa wiruje lekko.

- Mam nadzieję, że możesz polecić coś spokojnego - powiedział - i nie za drogiego.

- Oczywiście, że mogę! - krzyknął Mako jak zwykle zapalczywie. - Ale lepiej zastrzymajcie się obaj u mnie przez dzień czy dwa, dopóki nie wprowadzę was w interes.

- No... - Han spojrział na Chewiego. - Chyba tak będzie dobrze, co stary?

Wookie mruknął potakująco.

Mako sam zapłacił za drinki, na co usilnie nalegał, a potem poprowadził ich do swoich apartamentów. Obaj ludzie nie trzymali się wprawdzie zbyt pewnie na nogach, ale Mako zapewnił Hana, że to niedaleko. Skierowali się o kilka poziomów niżej, gdzie było znacznie brudniej i ciemniej.

- Nie dajcie się zwieść - Mako zatoczył ręką koło. - Stać mnie także na wynajmowanie mieszkania na górze. Ale tu na dole jest się mniej atrakcyjnym celem dla złodziei i włamywaczy, których pełno tam na górze. - Wskazał kciukiem wyższe poziomy.

Han rozejrzał się wokół i przyznał, że w czasach, kiedy żebrał na ulicach, nie chciałby robić tego tutaj. Pod ścianami leżało mnóstwo pijaków, a ruchome chodniki w

większości były zdewastowane. Kilku żebraków i kieszonkowców przyglądało im się spode łba, nie odważając się podejść bliżej. Han uznał, że to głównie z powodu Chewbacki, który prezentował morderczy wyraz twarzy. Nagle tuż obok Hana poruszyło się coś i ze stosu wyrzuconych podartych łachmanów wynurzyła się podobna do szkieletu ludzka ręka. Han zauważył też starczą twarz o zakrzywionym nosie i bezzębnym ustach. Oczy starej wiedźmy błyszczały jasno... Narkotykami? Szaleństwem?

O, nie! -jęknął w duchu Han. Tylko znowu nie to! Co się dzieje ze staruchami na Nar Shaddaa? Każda chce dotykać łapami młodych pilotów?

Chciał się cofnąć, ale wypity alkohol spowolnił jego ruchy i nie uczynił tego wystarczająco szybko. Spomiędzy łachmanów wystrzeliła druga szponiasta dłoń i chwyciła go za nadgarstek.

- Przepowiedzieć wam los, dobrzy panowie? Chcecie znać swoją przyszłość? - Głos był skrzekliwy i drżący, a Han nie potrafił rozpoznać akcentu.

- Klienci Vimy Sunrider są zadowoleni, dobrzy panowie. Za kredyt Vima powie, co czeka was jeszcze w życiu.

- Puszczaj! - Han próbował wyrwać dłoń, ale starucha miała zadziwiająco silny chwyt. Sięgnął po monetę kredytową, aby się odczepiła. Nie chciał jej robić krzywdy. W jej wieku nawet przestawiony na ogłuszanie blaster mógł spowodować śmierć.

- Weź to i puść mnie! - rzucił jej monetę.

- Vima nie żebrak! - nalegała uporczywie starucha. - Vima zarabia swoje kredyty. Przepowiada przyszłość. Tak, przepowiada. Vima wie... tak, wie...

Han przystanął i westchnął unosząc oczy w górę. Przynajmniej nie próbowała go uwodzić.

- No to mów - sapnął niecierpliwie.

- Och, kapitanie- powiedziała spoglądając w jego dłoń, a potem w twarz. - Jesteś taki młody... tak wiele cię czeka. Długa droga. Najpierw droga przemytnika. Potem wojownika. Zdobędziesz chwałę, o tak. Ale najpierw znajdziesz się strasznym niebezpieczeństwie. Zdrada... tak, zdrada tego, komu ufasz. Zdrada... - skierowała wzrok na Mako. Han i jego przyjaciel wymienili rozbawione spojrzenia.

- A więc zostanę zdradzony - powiedział pilot niecierpliwie. - A czy będę bogaty? Tylko to mnie obchodzi.

- Tak, mój młody kapitanie - wychrypiąca wiedźma. - Bogactwo do ciebie przyjdzie, ale dopiero wtedy, gdy wcale nie będzie ci na nim zależało.

Han wybuchnął głośnym śmiechem.

- To będzie niezwykły dzień, babciu. Bo na razie bogactwo jest wszystkim, na czym mi zależy.

- Tak, to prawda. Wiele zrobisz dla pieniędzy, ale jeszcze więcej dla miłości.

- Doskonale - mruknął Han próbując wyrwać rękę. - Starczy, mam tego dosyć! - warknął wreszcie i wyszarpnął się z uścisku. - Dzięki wielkie, stara wiedźmo, ale nie zaczepiaj mnie już więcej.

Oddalił się rozłoszczony, a Chewbacca i Mako podążali tuż za nim. Han słyszał wyraźnie drwiny przyjaciela i chichot Chewiego. Zaklął. Ta stara wiedźma zrobiła z niego głupca. Kamienny chodnik pod jego nogami wciąż drżał lekko. Han marzył tylko

o tym, by znaleźć się w mieszkaniu Mako i opaść na łóżko albo chociaż podłogę, aby wreszcie się zdrzemnąć.

Za plecami wciąż jeszcze słyszał skrzekliwy głos wiedźmy, opowiadającej jakieś bzdury.

Resztką świadomości zarejestrował wspinanie się po rampie do mieszkania Mako, nie pamiętał natomiast zupełnie chwili, kiedy się położył. Zasnął natychmiast i tym razem nic mu się nie śniło. Kiedy obudził się następnego ranka, nie pamiętał zupełnie starej kobiety i jej przepowiedni.

Aruk Hurt zajmował się właśnie tym, co lubił najbardziej -podliczaniem swoich zysków. Potężny huttyjski lord, głowa klanu Besadii i jego kajidica, nachylał się nad komputerem, a jego tłuste palce pracowały zawzięcie. Zaprogramował maszynę, aby policzyła mu procent zysku bazując na dwudziesto-procentowym rocznym wzroście produkcji przez trzy najbliższe lata.

Wykres i towarzyszące mu dane wprawiły go w wielkie zadowolenie. Jego basowy rechot obudził echo w pustej, obszernej komnacie.

W pomieszczeniu nie było nikogo oprócz Aruka. Stał tam tylko jego ulubiony robot-skryba; błyszczał metalicznie w rogu pokoju, czekając, aż jego pan wezwie go do siebie. Aruk jeszcze raz przyjrzał się wykresowi i zamrugnął z zadowoleniem wylupiającymi oczami. Zbliżał się do wieku dziewięciuset lat i osiągnął ten stan otyłości, który większość Huttów dopada w średnim wieku. Tusza niemal uniemożliwiała im samodzielne poruszanie się. Aruk nie podejmował już takiego wysiłku. Nawet ostrzeżenia lekarza o narastających problemach z krążeniem nie mogły go zmusić do codziennych ćwiczeń. Wolał polegać na platformie antygravitacyjnej, dzięki której mógł swobodnie się przemieszczać. Platforma Aruka była znakomitej jakości, najlepsza, jaką można było kupić. Dlaczego głowa klanu i kajidica Besadii miałyby sobie czegośkolwiek odmawiać?

Ale Aruk nie był jednym z sybarytów, którzy dbali wyłącznie o rozkosze ciała. To prawda, uwielbiał dobrze i dużo jeść, ale nie utrzymywał tłumów niewolników, zajmujących się wyłącznie dogadzaniem jego najbardziej perwersyjnym żądom, tak jak to robili niektórzy Huttowie. Aruk słyszał, że siostrzeniec Jiliaka, Jabba, trzymał kilka humanoidalnych samic-tancerek, uwiązanych przez cały czas na krótkich smyczach. Aruk uważał takie upodobania za niesmaczne i ekstrawaganckie. Klan Desilijic zawsze miał słabość do rozkoszy ciała. Wprawdzie Jiliak miał znacznie lepszy gust niż Jabba, ale on też przesadzał z hedonistycznymi uciechami.

Dlatego to my osiągniemy zwycięstwo, pomyślał Aruk. Klan Besadii jest gotów na duże wyrzeczenia dla osiągnięcia ostatecznego celu.

Aruk wiedział jednak, że nie będzie to łatwa sprawa. Jiliak i Jabba byli sprytni i bezlitośni, a ich klan miał równie wielkie bogactwa jak jego własny. Od wielu już lat dwa najbogatsze i najpotężniejsze klany Huttów konkurowały ze sobą w najbardziej lukratywnych przedsięwzięciach. Żaden z nich nie wzdragał się przed takimi metodami jak zabójstwa, porwania czy terroryzm, jeśli tylko mogło to przybliżyć ostateczne zwycięstwo. Aruk wiedział, że Jiliak i Jabba nie cofnęliby się przed niczym, by doprowa-



dzić do upadku klan Besadii. Ale drogą do ostatecznego zwycięstwa były pieniądze. Aruk czuł satysfakcję widząc, jak wiele zysków przynosi co roku Besadiim ilezjański projekt.

Już wkrótce, pomyślał, będziemy mieli tyle kredytów, że usuniemy ich z Nal Hutta. Pozbędziemy ich się tak, jak pozbywa się zarazy wśród zboża czy wrzodu na ciele. Niedługo Besadii będą rządzić Nal Hutta bez przeszkód...

To właśnie Aruk i jego nieżyjący brat Zawal wpadli na pomysł założenia kolonii religijnej na Ilezji i używania pielgrzymów jako siły roboczej, przetwarzającej surową przyprawę w końcowy produkt. Jedyną rzeczą, jakiej się obawiali, było powstanie niewolników. To właśnie Aruk wpadł na pomysł wiary w Jedyne i Wszechogarniającego, i w Uniesienie, które miało uzależnić pielgrzymów. Większość Huttów wiedziała, że t'landa Tilowie potrafią wywoływać miłe i ciepłe emocje w umysłach humanoidów. Ale trzeba było Aruka z jego sprytem i geniuszem, aby wpaść na pomysł Uniesienia jako odurzającej umysł nagrody po całym dniu ciężkiej pracy w fabryce przyprawy. Kiedy tylko wymyślił, w jaki sposób można wykorzystać umiejętności flanda Tilów, reszta - doktryna religijna, kilka hymnów, modlitw i litanii - była już prosta. To wystarczyło do stworzenia religii, w którą wierzyli wszyscy ci półdzicy głupcy z niższych ras. Produkcja w fabrykach szła pełną parą i bez żadnych przeszkód. Tylko raz, pięć lat temu, zdarzyło się, że ilezjańskie przedsięwzięcie nie przyniosło oczekiwanych zysków. Było to wtedy, gdy ten przekłęty Korelianin Han Solo zniszczył fabrykę błyszczostymu i unicestwił Zawala... chociaż stratą finansową Aruk przejął się znacznie bardziej. Nie uważał się zresztą za okrutnego czy pozbawionego uczuć tylko dlatego, że nie dbał specjalnie o los brata. Zareagował tak, jak zareagowałby każdy Hurt. Teraz studiował jedną z pozycji w proponowanym budżecie Ilezji: siedem i pół tysiąca kredytów, które miały być nagrodą dla tego, kto pochwyliłby Hana. „Nie zdeintegrowany” - głosiła pierwsza linijka. - „Schwytyany żywcem i dostarczony na miejsce”.

Siedem i pół tysiąca kredytów. Podwyżka o dwa i pół tysiąca od pierwszej wyznaczonej nagrody. Najwyraźniej Solo sprawiał kłopoty... Suma była wystarczająco duża, by skusić wielu łowców nagród, chociaż Aruk widywał już wyższe. Jednak za tak młodego człowieka nagroda wynosiła niemało. Czy naprawdę konieczne było płacenie ekstra sumy za żywego? Aruk bywał często świadkiem długich tortur i przyglądał im się z pełnym spokojem, ale w odróżnieniu od wielu swoich ziomków nie znajdował w tym rozkoszy. Gdyby to do niego przyprowadzono Korelianina, Aruk nie zadałby sobie trudu organizowania tortur, tylko skazałby go na szybką śmierć.

Ale Teroenza to zupełnie inna sprawa. Tlanda Tilowie byli niezwykle mściwi i Aruk był pewien, że Najwyższy Arcykapłan Ilezji nie spocznie, dopóki osobiście nie zobaczy długiej i bolesnej agonii Hana Solo. Będzie się nią rozkoszował sekunda po sekundzie, krzyk po krzyku, jęk po jęku. Solo umrze w najbardziej wymyślnych torturach, a Teroenza będzie chłonał każdą sekundę jego cierpienia. Ale czy na pewno należy płacić dodatkowo za przyjemności Teroenzy? - zastanowił się Aruk. Nad jego olbrzymimi wylupiającymi oczami uformowały się zmarszczki koncentracji. Po chwili westchnął donośnie i zdecydował: niech będzie. Podpisze tę pozycję w bilansie. Niech Teroenza ma trochę zabawy. Samo oczekiwanie czyniło kapłana szczęśliwym, a szczę-

śliwi podwładni byli produktywnymi podwładnymi. Aruk martwił się trochę Teroenza, który w gruncie rzeczy zarządzał teraz ilezjańską operacją, niezależnie od tego, jak bardzo i on, i ten idiota Kibbick starali się to ukryć. Aruk zamyślił się. Ilezja należała do Huttów. Nikt prócz Hutta nie powinien wydawać tam rozkazów. A jednak... Kibbick był jedynym wysokim rangą Hurtem w klanie Besadii, który w tym momencie mógł objąć stanowisko na Ilezji. A Kibbick, co tu dużo gadać, był głupcem.

Gdybym tylko odważył się posłać Durgę, pomyślał Aruk. On ma dość silnej woli i inteligencji, by zarządzać Ilezją i przypomnieć Teroenzie, kto właściwie jest tu władcą.

Durga, jedyny potomek Aruka, był bardzo młodym Huttem. Dopiero co przeszedł wiek prawnej pełnoletności i pełnej świadomości - miał zaledwie sto standardowych lat. Ale był sprytny, dziesięć razy sprytniejszy niż ten dureń Kibbick.

Kiedy Durga przyszedł na świat, wszyscy Huttowie namawiali Aruka, by pozbył się bezradnego noworodka, ponieważ był naznaczony ciemną plamą, która rozlewała się jak nieznany płyn po czole, wokół jednego oka i na policzku. Mówili, że to znamię ściągnie na niego nienawiść i spekulowali, że Durga będzie niedorozwinięty umysłowo. Pradawne mity wspominały o takim znamieniu, które miało być przepowiednią katastrofy, a starzy Huttowie przepowiadali wszelkie okropieństwa, jeśli Durdze pozwoli się żyć.

Ale Aruk spojrział na maleńkiego, wijącego się bezradnie potomka i wyczuł, że to dziecko stanie się wielkim Hurtem, inteligentnym, sprytnym i gdy trzeba, bezlitosnym. Więc uniosł małego Durgę w rękach i zapowiedział donośnie, że oto jest jego potomek i spadkobierca. To ostrzegło wszystkich, którzy mieli inne zdanie, aby zamilkli.

Aruk dopilnował, aby Durga otrzymała pierwszorzędne wykształcenie i miał wszystko, czego tylko dorastający Hurt potrzebował. Młody Hutt zaś odwdzięczał się za uczucia ojca; więź pomiędzy nimi stała się bardzo bliska.

Patrząc teraz na sprawozdanie finansowe z Ilezji, Aruk przypomniawszy sobie, że musi podzielić się tą wiadomością z Durgą. Przygotowywał swojego potomka do objęcia przywództwa klanu, gdy już nadejdzie jego zmierzch.

Te liczby wyglądają bardzo dobrze, pomyślał Aruk. Na tyle dobrze, że powinniśmy zainwestować w założenie kolejnej kolonii na Ilezji. Siedem kolonii może produkować znacznie więcej przetworzonej przyprawy niż sześć. Trzeba też będzie zwiększyć szeregi misjonarzy, rekrutując więcej samców t'landa Tilów i posyłając ich na wabienie pielgrzymów.

Największym marzeniem Aruka było rozszerzenie operacji przetwarzania przyprawy i pozyskiwania niewolników na drugą planetę w systemie Ilezji. Wiedział, że on prawdopodobnie nie dożyje chwili, gdy dwie planety podejmą produkcję pełną mocą, ale Durga na pewno będzie jeszcze wtedy żył. Był tylko jeden problem - klan Desilijic. Aruk wiedział, że Jiliak i Jabba obserwują każdy jego ruch, a także zachowanie najważniejszych członków jego klanu, i gotowi są uderzyć w każdy słaby punkt. A byli bezlitośni i zazdrośni o sukces, jaki klan Besadii odniósł na Ilezji. Aruk był przekonany, że Jiliak i Jabba wiele daliby za to, aby ich zniszczyć i przejąć kontrolę nad całą tą operacją.

A przecież były to tylko początki wielkiego sukcesu klanu Besadii. Życie Hutta jest długie i pełne nieoczekiwanych zwrotów. Tak już musiało być. Szczerze mówiąc Aruk dobrze czuł się pośród intryg i niebezpieczeństw. Nie zmieniłby tego, nawet gdyby mógł. Z westchnieniem zadowolenia Hutt wyłączył komputer, przeciągnął się i przetarł wylupiające oczy. To była dobra popołudniowa robota. Teraz zje obiad i spędzi trochę czasu ze swoim potomkiem. Miło będzie podzielić się z nim tak dobrymi wieściami.

Kierując platformą antygravitacyjną za pomocą nieznaczących ruchów tłustych palców, Aruk wysunął się z pokoju w poszukiwaniu żywności i towarzystwa.

## ROZDZIAŁ

# 4

## STAWKA ROŚNIE

Pięć miesięcy i sześciu łowców nagród później Han i Chewbacca na dobre zapuścili korzenie na Nar Shaddaa. Han znalazł dla siebie i przyjaciela mały apartament w koreliańskim sektorze, zaledwie o dwa megabloki od mieszkania Mako i tylko o jeden poziom niżej. Mieszkanko składało się z dwóch miniaturowych sypialni z podnoszonymi łózkami, jeszcze mniejszej kuchni i kabiny odświeżającej. Nie spędzali zresztą w swoim nowym domu za dużo czasu. Gdy tylko Mako przedstawił Hana swoim towarzyszom, młody Korelianin szybko znalazł stałą pracę. Dobrzy piloci zawsze mieli wysoką wartość na Nar Shaddaa.

Pierwszego miesiąca Han zatrudnił się jako pilot pasażerski na promie latającym między Nar Shaddaa a Nal Hutta. Przewoził Huttów i ich podwładnych z Księżyca Przemysłowców na rodzinny świat Huttów i z powrotem. Miał nawet nadzieję, że uda mu się w ten sposób zetknąć z Jiliakiem albo Jabbą, ale dwaj najwyżsi lordowie klanu Desilijic mieli swoje prywatne promy i nie musieli używać publicznych środków transportu. Han zamierzał wykorzystać referencje Tagty, ale zdecydował, że zanim uda się w poszukiwaniu zajęcia do Huttów, musi trochę rozejrzeć się wokół na własną rękę. Huttowie byli bardzo wymagającymi pracodawcami.

Potem chwilowe zajęcie Hana się skończyło i młody Korelianin wypuścił się w towarzystwie Mako na kilka przemytniczych rajdów z przyprawą ze świata Twi'lek - Ryloth w rejon Roon. Tam Han poznał starego znajomego Mako, starzejącego się przemytnika o pokrytej zmarszczkami twarzy i imieniu Zeen Afit. Zeen wybierał się właśnie w trasę na Ucieczkę Przemysłowców z ładunkiem żywności. Kiedy wspomniał, że przydałaby mu się kompania, Han i Chewbacca zgłosili swój udział. Ucieczka Przemysłowców dawała schronienie bractwu, które było z prawem na bakier znacznie bardziej niż mieszkańcy Nar Shaddaa. Była w gruncie rzeczy szeregiem kryjówek - sztucznych konstrukcji zbudowanych na niektórych dużych asteroidach w samym środku ich pola. Największą była śmierdząca dziura wygrzebana na wielkiej asteroidzie znanej jako Skip Jeden.

Zeen pokazał Hanowi drogę przez zdradliwe, ciągle zmieniające położenie pole asteroid, ale nie pozwolił mu podczas przejścia zasiać za sterami swojego wiekowego, zdezelowanego frachtowca o nazwie „Korona”.

- Następnym razem, dzieciaku - obiecał świszczącym szeptem, podczas gdy jego palce zgrabnie biegały po pulpicie sterowniczym. - Obiecuję. Ale tym razem przyglądaj się wujkowi Zeenowi i ciesz się jazdą.

Han przełknął ślinę, gdy „Korona” o włos uniknęła kolizji z kanciastą skałą, która mogła zamienić ich statek w molekuły.

- Jeśli jeszcze dożyję następnego razu - zauważył, kuląc się odruchowo, kiedy następna asteroida o mało nie huknęła w ich przedni ekran widokowy. - Niech to szlag, Zeen! Zwolnij! Zwariowałeś?

- Jedyny sposób, by przelecieć przez pole asteroid, to grzać tak szybko jak można - powiedział Zeen Afit nie podnosząc oczu znad przyrządów. - Jeśli będziesz się włókł, zostaniesz zgnieciony, zanim zdążysz wytrzeć nos. Zawsze lecę właśnie tak i mam oczy szeroko otwarte, i wciąż jeszcze żyję.

Kiedy dotarli do osławionej Ucieczki Przemysłowców, Han i Chewbacca ostrożnie podążyli w ślad za Zeenem do Skip Jeden, aby spotkać się z gangiem, jak nazywał swoich przyjaciół stary.

Hana przedstawił bledemu szczupłemu mężczyźnie z twarzą całą w bliznach, który miał na imię Jarril, i drugiemu, starszemu, nieco już łysiejącemu, który przedstawił się dość intrygującym imieniem - Kid DXo'ln.

Skip Jeden był regularnym, małym miasteczkiem składającym się z mieszkań, restauracji, jaskiń hazardu, barów i punktów sprzedaży narkotyków. Han był lekko speszony, gdy się zorientował, że tutaj, jeszcze bardziej niż na Nar Shaddaa, nie istnieje żadne prawo.

Mógł tu zginąć i nikt z wyjątkiem Chewiego (zakładając, że Wookie sam jeszcze byłby wtedy żywy, co uznał za mało prawdopodobne) by o tym nie wiedział ani by się tym nie przejął. Uważał jednak bardzo, by nie dać po sobie poznać tej niepewności. Dorastał na ulicy i widział mnóstwo degeneratów wszelkiego rodzaju, zanim jeszcze skończył dziesięć lat. Ale nigdy jeszcze nie napotkał tak wielu desperatów i zagubionych ludzi zgromadzonych w jednym miejscu.

Kiedy szli w ślad za Zeenem do baru, Han dostrzegł kanał wryty pośrodku kamiennej drogi, wypełniony zielonożółtą mazią sączącą się powoli i leniwie. Chewbacca pociągnął nosem i warknął niechętnie.

- Taa, naprawdę śmierdzi - zgodził się Han, czując swędzenie podrażnionego nosa. - Co to, do licha, jest, Zeen? Widzę to także na ścianach.

- Po prostu szlam, do którego musimy przywyknąć - powiedział przemysłowik. - A że śmierdzi? Nie zawsze daje się tego uniknąć. To jest jakiś związek protoorganiczny wymieszany z siarką.

Hana rozboleł nos. Szlam cuchnął jak zatęchłe mięso zmieszane z gnijącymi warzywami i przyprawione sporą ilością siarki. Zdarzało mu się wachać gorsze rzeczy, ale nie ostatnio.

Przekroczyli kanał i wspięli się wyżej do baru. Prawie natychmiast uwagę Hana przyciągnęła przepiękna czarnowłosa kobieta, która zupełnie nie pasowała do tutejszej zbieraniny rzeźmieszków. Miała na sobie bardzo krótką spódnicę, która szczerze odsłaniała wspaniałe nogi, a wyżej tylko cienką koszulę związaną w ten sposób, że obnażała cały jej brzuch. Han gapił się na nią i myślał, że to jedna z najbardziej interesujących kobiet, jakie kiedykolwiek widział. Nagle zdał sobie sprawę, że ona też patrzy na niego. Natychmiast przywołał na wargi najbardziej czarujący uśmiech, na jaki było go stać.

Kobieta podeszła bliżej i Han poczuł, że jego puls wyraźnie przyspiesza. Nagle dostrzegł w jej spojrzeniu taki wyraz, jakby patrzyła na zgniły ochłap mięsa. Uśmiech zamarł na wargach Hana. Najwyraźniej zainteresowanie nie było obustronne.

- Han, chciałbym, abys poznał moją przyjaciółkę - odezwał się Zeen wskazując na kobietę. - Sinewy Ana Blue to jedna z najlepszych przemysłowiczek w okolicy. Prowadzi też znakomity stół do sabaka. Blue, to jest Han Solo, dzieciak, którego zabrałem na rajd, i jego kumpel Chewie.

Han pochylił uprzejmie głowę.

- Miło mi poznać...

Widząc, że pilot nie jest pewien, jak się do niej zwracać, uśmiechnęła się pokazując błękitny kryształowy ząb na przodzie.

- Mów do mnie Blue - powiedziała głosem, który mimo jej wysiłków pozostał lodowaty. - Powiedziałaś, Han Solo? A także - zwróciła się do jego towarzysza - Chewie?

- Chewbacca - uzupełnił Han.

- Miło mi cię poznać, Chewbacca - powiedziała. - Poznałeś już Wynni?

Chewie przekręcił głowę i warknął pytająco. Sinewy Ana Blue uśmiechnęła się do niego.

- Kiedy ją spotkasz, na pewno się domyślisz, że to ona - odpowiedziała tajemniczo.

Han znowu spróbował szczęścia.

- Czy mogę postawić ci drinka, Blue?

Spojrzała na niego, jakby rozważała propozycję, a po chwili uśmiechnęła się lekko.

- Nie. Raczej nie - odpowiedziała w końcu. - Jesteś przystojny, ale nie w moim typie, Solo. Lubię mężczyzn nieco bardziej ... doświadczonych.

Zeen parsknął, widząc zdumienie na twarzy Hana wobec tak jasnej deklaracji.

- Ta nasza Blue to dziwna osoba. Młodzi i do tego nieżonaci mężczyźni nie mają do zaoferowania wielu... emocji. A ona lubi kusić, a już zwłaszcza uwielbia dreszczyk związany z braniem tego, co do niej nie należy.

Sinewy Ana Blue spojrzała na Zeena spoде łba.

- Ty chyba też ostatnio polubiłeś niebezpieczeństwo - wycedziła. Potem zwróciła się do Hana: - Grasz w sabaka, Solo?

Han skinął głową.

- Próbowałem - powiedział ostrożnie.

Uśmiechnęła się kusząco.

- No to chodź. Chętnie zagram z kimś nowym.  
Skloniła lekko głowę na pożegnanie, odwróciła się i odeszła. Han patrzył za nią kręcąc z podziwem głową.

- Na demony Xendoru... to dopiero babka - mruknął.

- Czysty sabak - zgodził się Zeen. - Pierwsza klasa.

- I naprawdę interesują ją tylko żonaci?

- Powiedzmy, że lubi emocje związane z polowaniem - powiedział Zeen. - Każdy zbyt łatwy i zbyt chętny, by dać się złapać, nie stanowi dla niej wyzwania.

- Opisałeś ją jak devarońskiego pająka łowcę - stwierdził Han odprowadzając wzrokiem kołyszący się rytmicznie tyłeczek Any Blue, dopóki nie znikła między robawionymi przemytnikami.

- Bliskie prawdy, dzieciaku - zachichotał Zeen. - Nasza Blue jest jedyna w swoim rodzaju. Ona...

Urwał nagle i odwrócił się gwałtownie, bo w pomieszczeniu rozległ się donośny ryk. Han spojrział w stronę, skąd dochodził głos i zobaczył Wookiego stojącego w drzwiach wejściowych. Była to samica, równie wielka i muskularna jak Chewie. Jej błękitne oczy były utkwione w przyjacielu Hana, który ze swej strony starał się patrzeć wszędzie, tylko nie na nowo przybyłą.

- A to kto? - spytał Han Zeena.

- Wynni - odparł stary przemytnik mrugając i chichocząc.

Han i Chewbacca stali w milczeniu. Wookie podeszła prosto do nich. Zaryczała coś do Chewiego, ignorując jego ludzkiego kompana. Potem sięgnęła kudłatą łapą i pacnęła go poufale w ramię. Han odwrócił się do Zeena.

- Wygląda na to, że jej się podoba - powiedział we wspólnym.

- Owszem - zgodził się Zeen. - Twój kumpel dostanie to, czego nie udało się dostać tobie. Tyle, że on nie wygląda na specjalnie uszczęśliwionego.

Stary przemytnik miał rację. Chewbacca rozglądał się z rozpaczą wokół, a samica Wookie przyciskała się do niego powarkując pieszczotliwie.

Kiedy Chewie złowił wzrok Hana, potrząsnął niemal niezauważalnie, ale wymownie głową.

Han postanowił przyjść z pomocą przyjacielowi.

- Hej, Chewie - zawołał głośno. - Musimy już iść.

Wynni odwróciła się i warknęła na niego groźnie. Najwyraźniej nie podobało jej się, że ktoś przeszkadza im w miłosnej grze. Han spojrział na nią i wzruszył ramionami.

- Przykro mi - powiedział. - Musimy wstąpić w umówione miejsce. Mamy kontrakt.

Wynni najwyraźniej mu nie uwierzyła. Z jej gardła dobył się niski pomruk.

Han nagle zdał sobie sprawę, że wokół robi się małe zbiegowisko. Przez tłum przecisnął się Kid DXo'ln, łysiejący przyjaciel Zeena.

- To nieładnie oskarżać kogoś o kłamstwo, Wynni - zwrócił uwagę samicy. - Han mówi prawdę. Właśnie zaangażowałem jego i Chewackę na rajd na Kessel jako drugiego pilota i strzelca na „Gwiazdym Ogniu”. Moje roboty powinny już kończyć ładowanie towaru. Solo, musimy iść.

Han uśmiechnął się do Wynni i przybrał przeproszający wyraz twarzy. Chewbacca za to wcale nie starał się ukryć radości, że może uciec od groźnej Wookie. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, zmierzając w stronę lądowiska, Han z wdzięcznością zwrócił się do Kida.

- Dzięki, stary - powiedział. - Przez chwilę myślałem, że nie uda nam się stamtąd wydostać Chewiego bez doprowadzenia jej do wściekłości.

Kid DXo'ln wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Właśnie... a rozczarowany, zawiedziony w uczuciach Wookie nie jest miłym kompanem do pogawędki. Co masz zamiar teraz robić? Naprawdę chcesz się ze mną wybrać na Kessel?

- Jasne - odparł Han. - Zawsze chciałem tam polecieć. Czy kiedy już wyładujesz tam towar, polecisz Szlakiem?

- Nie wiem - odparł Kid. - Może, jeśli będzie tam na mnie czekał jakiś towar. Ale na pewno złapiesz kogoś, kto weźmie cię na Szlak.

Han wiele słyszał o Szlaku Kessel - najtrudniejszym teście dla pilota przemytnika. Podróż Szlakiem pozwalała znacznie skrócić drogę przez niezamieszkały obszar przestrzeni, którego ominięcie normalnie zajmuje około dwóch dni. Ale ta bezpośrednia droga wiodła niebezpiecznie blisko Paszczy - wielkiego zbiorowiska czarnych dziur, które zakrzywiały zarówno przestrzeń, jak i czas. Wiele statków z całymi załogami zaginęło w czeluściach Paszczy.

Kiedy już siedzieli bezpiecznie na pokładzie „Gwiazdnego Ognia”, Kid wskazał mu stery.

- Słyszałem, że jesteś dobry, Solo. Chcesz spróbować przeprowadzić przez asteroidy?

Han przytaknął, chociaż poczuł, że nagle zaschło mu w ustach.

Pamiętając rady Zeena, zmusił się do śmiałego zaatakowania pola asteroid. Pamiętał historie opowiadane przez pilotów na pokładzie „Farciarza”, które wskazywały, że Zeen miał rację - przez asteroidy mógł przelecieć tylko ktoś o stalowych nerwach i niesamowitym refleksie. Wstrzymując oddech Han wpuszczał mały frachtowiec w wariackie skręty, nie zmniejszając prędkości. Kid zajął fotel pilota i przyglądał się w milczeniu. Tylko raz się wtrącił, zwiększając szybkość statku, aby uniknąć zderzenia z małą asteroidą wirującą wokół większej, którą trudno było zauważyć. „Gwiazdny Ogień” otarł się prawie o nią, aktywowały się tarcze ochronne, a statek zdrzął w niemym proteście. Ale uniknęli katastrofy.

Han przygryzł wargę, gdy odłamek skalny wielkości połowy statku przemknął za rufą.

- Przepraszam, Kid. Powiniennem ją zauważyć.

- Nie mogłeś jej zobaczyć, Solo - odparł starszy mężczyzna. - Latam tędy od wielu lat i znam każdą z tych skał prawie na pamięć. Wiedziałem, że ta mała ma kompana, bo widziałem ją już wcześniej.

Kiedy w końcu wynurzyli się w czystej przestrzeni, Han był tak zmęczony, jakby prowadził statek cały dzień, a nie tylko pół godziny. Miał ochotę osunąć się na fotel, ale

spojrzał na Kida i zobaczył, że stary pilot leży z głową odchyłoną do tyłu i zamkniętymi oczami; najwidoczniej spał. Han spojrzął na Chewiego i powiedział z rezygnacją:

- Przejmij stery na moment. Ustawię parametry skoku na Kessel.

Kilka chwil później Han ustalił z komputerem nawigacyjnym żądane wielkości i ustawił skok. Spojrzał znowu na Kida i zobaczył wpatrzone w siebie błękitne oko.

- Pchnij go, Solo - odezwał się zaspany głos. Han skrzywił usta w uśmiechu.

- Robi się.

Chwilę później jasne punkty rzeczywistej przestrzeni zaczęły wydłużać się w linie i „Gwiezdny Ogień” wpadł w nad-przestrzenny tunel. Han nagle zdał sobie sprawę, że śmieje się jak dziecko. Bardzo dawno nie zdarzyło mu się pilotować w naprawdę trudnej sytuacji.

Podczas służby we flocie był sternikiem wielkich imperialnych jednostek, ale jego ulubioną rozrywką było pilotowanie myśliwca TIE. Mały, zwrotny, śmiercionośny - wymagał niesamowitej precyzji pilotażu, ale nie miał żadnych systemów ochronnych, co czyniło go niezwykle wrażliwym na trafienia. Bardzo niewielu pilotów TIE dożywało starości.

Kiedy „Gwiezdny Ogień” wynurzył się w realnej przestrzeni, Han zerknął na Paszczę i wziął głęboki oddech. Kid DXo'ln, który w końcu obudził się z drzemki, przeciągnął się i zachichotał.

- Imponujący widok, prawda, Solo?

- Też tak bym to ujął - zgodził się Han.

Przed nimi rozciągała się Paszcza - seria czarnych dziur, które wysysały życie z najbliższych gwiazd. Długie smugi gazów wciąganych przez te olbrzymie pułapki znały miejsce, w którym znajdowały się same czarne dziury, oczywiście niewidoczne. Powodem, dla którego tak je nazywano, było to, że miały tak silną grawitację, iż nic łącznie ze światłem nie mogło się stamtąd wydobyć. Ale wstęgi gazu i kosmicznego śmiecia wyraźnie je wyznaczały. Han wiedział, że Paszcza była tworem unikalnym w galaktyce.

- Kessel jest tam, na samym skraju, Solo - powiedział Kid. - Popatrz, pokażę ci namiary na ekranie.

Han w milczeniu studiował pozycję niewielkiej planety, okrążającej małą, ale intensywnie świecącą białą-niebieską gwiazdę. Wokół Kessel z kolei krążył pojedynczy, miniaturowy księżyc.

- Ta planeta jest za mała, aby mieć atmosferę - mruknął.

- Tak, wiem. Trzeba włożyć maskę tlenową. Ale na szczęście mają tam wytwarzające atmosferę generatory, więc nie trzeba nosić całego skafandra próżniowego - wyjaśnił Kid.

Han zmarszczył brwi i dalej przyglądał się koordynatom planety.

- Nie wiedziałem, że Kessel ma satelitę.

- A, tak. Chodzą plotki, że mają go na oku Imperialni, a nawet że coś tam budują.

Uważam, że to szalony pomysł.

- Więc mogą być tam w pobliżu imperialne statki? - zaniepokoił się Han. Chewie był bądź co bądź zbiegłym niewolnikiem i z pewnością Imperialni chętnie znów by go pochwycili.

- Tak. Rozmawiałem swego czasu z facetem, który pracuje dla Imperium jako donosiciel. Powiedział mi, że rozważają zbudowanie stacji bojowej w samym centrum Paszczy - powiedział z namysłem Kid.

Han spojrzął na wirujące spirale gazów i pyłów i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Stację? Tam? Naprawdę byliby szaleni.

Kid wzruszył ramionami.

- Jest tam więcej miejsca niż sądzisz, pomiędzy tymi czarnymi dziurami. Niektórzy przemytnicy twierdzą, że można jeszcze bardziej skrócić Szlak Kessel przemykając się między nimi.

Han zmarszczył brwi i znów zatopił się w wyliczeniach.

- Masz na myśli przebycie szlaku w krótszym czasie?

Kid zachichotał skrzekliwie.

- No, to też. Ale mówią, że blisko Paszczy zarówno czas, jak i przestrzeń ulegają zakrzywieniu. Więc nie tyle przebywasz Szlak szybciej, co przeskakujesz przez część przestrzeni.

- A jaki jest rekord trasy? - zapytał z ciekawości Han.

- Nie wiem - odparł Kid DXo'ln. - Sądzę, że ostatnio poniżej dziesięciu godzin, ale nigdy nie byłem na tyle szalony, aby to sprawdzić. Posłuchaj dobrej rady, Han, i nie żartuj sobie z Paszczą.

Han też uważał tę radę za dobrą. Kuszenie Paszczy byłoby aktem samobójczej głupoty.

Osadził „Gwiezdny Ogień” na Kessel. Trzej przemytnicy włożyli maski tlenowe i wyszli na zewnątrz. Znaleźli małą portową kantinę, gdzie piloci i załogi statków mogli coś zjeść i wypić, podczas gdy roboty rozładowały luki towarowe.

Kid DXo'ln został przy statku, by nadzorować wyładunek, ale wysłał Hana i Chewiego, by coś przekąsili. W dziesięć minut później Han rozkoszował się szybkim posiłkiem i szklanką piwa z Polanis. Zastanawiał się przy tym, co dalej robić. Kid DXo'ln dał mu do zrozumienia, że planuje lot w kierunku, który wolałby zachować w tajemnicy, przynajmniej przed Hanem. Stary przemytnik powiedział też, że zapewne bez kłopotu załapie się tu na jakiś lot, albo z powrotem na Ucieczkę Przemysłowca, albo na Nar Shaddaa, prawdopodobnie nawet przez Szlak Kessel. Na Kessel nie było nawet żadnego lokalu, w którym podróżni mogliby przenocować.

Han spojrzął odruchowo w kierunku otwierających się drzwi kantyny i oczy mu zabłysły, gdy zobaczył znajomą twarz.

- Roa! - krzyknął w stronę mężczyzny, który przy wejściu ściągał z twarzy maskę tlenową. - Hej, Roa, chodź tutaj! Postawię ci piwo.

Roa - jeśli nawet miał jakieś inne imię, Han nigdy go nie słyszał - był wysokim, barczystym mężczyzną z posiwiałymi włosami i z czarującym uśmiechem. Miał łobuzerski błysk w oczach i ten rodzaj poczucia humoru, który ułatwiał mu zawieranie zna-

jomości. Zdawało się, że każdy na Nar Shaddaa zna Roę, a on z kolei zna tam wszystkich.

Przyjaźnił się z Mako i był jednym z pierwszych ludzi, których Mako przedstawił Hanowi po przybyciu na Nar Shaddaa. Roa siedział w przemycie od ponad dwudziestu lat, a więc wszyscy go uważali za doświadczonego biznesmena. Lubił odgrywać rolę przewodnika młodych przemytników i chętnie dzielił się doświadczeniami, które zdołał zgromadzić w czasie długiej kariery. W odróżnieniu od wielu przemytników, których fach nie różnił się specjalnie od piractwa, Roa miał własny kodeks postępowania, którego uczył młodych adeptów, podróżujących z nim na wysłużonym, ale sprawnym frachtowcu „Włóczęga”. Roa wpajał Hanowi zasady, których przedtem uczył wielu innych: nigdy nie ignoruj wezwania na pomoc; nigdy nie okradaj tych, którzy są biedniejsi od ciebie; nigdy nie graj w sabaka, jeśli nie jesteś gotów na przegraną; zawsze bądź przygotowany do szybkiego odwrotu; nigdy nie pilotuj pod wpływem środków odurzających.

Przemytnicy nazywali to regułami Roi.

Teraz na widok młodego przyjaciela twarz Roi rozjaśniła się w szczerym uśmiechu.

- Han, co ty tutaj robisz?

Han wskazał mu gestem wolne miejsce koło siebie.

- To długa historia, Roa. Zwialiśmy tu przede wszystkim dlatego, że pewna samica Wookiee zanadto interesowała się Chewiem.

Roa zachichotał i położył nogi na stole.

- Czyżby Chewbacca spotkał Wynni?

Chewie zaskomlał głośno i zwrócił wymownie ku górze niebieskie oczy.

Roa roześmiał się donośnie.

- Daj spokój, Chewie, co by w tym było złego, gdybyś zabawił trochę tę przerosniętą panienkę?

Chewie parsknął, a potem wdał się w długie wyjaśnienia, jak męczący i niebezpieczny może być romans Wookiech. Han rozumiał doskonale jego przemowę, ale wiedział, że Roa usiłuje z trudem rozszyfrować warczenie i parskanie.

Gdy Wookiee skończył, Roa unióśł brwi i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- W takim razie chyba dobrze zrobiłeś biorąc nogi za pas, Chewie. Muszę pamiętać, żeby nigdy nie wpaść w oko Wynni.

Han roześmiał się.

- Dobra rada - powiedział. Potem spoważniał. - Problem w tym, że trochę tu utknieśliśmy. Przywiózł nas Kid DXo'ln, ale teraz ma załatwiać jakiś prywatny interes i nie potrzebuje załogi. Szukam statku na Nar Shaddaa. Są jakieś szanse, żeby zabrać się z tobą?

Stary przemytnik uśmiechnął się.

- Jasne, Han. Ale problem w tym, że nie lecę tam bezpośrednio. Najpierw mam dostawę na Myrkr, dopiero potem Nar Shaddaa. Ale za to polecę przez Szlak Kessel. Jak się na to zapatrujesz?

Oczy Hana zabłysły.

- To by było coś! Nie mogę się nazwać dobrym pilotem, dopóki nie przelecę tego Szlaku raz czy dwa. Roa... jest jakaś szansa, żebyś dał mi stery na Szlaku i powiedział, jak to zrobić?

Roa uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To zależy, Solo.

- Od czego?

- Od tego, ile postawisz mi piw.

Han zachichotał i skinął na barowego robota, by pospieszył ze świeżą dostawą.

- Opowiedz mi o Szlaku - poprosił. - Chyba teraz jesteśmy gotowi?

Zgodnie z tym, co opowiadał Roa, Szlak Kessel wiódł w realnej przestrzeni, wychodząc z sektora Kessel wzdłuż obrzeża Paszczy, a potem przez nieprzyjazny, nie zamieszkały sektor nazywany Dołem. Dół nie był aż tak trudnym nawigacyjnie miejscem jak Paszcza, ale ginęło tam więcej statków niż obok czarnych dziur. Po bezpiecznym ich przebyciu piloci byli przeważnie bardzo zmęczeni, a ich refleks był spowolniony, i wtedy właśnie, gdy powinni odpocząć, czekał na nich Dół.

Było to szerokie pole asteroid, nawet w połowie nie tak gęste, jak to otaczające Ucieczkę Przemytników, ale niestety rozmieszczone w pylistym ramieniu mgławicy. Pośród gazów i pyłów widoczność pilota była znacznie ograniczona, praca instrumentów zaś ulegała zakłóceniom. Slalom pomiędzy niebezpieczeństwami mgławicy był prawdziwym hazardem i zawsze istniało ryzyko, że wymijając jedną asteroidę, pilot wpakuje się na następną.

Roa wytłumaczył mu to wszystko, a potem zabrał go na pokład „Włóczęgi” i pokazał na komputerze nawigacyjnym pełny wykres kursu. Han przyjrzał mu się uważnie i w końcu skinął głową.

- Dobra. Myślę, że dam radę, Roa.

Kapitan obrzucił go przeciągłym, oceniającym spojrzeniem. W końcu się odezwał:

- A więc dobrze, synu. Prowadź.

Wkrótce cały świat Hana zawęził się do ekranu widokowego, współrzędnych, paneli kontrolnych, własnych dłoni i oczu. Czuł się niemal jak android, połączony systemem nerwowym wprost ze statkiem. Zupełnie jakby stanowili jedną istotę. Przelatując przez Paszczę, Han był w pełni świadom, że najmniejszy błąd będzie równoznaczny z katastrofą. Czuł, że pot kapie mu z czoła, gdy manipulował gorączkowo sterami reagując na grawitacyjne anomalie. Obok siebie czuł napiętą uwagę Roi, chociaż stary przemytnik nie odezwał się ani słowem. Tylko Chewbacca siedzący za jego plecami nie mógł czasami powstrzymać cichego warknięcia, ale były to jedyne dźwięki słyszalne w kabinie. Teraz Paszcza otaczała ich zewsząd, gdy przemykali między czarnymi dziurami. Han wiedział, że można było przebyć tę trasę omijając szerokim łukiem cały niebezpieczny sektor, ale koszty paliwa, czasu i dodatkowa odległość, którą trzeba było przebyć, czyniły opłacalnym podjęcie tego ryzyka.

Czy na pewno?

Roa wciąż milczał, gdy Korelianin wprowadzał statek w zmienny spiralny kurs, który wydawał mu się najkrótszą bezpieczną drogą przez Paszczę. Han zakładał, że to

milczenie oznacza aprobatę. Spróbował wziąć głęboki oddech, gdy wpadali w wirującą chmurę błękitnego gazu, ale poczuł, że coś ściska mu piersi.

Kiedy Roa odezwał się nagle, jego cichy głos w kompletnej ciszy kabiny zabrzmiał tak przenikliwie, że Han drgnął nerwowo.

- Połowa drogi. Dobra robota, chłopie. Ale teraz uważaj. Będzie niebezpiecznie.

Han skinął głową, czując krople potu skapujące z brwi. Położył statek na burcie, gdy wlecieli w wir kosmicznego pyłu, który kiedyś był gwiazdą.

Niemal godzinę później wylecieli z Paszczy i wkroczyli w sektor Dołu. Hanowi wydawało się, że odetchnął po raz pierwszy od początku podróży.

Obok śmignęła asteroida. Han cofnął się odruchowo, próbując ogarnąć wzrokiem jak najszerze pole. Żałował, że nie ma oczu naokoło głowy jak Molokianin.

- Ostro w prawo! - tym razem głos Roi ciął jak bicz.

Han kątem oka dostrzegł asteroidę wielką jak góra. Jego mokra od potu dłoń narpała na drażek, aby wykonać polecenie Roi i... ześliznęła się!

W gwałtownym odruchu paniki Han szarpnął jeszcze raz, odbijając za mocno, wprost pod następną asteroidę.

Chewbacca zaskomlał, a Roa zaklął. Han minął głaz niemal ocierając się o niego.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Ześliznęły mi się palce.

Roa sięgnął do skrytki pod swoim fotelem.

- Masz prezent ode mnie za przebycie Paszczy. Przejmę na chwilę stery. Załóż je.

Han chwycił parę rękawiczek z cieniutkiego, szorstkiego tworzywa, naciągnął je i zapiął wokół nadgarstka. Rozprostował palce.

- Dzięki, Roa.

- Na zdrowie - odparł przemytnik. - Zawsze je wkładam i tobie też radzę.

- Będę o tym pamiętał - przyrzekł Han.

W kilka godzin później, kiedy Han po raz pierwszy w życiu przebył Szlak Kessel i mogli odprężyć się w relatywnie bezpiecznej nadprzeźrzeni, Roa osunął się z westchnieniem na oparcie fotela.

- Muszę przyznać - powiedział - że nie widziałem, aby ktoś zrobił to sprawniej za swoim pierwszym razem. Masz wrodzony talent, Han.

Han rozjaśnił się w uśmiechu.

- Jesteś dobrym nauczycielem.

Chewbacca skomentował, że wolałby, aby teraz nauczyciel przejął stery. Han przeraził go już tak bardzo, aż dziw, że jeszcze ma włosy.

Han odwrócił się do kudłatego przyjaciela.

- Jeżeli będziesz marudzić, dam Wynni nasz domowy adres, gdy spotkamy się następnym razem.

Chewie do końca przelotu zachował konsekwentne milczenie.

- Co teraz zamierzasz ze sobą zrobić, Han? - zapytał Roa. - Nie każdy przemytnik może się pochwalić, że przeleciał Szlak Kessel, a ty to zrobiłeś, w dodatku w doskonałym czasie. Jaki będzie twój następny krok?

Han zastanawiał się już nad tym.

- Chcę mieć własny statek dla siebie i Chewiego - powiedział. - Najpierw będę musiał coś wynająć, ale mam nadzieję, że któregoś dnia zdołam kupić. Ale na to trzeba worka kredytów, Roa. Kiedy dotrzemy z powrotem na Nar Shaddaa, pójdę tam, gdzie są kredyty.

Roa uniósł brwi.

- Do Huttów? - zapytał. Han sprawdził stabilizery.

- Tak, do Huttów.

Roa potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

- Praca dla Huttów bywa niebezpieczna, Han. To niezbyt mili pracodawcy. Rozłożysz ich i znajdziesz się w próżni bez skafandra.

- Wiem - przyznał Han. - Pracowałem już kiedyś dla nich. Ale żeby zrobić duże pieniądze, trzeba ponosić duże ryzyko...

Dwa tygodnie i jednego łowcę nagród później Han i Chewbacca wspięli się na najwyższy budynek w huttyjskiej sekcji Nar Shaddaa.

„Klejnot” - niegdyś luksusowy hotel - był teraz kwaterą główną kajidica Desilijic. Kiedy jeszcze „Klejnot” pełnił rolę hotelu, jego właściciele byli dumni, że potrafili zapewnić apartamenty ponad połowie znanych w galaktyce ras. Mogły tu wynajmować pokoje istoty wodne, istoty oddychające metanem, takie, które mogły żyć tylko w warunkach niskiej grawitacji, i jeszcze wiele innych. Kiedy zbliżyli się do starego budynku, Han zauważył, że przebudowano go, aby dopasować do potrzeb nowych lokatorów. Olbrzymia sala recepcyjna miała teraz szereg ruchomych, szerokich ramp wiodących na wyższe poziomy. Zdjęto dywany, a podłogę wypolerowano do błysku, aby ułatwić pełzanie Hurtom. Han sprawdził, chyba czwarty raz, czy ma w kieszeni kostkę Tagty. Spojrzał na Chewbackę.

- Nie musisz tam wchodzić, stary. Powinienem dać sobie radę z tym przesłuchaniem.

Jedyną odpowiedzią Chewiego było energiczne pokręcenie głową. Han wzruszył ramionami.

- Dobra, jak chcesz. Ale pozwól mi mówić.

Majordomusem Jiliaka na Nar Shaddaa okazała się ludzka kobieta, bardzo piękna, chociaż już niemłoda. Była ubrana w prostą zieloną suknię, bardzo skromną w kroju. Han był pod wrażeniem jej wyglądu i manier, gdy przedstawiła się dostojnie:

- Mam na imię Dielo i jestem asystentką Jiliaka. Powiedział pan, że jest w posiadaniu listu rekomendacyjnego.

Han skinął głową. Peszyła go elegancja i spokój tej kobiety, chociaż sam włożył najlepsze spodnie, koszulę i kurtkę. Czuł się zepchnięty do defensywy, ale długa praktyka nauczyła go, że nigdy nie należy okazywać zdenerwowania. Uśmiechnął się więc drwiąco, jakby nic nie zakłócało jego zwykłej pewności siebie.

- Tak jest.

- Czy mogłabym go zobaczyć?

- Oczywiście, jeżeli pani z nim nie zniknie. - Han wydoستاł małą kostkę hologramu i wręczył kobiecie.

Dielo zerknęła na zielony śluz oblepiający jedną ze ścianek, przejrzała wiadomość i skinęła głową.

- W porządku - powiedziała oddając mu kostkę. - Proszę tu zaczekać. Poproszę pana.

Pojawiła się ponownie trzy kwadranse później i poprowadziła Hana do sali audiencyjnej Jiliaka. Pilot zastanawiał się nerwowo, czy Jiliak Hurt rozpozna w nim posłańca, który pięć lat temu dostarczył do pałacu na Nal Hutta wiadomość od jego największego wroga - Zawala. Ilezjański lord zwymyślał wtedy Jiliaka i groził mu. Kiedy Jiliak usłyszał przekaz, wpadł w furję i zdemolował swoją salę przyjęć. Han miał nadzieję, że huttyjski lord jednak go nie pozna. Na szczęście nigdy nie podawał Jiliakowi swojego imienia. Poza tym nie miał już dziewiętnastu lat... i bardzo się zmienił. Miał szczuplejszą, dojrzałą twarz, rozwinął też muskulaturę podczas pobytu w Akademii. W dodatku dla Hutta pewnie większość ludzi wygląda tak samo.

A jednak Han miał sucho w ustach przekraczając próg komnaty przyjęć.

Zdziwił się już na wstępie, widząc w środku dwóch Huttów. Jeden z nich był co najmniej dwukrotnie większy od drugiego, co oznaczało, że był starszy. Huttowie rośli przez całe swoje życie i niektórzy z nich osiągnęli naprawdę imponujące rozmiary. Przeciwnie Hurt po osiągnięciu dojrzałości powiększał się kilkakrotnie, a Han słyszał, że niektórzy z nich mogli dwukrotnie zwiększyć swoje rozmiary w ciągu zaledwie kilku lat. Przyjrzał się im uważnie. Był niemal pewien, że Jiliakiem jest większy z tej dwójki.

Sama komnata też była olbrzymia i bogato udekorowana. Pełniła niegdyś rolę głównej sali balowej hotelu. Na ścianach wciąż wisiały wielkie lustra i Han mógł obejrzeć się ze wszystkich stron.

Podszedł do Huttów i uklonił się nisko. Dielo wskazała na niego ręką i przemówiła w całkiem znośnym huttyjskim:

- Lordzie Jiliaku, oto koreliański pilot, którego poleca ci twój kuzyn Tagta. Nazywa się Han Solo. Wookie ma na imię Chewbacca.

Han ponownie się uklonił.

- Lordzie Jiliaku - powiedział we wspólnym - wielki to zaszczyt ujrzeć waszą ekscelencją. Twój kuzyn lord Tagta mówił, że zawsze potrzeba ci dobrych pilotów.

- Pilotcie Solo - Jiliak przyglądał mu się ciekawie wylupiastymi oczami, ukrytymi w fałdach tłuszczu - czy mówisz albo rozumiesz po huttyjsku?

- Rozumiem, ekscelencjo, nie mówię jednak na tyle dobrze, by oddać piękno waszego języka, dlatego nie uważam za stosowne kaleczyć go moją wymową - powiedział pokornie Han.

Na szczęście wszyscy Huttowie byli łaśni na pochlebstwa i ten też kupił to wyjaśnienie.

- Oto człowiek, który rozumie piękno naszego języka - powiedział Jiliak zwracając się do mniejszego Hutta. - Naprawdę rzadki to okaz pośród swojego gatunku.

- Nie o to jednak nam chodzi - odparł z chichotem drugi Hutt. - Bardziej interesuje mnie, czy kapitan Solo jest równie dobrym pilotem, jak pochlebca.

Han przeniósł wzrok na młodszego Hutta. W jego wąskich oczach zobaczył przenikliwą inteligencję. Hutt był wzrostu Hana i miał zaledwie cztery lub pięć metrów długości. Jiliak dostrzegł, że Han przypatruje się jego towarzyszowi.

- Kapitanie Solo, to mój bratanek Jabba. Jest moją prawą ręką w zarządzaniu kajidica Desilijic.

Han uklonił się mniejszemu Hurtowi.

- Bądź pozdrowiony, ekscelencjo.

- Bądź pozdrowiony, kapitanie Solo - odparł Jabba z łaskawym gestem małej dłoni. - Trochę już o tobie słyszałem.

Jiliak uniósł niecierpliwie rękę.

- Starczy tych uprzejmości. Proszę o hologram, kapitanie.

- Oczywiście, ekscelencjo. - Han wydoستاł kostkę i podał Jiliakowi.

Huttyjski lord przyglądał jej się przez kilka minut, a potem przesunął małym urządzeniem skanującym nad zieloną mazią. Usatysfakcjonowany zerknął na Hana.

- Masz dobre rekomendacje, kapitanie. Zawsze znajdziemy pracę dla doświadczonych pilotów.

Han skinął głową.

- Bardzo chciałbym pracować dla ciebie i twojego bratanka, ekscelencjo.

- A więc uważaj się za zatrudnionego, kapitanie. A co mamy zrobić z twoim towarzyszem? - Jiliak wskazał na Chewbackę.

- Jesteśmy drużyną, ekscelencjo. Chewie jest moim drugim pilotem.

- Naprawdę? - zdziwił się Jabba. - Dla mnie wygląda raczej na ochroniarza.

Han wyczuł nagle zeszywnienie mięśni stojącego tuż za nim Chewiego i bardziej poczuł niż usłyszał lekki, gniewny warkot narastający w jego kudłatej piersi.

- Chewie jest dobrym pilotem - powiedział Han dobitnie.

- Mamy teraz niebezpieczne czasy dla uczciwych kupców -nie podjął tematu Jabba. - Czy któryś z was umie obsługiwać systemy bojowe?

- Ja jestem strzelcem, ekscelencjo - odparł Han. - Chewie też nieźle strzela, ale muszą przyznać, że jestem w tym lepszy.

- Znakomicie. - Jabba był wyraźnie zadowolony. - Nareszcie człowiek, który nie zwodzi nas fałszywą skromnością.

- Cieszą się, że znajduje to uznanie - odparł krótko Han.

- Kessel - powiedział Jiliak z naciskiem. - Nasze źródła twierdzą, że byłeś na Szlaku Kessel.

Han skinął głową.

- Tak, ekscelencjo. Dokonałem przelotu w dobrym czasie. I był to mój pierwszy raz.

- Doskonale - zadudnił głos Jabby, niemal równie donośny jak głos jego dużo większego wuja. Roześmiał się głębokim basem. - Odbędziesz znów lot na Kessel wioząc ładunek dla nas?

- To zależy od ładunku, ekscelencjo - odpowiedział Han.

- Na razie jeszcze nie wiemy, jaki to będzie ładunek - odparł Jiliak. - Na pewno opuścisz Kessel wioząc przyprawę, może nawet serum prawdy z miejscowej odkrywki.



Ale co zawieszysz na Kessel... to zależy od szczegółów kontraktu. Może żywność, klejnoty, transport niewolników albo...

- Niewolnicy odpadają - przerwał z naciskiem Han. Miał zamiar wyjaśnić tę sprawę natychmiast. Jeśli nie przyjmą tego warunku od razu, poszuka roboty gdzie indziej.  
- Przewiozę dla was wszystko, ekscelencjo... z wyjątkiem niewolników.

Huttowie spojrzeli na Hana, najwyraźniej nieco zaskoczeni tym oświadczeniem. Pierwszy przemówił Jabba.

- Dlaczego nie, kapitanie Solo?

- Powody osobiste, ekscelencjo - wyjaśnił Han. - Widziałem niewolnictwo zbyt blisko... i nie podobało mi się.

- Oho! - roześmiał się Jabba. - Nasz dzielny kapitan ma skrupuły... może nawet opory moralne...

Han nie dał się sprowokować i twardo stał przy swoim.

Jiliak polecał mu pozostać tam gdzie stoi, a on i młodszy Hurt podpełzli do siebie bliżej. Han obserwując ich ruchy zastanawiał się, czy bardziej przypominają mu olbrzymie węże, czy ślimaki. W każdym razie do pełzania używali siły dolnych mięśni.

Huttowie przybliżyli się do siebie głowami i konferowali chwilę. Po krótkiej wymianie zdań zwrócili się znowu do Hana i Chewiego.

- Niech tak będzie, kapitanie Solo - zadudnił głos Jiliaka. - Nie będziemy zatrudniać cię do transportu niewolników.

- Dziękuję, ekscelencjo - odparł Han. Bardzo mu ulżyło.

- Handel niewolnikami nie jest główną częścią naszych interesów - powiedział Jabba drwiąco. - Zostawiamy większość tego rynku klanowi Besadii, który działa na Ilezji.

- Słyszałeś kiedyś o Ilezji, kapitanie Solo? - wtrącił się Jiliak. Han zeszytniał, ale nie dał tego po sobie poznać.

- Tak, słyszałem co nieco, ekscelencjo.

- Naszym głównym towarem jest ostatnimi czasy ryli, kapitanie - wyjaśnił Jabba. - Odkryliśmy właśnie nowe źródło handlu z Ryloth, światem Twi'lek. Byłeś tam kiedyś?

- Tak, ekscelencjo. Byłem. Znam całą tamtejszą okolicę i szlaki.

- To dobrze - stwierdził Jabba. Uważnie przyglądał się Hanowi wielkimi, rzadko mrugającymi oczami. - Powiedz mi, kapitanie... pilotowałeś kiedyś jacht kosmiczny?

Han musiał powstrzymać ironiczny uśmiech. Jednym z głównych powodów, dla którego ścigali go łowcy nagród, oprócz rabunku skarbu Teroenzy, było właśnie to, że ukraść jego jacht.

- Tak, ekscelencjo - odparł. - Pilotowałem. Jabba przyjrzał mu się jeszcze uważniej.

- O tym też będę pamiętał.

Jiliak uznał, że audyencja skończona.

- Pozostaniemy w kontakcie, kapitanie. Na razie pozwalamy ci odejść.

Han pokłonił się Hurtom i stuknął porozumiewawczo w bok Wookiego. Chewie zawarczał cicho, ale jego kudłate cielsko też się lekko pochyliło.

Korelianin opuścił salę. Czuł spływającą mu pomiędzy łopatkami strużkę potu. Odetchnął głęboko i z ulgą.

Oby było warto...

Przez następne trzy miesiące Han pracował dorywczo dla Roi, latając też kilkakrotnie w sprawach dla Huttów. Zdobył sobie reputację pilota, który potrafi wycisnąć niewiarygodne prędkości nawet z podrzędnych stateczków, i człowieka dokonującego cudów, aby tylko dowieźć szmuglowany towar na miejsce przeznaczenia.

Szlak Kessel przeleciał już tyle razy, że zaprzestał nawet liczenia.

Bywały okresy, kiedy Huttowie nie potrzebowali jego usług całymi tygodniami, i wtedy przyjmował zlecenia od Roi, Mako i innych pracodawców. Ale już wkrótce to zlecenia Jiliaka i Jabby zaczęły stanowić główne źródło jego dochodów

Zarówno Jiliak, jak i Jabba mieli prywatne jachty kosmiczne. Han odkrył też, że każdy z nich jest właścicielem posiadłości na innych światach. Jiliak był władcą Dilbany, a Jabba przywódcą kryminalnego podziemia na cichej, leżącej na uboczu planecie Tatooine.

Pewnego dnia Han i Chewie dostali wezwanie do pilotowania prywatnego jachtu Jabby - „Klejnotu Gwiazd” - właśnie na Tatooine. Prawdę mówiąc Han wolałby raczej przemyt przyprawy. Jabba miał zmienne nastroje i był okropnie upartym, wymagającym i irytującym pasażerem. Pilot ucieszył się, że Huttowi towarzyszy sporo osobistej służby, która miała spełniać jego zachcianki; od Hana wymagano więc tylko prowadzenia jachtu.

Wśród służby Jabby był lokaj Twi'lek, Lobb Gerido, którego Jabba traktował wyjątkowo wrednie, na każdym kroku bijąc i poniżając. Na szczęście Han tym razem nie miał brać udziału w tym przedstawieniu. W otoczeniu Jabby było także kilka tancerek różnych humanoidalnych ras, artysta grający na nalargonie o imieniu Whizz-Bang i wreszcie osobisty kucharz Jiliaka i Jabby z rezydencji na Nar Shaddaa - Ishi Tib nazywający się Totoplat.

Celem podróży Jabby było przewiezienie „zwierzaczka”, którego ostatnio kupił, do pałacu na Tatooine. „Zwierzaczek” był stworzeniem rodem z nocnych koszmarów. Składał się głównie z wielkich szponów, olbrzymiej, zakończonej przyssawką paszczy i niezaspokojonego apetytu. Han dowiedział się, że potworek nosi wdzięczną nazwę „oskański połykacz krwi”. O mało nie zwymiotował, gdy był raz świadkiem dokarmiania ulubieńca przez jego pana. Cała powierzchnia transportowa śmierdziała z powodu tego pasażera; jego wyziewy mogłyby ściągnąć wszystkich koreliańskich padlinożerców.

Jacht był sporą, szybką jednostką ubbrikańskiej konstrukcji. Jego napęd stanowiła para jonowych silników N2 z Ubbrika z dodatkową mocą dostarczaną przez trzy mniejsze Kuat T-c40. Miał też porządne tarcze ochronne i ciężkie uzbrojenie w postaci sześciu turbolaserów. Jego hangar mieścił sześć myśliwców typu Z-95 Łowca Główny i dwa małe promy pasażerskie.

Podczas tej podróży, jak to często bywało, „Klejnot Gwiazd” stracił dwa ze swoich myśliwców wraz z pilotami. Małe myśliwce były wytrzymałe, ale nie miały hipernapędu, a Jabba był znany z tego, że wypuszczał je przodem, gdy wychodził z nadprzestrzeni. Jabba wiele wymagał od swoich pilotów.

Tatooine leżała zupełnie na uboczu wszelkich uczęszczanych szlaków i Han musiał wykonać całą serię skoków, by do niej dotrzeć. Przedostatni skok miał się zakończyć w zupełnie pustym sektorze przestrzeni, ale tędy właśnie wiodła najlepsza droga na Tatooine.

I tam właśnie czekały na nich statki piratów.

Cztery drelijskie jednostki w kształcie kropli - smukłe i błyszczące, małe, ale śmiertelnie niebezpieczne. Han miał już do czynienia z podobnymi w czasach, gdy latał dla Ilezji, więc gdy tylko je zobaczył, w jego podświadomości włączył się alarm.

Piraci! To mogą być piraci! Lepiej tak pomyśleć, niż potem żałować.

- Chewie, tarcze na maksimum - wydał krótką komendę. Wprowadził jednocześnie jacht w serię skomplikowanych manewrów, podczas gdy jego towarzysz zwiększał moc ochronnych pól. Han włączył system komunikacji wewnętrznej.

- Uwaga! Załogi działek pełna gotowość! Możemy mieć kłopoty! - Przesunął przełącznik. - Piloci myśliwców do maszyn! To nie są ćwiczenia!

Ledwie skończył mówić, gdy najbliższy statek wypalił ku nim laserową salwą. Miałem rację! - pogratulował sobie w myślach Han. Dzięki jego ostrożności, salwa drelijskiego statku nie wyrządziła szkody.

Statki napastników miały najwyższą jedną trzecią wielkości masywnego jachtu Jabby, ale bez wahania ruszyły na większą jednostkę z pełną prędkością, strzelając z laserowych dział. Były na tyle małe i zwrotne, że stanowiły trudny cel. Han wykonał ostry zwrot statkiem i wrzasnął:

- Załogi działek... strzelać bez komendy!

Sześć ciężkich turbolaserów odpowiedziało ogniem, a Han ponownie przełączył kanał komunikatora.

- Uwaga, pasażerowie i załoga, jesteśmy atakowani! Przygotować się do gwałtownych manewrów! Uruchomić indywidualne systemy antyprzeciążeniowe!

Za jego plecami Chewie dobrze wykonywał swoją robotę. Zostawił wprawdzie całe pilotowanie na głowie Hana, ale umiejętnie balansował tarczami ochronnymi, kontrolując przepływ energii pomiędzy defensywnymi i ofensywnymi systemami. Turbolasery Hurtów, wmontowane dyskretnie w strukturę kadłuba, czerpały energię wprost z głównego generatora statku, co dawało im znacznie większą moc niż mógłby oczekiwać każdy przeciwnik.

Han skierował „Klejnot” na najbliższy z nadlatujących statków i zobaczył, że działka biją w niego pełną mocą, a jednak szybka jednostka w ostatniej chwili wykonała unik.

Niech to porwą demony Xendoru! Te stateczki są za szybkie!

Zatrzeszczał komunikator;

- Tu Łowcy Główn. Gotowi do startu.

Chewie otworzył zewnętrzną pokrywę hangaru i opuścił fragment tarczy, aby myśliwce mogły wystartować. Han znów aktywował komunikator.

- Piloci, start na mój rozkaz. Trzy, dwa, jeden... teraz!

W komunikatorze usłyszał przekleństwa Jabby domagającego się wyjaśnień. Dobiegł go też płacz tancerek i krzyki Twi'leka. Totoplat z kolei kłął na czym świat stoi, że obiad Jabby został całkowicie zniszczony. Całkowicie!

Przeklinając równie soczyście, Han stracił cenne pół sekundy na wyłączenie kanału komunikatora z pasażerskiej części statku. Kiedy ponownie spojrzął na ekran, pobladł.

- Nadlatują w stronę śródkręcia, Chewie! - wrzasnął wiedząc, że tym razem nie zdoła wykonać uniku na czas. „Klejnot Gwiazd” zadrzał potężnie raz i drugi. Han zorientował się, że pierwszy z napastników właśnie wykreślił i atakuje ich rufę. Zaklął widząc, że tylne tarcze są prawie wyczerpane.

- Chewie, wykonuję obrót. Kompensuj tarczę!

Włączył komunikator i wrzasnął nerwowo:

- Obrót przez prawą burtę! Zabierzcie tego pirata z mojej rufy!

Wookie warknął i z desperacją zaczął przesuwac moc z jednej tarczy na drugą. Han tymczasem wprowadził „Klejnot Gwiazd” w przeraźliwie wąski skręt. Kilka sekund później poczuł lekki wstrząs, gdy buchnęły ogniem ich własne działa.

Znowu pudło!

Han zaklął i pochylił się nad komunikatorem.

- Słuchajcie, chłopaki! Prawe działo numer jeden mierzy według podanych przeze mnie współrzędnych i strzela na rozkaz!

Patrząc na czujniki ustalił pozycję pierwszego z drelijskich statków. Dostrzegł, że zawisł daleko w przestrzeni, wykreślił i szykuje się właśnie do następnego rajdu. Han szybko sprawdził na siatce jego koordynaty X-Y i wykonał błyskawiczne obliczenia. Wyrecytował szybko szereg liczb.

- Namiary potwierdzone, kapitanie! - rozległ się głos szefa strzelców na prawej burcie.

- Drugi strzelec, mierzyć na następujące współrzędne w pięć sekund po pierwszym strzelcu! Uwaga... - Han znów podał szereg namiarów.

- Odebrane, kapitanie!

- Trzeci strzelec, następujące współrzędne pięć sekund po pierwszym strzale! - Znowu padła seria jeszcze innych namiarów.

- Tak jest, kapitanie. Gotów!

- Pierwsze działo, gotowość ogniowa!

Han zamierzał wypróbować technikę ograniczonej zapory ogniowej. Jej celem było zmuszenie przeciwnika do wykonania uniku przed ostrzałem wprost pod którąś z następnych salw. Było to podstępne, ale skuteczne pod warunkiem, że dobrze skoordynowało się ostrzał...

Odliczał uważnie sekundy, obracając się jednocześnie rufą do drelijczyka, aby skusić go łatwiejszym celem. Trzy, dwa, jeden!

- Prawa burta, pierwszy strzelec, ognia!

Śmiercionośny promień pomknął przez przestrzeń. Zgodnie z oczekiwaniami Hana statek przeciwnika wykonał unik.

Cztery, trzy, dwa, jeden - odliczał w myślach Han patrząc na boczny ekran widokowy.

- Jest! - krzyknął głośno, gdy wroga jednostka trafiła prosto na ogień z działa numer dwa. W ciemnościach rozbłysł jasny płomień.

- Trafiłeś go!

Z komunikatora dobiegły wrzaski radości.

W tym czasie Łowcom Głównych udało się dopaść statek za rufą. Promienie ich laserów przecięły czerwonymi błyskami ciemną przestrzeń.

Han miał czas zaledwie zerknąć na bitwę toczoną przez myśliwce. Obróciwszy „Klejnot Gwiazd” ku kolejnym dwóm jednostkom wroga, znów odezwał się do komunikatora:

- Prawa burta, wszystkie działa przygotować się do ciągłego ognia na następujące współrzędne... - spojrzał na trawers i podał serię liczb.

Widząc nadlatujące drelijskie jednostki szykujące się do rajdu, nieoczekiwanie pchnął ku nim jacht na pełnej prędkości.

- Działa, ogień pełną mocą! Teraz!

Trzy potężne turbolaser-y wypaliły w przestrzeń.

Ci kapitanowie pewnie uważają, że oszalałem, pomyślał Han licząc salwy ze swoich baterii i w myślach wyliczając ich rytm. To, co planował, wymagało niezwyklej dokładności.

Gdy drelijczycy byli już w zasięgu dział, Han napał na stery obracając statek w lewo gwałtownym skrętem.

Widząc, że pilot jednak nie zwariował, piraci odskoczyli w panice, starając się uniknąć ognia trubolaserów, które teraz mierzyły prosto w nich. Jeden z nich zdołał dokonać uniku, ale drugi dostał się wprost w zaporowy ogień pełnej mocy; strzał z drugiego działa trafił go w środek i rozerwał prawie na strzępy. Tym razem „Klejnot Gwiazd” był na tyle blisko eksplozji, że stracił tarczę na prawej burcie, gdy uderzyły w niego fale energii z rozpadającego się w serii wybuchów wraku. Han patrzył z niepokojem na skaczące w górę i w dół wskaźniki instrumentów, gdy jacht Hutta przechodził przez strefę zniszczenia. Wreszcie znalazł się po drugiej stronie.

Znów spojrzał na ekran. Czwartą drelijską jednostkę wchodził właśnie w korkociąg z wypaloną w burcie olbrzymią dziurą. Ale widział już tylko jednego myśliwca. Ten, któremu udało się uniknąć jego ostatniego ataku, właśnie się wycofywał. Han przez moment zastanawiał się nad pościgiem, ale uznał, że pirat ma zbyt dużą przewagę szybkości. Zamiast tego zawrócił, aby podjąć ostatniego ocalałego Łowcę Głównych. Kiedy wreszcie przypomniał sobie, by włączyć pasażerski kanał komunikatora, Jabba dawno już wyczerpał katalog przekleństw i pogróżek.

Han odchrząknął.

- Nic nam się nie stało, ekscelencjo. Mam nadzieję, że nie było zbyt dużych wstrząsów.

- Mój ceniony ładunek jest rozdrażniony! - narzekał Jabba. - Będę musiał poświęcić jedną z moich tancerek, aby mu dogodzić. Połykacze krwi to bardzo wrażliwe istoty, Solo!

- Eee..., tak, ekscelencjo. Przykro mi, ekscelencjo. Ale musiałem walczyć. Inaczej wylecielibyśmy w powietrze. Ci piraci nie poszukiwali łupów, ekscelencjo. Oni wiedzieli, że będziemy tędy lecieć. Czekali właśnie w tym miejscu, w którym najwygodniej przechwycić statek szykujący się do ostatniego skoku na Tatooine.

- Ach, tak? - Głos Jabby nagle stwardniał. Teraz król przestępczego podziemia był w swoim żywiole. - Jak sądzisz, kapitanie, do czego zmierzali?

- Do unieszkodliwienia nas lub zniszczenia, ekscelencjo - odparł Han otwierając służbę hangaru, aby wpuścić ostatniego ocalałego myśliwca. - Sądzę, że to ty byłeś celem, ekscelencjo.

- A więc kolejna próba zabójstwa... - powiedział z namysłem Jabba. Han wiedział, że jego zwichrowany umysł pracuje teraz na pełnych obrotach.

- Tak sądzę, ekscelencjo.

- Interesujące - chrząknął Jabba. - Kapitanie, czy mogę zapytać, gdzie opanowałeś tak... niezwykle manewry?

- W Akademii Imperialnej, ekscelencjo.

- Rozumiem. Cóż, muszę przyznać, że okazały się bardzo skuteczne. Należy ci się nagroda za odparcie tej tchórzliwej próby zamordowania mnie, kapitanie Solo. Przypomnij mi o tym, gdy powrócimy na Nar Shaddaa.

- Na pewno - obiecał Han.

- Solo coś wie - powiedział dwa tygodnie później Jabba Hurt do swojego wuja Jiliaka, gdy obaj spożywali lekką przekąskę w małej komnacie, przyległej do sali przyjęć Jiliaka na Nar Shaddaa.

Jiliak sięgnął do swojego eleganckiego snackwarium - podarunku od dawno nieżyjącego Zawala - i wyciągnął wijącą się małą istotę. Trzymając miotające się stworzenie w powietrzu przyjrzał mu się obojętnie.

- Naprawdę? - zapytał po chwili milczenia. - Na przykład co?

Jabba podpełził bliżej do snackwarium i po otrzymaniu łaskawego pozwolenia od lorda klanu, sięgnął po swoją przekąskę. W kącikach jego ust pojawił się zielony śluz na samą myśl o ciepłym, delikatnym mięsie małego płaza, który zaraz trafi do jego przełyku. Mimo to potrafił skoncentrować się na pytaniu Jiliaka. Jabba był bardzo praktycznym osobnikiem.

- Nie wiem - odparł. - Myślę, że najlepiej będzie, jak sami go zapytamy.

- Ale o co? - nalegał Jiliak, gdy Jabba pakował kasek do paszczy.

Jabba przełknął donośnie, zanim odpowiedział.

- Na przykład skąd wiedział, jak należy zareagować na widok tych drelijskich statków. Zapis pokazuje, że aktywował systemy obronne i podjął manewry bojowe, zanim jeszcze do nas wypalili. Skąd Solo wiedział, że te drelijskie statki oznaczają kłopoty?

- Sami w przeszłości wynajmowaliśmy czasem tych piratów - przypomniał mu Jiliak. - Raczej musimy zadać sobie pytanie, czy ten atak był inspirowany przez kogoś z

naszego klanu, czy też z zewnątrz? - Splótł małe ręce na tłustych fałdach brzucha. - Nie zrób błędu, bratanku. Wśród klanu Desilijic są tacy, którzy z chęcią przejęliby po mnie przywództwo w kajidicu...

- To prawda - zgodził się Jabba. - Ale nie sądzę, żeby był to atak kogoś z członków kajidica. Moi informatorzy twierdzą, że wszyscy członkowie klanu byli bardzo zadowoleni z zysków za ostatni kwartał.

- Więc kto stoi za tym atakiem? - zapytał Jiliak.

- Besadii - odparł beznamiętnie Jabba.

Jiliak zaklął.

- Naturalnie! Tylko oni mają wystarczające fundusze, by wynająć drelijskich piratów. Niech to demony! - Potężny ogon huttyjskiego lorda uderzył z wściekłością o podłogę. - Bratanku, Aruk urósł za wysoko. Handel z Ilezją przysparza Besadiim takich bogactw, że zaczynają stawać się fizycznym zagrożeniem, a nie tylko konkurencją ekonomiczną. Musimy działać, i to szybko. Ten akt wrogości przeciwko naszemu klanowi musi zostać ukarany.

- Zgoda, wuju - odparł Jabba, polykając następną wijącą się przekąskę. - Ale co właściwie mamy robić?

- Potrzeba nam więcej informacji - zdecydował Jiliak. - Potem zaplanujemy odwet. - Wcisnął przycisk komunikatora. - Dielo!

Natychmiast rozległ się głos kobiety.

- Jestem, ekscelencjo. Jakie są twoje życzenia?

- Wezwij kapitana Solo - rozkazał Jiliak. - Chcemy z nim porozmawiać.

- Natychmiast, lordzie Jiliak.

Zanim jednak pojawił się Solo, minęło kilka godzin. Huttowie, zmuszeni do oczekiwania na przybycie Korelianina, stawali się coraz bardziej rozdrażnieni.

Kiedy wreszcie Han wszedł do komnaty, towarzyszył mu jak zwykle jego nieodstępny kudłaty towarzysz. Huttowie patrzyli na nich w milczeniu przez kilka chwil. Solo poruszył się nieznacznie i Jabba zauważył, że pilot czuje się niepewnie, chociaż jak na człowieka doskonale ukrywał swoje uczucia.

- Witaj, Solo - odezwał się w końcu Jiliak głębkim głosem, dość uprzejmym tonem.

Koreliański kapitan uklonił się.

- Witam, ekscelencjo. Co mogę dla was zrobić?

- Chcemy prawdy - odparł Jabba nie czekając, aż Jiliak przemysli odpowiedź. Jabba był bezpośredni i lubił od razu ustawiać rozmówców na właściwym miejscu. - A ty możesz nam powiedzieć prawdę.

Spojrzenie Jabby przewiercało Hana na wylot. Hutt widział bardzo wyraźnie krew odpływającą z twarzy pilota, choć jej wyraz nie zmienił się ani na jotę. Wookie poruszył się niespokojnie i chrząknął cicho.

- Wasza wspałość... - zwilżył wargi Han -... obawiam się, że nie do końca rozumie. Prawdę o czym?

Jabba nie zamierzał bawić się w zagadki.

- Przeglądałem zapis „Klejnotu Gwiazd”. Skąd wiedziałeś, kapitanie, że piraci tam na nas czekają?

Solo zawahał się i wziął głęboki wdech.

- Wpadłem już raz w pułapkę piratów używających drelijskich krążowników - powiedział. - Wiem, że ty, Jiliaku, i ty, Jabbo, macie wrogów na tyle bogatych, że byłoby ich stać na wynajęcie zabójców.

Jiliak twardo popatrzył na młodego Korelianina.

- Kiedy wpadłeś w taką pułapkę, kapitanie? - zapytał.

- Pięć lat temu, ekscelencjo. Jabba przesunął się do przodu.

- A dla kogo wtedy pracowałeś, kapitanie Solo?

Koreliański przemysłnik zawahał się, ale w końcu odpowiedział cicho:

- Pracowałem dla Zawala, ekscelencjo. Na Ilezji.

Oczy Jiliaka rozszerzyły się.

- Tak... teraz sobie przypominam. Czy to nie ty przywoziłeś mi snackwariów? Pamiętam tamtego Sullustianina, ale był tam też człowiek... bardzo podobny...

- Tak, ekscelencjo. To byłem ja - powiedział krótko Han.

Jabba widział wyraźnie, że pilot zawahał się wyznając prawdę.

- Dlaczego nie powiedziałeś nam tego wcześniej? - zapytał głosem zimniejszym niż hothański lodowiec. - Co ukrywasz, kapitanie?

- Nic! - zaprotestował Han. - To jest właśnie cała prawda, ekscelencjo. Chciałem dostać tu pracę, a byłem pewien, że nie zostanę przyjęty, jeśli powiem, że pracowałem wcześniej dla klanu Besadii, nawet jeśli byłem tylko pilotem frachtowców z przyprawą. Więc po prostu o tym nie wspominałem! - Gestykułował energicznie dla podkreślenia swoich słów. - Tak naprawdę, to pracowałem dla Teroenzy, a Zawala prawie nie znałem. Przykro mi, jeśli sądzicie, że jest inaczej.

Jiliak spoglądał uważnie na Korelianina ze swojego podwyższenia.

- Miałeś rację, Solo. Nie przyjąłbym cię, gdybym wiedział. Zapadła cisza. Solo nie miał odpowiedzi na to oświadczenie. Wzruszył tylko ramionami.

Jiliak zastanawiał się przez chwilę.

- Wciąż dla nich pracujesz?

- Nie, ekscelencjo - zapewnił Solo. - Jestem gotów poddać się badaniu serum prawdy. Możecie też przeskanować mój umysł błyszczostymem. Opuściłem Ilezję pięć lat temu i nie chcę tam powrócić.

Jabba odwrócił się w stronę wuja.

- Zdaje mi się, że Solo mówi teraz prawdę. Gdyby wciąż pracował dla Besadiich, nie starałby się chyba tak bardzo ocalić „Klejnotu Gwiazd” i mnie. Raczej poddałby statek i pozwolił mnie zabić. - Mniejszy Hutt popatrzył bystro na Korelianina. - Dlatego uważam, że jeśli Besadii nie są bardziej subtelni niż ich o to podejrzewam, kapitan mówi prawdę.

Solo przytaknął.

- Tak właśnie jest, ekscelencjo. Nie mogłem zaakceptować tego, co się działo na Ilezji. Wiecie, co myślę o niewolnictwie i handlu niewolnikami. A Besadii są największymi eksporterami niewolników w galaktyce.

- To prawda - odparł Jabba. - Kapitanie Solo, teraz, kiedy mój wuj zidentyfikował cię jako posłańca od Zawala, moja pamięć też nieco się odświeżyła. W bardzo krótkim czasie po otrzymaniu tych gróźb od Zawala, otrzymaliśmy raport, że wybuchł bunt na Ilezji, fabryka błyszczostymu została zniszczona, Zawal zaś zabity przez buntowników. Uwolniono kilku niewolników i skradziono dwa statki.

Jabba wpatrywał się uważnie w Hana, ciekaw jego reakcji, ale Korelianin zachował kamienną twarz.

- Kapitanie - włączył się Jiliak - mówiono nam, że za cały ten konflikt na Ilezji odpowiedzialny był jeden człowiek... Vykk Draygo. Dostaliśmy też raport, że wkrótce potem ten Vykk Draygo został zabity przez łowcę nagród. Wiesz coś na ten temat?

Solo poruszył się niespokojnie i Jabba wyczuł wyraźnie, że pilot toczy wewnętrzną walkę. W końcu podjął decyzję i skinął głową.

- Wiem o tym sporo - przyznał. - Ja jestem Vykk Draygo. Jabba i Jiliak wymienili długie spojrzenia.

- Czy ty zabiłeś Zawala? - zapytał Jabba groźnie.

- Nno... niezupełnie... - Han zwilżył wargi. - To... to był wypadek... w pewnym sensie. To nie była moja wina!

Huttowie spojrzeli po sobie i wybuchnęli donośnym śmiechem.

- Ho, ho, ho! - zadudnił Jabba. - Solo, jak na człowieka jesteś bardzo rzadkim okazem.

Korelianin uspokoił się trochę.

- A więc nie jesteście wściekli, że zabiłem Hutta?

- Zawal mi groził- przypomniał mu Jiliak. - On i jego klan sprawiali nam wiele problemów i kosztowali kilka ofiar. Huttowie wolą niszczyć przeciwników ekonomicznie, kapitanie, ale gdy trzeba, nie unikają zabójstw jako sposobu na rozwiązanie swoich problemów.

Jabba widział, że teraz już Solo rozluźnił się zupełnie.

- No cóż, ludzie też tak czasem robią.

- Naprawdę? - Jabba zdawał się zaskoczony. - Więc jest jeszcze jakaś nadzieja na rozwój twojej rasy, kapitanie.

Solo uśmiechnął się krzywo. Jabba rozpoznał ten grymas, bo często miał do czynienia z ludźmi.

- Zaraz, zaraz - powiedział unosząc ostrzegawczo palec. - Nie byłoby dobrze, gdyby stało się powszechnie wiadome, że człowiek zabił bezkarnie Hutta, kapitanie. Jeśli więc ujawnisz to jeszcze komuś... będziemy musieli upewnić się, że zostałeś uciszony. Na zawsze. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

Solo uklonił się w milczeniu, najwyraźniej pod wrażeniem groźby Jabby.

- Tak więc - Jiliak wrócił do interesów - pracowałeś dla Besadiich, kapitanie. Co możesz nam o nich powiedzieć?

- Byłem tam ponad pięć lat temu - zastrzegł się Han. - Ale też pobyt na Ilezji nielato zapomniać.

- Kto wydawał ci rozkazy, kapitanie Solo? - zapytał Jabba.

- Teroenza - odparł człowiek. - To on tak naprawdę prowadzi ten interes jako Najwyższy Arcykapłan.

- Teroenza? Opowiedz nam o nim - zainteresował się Jabba.

- On jest t'landa Tilem - odparł Korelianin. - Wiecie, jacy oni są?

Obaj Huttowie skinęli głowami.

- Teroenza składa raporty swojemu huttyjskiemu nadzorcy... za moich czasów był to Zawal... ale tak naprawdę sam podejmuje decyzje i prowadzi codzienną administrację kolonii ilezjańskich. Teroenza to bardzo sprytny i wydajny zarządca. Sądzę, że zyski mieli spore... chociaż wtedy, kiedy zniszczyłem im fabrykę błyszczostymu, zamknęli chyba rok stratami.

Na samą myśl o zniszczeniu tak wartościowej rzeczy obaj Huttowie zmarszczyli brwi. Solo wzruszył ramionami.

- Tak, mnie to też trochę zmartwiło, ale potrzebna mi była dywersja.

- Jak naprawdę zginął Zawal?

- Spadł na niego sufit - odparł Solo. - Włamaliśmy się do skarbcza Teroenzy, kiedy on się tam zjawił i...

Oczy Jabby zwięzły się.

- Skarbcza? Jakiego skarbcza?

- Tak to nazywał - wyjaśnił Solo. - Teroenza jest zapalonym kolekcjonerem różnych rzadkich przedmiotów: dzieł sztuki, antyków, broni, instrumentów muzycznych, mebli, klejnotów. Cokolwiek byście wymienili, on trochę tego ma. Wybudował więc wielką salę na tę swoją kolekcję. Mieści się wewnątrz budynku administracyjnego na Ilezji. Bardzo się do tej kolekcji przywiązał, bo poza tym niewiele jest rozrywek na tej planecie. To w większości dżungla.

- Rozumiem... - powiedział z namysłem Jiliak spoglądając z ukosa na Jabbę.

Młodszy Hurt był pewien, że umysł jego wuja już pracuje nad tajnym planem opartym na dostarczonych przez Solo informacjach.

Jiliak zadał jeszcze Hanowi kilka pytań na temat fabryk przyprawy na Ilezji. Jak przebiega tam produkcja, przez kogo są strzeżone...

Jabba słuchał z zainteresowaniem. Jego wuj był doświadczonym i przebiegłym przywódcą kajidica. Co planował teraz?

W końcu Jiliak odprawił Korelianina. Solo z Wookiem opuścili salę audiencyjną.

- No więc, wuju - zapytał Jabba - co o tym sądzisz?

Jiliak wziął długą rurkę, którą do tej pory mieszał po dnie snackwariu, nabił ją liśćmi i zaczął wdychać. Jabba poczuł słodkawy zapach przegniłych roślin - lekki, euforyczny narkotyki. Dopiero po dłuższej chwili przywódca kajidica przemówił.

- Jabba, mój bratanku, myślę, że wrogość między klanami Besadii i Desilijic musi się skończyć. W końcu jedna z prób zamachów na nas zakończy się sukcesem i może dojść do tragedii.

- Zgoda - powiedział Jabba czując, jak cierpie mu skóra, gdy wyobraził sobie ostrze zabójcy. A może tylko wyrzuciliby go w próżnię bez skafandra... Otrząsnął się na tę myśl. - Ale jak tego dokonać?

- Powinniśmy zwołać spotkanie klanów na neutralnym gruncie - oznajmił Jiliak powoli, między kolejnymi zaciągnięciami. - I zaferować Besadiim pakt o nieagresji.

- Zaakceptują go? - Jabba nie widział powodu, dla którego miałyby się tak stać.

- Aruk nie jest głupcem. Przynajmniej pojawi się, aby podyskutować. Jabba czuł, że coś więcej musi się kryć za tym planem.

- A co kryje się za tą propozycją? - zapytał powoli. Jabba uważał się za sprytnego Hutta, ale Jiliak bywał niekiedy zaskakująco podstępny.

- Mam zamiar zaproponować im na tym spotkaniu obustronne ujawnienie dotychczasowych zysków - powiedział Jiliak - i zażądać wyrównania przychodów.

- Na to Besadii nigdy się nie zgodzą.

- Wiem. Ale wtedy miałbym ważny powód, by żądać ujawnienia zysków i Besadii tak to zrozumieją.

- Uważasz, że Besadii udostępnią nam swoje dane?

- Tak sądzę, siostrzeńcze. Arak z przyjemnością pochwali się swoim procentem od zysków przed klanem Desilijic.

Jabba przytaknął.

- Zgoda. Tak robi.

- Myślę też, że wykorzysta okazję, by uporządkować cały biznes na Ilezji, sprawdzić osobiście dane, uporządkować sprawę zarządzania...

- Kto tam jest teraz nadzorcą?

- Operację ilezjańską nadzoruje Kibbick.

- Ale Kibbick jest idiotą - zauważył Jabba. Spotkał już wcześniej tego młodego Hutta na spotkaniu między kajidicami.

- To prawda - odparł Jiliak. - Sądzę zatem, że prawdziwy władca Ilezji także zostanie wezwany, aby złożyć raport ze swoich poczynań.

Oczy Jabby rozszerzyły się, a potem zwęziły od głębokiego namysłu. Nagle zachotał.

- Zdaje się, że zaczynam rozumieć, wuju...

Jiliak zaciągnął się głęboko. Kąciki jego szerokich bezwargich ust uniosły się nieznacznie w górę.

Teroenza odpoczywał właśnie w wiszącym łożu, gdy przybył najślynniejszy łowca nagród w Imperium.

Do osobistej sypialni flanda Tila wbiegł Ganar Tos, zacierając w podnieceniu pokryte naroślami, zielone ręce.

- Ekscelencjo! Jest tu Boba Fett i twierdzi, że zapłacił mu pan za przybycie na osobistą audiencję. Czy to prawda, ekscelencjo?

- Taaak... - powiedział Najwyższy Arcykapłan Ilezji świszczącym głosem, starając się szybko wyjść z legowiska i stanąć na czterech słupowatych nogach. Podniecony tym, co zaraz ma się wydarzyć, poczuł krew tętniącą w swoich obu sercach i trzech żołądkach. Obcy, który wkroczył do jego komnaty, miał na sobie zielonkawą mandaloriańską zbroję bojową. Z jego prawego ramienia zwisały dwa skalpy Wookiech – jeden

jasny, drugi czarny. Twarz łowcy zupełnie zakrywał hełm, ale przez szpary w nim Teroenza widział błyski jego oczu.

- Witam, panie Fett! - zadudnił flanda Til. Zastanawiał się, czy powinien wyciągnąć rękę. Miał wrażenie, że gdyby to zrobił, Fett zignorowałby jego gest, więc postanowił zrezygnować. - Dziękuję, że zechciał pan przybyć tak szybko. Mam nadzieję, że nasze zdradliwe prądy powietrzne nie sprawiły panu kłopotu podczas przelotu przez atmosferę.

- Nie traćmy czasu - powiedział Fett. Jego głos, pozbawiony jakiegokolwiek uczucia i akcentu, pochodził z głośnika w hełmie. - Wspomniałeś o mandaloriańskich strzałkach ze swojej kolekcji, które mają być częścią mojego wynagrodzenia za przybycie tutaj. Pokaż mi je. Natychmiast.

- Oczywiście, oczywiście, panie Fett - zawołał Teroenza. Nagle nabrał pewności, że gdyby Fett z jakichś powodów zdecydował się go zabić, niewiele mógłby zrobić, żeby temu zapobiec. Mimo potężnych rozmiarów, co najmniej pięciokrotnie przewyższających masę człowieka, czuł się całkowicie bezbronny w obecności słynnego łowcy.

Szybko zaprowadził Fetta do skarbcza.

- Są tutaj - powiedział powstrzymując się z trudem przed dalszymi wyjaśnieniami. Fett szedł za nim poruszając się bezszelestnie jak zatrała strzała.

Najwyższy Arcykapłan otworzył szkatułkę i wyjął dwie bransolety. Każda z nich zawierała mechanizm, który wystrzeliwał małe śmiertelne strzałki, jeśli właściciel poruszył w odpowiedni sposób palcami.

- Zgrabny komplet - zachwalał. - Zapewniono mnie, że są w doskonałym stanie.

- Ocenie sam - powiedział Fett głosem jak przedtem pozbawionym emocji. Włożył bransolety i niemal niezauważalnym ruchem wypalił strzałkami w gruby arras wiszący na ścianie.

Teroenza wydał okrzyk protestu, ale zamilkł nie odważając się powiedzieć nic więcej.

Fett powybierał strzałki z arrasu i dopiero wtedy ponownie odwrócił się do arcykapłana.

- Zapłaciłeś mi za spotkanie, kapłanie. Czego chcesz?

Teroenza opanował nerwy. Fett miał w pewnym sensie zostać jego pracownikiem... przywołał więc całą swoją godność, mimo bijącego gwałtownie pulsu.

- Jest pewien przemytnik o imieniu Han Solo. Widział pan rozesłane za nim listy gończe?

Fett skinął głową. Tylko raz.

- Solo podróżuje teraz z Wookiem. Wiadomo, że widziano ich na Nar Shaddaa. Podobno próbowało go dostać dziewięciu czy dziesięciu łowców, ale był dla nich za szybki.

Fett znowu skinął głową.

Teroenzę zaczynało irytować jego milczenie, ale mówił dalej.

- Chcę go dostać. Żywego i w stosunkowo dobrym stanie. Nie płacę za trupa.

- Nic z tego - odparł Fett. - Za siedem i pół tysiąca kredytów nie poświęcę mojego czasu.

Teroenza obawiał się takiego obrotu sprawy. Bał się, co powie na to Aruk, który uważał się za oszczędnego, chociaż Teroenza nazywał go starym skąpcem. Ale... musiał mieć Solo. Czy powinien samowolnie podnieść stawkę? Nie chciałby sprzedawać części swojej kolekcji...

- Ileżja podniesie nagrodę za Solo do dwudziestu tysięcy kredytów - powiedział w końcu. Miał zamiar wpłynąć na Kibbicka i Aruka, aby zaakceptowali tę podwyżkę. Jakoś tego dokona. .. W końcu to i tak problem Aruka, jako głowy Besadii.

Fett trwał bez ruchu. Wreszcie po długim milczeniu, kiedy Teroenza już był pewien, że znowu odmówi, skinął głową po raz trzeci.

- Niech będzie - powiedział.

Najwyższy Arcykapłan z trudem powstrzymał się przed złożeniem gorących podziękowań.

- Kiedy możemy go oczekiwać? - zapytał z podnieceniem.

- Nagroda nie jest na tyle duża, abym odłożył moje obecne zlecenia - odparł Fett. - Będziesz go miał, kiedy przyjdzie jego kolej, kapłanie.

Teroenza stłumił okrzyk niezadowolenia.

- Ale...

- Za sto tysięcy Solo awansuje na pierwszą pozycję - zaoferował Fett.

Sto tysięcy kredytów! W głowie kapłana zawirowało. Cała jego kolekcja nie była warta wiele więcej. Aruk utopiłby go w ilezjańskim oceanie, gdyby obiecał taką sumę. Potrząsnął głową.

- Nie. Proszę o umieszczenie go na liście. Poczekamy.

- Będziesz miał Solo - obiecał Fett.

Obrócił się na pięcie i wyszedł, ignorując kapłana. Teroenza natężył swój doskonały słuch, ale nie usłyszał nawet szmeru. Fett zniknął jak duch za drzwiami. Najwyższy Arcykapłan wiedział, że nie zobaczy go aż do dnia, gdy na Ileżję powróci kapitan Solo, aby spotkać się ze swoim okrutnym przeznaczeniem.

Już jesteś martwy, Solo, pomyślał. Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

## ROZDZIAŁ

# 5

## TRZYNASTY ŁOWCA

Dwa miesiące i trzech łowców nagród później Han i Chewbacca byli na dobrej drodze do zaoszczędzenia wystarczającej ilości kredytów, by wynająć własny statek. Jabba i Jiliak byli bardzo wymagający, jeśli chodziło o terminy, ale płacili nieźle, jeśli ich rozkazy były wypełniane co do joty.

Na razie nie było więcej ataków na jachty Huttów, ale Han miał pewność, że konflikt między klanami Desilijic i Besadii nabrzmiewa.

Wiedział też, że posłowie Jiliaka wystąpili z pewnymi propozycjami wobec przedstawicieli Aruka Hutta.

Aruk odpowiedział żądaniem spotkania twarzą w twarz. O ile Han rozumiał, takie spotkania były czymś niezwykłym w społeczeństwie Huttów. Na razie miał więc oczy i uszy szeroko otwarte i zastanawiał się, czy spotka go zaszczyt przewiezienia Jiliaka i Jabby na to spotkanie.

Han i Chewie pracowali prawie bez przerw, ale czasem wypadały im pomiędzy misjami wolne dni. Spotykali się wtedy z przyjaciółmi przemytnikami w koreliańskim sektorze przy grze w sabaka i inne gry hazardowe.

Zawsze chętny do nowych rozrywek Han zainteresował się pewnego dnia olbrzymią holoreklamą umieszczoną w starym, ale wciąż jeszcze czynnym kasynie. Ogłaszała ona występy w Pałacu Losu kobiety, która podobno miała być jednym z najlepszych iluzjonistów w galaktyce. Miała na imię Xaverri.

Pilot sprawdził cenę wstępu, a kiedy uznał, że mogą sobie na to pozwolić, zaproponował Chewiemu, żeby obejrzeni dzisiejszej nocy pokaz. Han nie wierzył w magię, podobnie jak nie wierzył w bogów. Ale miał zręczne, wytrenowane palce; ćwiczył je najpierw, gdy był kieszonkowcem, a potem z kartami, kiedy został szulerem. Lubił oglądać rozmaite triki i zawsze starał się odgadnąć, jak każdy z nich jest wykonywany.

Za to Chewbacca okazał się zadziwiająco oporny. Potrząsał głową i stękał przekonując Hana, że tego wieczoru powinni spotkać się z Mako albo odwiedzić Roę, który kupił mały jednoosobowy myśliwiec z odzysku od piratów i właśnie pracował nad jego odremontowaniem. Chewie i Han byli u niego kilka razy, by pomóc mu przy tej pracy,

ale Han zauważył, że to akurat mogą zrobić każdej nocy, a Xaverri miała występować tylko w tym tygodniu.

Chewie dalej kręcił głową. Nie odzywał się, ale był w oczywisty sposób niezadowolony. Han wpatrywał się w niego, cały czas próbując dojść, o co właściwie chodzi jego partnerowi.

- Hej, stary, w czym problem? Przecież to ma być zabawa!

Chewie tylko chrząknął i spojrział spode łba. Wciąż nie chciał wyjaśnić powodu swojej niechęci. Han przyglądał mu się ze zdumieniem, aż wreszcie coś zaczęło świtać mu w głowie. Wookiee wciąż byli dość prymitywnymi istotami. Używali zaawansowanej technologii w stopniu, w jakim im to pasowało, ale nie można było ich nazwać rasą techniczną. Przy swojej inteligencji łatwo uczyli się na przykład pilotować statki kosmiczne, ale nigdy żadnego nie zbudowali. Wookiee, którzy opuścili Kashyyyk - chociaż pewnie się to nie zdarzało, odkąd Imperium ogłosiło, że to świat niewolniczy - zrobili to na statkach skonstruowanych przez inne rasy.

Społeczeństwo Wookiech wciąż urządzało ceremonie i kultywowało rytuały, które większość ras Imperium uznalaby za prymitywne. Chewie też miał swoją wiarę; zawierała ona sporą dawkę tego, co Han nazywał przesadami. Legendy Wookiech zawierały przerażające opowieści o nadnaturalnych istotach, które krażyły po nocy pożerając żywych i wypijając ich krew, a także o złych magach i czarnoksiężnikach, którzy mogli zniewalać umysły innych dla swoich diabolicznych celów.

Han popatrzył na kudłatego towarzysza i wpadł na pewien pomysł.

- Hej, Chewie - powiedział w końcu - wiesz równie dobrze jak ja, że to, co nazywają magią w występach Xaverri, jest po prostu zestawem prostych sztuczek zręcznościowych, prawda?

Chewbacca warknął, ale nie przyznał Hanowi racji. Pilot potarł sobie kudły na głowie Wookiego, jak często robiła mu Dewlanna. Wśród Wookiech był to gest równoznaczny z uspokajającym poklepaniem po ramieniu.

- Wierz mi, Chewie - mówił dalej - ci sceniczni iluzjoniści nie używają żadnej magii. Nie takiej, o jakiej mówi się w legendach Wookiech. To, co robi Xaverri, to tylko sztuczki zręcznościowe, takie jak ja czasem robię z kartami. Czasem też używa do tego holoprojektorów, luster i podobnych przedmiotów. Ale nie jest to ani prawdziwa magia, ani nic nadnaturalnego.

Chewie jęknął, ale zdawał się powoli przekonywać.

- Załóż się z tobą, że jeśli pójdziesz tam ze mną wieczorem, wytłumaczę ci potem, w jaki sposób ona robi te wszystkie sztuczki - powiedział Han. - No jak, stary, zgoda?

Wookiee chciał wiedzieć, o co Han ma zamiar się założyć. Korelianin pomyślał chwilę.

- Będę robił śniadania i sprzątał przez miesiąc, jeśli nie zdołam odkryć, jak ona to robi - zaproponował. - A jeśli mi się uda, oddasz mi pieniądze za swój bilet. Może być?

Chewie zdecydował, że układ jest uczciwy.

Wybrali się na przedstawienie na tyle wcześniej, że dostali miejsca blisko sceny. Czekali dłuższą chwilę z niecierpliwością, ale w końcu zabrzmiały fanfary, holokurtyna znikła i ukazała się scena z jedną aktorką.

Xaverri okazała się zmysłową, atrakcyjną kobietą, o kilka lat starszą od Hana. Miała długie, gęste, czarne włosy, ułożone w bardzo skomplikowaną fryzurę; jej oczy błyszczały srebrem sztucznych tęczówek. Czarodziejka była ubrana w kostium z fioletowego jedwabiu, rozcięty w kilku interesujących miejscach, co pozwalało od czasu do czasu dostrzec błyski jej złocistej skóry.

Miała podniecający i egzotyczny wygląd. Han zastanawiał się, z jakiej planety pochodzi. Nigdy dotąd nie widział nikogo takiego jak ona.

Kiedy tylko się przedstawiła, natychmiast przeszła do kolejnych punktów programu. Bez zbędnej oprawy scenicznej wykonywała wyjątkowo trudne sztuczki; Han i Chewbacca byli zauroczeni jej iluzjami. Pilotowi kilka razy wydawało się, że wie, w jaki sposób wykonać jeden czy drugi trik, ale nigdy nie potrafił dostrzec najmniejszego potknięcia w jej technice. Wiedział już, że przegrał zakład z Chewiem.

Xaverri wykonała wszystkie tradycyjne sztuczki, ale wiele z nich w wersji ulepszonej. Przecięła laserem ochotnika spośród publiczności, a potem sama siebie na dwie części. Teleportowała nie tylko siebie, ale także małe stadko rodiańskich nietoperzy z jednej szklanej klatki do drugiej, stojącej po przeciwnej stronie sceny, maskując to jednym krótkim wybuchem ognia i dymu. Jej iluzje działały na wyobraźnię i miały styl, a jednocześnie były tak dobre technicznie, że mogło się wydawać, iż naprawdę posiadała nadnaturalne moce. Kiedy na przykład wypuściła do ataku na publiczność stado kayweńskich gwizdawców, nawet Han odruchowo się uchylił, a Chewiego musiał niemal siłą powstrzymać przed atakiem na te iluzoryczne stworzenia - tak realne się wydawały.

W wielkim numerze finałowym Xaverri spowodowała zniknięcie całej ściany hotelowej sali balowej, w miejsce której pojawiła się czarna pustka przestrzeni kosmicznej. Kiedy publiczność jeszcze szemrała w zdumieniu, nagle pustkę wypełnił przerażający widok gwiazdy - czerwonego karła - pędzącego wprost na nich. Nawet Han nie powstrzymał się przed krzykiem i schowaniem głowy; olbrzymia iluzja zdała się wypełniać sobą cały świat. Chewie zaskomlał przerażony i prawie wczuł się pod krzesło. Z wielkim trudem Han namówił go w końcu na wyjście, gdy wreszcie obraz znikł, a na scenie pojawił się olbrzymi hologram kłaniającej się Xaverri.

Han klaskał, dopóki nie rozboleła go dłoń, krzycząc z entuzjazmem i gwizdząc. Ależ to było przedstawienie!

Kiedy wreszcie aplauz ucichł, Korelianin przemknął się na zaplecze sceny. Miał zamiar spotkać się z uroczą iluzjonistką i powiedzieć, co sądzi o jej niezwykłym talentcie. Xaverri była pierwszą od długiego czasu kobietą, która naprawdę go urzekła. Tak naprawdę pierwszą od czasów Brii...

Po długim oczekiwaniu wśród zebranego pod drzwiami tłumu Han zauważył wreszcie Xaverri wychodzącą z garderoby. Srebrne tęczówki znikły i jej oczy miały teraz naturalny ciemnobrązowy kolor. Włożyła bardziej praktyczne ubranie zamiast scenicznego kostiumu. Uśmiechając się ciepło wpisywała kłębiącym się wokół fanom



osobiste dedykacje na kosztach hologramów, które jej podawali. Zachowywała się przy tym bardzo ujmująco.

Han odczekał spokojnie, dopóki nie wyszli wszyscy oprócz asystenta iluzjonistki, gburowatego Rodianina. Dopiero wtedy podszedł ze swoim najbardziej czarującym uśmiechem na ustach.

- Cześć - powiedział patrząc jej prosto w oczy.

Xaverri była prawie tak wysoka jak on, a w swoich ozdobnych butach na wysokich obcasach dorównywała mu wzrostem.

- Jestem Han Solo, lady Xaverri. A to mój partner, Chewbacca. Chciałem powiedzieć, że był to prawie najbardziej ekscytujący i oryginalny pokaz magiczny, jaki kiedykolwiek widziałem.

Xaverri spojrzała badawczo na niego i Chewbackę, a potem uśmiechnęła się, ale był to zupełnie inny uśmiech niż dotąd - zimny i cyniczny.

- Witam, Solo. Pozwól, że zgadnę: zapewne coś sprzedajesz - powiedziała.

Han potrząsnął głową. Bystra dziewczyna, pomyślał. Ale przecież takimi rzeczami nie trudnię się już od dawna. Teraz jestem po prostu pilotem...

- Ależ nie, lady. Jestem tylko wielbicielem twojej magii. Chciałem także dać Chewiemu szansę, aby się upewnił, że jesteś takim samym człowiekiem jak każdy. Obawiam się, że wywołałaś u niego uczucia silniejsze niż podziw. Kiedy wypuściłaś w powietrze te gwizdawce, było to jak mroczna magia z jego legend. Nie wiedział, czy walczyć o życie, czy wyrzebać dziurę w podłodze.

Xaverri popatrzyła na Chewbackę. Jej cyniczny uśmiech powoli nabrał ciepła.

- Miło mi cię poznać, Chewbacco. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam - powiedziała wyciągając ku niemu dłonie.

Chewie ujął ją ostrożnie w dwa kudłate palce i zaczął warczące przemówienie w swoim języku, który Xaverri zdawała się doskonale rozumieć. Powiedział, że jej pokaz zdumiał go i przeraził, ale to już minęło, a poza tym doskonale się bawił.

- Och, dziękuję! - wykrzyknęła kobieta. - To są właśnie te uczucia, które pragnie wywołać iluzjonista.

Han był prawie zazdrosny widząc, jak sympatycznie reaguje Xaverri na otwarty podziw Chewiego. Aby nie zmarnować okazji, zaproponował iluzjonistce wspólną przekąskę po męczącym przedstawieniu.

Spojrzała na niego uważnie, a w jej oczach zauważył ostrożność. Zrozumiał nagle, że ma przed sobą kogoś, kto w przeszłości przeżył straszną tragedię. Xaverri była przyczajona, ostrożna, nieufna...

Powie „nie”, pomyślał rozczarowany. Ale ku jego zdziwieniu, po krótkim wahaniu iluzjonistka zgodziła się im towarzyszyć.

Han zabrał ją do małego bistro w sektorze koreliańskim, gdzie jedzenie i picie było stosunkowo dobre i tanie, a do tego występowała śpiewająca i grająca na flecie artystka. Wprawdzie trochę to potrwało, ale Xaverri w końcu się rozluźniła i niekiedy uśmiechała się także do Hana, nie tylko do Chewiego. Gdy odprowadzili ją z powrotem do hotelu, przy pożegnaniu ujęła dłoń Hana w obie ręce i spojrzała na niego ciepło.

- Solo... dziękuję. Naprawdę było mi bardzo przyjemnie z tobą i Chewbacą. - Zerknęła nad ramieniem Hana na Wookiego, który zaskomlał z zadowoleniem. - Naprawdę przykro mi, że musimy się pożegnać... a wiesz, że bardzo dawno nie mówiłam nikomu czegoś takiego.

Han uśmiechnął się.

- Więc się nie żegnaj, Xaverri. Powiedz raczej: do zobaczenia.

Wzięła głęboki wdech.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł...

- A ja jestem - odparł Han. - Zaufaj mi.

Przychodził pod jej drzwi następnego wieczoru i jeszcze następnego. Powoli, bardzo opornie otwierała się przed nim coraz bardziej. Ale o swojej przeszłości nie chciała mówić; była pod tym względem jeszcze bardziej zamknięta niż Han. Słuchając uważnie i zadając ogólne, na pozór nie związane z nią pytania, Han zdołał dowiedzieć się o niej kilku rzeczy - nienawidziła Imperium i imperialnych oficerów tak ślepa, gorącą nienawiścią, że aż wydało mu się to dziwne; była dumna ze swoich umiejętności magicznych, ale nie mogła oprzeć się profesjonalnym wyzwaniom... i była samotna.

Życie miała niełatwe, ciągle w drodze z planety na planetę. Występy dla wiwatujących tłumów, a potem samotne wieczory w pustych hotelowych pokojach. Han odniósł wrażenie, że od długiego czasu, może od wielu lat, Xaverri nie była z mężczyzną. Miała wiele okazji, ale ostrożność i podejrzliwość nakazywały jej unikać przypadkowych związków.

Po raz pierwszy w życiu Han musiał pokonywać tak potężne bariery. Zastanawiał się, czy wytrzyma to emocjonalnie. Badanie jej duszy szło mu opornie. Wiele razy zastanawiał się, czy nie zrezygnować, nie porzucić swoich, zdawałoby się beznadziejnych, usiłowań. Ale Xaverri intrygowała go i pociągała. Chciał ją lepiej poznać i chciał, żeby mu zaufała... choćby tylko trochę.

Na zakończenie trzeciego spotkania Xaverri pocałowała go przelotnie przed drzwiami swojego pokoju, zanim znikła za nimi. Han wrócił do domu uśmiechnięty.

Kiedy szykował się do wyjścia następnego wieczoru, Chewbacca wstał, by jak zwykle mu towarzyszyć. Tym razem jednak Han powstrzymał go ruchem dłoni.

- Chewie, bracie, dzisiaj ze mną nie idziesz.

Chewbacca wydał zaniepokojone warknięcia. Bez niego Han wpakuje się w kłopoty. Był tego pewien. Han uśmiechnął się nieustraszenie.

- Tak. Mam właśnie taką nadzieję, bracie. I dlatego dzisiaj idę sam. Spotkamy się później. Dużo później... o ile się nie mylę.

Uśmiechając się i pogwizdując melodię, która otwierała występ Xaverri, Han opuścił mieszkanie i skierował się do Pałacu Losu.

Odczekał swoje przed drzwiami, ale było warto - Xaverri pojawiła się w prostej czarno-czerwonej sukience, odsłaniającej ramiona, i z rozpuszczonymi włosami.

Ucieszyła się na jego widok, ale zaraz rozejrzała się wokół, najwyraźniej szukając Chewiego.

- Gdzie Chewie?

Han ujął ją pod ramię.

- Dzisiaj został w domu. Tego wieczoru jesteśmy tylko ty i ja, kotku.  
Spojrzała na niego starając się przybrać srogą minę, ale w końcu roześmiała się, kręcąc głową.

- Solo, jesteś draniem, wiesz o tym?

Han też się uśmiechnął.

- Cieszę się, że to zauważyłaś. Mam nadzieję, że dranie są w twoim typie.

- Zobaczymy...

Poszli do jednego z kasyn Huttów, gdzie dzięki uprzywilejowanemu statusowi Hana, pilota Jabby i Jiliaka, mieli zapewnione specjalne traktowanie - darmowe drinki, dostęp do wyżej obstawianych gier i dobre miejsca na przedstawieniach.

Zanim wyszli, zrobiło się późno. Na Nar Shaddaa zapadła głęboka noc. Kiedy Han odprowadzał Xaverri do hotelu, zapytała go, w jaki sposób zostali partnerami z Chewiem, więc opowiedział jej o swojej służbie we Flocie Imperium.

- Kiedy mnie wyrzucili - zakończył - przekonałem się, że jako pilot nie znajdę legalnej roboty. Byłem na czarnej liście. Nie wiedziałem, czy i kiedy będę jadł następny posiłek. Wściekłem się i kazałem Chewiemu odejść, a on odmówił. Powiedział mi, że dług życia to dla Wookiego najwyraźniejszy obowiązek. Ważniejszy nawet niż więzi rodzinne. - Han spojrzał na Xaverri. - Przeszkadza ci, że byłem oficerem Imperium, prawda? Wiem, że ich nienawidzisz.

Potrząsnęła głową.

- Nie, to mi nie przeszkadza. Nie byłeś tam na tyle długo, aby przesiąknąć złem. Powinieneś za to dziękować wszystkim bogom, w jakich wierzysz.

Han wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że to będzie bardzo krótka lista. Właściwie, to nie ma na niej ani jednej pozycji - dodał, by postawić sprawę jasno. - A u ciebie?

Spojrzała na niego, a w jej oczach dostrzegł lekki błysk szaleństwa.

- Moją religią jest zemsta, Solo. Zemsta na Imperium za to, co mi zrobiło... mnie i moim bliskim.

Solo chwycił jej dłoń i ścisnął mocno.

- Opowiedz mi o tym... jeśli możesz.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogą. Nigdy nikomu tego nie mówiłam... i nie powiem. Gdybym spróbowała... myślę, że mogłoby mnie to zabić. Naprawdę, Solo.

Han spróbował zgadnąć.

- Imperium odpowiada za śmierć twojej rodziny, tak? Wzięła głęboki wdech i skinęła powoli głową.

- Męża... dzieci... - powiedziała cicho. - Tak... zabili ich.

- Przykro mi - odparł Han. - Ja nigdy nie znałem swojej rodziny. Nie wiem, czy ją w ogóle miałem. Czasem, na przykład w takiej chwili, myślę, że to nie jest takie złe.

Xaverri pokręciła głową.

- Nie wiem. Może masz rację, Solo. Wiem natomiast, że nigdy nie przepuszczę żadnej okazji, żeby im zaszkodzić. Moja praca pozwala mi podróżować po galaktyce i

możesz mi wierzyć albo nie, ale po raz pierwszy od długiego czasu zajmuję się czymś innym niż myślenie w każdej wolnej chwili o tym, jak można zaszkodzić Imperium.

Han uśmiechnął się drwiąco.

- To dlatego, że na Nar Shaddaa nie ma Imperium.

Nie była to do końca prawda, choć równie dobrze mogła być. Na Księżycu Przemysłowców był imperialny urząd celny. Prowadził go stary człowiek, Dedro Needlab, który właściwie pracował dla Huttów. Mimo to miał tytuł Inspektora Celnego Imperium. Od czasu do czasu wysyłał nawet raporty o statkach i ich towarach do Moffa lokalnego sektora - Sarna Shilda. Nikt nigdy jednak tych danych nie weryfikował.

Tak naprawdę Huttowie mieli swoje własne umowy z Sarnem Shildem. Płacili kontrybucje i dostarczali prezenty Shildowi, jako wyraz wdzięczności, że jest tak wygodnym reprezentantem Imperium. Shild w zamian pozostawiał ich dochody praktycznie nienaruszone. Każdy na tym korzystał. Jak w symbiozie, pomyślał Han.

- No właśnie - powiedziała Xaverri. - Nie ma sensu krzywdzić starego Dedro Needlaba. To by zaszkodziło tylko Huttom na Nar Shaddaa, a Imperium odniosłoby nawet korzyści. A to ostatnia rzecz, jakiej pragnę.

- Więc jak właściwie im szkodzisz? - zapytał Han zastanawiając się, czy ona przypadkiem nie jest zabójcą. Była doskonałą akrobatką i gimnastyczką, a niektóre jej sztuczki miały związek ze sztyletami, mieczami i wibroostrzami. Ale nie potrafił wyobrazić jej sobie jako zabójcy. Xaverri była bardzo inteligentna. Przewyższała w tym nawet jego... musiał to przyznać. A zatem raczej używała mózgu, a nie broni, w dziele zemsty na Imperium.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Wiele by mówić.

- Hej - oburzył się Han. - Ja też nie kocham Imperium. Oni są po prostu handlarzami niewolników, a ja nienawidzę niewolnictwa. Mogłbym czasem ci pomóc. Jestem naprawdę dobry w walce.

Xaverri przyjrzała mu się z uwagą.

- Pomyślę o tym. I tak mam zamiar wkrótce zastąpić kimś starego Glarreta. Nie jest już na tyle szybki, by dobrze spełniać rolę mojego asystenta na scenie, no i nie jest pilotem. Ciężko mi pilotować przez cały czas podróży.

- Mam licencję pilota pierwszej klasy - powiedział Han z szerokim uśmiechem. - Zresztą jestem dobry w bardzo wielu rzeczach.

- Proszę, proszę, jaki skromny - zauważyła mrużąc oczy.

Stanęli przed drzwiami pokoju Xaverri. Iluzjonistka spojrzała Hanowi w oczy.

- Jest już bardzo późno, Solo.

- Wiem...

Han ani drgnął.

Nacisnęła dłonią klamkę i drzwi otworzyły się cicho. Zawahała się sekundę i weszła do pokoju... zostawiając drzwi uchylone. Han uśmiechnął się i wszedł za nią.

Obudził się po kilku godzinach. Postanowił wymknąć się cichcem od Xaverri, która wciąż jeszcze głęboko spała. Ubrał się bezszelestnie i wyszedł z pokoju. Zostawił jej tylko na komunikatorze nagraną wiadomość, że zobaczą się dzisiaj, ale później.

Na Nar Shaddaa dopiero co wzeszło słońce. Jednak aktywność mieszkańców Księżyca Przemysłowców niewiele miała wspólnego z nienaturalnie (dla większości ras) długimi dniami i nocami. Nar Shaddaa nigdy nie spał. Han szedł do domu przez zatłoczone uliczki, słuchając krzyków ulicznych kupców zachwalających niemal każdy możliwy towar. Gwizdał jakąś ludową koreliańską piosenkę. Był w doskonałym nastroju. Nawet nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo brakowało mu kobiecego towarzystwa. Wiele już czasu minęło, odkąd miał do czynienia z kobietą, na której naprawdę by mu zależało, a Xaverri najwyraźniej podobał się tak samo, jak ona podobała się jemu. Wciąż czuł na całym ciele żar jej pocałunków.

Han zorientował się, że podświadomie liczy godziny, które dzielą go od następnego spotkania. Roześmiał się i potrząsnął głową. Trzymaj się, Solo. Nie jesteś już romantycznym nastolatkiem... jesteś...

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, coś ukuło go w prawy pośladek. Przez chwilę sądził, że nadział się na odłamek szkła sterczący ze zrujnowanego budynku, który właśnie mijał. Ale po chwili ogarnęła go niespodziewana fala ciepła, nogi ugięły się pod nim, a w oczach pociemniało. Po czym wszystko wróciło do normy. Co się dzieje?

Pochwyciły go za ramię stalowe palce i skierowały w wąską alejkę. Han zdał sobie z przerażeniem sprawę, że nie jest w stanie stawiać oporu. Jego ręce nie słuchały rozkazów mózgu. Narkotyki? O, nie!

Beznamiętny, automatyczny głos zabrzmiał za jego prawym ramieniem:

- Stój spokojnie, Solo.

Han poczuł, że nie jest w stanie zrobić nic innego. Wewnątrz gotował się z wściekłości jak podgrzana plazma, ale jego ciało było całkowicie posłuszne temu sztuczному głosowi.

Kto mnie dorwał? Czego chce? - myślał gorączkowo. Próbował napiąć każdy mięsień, każdy nerw, każdy neuron swojego ciała, aby poruszyć ręką, nogą, bodaj palcem. Ale chociaż oczy zalewał mu pot, nie potrafił drgnąć ani o milimetr.

Obca ręka puściła ramię Hana i odpięła skórzany pasek na jego biodrze, którzy zabezpieczał blaster w kaburze. Han poczuł, że został rozbrojony. Kipiąc furją próbował walczyć, ale z równym skutkiem mógłby usiłować zatrzymać statek kosmiczny siłą mięśni.

Próbował też mówić, zapytać „kim jesteś?“, ale to także okazało się niemożliwe. Mógł tylko oddychać, mrugać oczami i słuchać rozkazów.

Gdyby był Wookiem, zawyłby teraz długo i donośnie.

Po odebraniu Mastera pogromca Hana obszedł go naokoło i stanął wreszcie przed nim. Dopiero teraz pilot mógł mu się przyjrzeć. Łowca nagród! - wrzasnęło coś rozpaczliwie w jego głowie.

Znoszona, zielonkawoszara mandaloriańska zbroja, hełm, który zupełnie zakrywa twarz. Uzbrojony po zęby. Zwisające z ramienia dwa skalpy...

Han zastanowił się, z kim ma do czynienia. To musiał być ktoś z elity, z tych łowców, którzy ruszają tylko przeciw grubszej zwierzynie. Korelianin pomyślał, że właściwie powinno mu to pochlebiać, ale był to bardzo wątpliwy honor.

Łowca tymczasem przeszukał Hana dokładnie, by się przekonać, czy nie ma innej broni. Znalazł parę drobiazgów w kieszeniach i skonfiskował je. Korelianin jeszcze raz spróbował się poruszyć, ale z tym samym skutkiem. Mógł tylko oddychać, chociaż ciężko i chrapliwie.

Postać w mandaloriańskiej zbroi spojrzała na niego.

- Nie marnuj energii, Solo. Wstrzyknąłem ci sporą dawkę pewnej mikstury, którą robią na Ryloth. Jest droga, ale za tę sumę, jaką za ciebie dają, warto było. Nie zdołasz się poruszyć, jeśli nie wydam takiego rozkazu. Tak będzie przez kilka godzin. Dokładnie ile, to już zależy od organizmu. Ale zanim uda ci się poruszać samodzielnie, będziesz już na pokładzie mojego statku, w połowie drogi na Ilezję.

Han przyjrzał się łowcy uważnie i nagle zdał sobie sprawę, że widział już gdzieś tę postać w mandaloriańskiej zbroi. Gdzie? Skoncentrował się, ale nic nie pojawiało się w pamięci.

Łowca zakończył przeszukiwanie i wyprostował się.

- Dobrze. Odwróć się!

Han zauważył, że się odwraca wbrew swojej woli.

- Teraz idź. U wylotu alejki skręć w prawo.

Korelianin mógł się bezsilnie wściekać, ale jego ciało wykonywało każdy rozkaz. Prawa, lewa, prawa, lewa...

- Szedł posłusznie, a łowca nagród tuż za nim. Han od czasu do czasu dostrzegał kątem oka zarys jego postaci. Przemierzali spokojnie ulice Nar Shaddaa; przez moment Han miał nadzieję, że spotkają kogoś z jego przyjaciół, może nawet Chewiego. Ktoś przecież musi zobaczyć, co się z nim dzieje!

Ale chociaż wielu mieszkańców Nar Shaddaa widziało łowcę nagród i jego ofiarę, żaden nawet do nich nie przemówił. Han nie bardzo mógł ich za to winić. Ten łowca, kimkolwiek był, wydawał się zupełnie innym typem niż ci, z którymi miał dotąd do czynienia. Był sprytny, dobrze wyposażony i śmiertelnie niebezpieczny. Każdy, kto z nim zadarł, musiał liczyć się z poważnymi konsekwencjami.

Prawa, lewa, prawa, lewa, prawa, lewa...

Łowca skręcił w prawo do najbliższej stacji transportu publicznego. Han wiedział już, dokąd zmierzali - do najbliższej platformy startowej. Łowca najwyraźniej miał tam swój

statek.

Korelianin posłusznie wkroczył do transportera. Jeszcze raz spróbował buntu, ale nadal nie potrafił samodzielnie poruszyć nawet palcem. Był bezradny.

Publiczny transport obsługiwały małe pojazdy, które mieściły cztery, pięć osób - wszystkie obok siebie w szeregu, jak kury na grzędzie. Łowca nie usiadł, ale rozkazał zrobić to Hanowi i Korelianin posłusznie zajął miejsce, wyobrażając sobie tylko te wszystkie rzeczy, które zrobiłby swojemu przeciwnikowi, gdyby mógł się poruszyć.

Obcy nie odzywał się ani słowem, Han zaś nie mógł tego uczynić. Była to prawdziwie milcząca podróż.

Kiedy wyszli z transportera, Han zauważył, że znajdują się -tak jak podejrzewał - na dachu budynku, który służył za lądowisko. Duża płaszczyzna była przedzielona kilkoma głębokimi szybami, które umożliwiały dostęp światła słonecznego do niższych poziomów. Szyby nie były w żaden sposób zabezpieczone; nieuważny podróżnik mógł wpaść w jeden z nich i polecieć kilkaset poziomów w dół.

Han przypomniał sobie noc, gdy Garris Shrike ścigał go po platformach powierzchniowych na Coruscant. Wtedy ledwie uszedł z życiem. Miał paskudne uczucie, że tym razem nie będzie miał tyle szczęścia.

Zastanowił się, co czeka go na Ilezji. W olbrzymim cieple Teroenzy nie było ani jednej molekule litości czy dobroci. Arcykapłan dopilnuje z pewnością, aby spotkała go długa i okrutna śmierć. Przez moment Han zapragnął odzyskać kontrolę nad swoim ciałem na najkrótszą chwilę, żeby tylko skoczyć w głąb któregoś z tych szybów. Niezależnie od tego, jak bardzo próbował, nie mógł zrobić niczego poza wykonywaniem poleceń.

Razem ze swoim pogromcą wkroczył pomiędzy stojące na lądowisku statki. Nie wiedział, do którego się kierowali. Prawa, lewa, prawa, lewa, prawa, lewa... Łowca nagród wszedł w zasięg wzroku Hana i wskazał przed siebie.

- Idź do tego statku. Zmodyfikowana wersja firespraya. Łowca nie żartował używając słowa „zmodyfikowana”. Niektóre konstrukcje statku były niezwykle. W odróżnieniu od innych jednostek miał potężne silniki Kuat System F13 ustawione pionowo. Wprawdzie nadawało mu to śmiesznie pękaty wygląd, ale po odpaleniu statek dosłownie odskakiwał od ziemi. Han nigdy nie widział czegoś takiego. Statek przypominał mu jego właściciela - potężny i niebezpieczny.

Zainteresowany statkiem, na moment zapomniał o sytuacji, w jakiej się znajduje, i zapragnął zobaczyć wnętrze tego pojazdu... zaraz jednak odrzucił tę myśl z niesmaką. Obejrzy go sobie od środka, niewątpliwie. Spędzi nawet kilka dni na pokładzie tej ciekawostki, wiozącej go ku nieuniknionym, przerażającym torturom.

Szli wąskim pasem między dwoma ciężkimi, durowskiej budowy frachtowcami. Jeszcze kilka kroków i znajdą się na pokładzie statku łowcy, a wtedy będzie już po wszystkim. Han wiedział, że nie może nawet myśleć o rozbrojeniu tego faceta na pokładzie i uratowaniu swojej skóry. Szkoda, że nie mógł przełknąć śliny. Wyschnięte gardło bolało potwornie. Prawa, lewa, prawa, lewa, prawa, lewa... I to by było na tyle, pomyślał z rozpaczą Han.

## ROZDZIAŁ

# 6

### MIŁOŚĆ OD PIERWSZEGO LOTU

Han maszerując sztywno naprzód dostrzegł kątem oka nieznaczny ruch - jakby zarys humanoidalnej postaci, która wychyliła się zza masywnej płetwy stabilizatora frachtowca. W tej samej chwili odezwał się głos, którego Han nigdy przedtem nie słyszał - niski, ciepły, ale władczy.

- Nawet nie drgnij, łowco. Rusz się, a już cię nie ma.

Ręka, którą Han czuł cały czas na ramieniu, opadła nagle. Korelianin zaś nie mógł się zatrzymać. Wmaszerował na jasno oświetloną przestrzeń między frachtowcami a zmodyfikowanym firesprajem, pozostawiając swojego wroga razem z nieoczekiwanym sprzymierzeńcem w cieniu statków.

Jednak odczuwał ulgę każdym atomem ciała.

Jestem ocalony! - śpiewało mu w duszy.

Zaraz jednak wróciło przerażenie. Gdy oczy przyzwyczyły mu się do nagłej zmiany oświetlenia, dostrzegł szeroki szyb między sobą a statkiem, do którego zmierzał. Nie potrafił się zatrzymać, a krawędź szybu zbliżała się nieubłaganie.

Usłyszał za sobą głos:

- Hej, ty! Solo! Stój!

Han zorientował się, że stoi i aż osłabł z nagłej ulgi. Na szczęście jego ciało słuchało rozkazów pochodzących od każdego, nie tylko od nieznanego łowcy nagród.

- Odwróć się i wróć tutaj! - dodał głos.

Han z radością posłuchał.

Wracając do swojego pogromcy i do nieznanego oswobodzicie-la, patrzył w cień, ale niewiele mógł dostrzec poza tym, że ktoś stoi za plecami łowcy i trzyma lułę blastera przytkniętą do jego szyi.

Kiedy wmaszerował po raz drugi w cień płetwy olbrzymiego frachtowca i jego oczy znów przystosowały się do ciemności, Han wreszcie mógł przyjrzeć się swojemu wybawcy. Był mężczyzną mniej więcej w wieku Hana, może trochę starszym, nieco niższym i odrobinę szczuplejszym. Gładko ogolony, miał czarne, kręcone włosy i skórę koloru kawy z mlekiem.

Ubrany był elegancko - w złocistą koszulę zakończoną frędzelkami u dołu, z czarnymi wzorzystymi mankietami i takim samym szerokim kołnierzem. Czarne spodnie nie nosiły najmniejszych śladów zagnieciań, a szeroki ozdobny pas podkreślał wąską talię i płaski brzuch nieznajomego. Na nogach miał czarne miękkie buty, co tłumaczyło, w jaki sposób zdołał podejść bezszelestnie łowcę nagród. Z ramion zwisała mu krótka czarna peleryna.

Kiedy Han podszedł bliżej, nieznajomy uśmiechnął się czarująco błyskając śnieżną bielą zębów.

- Możesz się teraz zatrzymać, Solo - powiedział stopując Hana w pewnej odległości od ich wspólnego przeciwnika.

Han stanął bez ruchu i patrzył, jak kciuk jego wybawcy przesuwając kontrolkę mocy blastera. W tym celu nieznajomy musiał lekko cofnąć rękę; łowca czując, że nacisk lufy na szyję zelżał, odwrócił się błyskawicznie unosząc w górę nadgarstek.

Mandaloriańskie bransolety, a w nich z pewnością zatrute strzałki! Han próbował bez skutku wykrzyknąć ostrzeżenie, ale na szczęście okazało się to niepotrzebne. Jego wybawca zdążył strzelić. Płomień ogłuszający uderzył w łowcę, a z tak małej odległości nawet jego mandaloriańska zbroja nie mogła odbić strzału. Osunął się bezwładnie na ziemię, a twarda zbroja stuknęła hałaśliwie o permabeton lądowiska.

Wybawiciel Hana schował swój poręczny blaster do ukrytej w ozdobnym pasie kabury. Machnął ręką w kierunku pilota.

- Pomóż mi go przenieść.

Han zrobił, co mu kazano.

Razem nieśli nieprzytomnego łowcę w stronę jego statku. Han był ciekaw, co właściwie mają zamiar z nim zrobić, kiedy odzyska przytomność.

- Zastanawiam się, jak długo będziesz pod działaniem tego świństwa - powiedział z namysłem nieznajomy przybysz. - Możesz mówić, Solo?

Han poczuł, że drętwość ust prawie minęła.

- Tak - odpowiedział. Chciał dodać coś więcej, ale mu nie wyszło.

Nieznajomy patrzył na niego wyczekująco.

- Aha, chyba rozumiem. Możesz tylko reagować na rozkazy i nic poza tym, zgadza się?

- Tak mi się zdaje. - Han znów poczuł, że mówi.

- Paskudne świństwo ci wstrzyknął - przyznał wybawca. - Słyszałem o tym, ale nigdy nie widziałem, jak działa. Trzeba go przeszukać. Może ma tego jeszcze więcej.

Podeszli do służby firespraya i położyli nieprzytomnego łowcę tuż przy wejściu. Nieznajomy zabrał się do przeszukiwania jego kieszeni i wszystkich skrytek w zbroi.

- Aha, tu coś mamy - zawołał, gdy jego sprawne palce natrafiły na małe flakoniki w ukrytej kieszeni pasa łowcy.

Uniósł każdy po kolei do światła, aby przeczytać etykiety. Wreszcie twarz rozjaśnił mu łobuzerski uśmiech.

- Masz szczęście, Solo - powiedział. - To właśnie świństwo, które ci wstrzyknął - wyjaśnił unosząc niebieski flakonik. - A to jest antidotum - dodał unosząc zielony.

Han czekał niecierpliwie, aż nieznajomy nabierze do iniektora zieloną substancję.  
- Muszę zgadywać dawkę - powiedział. - Dam ci minimalną, a jak nie pomoże, dołożę jeszcze trochę.

Wbił ostrą końcówkę w bok Hana i wcisnął tłoczek. Gdy tylko substancja dostała się do krwi, Han poczuł nagłe mrowienie. W chwilę później mógł się już poruszać i mówić.

- Stary, jestem ci winien życie - powiedział wyciągając rękę do nieznajomego. - Gdyby nie ty... - potrząsnął głową. - Kim jesteś i dlaczego mnie uratowałeś? Nigdy dotąd cię nie widziałem.

Nieznajomy uśmiechnął się.

- Lando Calrissian - przedstawił się. - A dlaczego cię uratowałem... cóż, to dłuższa historia. Najpierw skończmy z Boba Fettem, a potem porozmawiamy.

Spojrzał uważnie na Hana.

- Hej, co jest, źle się czujesz?

Han rzeczywiście poczuł się słabo. Opadł na kolano przy leżącym łowcy nagród i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Boba... Boba Fett? To jest Boba Fett?

Najsłynniejszego łowcę w całej galaktyce wynajęto, by go pochwycić? Han zadrżał na tę myśl.

- Rany, Lando - powiedział. - Nie przypuszczałem...

- Już jesteś bezpieczny - powiedział pogodnie Calrissian. - Potem się będziesz trząsał, Solo. Najpierw musimy się zastanowić, co zrobić z panem Fettem.

Po paru chwilach na jego twarzy pojawił się niemły uśmiešek. Pstryknął palcami.

- Już wiem.

- Co wiesz?

Calrissian jeszcze raz napełnił iniektor, tym razem substancją z niebieskiego flakonika.

Potrząsnął łowcą, który jęknął i drgnął.

- Dochodzi do siebie. Najwyższy czas - stwierdził Lando.

Han odzyskał swój blaster i teraz trzymał na muszce łowcę nagród. Lando podniósł przód hełmu Fetta, by odsłonić szyję. Łowca szarpnął się gwałtownie.

- Stój! - rozkazał Han przysuwając błyskawicznie blaster do jego hełmu. - Nie jest ustawiony na ogłuszanie, Fett - warknął. - Za to, co mi zrobiłeś, z radością cię zdeintegruję.

Boba Fett leżał już spokojnie, gdy Lando naciskał tłoczek. W chwilę później łowca zadrżał lekko.

- Leż spokojnie! - Poleciał mu Calrissian.

Posłuchał natychmiast.

Han i Lando spojrzeli po sobie i wymienili złośliwe uśmiechy.

- Teraz siadaj! - powiedział Calrissian.

Boba Fett wykonał polecenie.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić? - powiedział Lando po namyśle. - Gdybym wiedział, jak długo to zostaje w systemie nerwowym, zabrałbym go do jakiegoś lokalnego baru i zbierał opłaty od ludzi, którzy mieliby ochotę go upokorzyć. A płaciliby dobrze. Zdobył wiele nagród i ma sporo wrogów.

- Mówił, że to działa kilka godzin, że to sprawa indywidualna - przypomniał sobie Han.

Osobiście pragnął tylko znaleźć się od Fetta najdalej jak to możliwe. Zastanawiał się, czy nie wysłać go po prostu na spacer ku najbliższemu szybowi, ale zaraz uświadomił sobie, że chociaż pomysł jest dobry, nie zdobyłby się na taki czyn. Zabić kogoś w walce to jedna sprawa, ale kazać komuś popełnić samobójstwo -nawet jeśli ten ktoś był wrednym łowcą- to coś zupełnie innego.

- No to nic z tego - uznał Calrissian. - W takim razie wrócę chyba do swojego pierwszego pomysłu. Wstań, Boba- nakazał.

Łowca nagród się podniósł.

- Oddaj broń. Natychmiast.

W kilka chwil później Han i Lando patrzyli z podziwem na leżący przed nimi wielki stos broni wszelkich możliwych typów.

- Na wszystkich slugusów Xendoru - powiedział Han kręcąc z podziwem głową. - Facet mógłby otworzyć sklep tylko z tym, co znaleźliśmy przy nim. Popatrz na te mandaloriańskie bransolety. Założę się, że mają zatrute strzałki.

- Łatwo możemy się przekonać - odparł Lando. - Fett, czy te strzałki są zatrute?

- Niektóre - zabrzmiała odpowiedź łowcy nagród.

- Które?

- Te z lewej bransolety.

- A te z prawej?

- Środek nasenny.

- Super - powiedział Han przyglądając się uważniej bransoletom. - Dla kolekcjonera na pewno miałyby sporą wartość. A teraz... co z nim zrobimy?

- Myślę, że włączymy autopilota w jego statku i wyślemy go do stu diabłów, ustawiając kurs na jakiś odległy system. Zabronimy mu zmieniać kurs. Jeśli to ma działać kilka godzin, to zanim wróci, będziemy o całe sektory stąd. - Calrissian zamilkł na chwilę. - Zabił mnóstwo ludzi. Kusi mnie, żeby po prostu go zastrzelić. Ale nigdy nie zabiłem nikogo z zimną krwią, i to nie uzbrojonego. - Zmarszczył brwi, jakby zawstydzony. -I nie mam zamiaru zacząć. Nawet od takiej kanalii.

- Ja też - zgodził się Han. - Ale twój pierwszy pomysł mi się podoba. Załadujmy go na statek.

Boba Fett posłusznie otworzył wąż i cała trójka wkroczyła do środka. Han i Lando posadzili jeńca na jednym z pasażerski foteli.

- Jesteś pilotem? - zapytał Han swojego towarzysza.

- Nie. Nie jestem - przyznał Calrissian. - Właśnie dlatego cię szukałem. Muszę wynająć pilota.

- Masz go - zauważył Han. - Zrobię wszystko, co tylko może ci pomóc. Jestem ci coś winien.

- Pogadamy o tym później. Na razie pozbadźmy się naszego przyjaciela.

Han szybko zaprogramował autopilota do startu i jednocześnie wgrał wszelkie odpowiadzi, jakich komputer będzie musiał udzielić kontroli lotu z Nar Shaddaa. Potem ustawił parametry nad-przestrzenne. Przy odrobinie szczęścia Boba Fett nie odzyska kontroli nad statkiem, dopóki nie znajdzie się o dziesiątki tysięcy parseków stąd.

- Gotowe - powiedział w końcu Han. - Startuje za trzy minuty.

- W porządku. - Lando odwrócił się do bezsilnego łowcy nagród. - Fett, słuchaj mnie i rób dokładnie to, co powiem. Masz siedzieć z zapiętymi pasami i nie zbliżać się do sterów, dopóki nie osiągniesz celu, który zaprogramował Solo, albo dopóki nie minie działanie narkotyku, jeśli nastąpi to wcześniej. Rozumiesz?

- Tak - odpowiedział Fett.

- To dobrze - odpowiedział Lando, machając mu przyjacielsko na pożegnanie. Wyskoczył na zewnątrz.

Han popatrzył twardo na Bobę Fetta.

- Miłej podróży, łowco. Mam nadzieję, że nigdy więcej się nie spotkamy. Powiedz ode mnie Teroenzie, że kiedy wrócę na Ilezję, to on będzie trupem. Słyszysz mnie?

- Tak.

- Na razie, Fett. - Han usłyszał, że silniki zaczynają powoli pracować, więc błyskawicznie zbiegł po drgającej już rampie, wciskając na zewnątrz śluzy przycisk „zamknięcie”. Na powierzchni lądowiska musiał już zeskoczyć.

Lando pobierał przez ten czas broń Boby Fetta. Odbiegli teraz razem na bezpieczną odległość.

Kiedy się odwrócili, statek łowcy właśnie startował unoszony potężnym ciągiem płonących silników. Dopiero kiedy pojazd znikł w oddali, Han wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

- Ufff... mało brakowało - westchnął.

- Też bym to tak ujął - zgodził się Calrissian. - Masz szczęście, że cię znalazłem, Solo.

Han skinął głową i wyciągnął rękę.

- Mów mi Han. Odwdzięczę ci się, Calrissian.

- Mów mi Lando. - Na twarzy ciemnoskórego Calrissiana znów pojawił się drwiący uśmiezek. -I nie przejmuj się... już ja dopilnuję, żebyś się odwdzięczył.

- Cokolwiek zechcesz, bracie. Nawet nie wiesz, co by się ze mną stało, gdyby Boba Fett spełnił swoją misję. - Korelianin zadrżał, choć słońce przygrzewało mocno. - Może zresztą nie chciałbyś wiedzieć.

- Mogę się domyślać - odpowiedział Lando. - Boba Fett nie jest tani. Jeśli ktoś chce cię dostać za taką cenę, to zapewne nie dlatego, aby cię spoliczkować.

Han roześmiał się.

- Bystry z ciebie facet, bracie.

Machnął ręką i ruszyli przez platformę lądowiska.

- Masz ochotę na śniadanie? Bo ja jestem naprawdę głodny. Kiedy ocieram się o śmierć, zawsze tak to na mnie działa.

- Jasne - odparł Lando. - Ty stawiasz?

- Masz to jak w banku.  
Wkrótce siedzieli w poleconej przez Hana małej kawiarni, popijając stymherbatę. Han czuł się tak, jakby znał Landa od wielu lat, a nie zaledwie od godziny.

- Więc powiedz w końcu - powiedział, kiedy przełknął ostatni kęs chleba - jak mnie znalazłeś? I po co mnie właściwie szukałeś?

- No, widziałem cię już wcześniej z raz czy dwa - przyznał Lando. - Wskazano mi cię w kilku nocnych klubach jako niezłego gracza w sabaka, dobrego przemytnika i doskonałego pilota.

Han próbował przybrać skromny wyraz twarzy, ale bezskutecznie.

- Wprawdzie ja nie pamiętam, abym cię widział, Lando, ale pewnie dlatego, że nie miałem powodu, by cię zauważyć. No więc wiedziałeś, jak wyglądam. Ale co zaszło dzisiaj rana?

- Wczoraj wieczorem wybrałem się do ciebie, aby pogadać, ale twój przyjaciel powiedział mi, że raczej nie wrócisz na noc do domu. - Lando spojrzał na niego z porozumiewawczym uśmiechem. - Powiedział, że pewnie zostaniesz z... przyjaciółką w Pałacu Losu. Więc jak skończyłem nocną robotę, postanowiłem tam wpaść w drodze do domu.

- Pracujesz w nocy? Co właściwie robisz? - zainteresował się Han.

- Jestem hazardzistą - wyjaśnił Lando. - To znaczy, przede wszystkim hazardzistą. Ale próbowałem wielu zajęć, jeśli trafiło się coś ciekawego.

- Rozumiem. Więc poszedłeś do Pałacu Losu w drodze do domu?

- Nie nadrabiałem tak wiele. Większość dużych kasyn na Nar Shaddaa jest w zasięgu spaceru ode mnie. Nieważne. Kiedy tam dotarłem, zobaczyłem cię na ulicy przed sobą. Poszedłem za tobą, bo miałem zamiar złapać cię i...

- Zobaczyłeś, jak chwyta mnie Boba Fett - domyślił się Han.

- Dokładnie. Nie bardzo lubię łowców nagród, więc poszedłem za wami, aż byłem zupełnie pewien, dokąd zmierzacie. Potem pobiegłem na skróty, żeby być tam przed wami. Ty szedłeś dość powoli, jak pamiętasz... Rozpoznałem statek Fet-ta i ukryłem się w dobrym miejscu, aby go zaskoczyć, gdy będziecie tamtędy przechodzić.

Han skinął głową.

- Cieszę się naprawdę, że tak zrobiłeś. Słuchaj, nie mów nic o tym Chewiemu, zgoda? On zaprzysiął mi coś, co nazywa długiem życia, wiesz? Uważa, że jest mi to winien. Naprawdę musiałem się namęczyć, żeby za mną nie szedł wczoraj wieczorem. Był pewien, że wpakuję się w kłopoty...

- No i miał rację - powiedział chichocząc Lando.

- Wiem - przyznał skruszony Han. - Ale jeśli on się o tym dowie, na pewno już nigdy nie spuści mnie z oczu. A... facet czasem potrzebuje trochę prywatności, rozumiesz?

Lando uśmiechnął się.

- Dobra, rozumiem. Niech będzie, zachowam to w tajemnicy. Nalał sobie następną filiżankę stymherbaty.

- Jest piękna? Han skinął głową.

- Powiedziałbym, że warta tego, co mnie dzisiaj spotkało. Lando był pod wrażeniem.

- Może powinieneś mnie jej przedstawić, stary? Han potrząsnął głową.

- Nie sądzą... stary. Wyglądasz na niebezpiecznego gościa. Mógłbyś spróbować mi ją odbić.

Lando wzruszył ramionami, ale dalej uśmiechał się przebiegle.

- Nigdy nic nie wiadomo...

- I tak skończyłoby się na próbowaniu - uśmiechnął się Han. - Ale dlaczego właściwie mnie szukałeś? Wspominałeś, że potrzebujesz pilota.

- Fakt. W zeszłym tygodniu grałem w sabaka na Bepin i jeden z graczy postawił swój statek. To była gra na dość wysokie stawki.

- I wygrałeś statek - domyślił się Han.

- Zgadza się. Ale nigdy nie pilotowałem. Muszę się nauczyć, zwłaszcza teraz, skoro może mnie tropić Boba Fett. Poszukam sobie nowych stolików sabaka i świeżych frajerów do golenia w jakiejś innej części galaktyki. Fajnie będzie przy tym podróżować własnym statkiem. Żeby dolecieć tutaj, musiałem jednak wynająć pilota, i było to dość kosztowne. Więc, krótko mówiąc... chcę, żebyś nauczył mnie latać moim statkiem.

- Nie ma sprawy - powiedział Han. - Kiedy chcesz zacząć? Lando wzruszył ramionami.

- Cały czas mam wysoki poziom adrenaliny po tej rozprawie z Fettem i wcale nie chce mi się spać. Może od razu?

Han skinął głową.

Dostali się na właściwą platformę startową. Razem szli po gładkim permabetonie lądowiska mijając rzędy zaparkowanych wehikułów, aż wreszcie Lando zatrzymał się i wskazał jeden z nich.

- Oto on. „Sokół Millenium”.

Han spojrzał na zmodyfikowany lekki frachtowiec. Koreliański kadłub i napęd - model YT-1300 Transport. Widział już takich wiele i zawsze mu się podobały. Kordianie zawsze byli równie dobrymi inżynierami, jak pilotami.

Gdy patrzył na „Sokoła Millenium”, stało się z nim coś dziwnego. Bez żadnego ostrzeżenia poczuł, że nieodwołalnie i nieodwracalnie zakochał się w tym statku. On go po prostu wzywał, śpiewał dla niego pieśń o swej szybkości, zwrotności, ucieczkach i przygodach, udanym przemycie i niebezpiecznych szlakach.

Ten statek będzie mój, pomyślał Han. Mój. „Sokół Millenium” będzie mój...

Korelianin nagle zdał sobie sprawę, że gapi się z otwartymi ustami. Lando patrzył na niego podejrzliwie...

Han zamknął usta i postarał się Wyprzeć ze swojego umysłu to nagłe pożądanie. Trzeba to rozegrać chłodno. Jeśli Lando domyśli się, jak bardzo Han pragnie tego statku, jego cena na pewno wzrośnie...

- Co o nim myślisz? - zapytał Lando.

Han potrząsnął głową.

- Kupa śmiecia - skrzywił się, w myślach błagając „Sokoła” o wybaczenie. - Ta gra nie miała aż tak wysokich stawek, jak próbowałeś mi wmówić, stary.

- Ej, ten pilot, który nim tu przyleciał, mówił, że to naprawdę szybki statek - powiedział Lando, jakby się tłumaczył.

- Naprawdę? - zapytał Han powątpiewająco. Wzruszył ramionami. - Najlepiej będzie się przekonać. Mała przejażdżka?

- Jasne - odparł Lando.

Han zasiadł za sterami nowego nabytku Lando. Zachwyił się płynną reakcją „Sokoła”, kiedy delikatnie pchnął go w górę, a potem aktywował silniki podświetlne. Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył zaraz po przyjeździe - ten statek miał hipernapęd najwyższej klasy bojowej! Jego prędkość podświetl-na też była niezła. Han pchnął go ostro do przodu. Nagły zryw mocy zachwyił go, ale postanowił zańadto tego nie okazywać.

- Nieźle - pochwalił tylko skąpo. - Ale widywałem lepsze. Zobaczmy, jak manewruje.

Szybko wyprowadził „Sokoła” poza atmosferę Nar Shaddaa, a potem przez uchyloną tarczę, cały czas pamiętając o kontroli lotów. Kiedy uwolnił się od grawitacji i przeleciał poza niebezpieczny śmietnik krążących w przestrzeni wraków, wpuścił „Sokoła” w zapierającą dech w piersiach serię obrotów, korkociągów i zwrotów.

- Hej! - zaprotestował Lando z pozieleniałą twarzą. - Masz na pokładzie pasażera! Chcesz, żebym zwrócił śniadanie?

Han uśmiechnął się. Kusiło go, by powiedzieć Lando, jak bardzo pragnie tego statku, ale wiedział, że nie będzie mógł sobie na niego pozwolić. Przez głowę przemknęła mu myśl, aby namówić Hurtów na jego zakup, aby móc nim regularnie latać... a potem może pewnego dnia by go ukradł...

Nie, to na nic. Nie chciał, aby Jabba i Jiliak zostali właścicielami „Sokoła”. Nie doceniliby jego piękna, jego mistrzowskiego wykonania...

Han szybko sprawdził uzbrojenie.

Jest szybki, ale trochę za słaby...

Tylko jedno lekkie działko laserowe na górnej wieżyczce. Za mało, pomyślał.

Lando, jakby czytał w jego myślach, odezwał się nagle:

- Pilot, który mnie tu przywiózł, mówił, że aby być dobrym przemytnikiem, muszę mieć więcej uzbrojenia. Co o tym myślisz?

- Gdyby to był mój statek, zainstalowałbym następne działko na wieżyczce i kilka sprzężonych laserów, a także samopowtarzający się blaster pod spodem w razie szybkich ucieczek - powiedział Han. - Może jeszcze jakieś pociski kontaktowe...

- Aha - zastanowił się Lando. - Muszę nad tym pomyśleć. Ale jest szybki, prawda?

Han przytaknął niechętnie.

- Tak, całkiem szybki. - Poglaskał z uczuciem konsolę. - Mój kochany, śliczny...

Kilka minut później Lando chrząknął znacząco.

- Myślałem, że wylecieliśmy, żebyś uczył mnie pilotażu...

- Eee... no, tak - odparł szybko Han. - Tylko go... sprawdzam, żebym mógł ci opowiedzieć o wszystkich jego kapryśach i potrzebach...

- Mówisz o nim jak o żywej istocie - zauważył Lando.

- Wiesz, piloci często myślą o swoich statkach w ten sposób - przyznał Han. - Stają się dla nich jakby... przyjaciółmi. Zrozumiesz to.

- Nie zapominaj, że „Sokol” to mój statek - powiedział

Lando z naciskiem.

- Oczywiście - odparł Han ostrożnie. - Teraz słuchaj. Zaczniemy od prędkości podświetlnych, bo na nich dokonuje się wszystkich najważniejszych manewrów. Wiesz tę dźwięgnę? Jeśli ją pociągniesz, znajdziemy się w nadprzestrzeni, a to jest bardzo niewskazane, jeśli nie ustaliłeś wcześniej parametrów skoku. Więc nie dotykaj jej, rozumiałeś?

Lando pochylił się do przodu zaaferowany.

- Zrozumiałem...

Tysiące lat świetlnych dalej Teroenza, Najwyższy Arcykapłan Ilezji, stał w samym sercu Trzeciej Kolonii i szacował straty poniesione w wyniku porannego ataku terrorystów. Tuzin ciał leżało na zewnątrz, głównie strażnicy Teroenzy. Na wielu budynkach pozostały ślady po ogniu blasterów. Drzwi do sali zebrania były zniszczone, a w budynku administracyjnym właśnie dogaszano pożar. Smród spalenizny mieszał się z ciężkim zapachem mokrej, parującej dżungli.

Najwyższy Arcykapłan parsknął nerwowo. I to wszystko z powodu niewolniczego rajdu. Rajdu nie w celu zdobycia niewolników, ale ich uwolnienia!

Napastnikami byli ludzie, przynajmniej większość z nich. Teroenza widział atak na ekranie komunikatora w swojej kwaterze głównej w Pierwszej Kolonii. Dwa statki doleciały do Ilezji przez zdradliwe prądy atmosfery, ale tylko jeden zdołał bezpiecznie wylądować. Drugi, smagnięty nagłym podmuchem, rozbił się o ziemię. To było z pewnością karą bogów, pomyślał Teroenza przyglądając się zniszczeniom, które wyrządził ocalały statek. Kundle! Ze statku wyłoniła się uzbrojona drużyna, ubrana w mundurowe bluzy koloru khaki, i zaatakowała jego strażników. Po krótkiej wymianie ognia większość z nich została unicestwiona, a napastnicy przypuścili szturm na refektarz, gdzie pielgrzymi spożywali śniadanie. Nakłaniali ich do odlotu, twierdząc, że przybyli uratować wszystkich od niewolnictwa.

Teroenza wydobył z siebie miękki syczący dźwięk, który był u niego odpowiednikiem chichotu. Głupcy! Ci głupcy sądzili, że pielgrzymi zgodzą się zrezygnować z Uniesienia dla wolności. Tylko dwoje spośród ponad dwustu siedzących na sali przyłączyło się do przybyszy. Ale potem, przypomniał sobie Teroenza z nienawiścią, wystąpiła Ona i zwróciła się do zebranych pielgrzymów. Najwyższy Arcykapłan sądził, że jest już dawno martwa. O, pamiętał ją bardzo dobrze. Pątniczka numer 921, Bria Tharen. Korelianka... zdrąjczyjni.

Bria przemówiła do pielgrzymów ujawniając im prawdziwą naturę Uniesienia. Zapewniła, że pewnego dnia jej za to podziękują, po czym kazała swym ludziom wypalić do nich z ogłuszaczy. W końcu korelińska grupa odjechała z ponad setką zdrowych, obozwardniionych niewolników. Teroenza zaklął paskudnie. Bria Tharen! Nie



mógł się zdecydować, kogo z tej koreliańskiej pary nienawidzi bardziej -jej czy tego przeklętego Hana Solo.

Teroenza zmartwił się tą historią. Za takim atakiem musiały stać jakieś pieniądze. Statki i broń kosztują. Napastnicy okazali się bardzo dobrze zorganizowani i skuteczni jak profesjonalny oddział. Kim byli?

Teroenza słyszał o różnych grupach rebeliantów buntujących się przeciwko Imperium. Czy to możliwe, by oddział, który zaatakował Trzecią Kolonię, był częścią takiej właśnie grupy?

Najwyższy Arcykapłan odczuł mściwą satysfakcję, wyobrażając sobie, jak bardzo rozczarują się ci nędznicy, gdy pielgrzymi się wreszcie obudzą. T'landa Tilowie dobrze wiedzieli, jak silne stawało się uzależnienie większości humanoidów od Uniesienia, jeśli doświadczali go codziennie. Teraz już muszą mocno cierpieć z powodu jego braku. Będą krzyczeć, płakać, grozić i błagać o powrót na Ilezję. Może nawet przejmą władzę na statku rebeliantów i sprowadzą go tutaj z powrotem, jako prawomyślni wynawcy jego religii. Jedno jest pewne. Kordianie będą mieli pełne ręce roboty.

Teroenza uśmiechnął się na tę myśl.

W kilka dni po incydencie z Boba Fettem Han wybrał się do Jiliaka i Jabby, aby ich zawiadomić, że ma zamiar zniknąć na jakiś czas z Nar Shaddaa. Zdecydował się przyjąć propozycję Xaverri i zostać jej asystentem podczas najbliższej trasy. Miał przeczucie, że Boba Fett nie zrezygnuje tak łatwo, więc uznał, że nie zaszkodzi opuścić Nar Shaddaa na kilka miesięcy.

Ale nie miał nawet szansy, by przedstawić swoją sprawę. Gdy pojawił się przed obliczem Hurtów, Jabba natychmiast zarzucił go niecierpliwymi rozkazami. Polecił przygotować „Klejnot Gwiazd” do natychmiastowej podróży na Nal Hutta. Emisariusze kajdiców Desilijic i Besadii ustalili datę spotkania na następny dzień. Najwyraźniej Besadii podjęli negocjacje, a może nawet zgodzili się na poważne ustępstwa, aby tylko przeprowadzić spotkanie jak najszybciej.

- Dzisiaj? - zapytał Han myśląc, że w takim razie będzie musiał odwołać lekcję z Lando. - Mamy bardzo mało czasu.

- Tak - zgodził się Jabba. - Nie znamy powodów tego nagłego pośpiechu, ale coś musiało się wydarzyć.

- Dobrze, będę gotów dzisiaj po południu - odparł Han. - Dajcie mi godzinę, żeby przygotować statek i zastanowić się nad kursem.

- Kapitanie Solo, lot musi przebiegać możliwie najłagodniej - ostrzegł Jabba. - Żadnych turbulencji. Moja ciotka jest w poważnym stanie. Nic nie może jej się stać.

Han rozejrzał się w poszukiwaniu jeszcze jednego Hutta, ale dostrzegł tylko Jiliaka.

- Twoja ciotka? Przepraszam, lordzie Jabbo, czy w takim razie będę miał trzech pasażerów?

- Nie, człowieku! - Jabba wyraźnie się zniecierpliwiał. - Tylko ja i Jiliak, jak zwykle. Nie masz oczu? Nie widzisz tego koloru skóry? Jej stan jest oczywisty.

Han spojrział na Jiliaka i nagle zdał sobie sprawę, że Hutt wygląda inaczej. Na jego twarzy pojawiły się brodawki, a na całym ciele purpurowe i zielonkawe plamy odcinały się wyraźnie od jasnobrażowej skóry. Jiliak wydawał się spuchnięty i jakby ospały.

Świetnie! Mam być pielęgniarzką dla chorego Hutta, pomyślał wściekły. Po prostu wspaniale!

- Hmm... lordzie Jiliak, czy czujesz się... - zaczął Han, ale Jabba przerwał mu z irytacją.

- Ludzki idioto! Czy nie widzisz, że lord Jiliak jest teraz lady Jiliak? Ona jest w ciąży! W tym delikatnym stanie nie powinna podejmować takiego wysiłku, ale my, Desilijic, wiemy, co to są obowiązki wobec klanu!

Ona? W ciąży? Pilot aż otworzył usta ze zdumienia, a Chewie ryknął zaskoczony.

Han jednak szybko doszedł do siebie i pokłonił się Jiliak.

- Proszę o wybaczenie, lady Jiliak. Nic nie wiedziałem o zwyczajach rozrodczych waszego gatunku. Nie miałem zamiaru cię obrazić.

Jiliak mrugnęła ospale oczami.

- Nie obraziłeś mnie. Mój lud rozmnaża się, kiedy chce i stwierdziłam właśnie, że nadeszła na to pora. Moje dziecko narodzi się za kilka miesięcy. Mogę bez trudu odbyć taką podróż. Mój bratanek Jabba jest zbyt opiekuńczy. Mimo wszystko lepiej, żeby lot przebiegał spokojnie.

- Tak, lady - pokłonił się Han. - Lot na Nal Hutta odbędzie się dziś po południu. Wszystkiego dopilnuję.

- Bardzo dobrze, kapitanie. Możesz odejść. Chcielibyśmy wylecieć tak szybko, jak to możliwe.

Han ukłonił się jeszcze raz i wyszedł razem z Chewiem. Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, pokręcił w zdumieniu głową. Ci Huttowie! Im bliżej ich poznaję, tym wydają się dziwniejsi!

Tłum Huttów pełził i czołgał się w stronę wielkiego pałacu Rady Huttów na Nal Hutta. Byli wśród nich także Jabba i Jiliak, otoczeni przez swoich ochroniarzy z klanu Desilijic. Większość Huttów poruszała się o własnych siłach, jeśli byli jeszcze w stanie. Można było okazywać słabość w obliczu ludzi i innych niższych ras, ale wobec istot własnej rasy Huttowie woleli wyglądać na silnych i zdrowych. Wszyscy członkowie klanu Desilijic pełzli sami, a pośród klanu Besadii tylko Aruk był zbyt stary i gruby, by zrezygnować z użycia platformy antygravitacyjnej.

Po drodze do sali spotkań lordowie oraz ich ochrona musieli przejść przez mnóstwo bramek kontrolnych i urządzeń skanujących. Żadnemu ze strażników nie pozwolono wnieść do środka broni, a każdy z uczestników konferencji został dokładnie sprawdzony zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz, aby uniemożliwić wniesienie na obrady jakichkolwiek niebezpiecznych substancji. Huttowie byli zdecydowanie nieufnymi istotami, zwłaszcza w towarzystwie innych Huttów, i mieli ku temu powody. Wiele lat temu całą elitę Huttów na Nal Hutta wyeliminowano jednym udanym zamachem właśnie podczas takiego spotkania. Huttowie nie mieli zamiaru dopuścić, by coś takiego wydarzyło się ponownie.

Wielki pałac Rady był olbrzymią budowlą, na tyle dużą, by swobodnie pomieścić ponad pięćdziesięciu Huttów. W tym spotkaniu jednak uczestniczyło tylko dwudziestu siedmiu reprezentantów najważniejszych klanów i kajidiców, ale również „neutralnych” przedstawicieli huttyjskiego rządu, którzy mieli nadzorować i prowadzić konferencję.

Świat Huttów był rządzony przez Wielką Radę - oligarchiczny twór składający się z kandydatów mianowanych przez każdy z ważniejszych klanów. W rzeczywistości jednak potęgą przestępczych syndykatów - kajidiców - była znacznie większa niż potęga Wielkiej Rady.

Jabbie i lady Jiliak towarzyszyło jeszcze dwóch członków klanu Desilijic. Aruk przybył na spotkanie ze swoim synem Durgą i bratankiem Kibbickiem. Jabba był zadowolony, że w orszaku Kibbicka dostrzegł także pewnego flanda Tila. Jiliak miała rację - Besadii wezwali na spotkanie Teroenzę.

Kiedy wszyscy Huttowie rozsiedli się wreszcie wygodnie dookoła platformy mówcy, konferencję oficjalnie otworzył sekretarz wykonawczy Wielkiej Rady, Hutt o imieniu Mardoc. Kiedy każdy klan oficjalnie przedstawił swoją delegację, Mardoc przemówił:

- Towarzysze w mocy i bracia w zysku! Zostaliście tutaj wezwani, aby przedyskutować bardzo ważne sprawy związane z kolonią klanu Besadii na planecie Ilezji. Poproszę lorda Aruka o zabranie głosu.

Aruk przesunął swoją platformę w stronę podium mówcy. Machając małymi rączkami dla podkreślenia wagi swoich słów, odezwał się do zebranych:

- Bracia Huttowie, dwa dni temu Trzecia Kolonia na Ilezji została zaatakowana przez doskonale uzbrojonych terrorystów. Kibbick i nasz nadzorca Teroenza ledwie uszli z życiem. Dokonano wielu zniszczeń, a napastnicy uprowadzili prawie setkę cennych niewolników.

Zebrani Huttowie z podnieceniem komentowali słowa Aruka. Jabba zdał sobie sprawę, że Aruk patrzy wprost na niego i na Jiliak. Obserwuje nasze reakcje, pomyślał. Przez moment Jabbie przemknęło przez głowę, że być może Jiliak rzeczywiście snuła jakąś koronkową intrygę, nie informując go o tym. Po chwili zastanowienia odrzucił jednak ten pomysł. Jego ciotka była ostatnio tak zajęta swoją ciążą, że na pewno nie miała głowy do spisków, a już zwłaszcza do terrorystycznych rajdów. Jiliak na ogół unikała takich bezpośrednich napaści, zwalczając wrogów bardziej subtelnymi metodami.

- My, Huttowie z klanu Besadii, żądamy, aby Jiliak, jako głowa klanu Desilijic, osobiście nas zapewniła, że jej klan nie miał nic wspólnego z tym przykrym wydarzeniem. Inaczej będzie to oznaczać wojnę pomiędzy naszymi kajidicami.

Znów rozległy się podniecone szepty.

Słowa Aruka zawisły w powietrzu jak dym z hookahs, które palili niektórzy Huttowie.

Jiliak uniosła się powoli, wręcz majestatyczna w swojej macierzyńskiej wielkości.

- Bracia Huttowie - zaczęła. - Klan Desilijic nie przyłożył ręki do tego aktu agresji. Co więcej, jeżeli podczas śledztwa zostanie odkryta najmniejsza nić łącząca nasz klan z napastnikami, Desilijic wypłacą klanowi Besadii sumę miliona kredytów.

Zapadła cisza.

Aruk pochylił głowę w geście, który u Huttów oznaczał ukłon.

- Nikt nie powie, że Desilijic nie potrafią bronić swojego honoru, nawet ryzykując pieniądze. Zwracamy się zatem do Wielkiej Rady o wszczęcie śledztwa w tej sprawie. Wyników spodziewamy się za miesiąc.

Mardoc zgodził się na to. Po chwili jeszcze raz udzielił głosu Jiliak, która sygnalizowała, że ma coś do powiedzenia.

- Chciałabym móc to samo powiedzieć o klanie Besadii. Kilka miesięcy temu tu obecny mój bratanek - wskazała na Jabbę - został brutalnie zaatakowany przez płatnych najemników. Wyłącznie dlatego, że nie możemy z całą pewnością stwierdzić, kto ich wynajął, nie rzucamy oskarżenia na naszych rywali. W przeciwieństwie do Besadiiich nie mamy zwyczaju nikogo oskarżać bez dowodów.

Na sali zahuczało od gorączkowych szeptów i komentarzy. Aruk dźwignął się na całą wysokość swojej imponującej postaci, a jego oczy błyszczały teraz ognistą czerwień.

- Besadii nie zrobili nic złego!

- Zaprzeczasz, że to ty nasłałeś piratów drelijskich, aby zamordowali mojego bratanka?

- Zaprzeczam! - zagrzmiał Aruk.

Głośne przekleństwa, pogrożki i oskarżenia zmusiły Mardoca do przerywania obrad. Podczas przerwy Jabba obserwował Huttów rozmawiających w małych grupkach. Zaczynał się zastanawiać, kto właściwie zaatakował Ilezję. Jeśli nie Desilijic, to kto?

Czyżby Ilezja miała jakiegoś rywala w handlu narkotykami?

Podczas popołudniowej sesji Durga leżał obok platformy swojego rodzica. Zaczynał się martwić o Aruka. Konferencja trwała od wielu godzin, a Aruk był cały czas bardzo aktywny. Durga wiedział, że jego ojciec nie jest przyzwyczajony do tak długiego działania w napięciu. Był już bardzo starym Huttem, niemal tysiącletnim.

Młody Hutt słuchał uważnie wiedząc, że Aruk go później przeegzaminuje z przebiegu obrad. Za to leżący obok niego Kibbick raz po raz mrugał oczami, walcząc z ogarniającą go sennością. Durga spojrzał na niego karcąco. Jego kuzyn był idiotą. Czy nie rozumiał, że takie właśnie spotkania, argumenty i kontrargumenty, ataki i riposty stanowiły esencję obyczajów Huttów? Czy nie rozumiał, że potęga i zyski były pokarmem i powietrzem ich rasy?

Była to pierwsza taka konferencja w krótkim życiu Durgi. Bardzo go ucieszyło, że ojciec pozwolił mu w niej uczestniczyć. Durga wiedział, że z powodu brzydkiego znamienia niektórzy z klanu Besadii będą kwestionować jego prawo do odziedziczenia przywództwa po śmierci Aruka. A Durga był głęboko przekonany, że ma wszystkie niezbędne kwalifikacje do przewodzenia klanem. Był sprytny, inteligentny, bezlitosny i przebiegły. Miał wszystkie szanowane cechy Huttów. Ale musiał udowodnić to klanowi Besadii, zanim umrze Aruk, bo może mieć kłopoty z przejściem sukcesji po rodzicu.

Gdybym to ja mógł przejąć Ilezję zamiast Kibbicka, pomyślał. Wiedział, że wczoraj jego ojciec cały wieczór wściekał się na Kibbicka za to, że pozwolił Teroenzie przejąć faktyczną kontrolę nad planetą. Ostrzegł też flanda Tila, że powinien znać swoje miejsce, bo inaczej może łatwo stracić pozycję Najwyższego Arcykapłana.

Teroenza płaszczyl się przed starym huttyjskim lordem, ale Durdze zdawało się, że dostrzegł w jego oczach błysk gniewu. Zadecydował, że tego kapłana trzeba mieć na oku.

Kibbick ze swej strony ograniczył się do utyskiwania na nudne życie na Ilezji i na nadmiar pracy. Aruk odprawił go w końcu. Durga uważał, że powinien natychmiast zwolnić Kibbicka ze stanowiska. Zastanawiał się nawet, czy zamordowanie kuzyna nie byłoby dobrym rozwiązaniem...

Miał jednak wrażenie, że Aruk by tego nie pochwalil. A to oznaczało, że Durga nie zrobi tego, dopóki ojciec żyje. To nie znaczy, że życzy Arukowi śmierci. Był niezwykle przywiązany do rodzica i wiedział, że on też go kocha. Wiedział też doskonale, że zawdzięcza Arukowi wszystko. Większość huttyjskich rodziców nie pozwoliłaby żyć potomkowi urodzonemu ze znamieniem.

Durga chciał, żeby Aruk był z niego dumny. To pragnienie było nawet silniejsze niż żądza potęgi i zysku. Inni Huttowie uznaliby taką hierarchię wartości za świętokradczą, toteż nigdy się z nią nie zdradził.

Durga patrzył, jak Jabba Hutt pełźnie na miejsce mówcy. Drugi lord Desilijic był uważany pod niejednym względem za bardzo niezwykłego Hutta, choć większość ziomków uważała jego przesadne zainteresowanie humanoidalnymi samicami za perwersyjne i niesmaczne. Mimo to Jabba był groźnym przeciwnikiem - Durga musiał to przyznać. Na razie słuchał go uważnie.

- Posłuchajcie mnie, szacowni lordowie! Besadii twierdzą, że ich rozrastające się kolonie na Ilezji są po prostu dobrym interesem, ale czy możemy pozwolić, aby dobry interes jednego kajidica zrujnował całe ekonomiczne podstawy naszego świata? Besadii zagarnęły tak olbrzymią część rynku przypraw i niewolników, że czas już chyba zmusić ich do umiaru! Muszą wreszcie zrozumieć, że nabijając swoje skrzynie złotem, doprowadzają do katastrofy cały nasz świat.

- Do katastrofy? - zagrział głos Aruka, tak głęboki i władczy, że Durga znów poczuł ukłucie dumy. Jego ojciec był największym przywódcą Huttów, jaki kiedykolwiek się urodził... -Katastrofy, moi przyjaciele? W zeszłym roku mieliśmy sto osiemdziesiąt siedem procent zysku! Jak można to oceniać inaczej niż w kategoriach należnego uznania? Pytam cię, Jabbo. Jak?

- Można, ponieważ część tych zysków jest osiągnięta kosztem waszych braci Huttów - odparł Jabba. - To dobrze, że oskubujecie innych: ludzi, Rodian, Sullustian i wszelkie stworzenia w galaktyce. Oni po to istnieją, by Huttowie mogli ich wykorzystywać. Ale niebezpieczne jest zagarnięcie zbyt wielkich zysków kosztem Nal Hutta i braci Huttów.

- Naprawdę? - w głosie Aruka zabrzmiał sarkazm. - A na czym polega to niebezpieczeństwo, lordzie Jabbo?

- Zbyt wiele podejrzanych zysków może zwrócić na nas uwagę Imperium i jego funkcjonariuszy - zaznaczył Jabba. - Nal Hutta jest daleko od serca Imperium. Tutaj, na granicy terytoriów Rimów, jesteśmy do pewnego stopnia chronieni przez odległość i jeszcze bardziej przez Moffa Sarna Shilda, którego opłacamy sowicie, aby mógł wieść styl życia, do jakiego zdążył przywyknąć. Ale jeżeli jakiś klan Huttów zgromadzi nagle niewspółmierne bogactwa, zwróci uwagę Imperatora na nas wszystkich. A tego, bracia Huttowie, chyba nikt z nas sobie nie życzy.

Durga słyszał szept Huttów i musiał przyznać, że Jabba dobrze to rozegrał. Jeśli Imperator za bardzo interesował się jakimś światem, zawsze kończyło się to dla tego świata tragicznie.

Zastanawiał się, w jaki sposób Jabba i Jiliak odkryli, że to właśnie Besadii stali za atakiem drelijskich piratów. Szkoda, że stracono taką szansę pozbycia się Jabby z Nal Hutta. Bez Jabby Jiliak byłaby znacznie łatwiejsza do pokonania. Jabba to zdolny Hutt i do tego bardzo opiekuńczy wobec ciotki. A jego ochrona była znacznie lepsza niż ochrona Jiliak.

Huttyjscy lordowie nie potrafili osiągnąć porozumienia co do nadmiernych zysków klanu Besadii. Dyskusja zmieniła się w kłótnię pełną osobistych wycieczek. Nie wyglądało na to, by miała przynieść jakiegokolwiek rozstrzygnięcia.

Aruk ponownie zabrał głos i mówił, zatroskany, o ostatnich przypadkach przemocy. Jiliak przyznał, że jego też to martwi. Durga był zaskoczony, że zgodzili się jednak w jakiejś sprawie. W końcu Desilijic i Besadii doszli do bezprecedensowej konkluzji.

- Proponuję - zaczął Aruk podsumowując rozmowy - aby Wielka Rada ogłosiła moratorium na przemoc pomiędzy kajidicami na okres co najmniej trzech następnych standardowych miesięcy. Kto poprze mój wniosek?

Jiliak i Jabba pierwsi entuzjastycznie zagłosowali za. Po nich, jeden za drugim, przedstawiciele pozostałych klanów. Mardoc ogłosił, że propozycja Aruka została przyjęta.

Durga spojrział na swojego ojca i poczuł przypływ dumy.

Aruk jest gigantem pomiędzy Hurtami!

Dużo później, tej samej nocy, gdy obaj Huttowie szykowali się do snu w pałacu Jiliak na Nal Hutta, zbudowanym na wyspie, w jednej z bardziej umiarkowanych stref klimatycznych planety, Jiliak zwróciła się do Jabby.

- Aruk jest niebezpieczny. Jestem o tym przekonana bardziej niż kiedykolwiek.

- Masz rację. Wywierał wielkie wrażenie, gdy zwracał się do klanów - zgodził się Jabba. - Ma... charyzmę. Potrafi przewodzić i przekonywać.

- Co za ironia losu, że to właśnie Aruk postawił propozycję moratorium, którą sama chciałam zgłosić - powiedziała Jiliak. - Wstrzymałam się zresztą specjalnie, bo uznałam, że to Aruk musi wystąpić z tym pomysłem, aby inni go poparli.

- Jest doskonałym mówcą, ciociu - skinął głową Jabba.

- Mówcą, który musi zamilknąć, jeśli Desilijic nie chcą wiele stracić - powiedziała trzeźwo Jiliak. - To trzymiesięczne moratorium na przemoc między kajidicami pozwoli nam skoncentrować się na problemie Aruka.

Jabba zamrugał zaskoczony wylupiastymi oczami. Jego ciotka ze spokojem sadowiła się w swoim legowisku.

- Co masz na myśli, ciociu?

Jiliak milczała przez dłuższą chwilę.

- Myślę, że otwiera się przed nami szansa uderzenia Aruka w jego słaby punkt - odpowiedziała wreszcie.

- Jego słaby punkt?

- Tak, bratanku. Aruk ma słaby punkt i ten punkt ma imię. A brzmi ono...

- Teroenza - dokończył Jabba.

- Zgadza się, bratanku.

Kiedy Teroenza wsiadł na jacht Kibicka lecący z powrotem na Ileżję, był w bardzo podłym nastroju. Aruk nie zezwolił mu na najkrótsze choćby wakacje na Nal Hutta, podkreślając, że musi natychmiast wracać, aby nadzorować odbudowę zniszczeń planety po rajdzie.

Teroenza był okropnie niezadowolony, bo miał nadzieję na spotkanie ze swoją partnerką Tilenną. Ale Aruk powiedział „nie” takim tonem, że Teroenza nawet nie śmiał podjąć dyskusji. Musiał tu tkwić z tym idiotą Kibickim do towarzystwa, zamiast razem z ukochaną taplać się beztrząsco w gęstym, cudownym bagnie.

Z obrzydzeniem wtoczył się do przystosowanej do jego potrzeb kabiny i opadł na swoje wiszące legowisko. Przeklęty Aruk! Huttyjski lord z wiekiem zaczynał zachowywać się irracjonalnie. Irracjonalnie i ostro. Bardziej niż do tej pory.

Najwyższy Arcykapłan wciąż nie mógł się otrząsnąć po kontroli finansowej, którą musiał ścierpieć. Aruk wypytywał o każdy wydatek, klócił się o każdy kredyt. Na koniec doszedł do nagrody wyznaczonej za Hana Solo, której wysokość uznał za absolutnie nieuzasadnioną.

- Niech Boba Fett rozwali go na atomy! - rozżłościł się. -Dezintegracja będzie znacznie tańsza! Pozwalanie sobie na takie prywatne zachcianki jest po prostu bezczelnością!

Wciąż rozżłoszczony Teroenza sięgnął do swojego komunikatora i włączył go. Na ekranie pojawiły się słowa w huttyjskim, zanim jeszcze zdołał wpisać swój kod dostępu.

Wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami przeczytał następującą wiadomość:

„Ta informacja zniknie za sześćdziesiąt sekund. Próba jej zarejestrowania zniszczy twój terminal. Zapamiętaj podany kod dostępu i odpowiedz, używając go”.

Potem pojawił się skomplikowany kod.

Zaintrygowany Teroenza zapamiętał go. Zgodnie z obietnicą po sześćdziesięciu sekundach wszystko przybladło i zgasło, a potem pojawiły się następne słowa:

„Czego pragniesz najbardziej? Jeśli nam powiesz, być może pomożemy sobie nawzajem”.

Wiadomość oczywiście nie była podpisana, ale Teroenza wiedział doskonale, kto ją wysłał. Gdy przyglądał się, jak znika, zastępowana przez standardowe otwarcie komunikatora i pytanie o kod dostępu, zdał sobie nagle sprawę, co to oznaczało.

Odpowiedzieć na tę wiadomość?

Zostać zdrajcą?

Czego właściwie najbardziej pragnął?

## ROZDZIAŁ

# 7

### INTRYGI

Gdy tylko Han po zakończonej konferencji odwiózł Jabbę na Nar Shaddaa (Jiliak zdecydowała, że zostanie na Nal Hutta przez cały okres ciąży), natychmiast spotkał się z Lando Calrissianem.

W czasie podróży na Nal Hutta Chewie prowadził zamiast niego lekcje pilotażu z młodym hazardzistą i Han był zaskoczony postęпами nowego przyjaciela.

- Zaczynasz nieźle sobie radzić, staruszk - powiedział, gdy Lando z zaciśniętymi ze zdenerwowania zębami, ale prawidłowo przeprowadził manewr lądowania. Statek osiadł w przeznaczonym mu doku niemal bez wstrząsu. - Jeszcze tydzień i będziesz gotów polecieć sam.

Lando spojrział na Hana, a jego ciemne oczy błyszczały powagą.

- Myślę, że już mogę to zrobić, Han. Zresztą muszę być gotów, bo jutro wylatuję. Słyszałem, że w systemie Oseonian są doskonale światy wypoczynkowe z wieloma domami hazardu, i mam zamiar to sprawdzić. Może nawet wybiorę się do niezależnych sektorów.

- Lando, to jest poza przestrzenią Imperium! - krzyknął Han. - Nie jesteś jeszcze przygotowany do tak skomplikowanej nawigacji. Zwłaszcza jeśli masz zamiar lecieć sam.

- Chcesz polecieć ze mną? - zaproponował Lando.

Hana kusił propozycja, ale dał już słowo Xaverri...

Potrząsnął głową.

- Nie mogę, Lando. Obiecałem, że wybiorę się w następną trasę. Ona na mnie liczy.

- Nie wspominając o tym, że jest dużo ładniejsza niż ja - uzupełnił Lando.

Han uśmiechnął się.

- W tym też coś jest - przyznał, zaraz jednak spoważniał. - Poczekaj jeszcze parę dni, Lando. Wierz mi, bracie, nie jesteś jeszcze gotów do tak dalekiego lotu, zwłaszcza bez drugiego pilota.

Tracę „Sokoła”, pomyślał. A jeśli już nigdy więcej go nie zobaczę?

- Chewbacca wiele mnie nauczył - upierał się hazardzista. - Prawie nie dotykał sterów przez ostatnich kilka lotów.

- Ale... - zaczął Han.

- Żadnych ale - uciął Lando. - I tak żyję tu na kredyt. Ty też, Han. Boba Fett nie wybacza i nie zapomina. Mam zamiar stąd zniknąć co najmniej na sześć miesięcy. Kiedy wyjeżdża Xaverri?

- W przyszłym tygodniu - odparł Han. - Jej występy tutaj zostały przedłużone o tydzień. Na żądanie publiczności.

- Powiedziałeś już Jabbie, że wyjeżdżasz?

- Taaa... wcale nie był uszczęśliwiony.

Chewie wtrącił swój komentarz.

- Jabba już się taki urodził - powiedział Han usprawiedliwiająco. - Ale i tak jest jednym z najuczciwszych Huttów, jacy istnieją.

- Powiedziałeś mu, dlaczego masz zamiar wyjechać?

- Tak. To zresztą znacznie go uspokoiło. Myślę, że nawet taki Jabba byłby zdenerwowany wiedząc, że poluje na niego Boba Fett.

- Cóż, gdybym był na twoim miejscu, zwiewałbym stąd jak najszybciej - powiedział Lando. - A dopóki nie opuścisz Nar Shaddaa, pilnie oglądaj się za siebie.

Żadne argumenty nie mogły zmienić decyzji Lando. Han następnego ranka z ciężkim sercem stał na lądowisku, z którego startował „Sokół”.

Statek zakotłosał się lekko tuż nad ziemią, a potem poszybował wysoko w górę.

Han pokręcił głową.

- Stabilizatory! - powiedział głośno sam do siebie. Nie jest jeszcze gotów, pomyślał ponuro. Prawdopodobnie nigdy już nie zobaczę „Sokoła”... i Lando.

Bria Tharen siedziała za swoim biurkiem w największej imperialnej bazie woskowej na Korelii. Uzupełniała w komputerze zamówienia żywności dla żołnierzy stacjonujących w systemie korelińskim. Czerwonozłote loki, znacznie dłuższe niż pięć lat temu, upinała do góry w oficjalny kok. Miała na sobie prosty uniform cywilnego personelu armii - czarną bluzę ze spódnicą i tego samego koloru buty. Czarny strój podkreślał alabastrową biel jej skóry i drobną budowę.

Niebieskozielone oczy Bri zwięzły się, gdy przyjrzała się uważniej danym na ekranie. Imperium najwyraźniej rozbudowywało swoje siły w okolicy. Czy to oznacza, że tutejsi oficerowie przewidują jakieś rebelie w sektorze korelińskim?

Zaczęła się zastanawiać, jak długo jej grupa mogłaby wytrzymać zmasowany atak Imperium. Dwa dni? Tydzień? I tak zakończyłoby się to rzezią, tego była pewna. Garstka rebeliantów rosła wprawdzie z każdym miesiącem, w miarę jak narastał gniew ludu jej świata cierpiącego pod butem Palpatine'a. Ale jeszcze absolutnie nie byli gotowi do zmierzenia się z siłami Imperium.

Początek był bardzo skromny, ale w ciągu ostatnich trzech lat zrobili spore postępy. Ich ruch zaczynał od dwudziestu dysydentów spotykających się w tajemnicy po piwnicach, ale stale rósł siłą. Dziś mieli komórki we wszystkich większych miastach planety. Bria nie miała pojęcia, ilu rebeliantów było teraz na Korelii, ale na pewno

można ich było liczyć w tysiącach. Zresztą dokładna liczba nie była jej do niczego potrzebna. Chociaż miała dość wysoki stopień w hierarchii rebeliantów, nie wchodziła w skład grupy rekrutacyjnej, a informacja o liczebności grup nie była powszechnie dostępna. Może jeden czy dwóch komendantów znało cały obraz ruchu. Pozostali jego członkowie wiedzieli tylko to, co było niezbędne. Im mniej wiedzieli, tym mniej mogli zdradzić na torturach.

Teraz Bria pełniła misję w wywiadzie. Nigdy nie lubiła specjalnie szpiegowania, ale była w tym dobra. Zdecydowanie bardziej podobała jej się wcześniejsza praca - nawiązywanie kontaktu z grupami na innych światach. Było oczywiste, że jeżeli rebelianci mają mieć jakiegokolwiek szanse w walce z Imperium, muszą się zjednoczyć. Na razie zaledwie zaczęli poszukiwania innych grup. Kanały komunikacyjne były kontrolowane, podróże ograniczone... trudno było podtrzymywać kontakt z innymi planetami. Wszelkie kody szyfrowe rebeliantów były łamane przez Imperium niemal tańc szybko, jak powstawały. Miesiąc temu jedna z grup została na przykład zaskoczona podczas spotkania na wschodnim kontynencie. Zaginął po nich wszelki ślad, zupełnie jakby smok otworzył paszczę i połknął ich w mgnieniu oka. Bria pomyślała, że wolałaby zostać pochwycona przez taką bestię niż dostać się w ręce oficerów bezpieczeństwa Imperium...

Jej przyjaciółka Lanah była jedną z pojmanych. Bria wiedziała, że nie zobaczy jej nigdy więcej.

Martwiła się bardzo, że jej rodzinny świat staje się państwem policyjnym. Korelia zawsze była niezależnym, dumnym światem z własnym rządem. Do tej pory Imperator nie wyznaczył gubernatora, który przejąłby władzę na planecie. Ale to nie oznaczało, że pewnego dnia tego nie uczyni. Imperator niechętnie patrzył na niezależność i dumę świata, którym władał.

Jednym z powodów, dla którego Palpatine nie przejął otwarcie władzy z rąk rządu koreliańskiego, była olbrzymia przewaga ludzi wśród obywateli Korelii. Imperium nie ukrywało, że uważa inne rasy za niższe, a zatem nie mogące rządzić się samodzielnie.

Tylko dwie nieludzkie rasy - Selonanie i Dralowie - dzielili z ludźmi system koreliański. Tak, gdyby oni mieli liczebną przewagę, Korelia byłaby znacznie łatwiejszym celem dla represji... może nawet ogłoszono by ją planetą niewolniczą. Tak przecież stało się z Kashyyyk. Dumni Wookie zakuci w kajdany i uprowadzeni w niewolę...

Bria zacisnęła gniewnie palce na krawędzi biurka. Nienawidziła Imperium, ale jeszcze bardziej nienawidziła niewolnictwa. Pamiętała czasy, gdy była niewolnicą na Ilejji (choć wtedy uważała się za pańniczkę). Dawno już postanowiła, że uczyni wszystko, co tylko w jej mocy, aby zniszczyć Imperium, które zezwalało na niewolnictwo i używało do swoich celów żywych istot.

Gdy już wykona to zadanie, jeśli jeszcze pozostanie jej trochę życia, zrobi wszystko, by znieść niewolnictwo w całej galaktyce.

Piękne usta Brii wykrzywiły się w mściwym grymasie, gdy przypomniła sobie rajd na Ilejję, któremu przewodziła sześć miesięcy temu. Zdołali wtedy wyzwolić dziewięćdziesięciu siedmiu niewolników, w większości Korelian, i sprowadzić ich z

powrotem do rodzinnych domów. W ciągu następnego miesiąca pięćdziesięcioro troje z nich uciekło i powróciło na Ilejję...

Właściwie Bria nie mogła ich winić. Życie bez Uniesienia było trudne. Jej samej kilka lat zajęło wyzwolenie się od potrzeby euforii, którą potrafili wywołać kapłani t'landa Til.

Ale czterdzieści cztery istoty pozostają wolne, przypomniała sobie Bria. Właśnie wczoraj Rion powiedział mi, że jedna z uwolnionych wtedy kobiet przesłała mu wiadomość, dziękując za to, że oddano ją mężowi i dzieciom...

Rion był głównym łącznikiem między Brią a komendą, odkąd zaczęła pracować w kwaterze głównej Imperium. Jemu przekazywała wszelkie informacje, które udało jej się zdobyć, on zaś przesyłał je dalej do podziemnych komórek rebeliantów.

Bria miała nadzieję, że wkrótce zdobędzie coś więcej niż tylko listę zamówień żywności. Odkąd podjęła tę pracę w zeszłym miesiącu, starała się ubierać i czesać w taki sposób, aby zwrócić na siebie uwagę kogoś z wysokich oficerów Imperium. I oplotło się. Wczoraj przy jej biurku zatrzymał się admirał Trefaren i zapytał, czy nie zechciałaby mu towarzyszyć na przyjęciu, które wydaje rząd Korelii dla wysokich oficerów Imperium. Mieli w nim uczestniczyć także liczni Moffowie sektorów. To będzie całkiem spora gala, zapewniał ją admirał.

Bria opuściła skromnie oczy, zarumieniła się wstydliwie i dziewczęcym głosem wyszeptała „tak”. Admirał rozpromieniał się, przy czym zmarszczył na jego ziemistej cerze jeszcze bardziej się pogłębiły, i powiedział, że podjedzie po nią swoim ślizgaczem z soferem. Wyciągnął rękę i owijając wokół palca jeden z jej loków, dodał:

- Moja droga, włóż coś, co podkreśli twoją urodę. Chcę, aby inni oficerowie zazdrościli mi skarbu, który odkryłem.

Bria nie zdobyła się na żadną odpowiedź, bo była zbyt wściekła. Jego zaś oczarowało to, co wziął za nieśmiałość. Stary zboczeniec, pomyślała z obrzydzeniem. Zanotowała sobie w pamięci, żeby ukryć na udzie małe wibroostrze... tak na wszelki wypadek.

Cóż, zazwyczaj mężczyźni w tym wieku więcej gadali niż robili. Najbardziej pragnęli właśnie tego, do czego przyznał się admirał - aby wszyscy zazdrościli im młodej kobiety, którą zdołali przywabić swoim bogactwem i stanowiskiem.

Admirał Trefaren może być naszym źródłem wiedzy na temat nowych broni i statków Imperium, o których krążą plotki, pomyślała Bria.

Kiedy nadszedł wieczór, włożyła wytworną sukienkę (urodziła się w bogatej rodzinie, więc nieobce jej były tajniki elegancji), ułożyła starannie włosy, zrobiła makijaż i cały wieczór uśmiechała się ciepło do admirała Trefarena. Tańczyła z nim, przypatrywała mu się z podziwem... i jednocześnie łowiła każdy strzępek informacji.

Na wypadek, gdyby musiała bronić się przed zbytnią popędlivością admirała, przygotowała sobie parę kropli odpowiedniej substancji i umieściła ją pod jednym z długich paznokci. Wystarczyło dotknąć koniuszkiem palca odpowiedniego drinka, aby stary kozioł stał się nagle bardzo przyjemnie zmęczony, śpiący i pijany w stopniu, w którym nie mógł już sprawiać dalszych kłopotów. Bria mogła oczywiście użyć wibro-

ostrza - a była w tym dobra - ale nie miała zamiaru posuwać się do tego. To dobre dla amatorów; ona nie potrzebowała takich oczywistych środków.

Nagle zatęskniła za bitewnymi zmaganiem i ciężarem Mastera uciskającego biodro. Wolałaby brać teraz udział w następnym rajdzie przeciwko Huttom na Ilezi albo imperialnym handlarzom niewolników, którzy byli jeszcze gorsi od Huttów, niż znosić głupie uśmieški, którymi musiała wczoraj obdarzać admirała i innych imperialnych dostojników.

Oddała jednak swój blaster Rionowi, gdy tylko przydzielono ją do obecnego zadania. Nie można było wykluczyć, że admirał Trefaren rozkazał swym podwładnym dyskretnie przeszukać jej mieszkanie, aby upewnić się, że może się z nią bezpiecznie spotykać. Wibroostrze zawsze miała przy sobie, więc mogła się nie obawiać, że znajdują ją podczas rewizji. Przynajmniej jej dokumenty mogły wytrzymać każdą kontrolę. Sześć lat temu dowiedziała się, jak wyrabiać fałszywe papiery, od nie byle jakiego eksperta. Han Solo nauczył ją o wiele więcej niż tylko celnie strzelać z blastera.

Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech, gdy pozwoliła sobie na chwilę wspomnień o tamtych czasach. Ona i Han, i ciąгла ucieczka. Życie na krawędzi, gdy nie wiesz nigdy, co wydarzy się za chwilę. To były najszczęśliwsze dni w jej życiu, warte tego strachu i napięcia, i szalonych ucieczek, i nawet Masterów, przed których ogniem musiała nieraz się kryć... wszystko po to, żeby być z nim, żeby móc go kochać...

Wciąż go kochała.

Kiedy zobaczyła go rok temu na Devaronie, zrozumiała to całkiem jasno. Po latach okłamywania samej siebie musiała wreszcie przyznać uczciwie - Han Solo był jedynym mężczyzną, którego kochała i którego zawsze będzie kochać. Nie mogli być razem i musiała się z tym pogodzić. Han zawsze stał poza prawem; był człowiekiem żyjącym chwilą. Bria wiedziała, że bardzo ją kochał - prosił ją przecież, by została jego żoną- ale wiedziała też, że nie poświęciłby swojego życia sprawie.

Podczas miesięcy, które spędzili razem, Bria przekonała się, że pewnego dnia on także znajdzie sobie cel w życiu, do którego będzie dążył. Ale musiał wybrać go sam, w swoim własnym czasie. Wiedziała, że nie może oczekiwać, iż będzie to właśnie jej cel.

Zastanawiała się, co on teraz robi? Czy jest szczęśliwy? Czy ma kogoś? Czy ma przyjaciół? Kiedy widziała go na Devaronie, nosił typowe ciuchy kosmicznego włóczęgi, a nie mundur Imperium. A przecież słyszała, że ukończył Akademię z wyróżnieniem. Co się stało z jego karierą?

Z jednej strony Bria żałowała, że Hanowi nie udało się ziszczyć marzeń, ale z drugiej strony była zadowolona, że przestał być oficerem Imperium. Prześladowała ją straszliwa myśl, że któregoś dnia mogliby stanąć naprzeciw siebie w walce, albo jeszcze gorzej - że mogłaby nieświadomie wykonać rozkaz zniszczenia statku Imperium pilotowanego przez Hana. Przynajmniej o to jedno nie musi się już martwić.

Czy zobaczą go jeszcze kiedyś? - pomyślała. Może... może kiedy to wszystko się skończy... kiedy nie będzie już Imperium...

Bria otrząsnęła się z ponurych myśli i postanowiła wrócić do pracy. Imperium na razie miało się bardzo dobrze, a zniszczenie go będzie wymagało wielu lat walki i

ogromnej liczby ofiar. Nie mogła sobie pozwalać na marzenia o odległej i zamglonej przyszłości. Musiała skupić się na teraźniejszości.

Zdecydowanym ruchem włączyła komputer i wzięła się do roboty.

W czasie kiedy Bria myślała o nim, Hana zajmował zupełnie inny problem. Był zraniony przez kobietę równie mocno jak wtedy, gdy zostawiła go Bria Tharen.

Siedział na brzegu łóżka w hotelowym pokoju na Veldze, luksusowym księżycu-kurorcie, gdzie zjeżdżali żądni rozrywek bogacze, i ze ściśniętym sercem czytał list, jaki zostawiła mu w jego komputerze Xaverri. Wiadomość nie była zbyt długa.

Kochany,

Nie znoszę pożegnań, więc postanowiłam obojgu nam tego oszczędzić. Trasa się skończyła i zanim zacznę następną, wybieram się na krótki odpoczynek. Myślałam nawet, że mógłbyś mi towarzyszyć, ale sądzę, że lepiej zerwać już teraz.

Ostatnie sześć miesięcy było jednym z najpiękniejszych okresów w moim życiu. W tym czasie bardzo się do ciebie przywiązałam, kochanie. Za bardzo. Znasz mnie przecież... nie mogę sobie pozwolić na mocny związek. To byłoby niebezpieczne dla nas obojga. Nadmierne przywiązanie do innej osoby czyni człowieka miękkiem i nieodpornym na ciosy. A w mojej walce nie mogę sobie na to pozwolić.

Zapłaciłam do jutra za hotel za ciebie i Chewbackę. Byliście dwójką najlepszych asystentów i kompanów, jakich kiedykolwiek miałam. Powiedz mi, jak bardzo mi przykro, że nie mogłam się pożegnać. W tutejszym oddziale Banku Imperialnego jest dla was premia - kod dostępu 651374 i zabezpieczenie na twój wzór tęczówki Będę za tobą tęsknić bardziej niż umiem to wyrazić. Jeśli kiedykolwiek zechcesz się ze mną skontaktować, zrób to przez agencję artystyczną Gwiazdy Galaktyki. Może kiedyś zaczniemy wszystko od nowa, gdy nabiorę nieco dystansu. Uważaj na siebie, Han. I dbaj o swojego przyjaciela Wookiego. Takie przywiązanie zdarza się bardzo rzadko.

Kocham Cię Xaverri.

Niech to szlag! - pomyślał Han nie mogąc się zdecydować, czy czuje gniew, czy raczej żal... Chyba jedno i drugie, uznał. Dlaczego to się zawsze musi mnie przytrafiać?

Przypomniał sobie rozpacz, jaką go ogarnęła, gdy podobną notatkę pożegnalną zostawiła mu Bria, ale odsunął od siebie to wspomnienie: to było dawno temu, a ja już nie jestem dzieckiem...

Han zdał sobie sprawę, że musi zarezerwować lot dla siebie i Chewiego z powrotem na Nar Shaddaa. Nie nadweręży to specjalnie jego oszczędności, zwłaszcza w obliczu premii, jaką zostawiła im Xaverri. Płaciła dobrze, chociaż miała duże wymagania.

Przez te sześć miesięcy stosunki między nimi były zupełnie partnerskie, nie przypominały układu pracodawca - pracownik. Za każdym razem, gdy udało im się oskubać napuszonego oficera Imperium albo aroganckiego, zadowolonego z siebie biurokrata, Xaverri po równo dzieliła się z Hanem i Chewiem. Han uśmiechnął się bezwiednie na samo wspomnienie. To były ekscytujące przygody. Z doświadczeniem, które zdobył w kantowaniu innych jako członek rodziny Garrisa Shrike'a, Han był przekonany, że ma

w tej profesji całkiem niezłe kwalifikacje. Ale miesiące spędzone z Xaverri przekonały go, że w porównaniu z nią Garris Shrike był początkującym amatorem.

Pomysły Xaverri bywały zadziwiająco proste, albo dla odmiany niewiarygodnie skomplikowane. Rzadko używała tej samej sztuczki dwa razy. Dostosowywała każdą akcję do konkretnej sytuacji, często używając iluzjonistycznych sztuczek, aby skutecznie robić głupców z urzędników Imperium, których obrała sobie za ofiarę.

Tak było wtedy, gdy oskubali asystenta-sekretarza Moffa sektora D'aelgoth z niemal wszystkich życiowych oszczędności i jeszcze dodatkowo wrobili go w proces o zdradę Imperium. Han uśmiechnął się szeroko. Facet był wyjątkowym łajdakiem, więc prędzej czy później i tak sprzedałby się, zdradzając Imperium.

Nie wszystkie jednak sztuczki kończyły się szczęśliwie. Dwa razy plan po prostu nie wypalił, a raz wypalił... prosto w ich twarze, tak że musieli ratować się ucieczką przed władzami planety, aż wreszcie z trudnością odnalazł ich i wywiózł Chewbacca.

Han nigdy nie miał zapomnieć tej szalonej ucieczki - pościg przez dzikie tereny poza miastem, tropienie przez specjalne roboty pościgowe, przypominające z wyglądu dawne psy posokowce... Jedyną możliwością zgubienia śladu było spędzenie nocy po szyję w bagnie. Podobała mu się także praca z Xaverri na scenie. Sprawiało mu dużo radości uczestniczenie w tworzeniu iluzji, odkrywanie metod ich powstawania i wreszcie kłanianie się przed rozentuzjazzowaną publicznością każdego wieczoru po przedstawieniu. Nawet Chewbacca mógł się nacieszyć wiewatami publiczności, bo Xaverri włączyła do programu kilka sztuczek, w których Wookie popisywał się swoją siłą.

Najtrudniejszą rzeczą dla Hana było przyzwyczajenie się do obcisłego jak druga skóra kostiumu, który musiał nosić na scenie. Był przez to denerwująco świadom całego swojego ciała. W końcu jednak zdołał przywyknąć, a nawet sprawiały mu przyjemność pełne podziwu gwizdy kobiet, gdy pojawiał się na scenie.

Xaverri lubiła się z nim drażnić z tego powodu, zwłaszcza jeśli na scenę wpadały dziewczyny i Han, purpurowy na twarzy, nie mógł się opędzić od pocałunków. On zaś dokuczał jej z powodu kostiumów, które często były zbyt śmiałe... Westchnął.

Gdybym tylko wiedział, że planuje coś takiego. Mógłbym z nią porozmawiać, pomyślał.

Już za nią tęsknił. Za jej obecnością, uśmiechem, zapachem. .. za gorącymi pocałunkami...

Była niezwykłą kobietą i teraz dopiero stwierdził, że jednak ją kochał. Czy gdyby jej to powiedział, zmieniłoby to coś? Uznał, że nie. Z listu jasno wynikało, że Xaverri nie życzyła sobie miłości. Nie chciała kochać ani być kochaną. Miłość, czego już zdążyła doświadczyć, czyniła człowieka zbyt podatnym na ciosy.

- Miłość powoduje, że zaczynasz kochać życie - powiedziała mu kiedyś. - A jeśli kochasz życie, jesteś w ustawicznym niebezpieczeństwie, bo chcesz je zachować i ta myśl przysłania wszystkie pozostałe.

- Co chcesz zachować: miłość czy życie? - zapytał Han.

- Jedno i drugie - odparła. - Miłość jest najbardziej ryzykowną rzeczą we wszechświecie.

Xaverri ryzykowała bardziej niż ktokolwiek - we wszystkim oprócz miłości. Gdyby nie to, że była taka chłodna i opanowana, nazwałby ją nierozważną. Ale nie o to chodziło. Niebezpieczeństwo po prostu nie robiło na niej wrażenia. Han widział wiele razy, jak patrzyła śmierci prosto w twarz bez zmrużenia powiek. Kiedyś pochwalił jej odwagę, ale ona potrząsnęła głową.

- Nie, Solo - odparła. - Ja nie jestem odważna. To ty jesteś odważny. Mnie po prostu nie zależy na życiu. A to nie jest to samo.

Han westchnął ciężko i wstał z łóżka. Xaverri odeszła. Do tej pory jej statek bardzo oddalił się od Velgi.

Cóż, pomyślał sięgając po ubranie, przedstawienie skończone. Czas wracać do prawdziwego świata...

Przynajmniej mieli wraz z Chewiem dość pieniędzy, żeby wynająć statek. Po raz pierwszy od długiego czasu Han zastanowił się, jak wygląda sytuacja na Nar Shaddaa.

Kiedy wrócili na Księżyc Przemysłowców, Han ku własnemu zdumieniu poczuł się tak, jakby wracał do domu.

Najpierw poszli z Chewiem poszukać Mako. Znaleźli go popijającego razem z Roą w jednej z tawern. Uśmiechnięty Han zamachał im już od progu.

- Mako! Roa!

Przemysłowcy odwrócili się słysząc jego głos i też się uśmiechnęli.

- Han! Chewbacca! - zawołali chórem.

- Witam, witam - uściśnięła im rękę Han. - Jak interesy?

- Nieźle - odparł Mako. - Jabba za tobą tęskni, dzieciaku.

- Jestem tego pewien - zachichotał Han. - Czy Jiliak ma już swego małego Hutta?

- Nie wiem - oparł Roa. - Nie zjawiała się tu jeszcze, więc pewnie nie. Co u ciebie?

Nie było cię okropnie długo. Już myśleliśmy, że dopadł cię Boba Fett.

Han roześmiał się.

- Jeszcze nie. A kręcił się tutaj?

Mako rozejrzał się uważnie.

- Podobno był na Nar Shaddaa kilka miesięcy temu i szukał cię. Ale potem nikt go nie widział.

- Informujcie mnie w razie czego - poprosił Han. - Czy ktoś z was widział Lando?

- Starał się, aby jego pytanie zabrzmiało niedbale. - Wciąż ma tego starego gruchota „Sokoła Millennium”?

- Jasne - odpowiedział Roa. - Nie uwierzysz, ale Calrissian załapał się na grę życia w systemie Oseon. Wygrał cały wagon kamieni i sprzedał je. A wiesz, w co zainwestował?

Han pokręcił głową. Chewie zaryczał pytająco.

- Kupił hangar z używanym statkami kosmicznymi! - zdradził wreszcie Mako. - Prosto z marszu nabył go za gotówkę od Durosa, który postanowił wrócić na Duro, by zająć się rodzinną farmą.

- Mam właśnie zamiar wypożyczyć statek - poinformował ich Han. - Mogę złożyć wizytę Lando i zobaczyć, co tam ma.



- Lepiej najpierw idź do Jabby - poradził Mako. - Kazał cię przysłać, jak tylko się pojawisz.

Han skinął głową.

- Dobra, tak zrobię. A gdzie mam szukać Lando?

Podali mu namiary.

Opuścił tawernę żegnany radosnymi okrzykami. Uznał, że dobrze było wrócić. Krótka przerwa z Xaverri była miła i korzystna dla interesów, ale jego prawdziwym powołaniem był przemysł i naprawę pragnął znów wrócić na szlak.

Jabba tak się ucieszył na widok Hana, że aż spełził ze swojej platformy i podszedł do Korelianina.

- Han, mój chłopcze! Wróciłeś!

Pilot skinął głową, ale bez unizoności. Jabba naprawę za nim tęsknił.

- Witaj, Jabbo... ekscelencjo. Jak interesy?

Jabba westchnął teatralnie.

- Szłyby znacznie lepiej, gdyby Besadii nauczyli się wreszcie, że nie tylko oni mogą zarabiać kredyty w galaktyce. Muszę przyznać, że się za tobą stęskniłem. Straciliśmy statek w Paszczy i klan Desilijic bardzo na tym ucierpiał. Potrzebujemy cię, Han.

- Ale tym razem będziesz musiał płacić mi więcej, Jabbo. - Han postanowił kuć żelazo póki gorące. - Chewie i ja mamy zamiar wynająć statek. To lepsze dla nas wszystkich. Ty nie będziesz ryzykował straty statku, a ja nie będę musiał brać mniej, bo latam twoją maszyną.

- Dobrze, dobrze - powiedział Jabba. - Na wszystko zgoda, Han.

- Muszę ci też powiedzieć - dodał Han - że na moją głowę wciąż jest wyznaczona nagroda. Teroenza musiał namówić Besadiich na naprawę dużą kwotę. Z większością łowców poradzę sobie sam bez problemu. Ale jeśli znów zauważę, że Boba Fett jest na moim tropie, nie zabawię tu długo i odjadę. Będę latał z Ucieczki Przemysłnika. Chyba nawet Fett nie zaryzykuje szukania mnie tam.

- Han, chłopcze! - Jabba wyglądała na zgnębnionego. - Potrzebujemy cię! Desilijic cię potrzebuje! Jesteś jednym z naszych najlepszych pilotów!

Han uśmiechnął się. Podobała mu się taka poufałość z huttyjskim lordem.

- Hej, Jabbo, jestem najlepszy - sprostował. - I mam zamiar to udowodnić.

Chewie zaryczał. Jabba wskazał Wookiego ręką.

- Co on mówi?

- Powiedział, że my jesteśmy najlepsi - odparł Han. - I ma rację. Wkrótce wszyscy się o tym dowiedzą.

Następnym przystankiem Hana była firma Lando. Weszli z Chewiem do biura, gdzie natknęli się na małego wielorękiego robota z jednym czerwonym okiem pośrodku głowy.

- Gdzie Lando? - zapytał Han.

- Mojego pana nie ma tu w tej chwili, sir - odparł mały robot. - Czym mogę służyć? Jestem Vuffi Raa, jego asystent.

Han spojrzął na Chewbackę, który przewrócił błękitnymi oczami.

- Muszę mówić z Lando - powiedział ostro Han. - Gdzie on jest?

- Na zewnątrz w stoczni - odparł Vuffi Raa. - Ale zaczekajcie! Wstęp do stoczni jest zabroniony bez autoryzacji pana Calrissiana. Sir! Proszę wrócić! Sir!

Han nie zatrzymał się. Za to przystanął Chewbacca. Gdy robot zbliżył się do niego machając rękami, Wookie najpierw warknął, a potem ryknął. Vuffi Raa zastopował tak gwałtownie, że o mało nie stracił równowagi. Cofnął się natychmiast, wołając tonem skargi:

- Proszę pana! Proszę pana!

Han znalazł Lando przy „Sokole”. Trudno było powiedzieć, czyj widok sprawił mu większą radość. „Sokół” był cały czas w jednym kawałku, co nad wyraz ucieszyło Korelianina.

Tym razem hazardzista nie wyglądał elegancko. Han zauważył ze zdumieniem, że Lando jest ubrany w brudne łachy mechanika, a ręce ma brudne aż po łokcie. Nachylał się nad statkiem ze spryskiwaczem w dłoni.

- Lando! - zawołał Han.

Przyjaciel odwrócił się, a jego przystojna twarz pojaśniała na widok Solo.

- Han, stary piracie! Kiedy wróciłeś?

- Dopiero co - odparł pilot potrząsając dłonią Lando. Objęli się i zaczęli klepać po ramionach, a w końcu cofnęli się

o pół kroku i popatrzyli po sobie, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Han, dobrze znów cię widzieć!

- Ciebie też, stary!

Jeszcze przed końcem dnia Han i Chewie wynajęli od Lando mały frachtowiec klasy Starmite, mocno zmodyfikowany. Był mniej więcej dwóch trzecich wielkości „Sokoła Millenium”. Miał zaokrąglony dziób i dwa grube, krótkie skrzydła. Sam kadłub był szeroki i również zaokrąglony - zwał się do tyłu i kończył płaską sekcją rurową. Przypominał nieco kształtu pojedynczą łzę; później jeden z quarreńskich znajomych Hana powiedział, że wygląda jak drobna przekąska. Na końcu każdego skrzydła zamontowano na obrotowej wieżycze podwójne działko laserowe; prócz tego pilot miał jeszcze do dyspozycji działka umieszczone nieruchomo na dziobie.

Han nazwał statek „Bria”.

- Lord Arak chce cię widzieć, ekscelencjo - zameldował majordomus Teroenzy, Gnar Tos. - Czeka w waszym biurze.

Najwyższy Arcykapłan zeszytywniał.

Nie wiem, czy wytrzymam jeszcze jedną krytyczną uwagę, pomyślał, niechętnie schodząc z wiszącego legowiska.

Lord Aruk i jego syn Durga przybyli na Ileję ze specjalną inspekcją już dwa dni temu. Teroenza z dumą pokazał im postęp, jaki się tu dokonał - nowe fabryki, licznych pielgrzymów, wciąż wzrastające zapasy cennej przyprawy, które wysyłali na inne światy. Mógł im nawet pokazać teren przygotowany pod budowę Ósmej Kolonii.

Ale im więcej Teroenza demonstrował huttyjskiemu lordowi, tym bardziej Aruk był niezadowolony. Najwyższy Arcykapłan zaczynał wpadać w desperację.

Teraz, krocząc korytarzem budynku administracyjnego w Pierwszej Kolonii, cały czas przygotowywał odpowiedzi na wszelkie zarzuty, jakie mógłby postawić mu Aruk. Produkcja rosła. Niewolnicy pracowali wydajnie. Rozszerzano eksport. Może chodzi o te żaby z drzewa nalał

Podczas wizyty Aruk ogromnie w nich zasmakował. Danie zaprezentował wujowi Kibbick. Durga też skosztował, ale nie był specjalnie zachwycony. Natomiast stary lord uznał obrzydliwe płazy za wyśmienite i rozkazał Teroenzie, aby na każdym promie kursującym pomiędzy Ilezją a Nal Hutta znalazła się dostawa żywych żab z drzewa nala.

Teroenza wszedł do własnego biura starając się ukryć zdenerwowanie.

- Jestem, ekscelencjo - oznajmił.

Huttyjskiemu lordowi towarzyszył jego potomek, Durga. Aruk spojrzał uważnie na Teroenzę.

- Musimy poważnie porozmawiać, Najwyższy Arcykapłanie - powiedział ponuro.

Jest gorzej niż sądziłem, pomyślał Teroenza.

- Słucham, ekscelencjo.

- Odwołuję twoje wakacje, Najwyższy Arcykapłanie - powiedział Aruk. - Chcę, żebyś został na miejscu i wdrożył Kibbicka do operacji ilezjańskiej. Jego niewiedza jest kompromitująca. To twoja wina, Teroenzo! Chyba zapomniałeś, kto jest prawdziwym władcą Ilezji! Stałeś się arogancki i uznałeś, że ty tu rządysz. To niedopuszczalne. Przypomnij sobie, gdzie twoje miejsce, kapłanie. Kiedy nauczysz się zajmować właściwe stanowisko w zarządzaniu tą planetą, zostaniesz nagrodzony. Dopiero wtedy będziesz mógł polecieć na Nal Hutta.

Teroenza milczał podczas tyrady Aruka. Kiedy huttyjski lord skończył, zapragnął nagle po prostu odejść i rzucić tę śmieszna operację. Kibbick jest idiotą i nie pomogą mu żadne nauki. Choćby jego nauczyciel nie wiem jak się starał, Hutt idiotą pozostanie. A on nie widział swojej partnerki, Tilenny, od roku. Co będzie, jeśli zdecydowała się połączyć z kimś innym, skoro jego nie ma tak długo? Jak może wymagać od niej wierności w takich warunkach?

T'landa Til poczuł narastający gniew, ale wysiłkiem woli powstrzymał się przed okazaniem go.

- Stanie się jak każesz, ekscelencjo - wymamrotał. - Zrobię, co w mojej mocy.

- Taką mam nadzieję! - zagrział Aruk swoim najgłębszym i najbardziej przerażającym głosem. - Możesz odejść, Najwyższy Arcykapłanie!

Wracając do swoich prywatnych komnat, Teroenza gotował się z wściekłości, ale dotarł na miejsce zupełnie spokojny. Dziwnie chłodny i spokojny. Wpełził na legowisko i odprawił majordomusa.

Gdyby podsumować jego myśli jednym słowem, brzmiałoby ono „dość”.

Po kilku minutach spokojnej zadumy Najwyższy Arcykapłan sięgnął po komunikator. Kod, który nosił w pamięci od kilku miesięcy, sam spłynął na jego palce. Wysłał następującą wiadomość:

„Jestem gotów do rozmów. Co możecie mi zaoferować?”

Triumfalnym uderzeniem palca wcisnął guzik z napisem „wyślij”.

Potem położył się znów na legowisku i po raz pierwszy od sześciu miesięcy poczuł się doskonale.

## ROZDZIAŁ

# 8

### CIENÍ IMPERIUM

Mężczyzna w mandaloriańskiej zbroi kroczył powoli przez ciemny jak jaskinia, wejściowy tunel pałacu Jabby Hutta na Tatooine.

Kiedyś, całe lata temu, mężczyzna ten nosił imię Jaster Mareel. Było to dawno, zanim zabił człowieka i zapłacił cenę za tę zbrodnię. Teraz nie miał imienia, z wyjątkiem tego, które sam sobie nadał - Boba Fett. W ciągu ostatnich dziesięciu lat stał się najbardziej znanym i budzącym największą groźbę łowcą nagród w Imperium. Nie pracował jednak dla Imperium, chociaż czasem zdarzało mu się przyjmować od nich robotę. Nie pracował także dla Gildii, chociaż regularnie brał od niej zlecenia i płacił od nich podatek. Nie, Boba Fett był niezależnym łowcą nagród. Sam ustalał godziny pracy i sam wybierał sobie zlecenia. Żył wyłącznie według własnych reguł.

Zatrzymał się w połowie schodów prowadzących w dół, do tronowej sali Jabby. Wielka komnata była ciemna, wysoko sklepiąca i rozbrzmiewała głośną muzyką. Ciała obecnych kołysały się w jej takt. Oczy Fetta śledziły przez chwilę humanoidalne tancerki Jabby, podziwiając ich płynne i wyuzdane ruchy. Łowcy nagród nie było łatwo skusić tego rodzaju przyjemnościami. Miał na to zbyt dużo samodyscypliny. Radość polowania była jego jedyną rozkoszą i dla niej tylko żył. Kredyty były tylko środkiem do celu, ale to polowanie nadawało sens jego życiu.

Gdy Fett zszedł po ostatnich stopniach wiodących do komnaty Jabby, majordomus huttyjskiego lorda, Twi'lek Lobb Gerido wychylił się z mroku, kłaniając się i bełkocząc powitanie w niedoskonałym wspólnym.

Fett zignorował go.

Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie pozwoli mu zbliżyć się do Jabby z olbrzymim miotaczem BlasTech-3 w dłoniach, więc położył go ostrożnie na najniższym stopniu. Był i tak wystarczająco uzbrojony, by w razie potrzeby zabić Jabbę i zniszczyć całą tę salę. Jabba prawdopodobnie był tego świadom, ale huttyjski lord znał zawodową uczciwość Boby Fetta. Skoro zapłacił mu, aby przyszedł na rozmowę, Fett nie złamie niepisanych reguł, choćby nawet miał jednocześnie zlecenie na obrzydliwą głowę Jabby.

Fett podszedł wprost do podium Jabby. Huttyjski loril siedział nad tłumem, aby dokładnie widzieć to zdegenerowane przedstawienie.

Nawet przez mandaloriańską maskę Boba Fett czuł odpychający odór ciała Hutta, mieszaninę zapachu starych grzybów i woni śmietnika.

Na gest huttyjskiego lorda muzyka nagle ucichła.

Fett stanął przed Jabką, schylił nieznacznie głowę i przemówił we wspólnym:

- Wzywałeś mnie, lordzie?

- Tak- zadudnił Jabba w huttyjskim. - Rozumiesz moją mowę, łowco?

Fett skinął potakująco.

- Bardzo dobrze. Lobbie Gerido, uprzątnij ten pokój, a potem sam zniknij.

- Tak, panie - wymamrotał Twi'lek i energicznie zabrał się do dzieła, wypraszając muzyków, tancerzy i całą bawiącą się publiczność. Wreszcie, kłaniając się nisko, wyszedł także sam.

Jabba rozejrzał się i pociągnął kilka razy ze swojej hookah. Upewniwszy się, że są sami, pochylił się do przodu i przemówił:

- Łowco, dziękuję że przybyłeś na moje wezwanie. Swoje pięć tysięcy kredytów otrzymasz, zanim opuścisz tę salę. - Fett skinął w milczeniu głową. - Rozmawiałem z przedstawicielem Gildii w tym sektorze i zamierzałem im przekazać hojny podarunek, ale powiedziano mi, że nie podlegasz władzy Gildii, chociaż czasami przyjmujesz jej zlecenia.

- To prawda - potwierdził Fett. Poczul się zaintrygowany. Jeśli Jabba chce kogoś sprzątnąć, po co ten przydługi wstęp? Do czego zmierza ta kupa sadła?

Jabba pykał swoją fajkę z zamkniętymi oczami.

- Wiesz, dlaczego cię wezwałem, łowco?

- Przypuszczam, że chcesz wyznaczyć nagrodę za to, abym kogoś odnalazł i zabił - odparł Fett. - Zazwyczaj się ze mną kontaktują właśnie w takim celu.

- A ja nie - odparł Jabba.

Odłożył na bok hookah, spojrzał na Fetta i przeszedł do rzeczy.

- Chcę ci zapłacić, abys kogoś oszczędził.

Sensory wbudowane w mandaloriański hełm Fetta zawierały infrawizję oraz czujniki dźwięku i ruchu. Łowca nagród mógł więc widzieć sztywnienie mięśni Jabby i zmianę koloru jego skóry. To dla niego bardzo ważne, stwierdził ze zdumieniem. Większość Hurtów cechowało takie okrucieństwo i egoizm, że trudno było sobie wyobrazić, aby któryś z nich starał się o zachowanie czyjegoś życia.

- Przedstaw swoją ofertę - powiedział Fett.

- Zalegasz ze zleceniem na dwadzieścia tysięcy kredytów za schwytanie człowieka, który jest dla mnie bardzo użyteczny. Zapłacę ci dwadzieścia pięć tysięcy za zignorowanie tej oferty, dopóki sam nie polecę wykonać zadania.

Fett zadał jedno krótkie pytanie:

- Kto?

- Han Solo. To dobry pilot. Najlepszy. Dostarcza naszą przyprawę na czas i Imperialni nigdy go nie złapali. Jest niesłychanie wartościowy dla Desilijic. Zapłacę ci, abys przestał na niego polować.

Boba Fett zastanawiał się w milczeniu.

Po raz pierwszy od wielu lat był w takiej rozterce. Z jednej strony poczucie obojętności, z drugiej potrzeba dodatkowych pieniędzy i jego osobiste pragnienia. Oferta Jabby była kusząca z wielu powodów. Statek Boby Fetta ostatnio uległ uszkodzeniu w polu asteroid i trzeba było dokonać bardzo kosztownych napraw, aby przywrócić do pełnej sprawności jego systemy bojowe. Z drugiej strony na Solo polował od dawna..., odkąd on i jego przyjaciel Calrissian obezwładnili go, podali mu narkotyk i obrabowali. Boba Fett nie mógł pozwolić, aby takim dwóm szczirom uszło to bezkarnie...

Z kolei w ostatnim tygodniu lord Aruk z klanu Besadii skontaktował się z Boba Fettem za pomocą międzygwiazdowej holokomunikacji i powiedział, że nie zamierza płacić dodatkowej premii za dostarczenie Solo żywego. W zamian zażyczył sobie schwytania koreliańskiej kobiety, Brii Tharen. Za jej doprowadzenie nagroda wynosiła pięćdziesiąt tysięcy kredytów, za Solo zaś nagrodę obniżono do dziesięciu tysięcy, dozwalając na dezintegrację. Teroenza, jak się domyślał Fett, nie wiedział nic o tej zmianie.

Pięćdziesiąt tysięcy kredytów... tyle wynosiła najwyższa nagroda na liście Boby Fetta. Natychmiast więc rozpoczął poszukiwania tej kobiety, którą Aruk opisał jako przywódczynię rebeliantów na Korelii. Lord Besadii powiedział mu także, że to ona przeprowadziła atak na Ilezzę, żeby uwolnić niewolników. Była także podejrzana o dokonanie serii podobnych rajdów na kopalnie Kessel, gdzie również pracowali niewolnicy z Ilezzi.

Fett sprawdził swoje źródła i tropił kobietę aż na Korelię, a potem do jednego z sektorów w zewnętrznym Rim, ale znikła tam bez śladu. Wprawdzie jakieś plotki łączyły ją z prywatnym jachtem zmierzającym na Coruscant, ale nie udało się tego potwierdzić. Fettowi bardzo nie podobała się myśl, że Han Solo uniknie ponizającej, bolesnej śmierci z rąk Najwyższego Arcykapłana Teroenzy. Sam torturował swoich jeńców, jeśli było to niezbędne dla uzyskania informacji, nie sprawiał mu to jednak przyjemności. Tak samo jak ich śmierć, jeśli tego właśnie wymagało zlecenie. Ale z Solo sprawa miała się zupełnie inaczej...

- Więc? - dudniący głos Jabby wyrwał Fetta z zamyślenia. - Co na to powiesz, łowco nagród?

Boba Fett w tym momencie wpadł na rozwiązanie, które wydało mu się najlepsze. Pozwalało zachować reguły profesji, a jednocześnie postąpić praktycznie.

- Dobrze - powiedział. - Przyjmę te dwadzieścia pięć tysięcy.

Aruk chce, żebym w pierwszej kolejności ścigał Tharen, doszedł do wniosku, więc będę wypełniał życzenie klienta. Nagroda za Tharen wynosi pięćdziesiąt tysięcy. Jeśli ją dostanę, odeślę z powrotem Jabbie jego dwadzieścia pięć tysięcy i zapoluję na Solo. Wszystko zostanie załatwione honorowo. Wypełnię zlecenie i zobaczę śmierć Solo.

Idealne wyjście, zdecydował łowca. Każdy z wyjątkiem Teroenzy będzie zadowolony, ale oficjalnie Boba Fett nie pracował dla Najwyższego Arcykapłana, tylko dla lorda Aruka. To on płacił, a przecież jasno powiedział, że wystarczy mu śmierć Solo.

Proste i zyskowne. Fett był usatysfakcjonowany.

- Bardzo dobrze - zadudnił Jabba, wyraźnie zadowolony. Wpisał coś w swój miniaturowy komputer. - Trzydzieści tysięcy kredytów właśnie przelałem na twoje konto. Fett pochylił nieznacznie głowę; nie można było nazwać tego ukłonem.

- Sam trafię do wyjścia - powiedział.

- Nie, nie - zaprotestował szybko Jabba. - Lobb otworzy ci drzwi.

Wcisnął guzik na swoim komputerze i natychmiast pojawił się Twi'lek, zginając się w pokłonie.

- Do widzenia, panie Fett - pożegnał go Hurt. - Będę o panu pamiętał na wypadek, gdyby klan Desilijic miał do wykonania jakieś zlecenie.

Boba Fett odwrócił się bez słowa i podążył za majordomusem w kierunku wyjścia. Zatrzymał się tylko po drodze, by podnieść swój miotacz.

Oślepiające słońce Tatooine zdawało się podwójnie jasne po mrokach pałacu Jabby, ale mandaloriański hełm Boby Fetta automatycznie filtrował wszelkie szkodliwe promieniowanie, pozwalając mu widzieć normalnie.

Wsiadł na pokład statku i wystartował. Sprawdził przyrządy wisząc nisko nad pustynią. Spojrzał w dół na bezkresne wydmy, które wyglądały jak fale oceanu. Rzadko bywał na Tatooine i nie wyobrażał sobie, by kiedykolwiek miał przybyć tu z własnej woli. Cóż to za jałowe miejsce. Wiedział wprawdzie, że na pustyni żyje wiele różnych istot, ale patrzył i nie widział absolutnie niczego. Tylko piasek i piasek...

Zaraz, zaraz... co to takiego?

Fett przywarł bliżej do ekranu widokowego, gdy jego statek przelatywał nad wielką paszczą ziejącą w zagłębieniu między wydmami. Zauważył, że w jamie porusza się coś na kształt macek...

Ciekawe, co to było? - pomyślał, posyłając statek pionowym lotem w górne warstwy atmosfery. A jednak coś tam chyba żyje na tej pustyni.

W chwilę później żółto-brązowy świat znikł za plecami łowcy i nie zostało po nim nawet wspomnienie...

Minął tydzień od wynajęcia „Brii”. Han Solo przeklinał lekki frachtowiec, siebie, Lando i cały wszechświat.

- Chewie, bracie - powiedział w chwili bezkompromisowej szczerości - byłem idiotą wybierając ten statek. Jest jak wrzód na dupie.

- Hrrrrrr - warknął Chewie zgadzając się z nim w zupełności.

„Bria” wymagała generalnego remontu. Odkryli to prawie natychmiast. Podczas lotu próbnego poleciała wprawdzie niezłe, ale wkrótce problemy eksplodowały po kolei jak gejzery na metanowych księżycach Thermona. Kiedy wyruszyli na pierwszy przemnytniczy szlak, statek pracował prawidłowo tylko przez pierwsze dziesięć minut... Potem wysiadł stabilizator rufowy, co oznaczało powrót na Nar Shaddaa na holu. Naprawili stabilizator z pomocą małego wielorękiego robota Lando -Vuffi Raa (który, jak się okazało, był także pierwszym pilotem „Sokoła Millenium”) i spróbowali ponownie.

Tym razem wywaliło stabilizator dziobowy.

Han i Chewie doprowadzili go do porządku po długich godzinach dłubaniny, podczas których klęli i sphywali potem. Spróbowali znowu, i znowu. Czasami ich mały

stateczek kończył lot bez awarii, innym razem mogli mówić o szczęściu, że w ogóle udało im się doczołgać do warsztatu Lando dla dokonania napraw. Komputer nawigacyjny „Brii” zapadał na amnezję, a jej napęd nadprzestrzenny zbyt często robił sobie wolne. Jeśli miała dobry dzień, Han potrafił wydobyć z niej całkiem przyzwoitą szybkość, ale też niemal przy każdym locie objawiały się kolejne wady i uszkodzenia. Han poskarżył się Lando, ale przyjaciel odpowiedział, że przecież zgodzili się w umowie wynajmu na taki, a nie inny stan techniczny statku i że nie wydawał żadnej gwarancji co do tego stanu. Ponadto - wytknął mu Lando -cena była bardzo niewygórowana. Han nie mógł odmówić mu pewnej racji, ale wcale nie poprawiało mu to humoru, kiedy „Bria” akurat nawalala. A zdarzało się to naprawdę często.

Han wspomniał kiedyś o swoich kłopotach Mako, a ten poznał Korelianina z jednym ze swoich znajomych.

- Oto mistrz mechaniki, pilot i technik Shug Ninx. Shug, poznaj Hana Solo i jego partnera Chewbacę. Ich statek wymaga ręki fachowca.

Shug Ninx był humanoidem. Wyglądał prawie jak człowiek, ale Han natychmiast zauważył, że musi mieć w sobie także obcą krew. Był wysoki, miał ciemnoblonde włosy i jasnoniebieskie oczy. Skórę na dolnej części jego twarzy pokrywały jasne plamki. Shug miał tylko po trzy palce u każdej dłoni, w tym przeciwny kciuk z dodatkowym stawem. Musiało mu to pomagać przy pracach mechanicznych. Był dość zamknięty w sobie i nieufny wobec obcych, więc Han wywnioskował, że z powodu mieszanej rasy na pewno miał nieprzyjemności. Zwłaszcza ze strony urzędników Imperium musiał spotykać się z nieprzychylnymi reakcjami; te typy uważały mieszańca za coś przeciwnego naturze.

Han uściśnął mu rękę z uśmiechem.

- Miło cię poznać, Shug - powiedział. - Mam nadzieję, że pomożesz mi doprowadzić do porządku tę kupę złomu.

- Nie zaszkodzi spróbować - powiedział Shug rozluźniając się wyraźnie. - Poprowadź go dzisiaj do mojego hangaru. Przyjrę mu się.

Aby dotrzeć do warsztatu Shuga, Han musiał sprowadzić „Brie” w dół wąską szczeliną pomiędzy pionowymi wieżami olbrzymich budynków. Kiedy jednak dotarli do hangaru, który okazał się olbrzymim dokiem naprawczym ukrytym we wnętrzu Nar Shaddaa, Han był pod wrażeniem.

- O rany - powiedział rozglądając się po kadłubach statków w różnym stadium wykończenia. - To wygląda lepiej niż każdy dok imperialny. Masz tu chyba wszystkie możliwe maszyny.

Rzeczywiście mnóstwo sprzętu stało pod ścianami, a często pośrodku hangaru. Na pierwszy rzut oka miejsce wyglądało na chaotycznie zagracone, ale Han szybko przekonał się, że Shug Ninx potrafi bezbłędnie zlokalizować każde, najmniejsze nawet narzędzie.

- Jasne - powiedział Shug z dumą, zadowolony ze spontanicznej reakcji Hana. - Długo oszczędzałem, żeby tak to wyposażyć.

Dokładnie przyjrzał się „Brii” i pokręcił ze smutkiem głową.

- Han, twój problem polega na tym, że statek modyfikowano przy użyciu części nie należących do jego typu. Każdy wie, że Starmity niechętnie to akceptują.

- Ale możesz coś z nim zrobić? - zapytał z nadzieją Han. Shug skinął głową.

- Nie będzie to łatwe, ale spróbuję.

Przez następnych kilka tygodni Han i Chewie pomagali Shugowi Ninxowi przy kapitalnym remoncie swojego statku. Przemysłowcy pracowali dzień w dzień, aż do kompletnego wyczerpania, ucząc się przy okazji różnych tajemnic budowy statków od prawdziwego mistrza mechaniki. Han był tak zmęczony robotą, że właściwie przestał wychodzić z domu, ale pewnego wieczoru pod wpływem nagłego impulsu wstąpił na piwo do tawerny w koreliańskim sektorze. W „Błękitnym Świetle” podawano wyłącznie alkohol. Była to dość mroczna nora, ale Han lubił ją za holograficzne obrazy koreliańskich miast i przyrody na ścianach. Było tu wprawdzie zbyt ciemno, aby dokładnie im się przyjrzeć... zwłaszcza po jednym czy dwóch piwach. Ale wolał to niż oślepiające neony.

Kiedy siedział przy barze sącąc alderańskie piwo, za jego plecami wybuchła nagle głośna awantura. Han skoczył na równe nogi, kiedy usłyszał przekleństwa kobiety, a potem bełkot pijanego mężczyzny:

- Ej, laleczko, dama tak nie mówi.

- Nie jestem damą! - odparła gniewnie kobieta.

W półmroku Han dostrzegł dwie szarpące się postacie, usłyszał zadyszane oddechy, a potem głośne klaśniecie uderzenia.

- Chodź tu, ty dziwko! - warknął mężczyzna.

Kobieta znowu zakłęła, a potem rozległ się odgłos pięści łądującej na czyimś ciele. Mężczyzna jęknął cicho i rzucił się na kobietę wymachując sękatymi łapami. Han pospieszył w tamtym kierunku, ale zdołał tylko zauważyć nogi napastnika odrywające się od podłogi. Kobieta przerzuciła go sobie przez ramię z cichym stęknięciem. Napastnik wrzasnął głośno, choć krótko, a potem z hukiem wylądował na podłodze i leżał tam przez chwilę jęcząc i klnąc na czym świat stoi.

Han dopadł do miejsca zdarzenia i zobaczył przed sobą niskiego przemysłowca, wynajmowanego często, gdy trzeba było kogoś pobić. Znał go pod ksywką Jump. Najemnik leżał u stóp wysokiej kobiety, wijąc się z bólu. Kiedy jego kumpel, który przezornie nie włączył się do bójki, pomógł mu usiąść, Han zauważył, że ręka Jumpa zwisa bezwładnie pod nienaturalnym kątem. Kobieta, z ręką na kolbie Mastera, stała nad nim ze zwężonymi oczami. Nawet się nie zadyszała.

Zobaczyła podchodzącego Hana i zwróciła się w jego stronę.

- Pilnuj własnego nosa, człowieku! - warknęła.

Han cofnął się o krok pod gniewnym spojrzeniem jej bursztynowych oczu. Była równie wysoka jak on, a barwa jej cery przypominała odcieniem skórę Lando. Gęste czarne włosy spłotła w mnóstwo małych warkoczyków. Wyglądała na twardszą od tytanu i wcale nie kryła rozdrażnienia.

Korelianin uniósł obie dłonie w uspokajającym geście.

- Hej, wcale nie zamierzam się wtrącać. Zresztą wydaje mi się, że cały spór został już rozwiązany.

- Sama potrafię o siebie zadbać - rzuciła, przechodząc obok niego w kierunku wyjścia. Pod jej butami zaszorowały resztki rozbitego szkła na podłodze. Miała na sobie długą brązową spódnicę, jedwabną bluzę tego samego koloru i czarny półpancerz nabitą metalowymi ćwiekami. Blaster zwisał na jej biodrze. Han ocenił po sposobie, w jaki ręka kobiety spoczywała na kolbie broni, że dokładnie wie, jak jej używać. Zaintrygowany, podskoczył za nią ku wyjściu. Wolał jednak nie stawać między nią a wyjściowymi drzwiami. Wskazał na puste stołki przy barze.

- Co się tak się spieszysz? Mogę postawić ci drinka? -zapytał.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Jej gniew powoli mijał. Ucisnęły też jęki Jumpa, wyprowadzonego na zewnątrz przez kumpla.

- Możesz - powiedziała w końcu. Wyciągnęła do niego dłoń w ciężkiej rękawicy. - Jestem Salla Zend.

- Han Solo - ucisnął jej rękę i usiadł na pierwszym z brzegu stołku. - Czego się napijesz?

Salla także usiadła.

- Mad Mrelf bez domieszek.

- Bardzo proszę - odpowiedział Han. Starał się nie okazać zdziwienia, że zamawia tak mocny napój. Sam nie wzięby do ust czegoś takiego. Słyszał wiele opowieści o pilotach, którzy go popijali; prawie zawsze kończyli w karnych obozach Imperium albo jeszcze gorzej.

Z rozmowy wynikało, że Salla także jest przemytniczką, która niedawno przybyła na Nar Shaddaa.

- Mam swój statek - powiedziała. - „Biegacza”. Ale trzeba nad nim popracować. Zamierzam wprowadzić kilka ulepszeń.

- Hej - ucieszył się Han. - Mam dla ciebie dobre miejsce. Mój statek właśnie przechodzi generalny remont. Facet jest prawdziwym czarodziejem. Nazywa się Shug Ninx.

- Sama jestem niezła w te klocki - powiedziała Salla. -Ale chętnie poznam twojego przyjaciela.

- Jutro rano idę do niego popracować nad moją „Brią”. Jeśli chcesz, możemy się spotkać i zaprowadzę cię do hangaru Shuga.

Przyjrzała mu się uważnie, na jej twarzy pojawił się rozbawiony uśmiech.

- Mam lepszy pomysł - powiedziała. - Przyjdź dziś wieczorem do mnie. Umiesz gotować?

Oczy Hana rozszerzyły się ze zdumienia. To ci dopiero bezpośredniość! Na jego twarzy też pojawił się szelmowski uśmieszek. Zdaje się, że nawet Salla nie była odporna na jego urok. A może to kwestia tego drinka.

- Oczywiście - odparł. - Jeden z moich najlepszych przyjaciół był kucharzem.

Salla roześmiała się.

- Hej, Solo, przystopuj na chwilę z uwodzeniem. Chcesz mi złamać serce?

- Nie - powiedział Han. Wyciągnął dłoń i przesunął palcem po grzbiecie jej ręki. - Naprawdę mam zamiar zrobić obiad. Uważam, że to niezły pomysł. Lubisz steki z traladona?

- Jasne - odpowiedziała lekko. - Niedosmażone.

- Będę pamiętał - obiecał Han.

Skończyli drinka i wyszli na zatłoczoną ulicę Nar Shaddaa. Salla ujęła go pod ramię.

- Cieszę się, że cię spotkałam. Sama przypalam nawet wodę, więc nie biorę się za gotowanie. Za to uwielbiam domowe obiady.

Han uśmiechnął się najbardziej czarującym ze swoich uśmieszków.

- Obiad masz pewny. A co powiesz o śniadaniu? Roześmiała się i pokręciła głową.

- Jesteś prawdziwym łajdakiem.

- Staram się - odparł skromnie Han.

- Nie próbuj sprawdzać swojego szczęścia, kotku - ostrzegła, ale z uśmiechem, więc wywnioskował, że wcale nie była urażona. - Bo ja potrafię o siebie zadbać.

Przypominając sobie los Jumpa, Han musiał się z tym zgodzić. Skinął głową i postanowił wrócić do tej kwestii nieco później.

Przez następnych kilka tygodni Han spotykał się z Sallą systematycznie, a ich związek stale się zacieśniał. Nie minął miesiąc od ich pierwszego spotkania, kiedy Han zaczął przygotowywać śniadania dla Salli. Wszyscy uważali ich za parę.

Mieli ze sobą wiele wspólnego i Han dobrze się czuł w jej towarzystwie. Była podniecającą, żywą kobietą - bystrą, zmysłową i bezpośrednią. W miarę jak Han poznawał ją lepiej, odkrył, że ma także subtelną, ciepłą część osobowości, ale nieczęsto ją ujawniała.

Han poznał Sallę z Shugiem i ta dwójka natychmiast znalazła wspólny język, choć w nieco mniej romantycznym wymiarze. Okazało się, że Salla też jest doskonałym mechanikiem i zna się na palniku laserowym znacznie lepiej niż większość przemytników. Powiedziała im, że pracowała w obsłudze technicznej transporterów, zanim stać ją było na kupienie „Biegacza”. Salla od czasu do czasu przemyślała przyprawę, ale jej głównym towarem była broń. W tym przemyśle specjalizowała się od dawna i świetnie jej szło.

Wkrótce stała się regularną bywalczynią hangaru Shuga, gdzie wpadało mnóstwo przemytników, aby naprawiać statki, opowiadać niestworzone historie i licytować się nowymi osiągnięciami. Han przekonał się, że większość ludzi przemytników, a także wielu nieludzi, pojawia się tu od czasu do czasu. Bywało tu też wielu jego znajomych z Ucieczki Przemytnika. Raz spotkał nawet Wynni, ale też Zeena i Kida, przemytnika i złodzieja o imieniu Rik Duel, Sinewy Anę Blue, Roę i Mako... wszyscy oni spędzali miłe chwile w zakładzie Shuga, w którym obowiązywały tylko trzy reguły: żadnych środków odurzających, natychmiastowe płacenie za używanie narzędzi i wiedzy fachowej gospodarza, no i obowiązkowe sprzątanie po sobie.

Han przedstawił Sallę Lando i ci dwoje również bardzo przypadli sobie do gustu. Widać było, że Lando podoba się Salli, ale jasno postawiła sprawę: jej partnerem jest Han... przynajmniej na razie.

Pewnego dnia, gdy Han pracował przy głównej tarczy „Brii”, Chewbacca ryknął, że ma zejść na dół, bo ktoś chce z nim rozmawiać. Han zszedł i zobaczył przystojnego chłopaka o brązowych oczach i ciemnych włosach. Przypominał mu odrobinę jego samego, gdy był nastolatkiem.

Młody człowiek wyciągnął rękę.

- Han Solo? Cieszę się, że cię poznałem. Jestem Jarik. Jarik Solo.

Oczy Hana rozszerzyły się ze zdumienia.

- Solo? - zapytał zaskoczony.

- Tak - odparł chłopak. - Nazywam się Solo. Sądzę, że jesteśmy spokrewnieni. Ja też pochodzę z Korelii.

Han znał tylko dwoje ludzi, z którymi prawdopodobnie łączyły go więzy pokrewieństwa. Nie był tym zachwycony, bo ciotka Tiion była skończoną paranoiczką, a jej syn - kuzyn Hana Thrackam Sal-Solo - sadystyczną zmiłą... jeżeli w ogóle któreś z nich jeszcze żyło. Teraz nie wiedział, co powiedzieć.

- Naprawdę? - zapytał w końcu. - To ciekawe. Z jakiej gałęzi rodziny jesteś?

- Przypuszczam, że mój wuj Renn był kuzynem twojego ojca - odparł młodzieniec bez zmruczenia oka.

Renn było bardzo popularnym imieniem na Korelii. Han uśmiechnął się.

- Może być - powiedział. - Chodź tutaj, pogadamy.

Zaprowadził chłopaka do zagraconego biura Shuga i zrobił po kubku stymherbaty.

Chewie podążył za nim i Han przedstawił go przybyszowi. Z powarkiwania Wookiego Han wywnioskował, że chłopiec mu się spodobał.

- Powiedz, dlaczego mnie szukałeś? - zapytał Han.

- Chcę się nauczyć pilotażu - odparł chłopiec. - Słyszałem, że jesteś najlepszy. Będę dla ciebie pracował, jeśli nauczysz mnie latać.

- Hmm... - Han spojrzał pytająco na Wookiego. - Przydałaby nam się pomoc przy „Brii”. Radzisz sobie ze spryskiwaczem?

- Jasne - odparł Jarik. - Oczywiście, że sobie radzę.

- Cóż, zobaczymy.

Z początku Han znalazł chłopcu pracę obok siebie, bo chciał go mieć na oku. Nie wierzył, aby mały pochodził z Korelii. Po prostu jakoś mu na to nie wyglądał. Zapytał Roę, którego uważał za najbardziej doświadzonego przemytnika, czy wie coś o chłopcu imieniem Jarik.

Zajął to miesiąc, ale Roa zdołał ustalić, że chłopak jest dzieckiem ulicy, urodzonym i wyrosłym na niskich poziomach Nar Shaddaa. Starał się przeżyć łapiąc każdą robotę, jaka mu się nawinęła. O jego rodzicach nikt nic nie wiedział, pewnie nawet on sam. Nigdy nie ruszał się z Nar Shaddaa i trzymał się najczęściej sektora koreliańskiego. Mogło to potwierdzać wersję, że jedno z jego rodziców pochodziło z Korelii.

Kiedy Han zyskał pewność, że dzieciak go okłamał, zastanawiał się, czy go nie przepędzić, ale zdołał się już przyzwyczaić do jego obecności. Młodziak był na każde jego zawołanie i chodził za nim wszędzie, gdzie tylko Han mu pozwolił. Jego pełne czci oddanie schlebiali pilotowi; w końcu on sam też nieraz kłamał, aby dostać się do środka jakiegoś bogatego domu.

Jarik uczył się szybko. Han nauczył go obsługi prawej wieżyczki strzeleckiej „Brii”. Okazało się, że chłopak ma dobry refleks i niezłe oko. Ponieważ zaś aktywność piratów w sektorze Hurtów ostatnio znacznie się zwiększyła, Han zaczął zabierać go jako strzelca na prawie każdy lot. Naradził się w tej sprawie z Chewbacą i postanowili nie mówić dzieciakowi, iż wiedzą o jego kłamstwie. Chewie zauważył, że to musi wiele

znaczyć dla chłopaka, iż wreszcie ma jakieś nazwisko. Wookie byli bardzo rodzinnymi stworzeniami i Chewiemu żal było sieroty.

Związek Hana z Sallą umocnił się, a tymczasem „Bria” była już gotowa do lotów. Modyfikacje Shuga zwiększyły jej prędkość na tyle, że stała się całkiem niezłym małym stateczkiem. Ale wciąż była -jak to ładnie nazwał Jarik - bardzo nieprzewidywalną damą.

Jeden rajd odbywała rewelacyjnie, a już w następnym dawała nieźle popalić Hanowi, Chewiemu i Jarikowi w kosmicznej pustce. Han przy okazji przyswoił sobie niezły repertuar przekleństw w języku Wookiech, gdy razem z Chewiem sfluwiali potem przy naprawach.

Pewnego razu odmówił działania napęd podświetlony, kiedy przelatowali przez gromadę czarnych dziur w Paszczy. To było dość interesujące przeżycie. Przez chwilę Han stracił nadzieję, że zobaczą jeszcze kiedykolwiek Nar Shaddaa. Gdyby nie błyskawiczna naprawa dokonana przez Wookiego i kunszt Hana jako pilota, ich frachtowiec zostałby wessany do wnętrza czarnej dziury.

Han znalazł im lepsze mieszkanie - większe i w przyzwoitszej części koreliańskiego sektora. A że sam często zostawał na noc u Salli, pozwalał tam sypiać Jarikowi, żeby Chewbacą miał towarzystwo.

W rzadkich chwilach, kiedy miał czas na refleksje, Han dochodził do wniosku, że życie przybiera sympatyczny obrót. Od co najmniej dwóch miesięcy nie pojawił się żaden łowca nagród, nie było też śladu Boby Fetta. Wiedli wraz z Chewiem całkiem dostatni żywot, no i mieli własny statek. Han zdobył przyjaciół i partnerkę, która doskonale rozumiała jego styl życia. Był zadowolony jak chyba jeszcze nigdy dotąd...

Głęboko w pustce kosmicznej pomiędzy systemami słonecznymi, po wykonaniu skoku według ściśle tajnych współrzędnych, spotkały się dwa statki Huttów. Oba należały do członków kajidica Desilijic, ale żaden z nich nie był pilotowany przez Hana Solo. Jednym ze statków był jacht Jabby „Klejnot Gwiazd”, drugim - „Perła Smoka” należąca do Jiliak. Prowadzone wprawną ręką pilotów niewielkie stateczki zbliżyły się do siebie powoli na silnikach manewrowych, aż wreszcie zawisły burta w burcie w odległości umożliwiającej połączenie przez rękaw komunikacyjny. Rękaw wysunął się ze śluzy wyjściowej „Klejnotu Gwiazd” i został przytwierdzony do burty „Perły Smoka”. Oba jachty Huttów pozostawały w bezruchu.

Jabba i Jiliak czekali na pokładzie „Klejnotu Gwiazd”.

Wygodnie usadowiona w luksusowym salonie statku, Jiliak kołysała w ramionach swojego potomka. Kiedy instrumenty statku wskazały, że manewr połączenia zakończył się sukcesem, odłożyła małego Hutta z powrotem do fałdy na brzuchu, pozwalając drobnej istotce pełzać w bezpiecznym wnętrzu. Młodzi Huttowie spędzali większość pierwszego roku życia w torbie matki.

Korytarzem zbliżał się tupot licznych kończyn. Drzwi otworzyły się wreszcie i stanął w nich Najwyższy Arcykapłan Ilezi, Teroenza.

Potężny t'landa Til wydawał się niewielki w porównaniu z gigantycznymi cielkami Huttów, ale jednak, jak zauważyła Jiliak, Teroenza czuł się dość pewny siebie.

Wskazała na wiszące legowisko tianda Tilów, które kazała specjalnie z tej okazji zainstalować w salonie.

- Witaj, Teroenzo. Rozgość się, proszę. Mam nadzieję, że twoja nieobecność na Ilezji pozostanie niezauważona?

- Mam niewiele czasu - odparł Teroenza. - Wyjechałem dziś rano pęłaczem z gamorreńskim pilotem, oficjalnie aby dokonać inspekcji na budowie Ósmej Kolonii. W połowie drogi, w najgęstszej dżungli, ogłuszyłem kierowcę i upozorowałem zderzenie pęłacza z drzewem. Wsadziłem do środka detonator termiczny i maszyna całkowicie spłonęła razem z nieprzytomnym Gamorreaninem. Wasz statek czekał w dokładnie określonym miejscu. Jeśli jutro dostarczy mnie na to samo miejsce, pobrudzę się błotem i lekko poranię, a potem wyruszę w drogę powrotną przez dżunglę. Na pewno spotkam którąś z ekip poszukiwawczych. Aruk nie będzie niczego podejrzewał.

- Doskonale przeprowadzone - pochwaliła Jiliak. - Skoro, jak sam powiedziałeś, nie masz wiele czasu, przejdźmy od razu do rzeczy. Aruk stał się... kłopotliwy. I z tym kłopotem chcielibyśmy coś zrobić.

Teroenza parsknął gniewnie.

- Nieważne, jak bardzo rośnie produkcja, on jest wiecznie niezadowolony. Nie wiedziałem swojej partnerki od ponad roku. Nie pozwalała mi nawet na krótką wizytę w domu. No i zredukował nagrodę za Hana Solo, pozwalając łowcy na dezintegrację! Zabronił mi podnosić sumę, chociaż chciałem zapłacić z własnych funduszy. Powiedział, że mam obsesję na punkcie Solo! Kiedy zrobił mi coś takiego, nie mogłem dłużej być po jego stronie. Od wielu miesięcy wyobrażałem sobie powolną śmierć tego koreliańskiego śmiecia. Było to moją jedyną przyjemnością. Kiedy przypominę sobie, jak... - Najwyższy Arcykapłan wyrecytował litanie żalów wobec Hana Solo.

Jabba i Jiliak spoglądali po sobie znacząco podczas tej tyrady. Jiliak wiedziała, że Jabba zawarł umowę z Boba Fettem, aby Han Solo mógł kontynuować pracę dla nich, nie obawiając się nagrody wyznaczonej za jego głowę. Ale o tym Teroenza nie musiał wiedzieć.

Wreszcie kapłan ucichł.

- Przepraszam, wasze ekscelencje - ukłonił się. - Przejdźmy do rzeczy.

- Po pierwsze musimy ustalić cenę za twoją... pomoc, Teroenzo - zauważył Jabba.

T'landa Til wymienił sumę.

Jabba i Jiliak popatrzyli na siebie. Żadne nie odezwało się ani słowem.

Po kilku minutach Teroenza wymienił następną, już znacznie niższą sumę, nie tak absurdalną jak pierwsza. Jiliak wzięła z półmiska małego skorupiaka i zastanawiała się w milczeniu przez kilka sekund.

- Dobrze - powiedziała w końcu, pakując przekąskę do ust. - Tylko nie chcę, żeby ktokolwiek podejrzewał morderstwo - dodała. - To musi być subtelne...

- Subtelne... - wymamrotał Teroenza odruchowo głaszcząc swój róg, który wyglądał jak świeżo naoliwiony. - A zatem nie atak zbrojny?

- Absolutnie odpada - zastrzegła Jiliak. - Ochrona Besadiich jest niewiele gorsza od naszej. Nasi ludzie musieliby stoczyć ciężką walkę, no i każdy na Nal Hutta wiedziałby, kto zaczął atak. To rozwiązanie jest do niczego.

- Może wypadek? - myślała głośno Jabba. - Na przykład na barce rzecznej. Słyszałem, że Aruk lubi spędzać na niej wieczory. Często tam przebywa.

- Może być - zgodziła się Jiliak. - Ale taki wypadek ciężko skontrolować. Mógłby uciepieć także Durga, a jego chcę oszczędzić.

- Dlaczego, ciociu? Durga jest bystry. Może stać się niebezpieczny - zauważył Jabba.

Zanim Jiliak odpowiedziała, zrobił to za nią Teroenza. Najwyższy Kapłan rozciągnął się wygodnie w legowisku i także sięgnął po wijącą się przekąskę.

- Durga - powiedział z pełnymi ustami - będzie miał kłopoty z kontrolą nad klanem. Wielu w jego kajidicu uważa, że nie powinien być przywódcą z uwagi na jego znięcie. Mówią, że to złe znięcie i jest z nim związany zły los. Jeśli usunie się Durgę, kajidic może stać się silniejszy pod wodzą kolejnego lidera.

Jiliak pochylała głowę w stronę Teroenzy.

- Rozumujesz jak Hutt, Najwyższy Arcykapłanie.

- Dziękuję, ekscelencjo - odparł dumny z pochwały Teroenza.

- Nie zabójstwo, nie wypadek - mruczał Jabba. - Więc co?

- Mam pewien plan - odparła Jiliak. - Zdobyłam substancję, którą można podsunąć Arukowi w jedzeniu. Ma tę zaletę, że jest praktycznie nie do wykrycia przy badaniu tkanek. Jej działanie polega na spowalnianiu i osłabianiu procesów myślowych, tak więc ofiara podejmuje coraz gorsze decyzje. A niewłaściwe decyzje Aruka to nasz zysk.

- W porządku, ciociu - zgodził się Jabba. - Ale trucizna? My, Huttowie, jesteśmy wyjątkowo odporni na trucizny. Aby zabić któregoś z nas, nawet tak starego jak Aruk, potrzeba by jej tak wiele, że musiałoby to zostać zauważone.

Jiliak potrząsnęła masywną głową ruchem, który podpatrzyła u ludzi.

- Nie wtedy, jeśli odbędzie się to tak, jak planuję. Ta substancja zatrzuwa ofiarę bardzo powoli. Koncentruje się w komórkach mózgowych istot inteligentnych. Przyjmując ją przez dłuższy czas, ofiara uzależnia się do tego stopnia, że jej odstawienie powoduje silną reakcję. Grozi to śmiercią albo rozległym uszkodzeniem mózgu, a więc Aruk i tak nie będzie już dla nas groźny.

- Możecie dostarczyć taką substancję? - zapytał podniecony Teroenza.

- Jest bardzo droga i rzadka - przypomniała Jiliak. - Ale... tak. Mogę zapewnić odpowiednią ilość.

- Tylko jak mu ją podać? - zapytał Jabba.

- Wasze ekscelencje, to mogę załatwić! - Teroenza kołysał się radośnie w wiszącym legowisku jak psotny dzieciak. - Żaby z drzewa nala Temu się nie oprze!

- Wyjaśnij to, kapłanie - zażądała Jiliak.

Teroenza opowiedział o uwielbianych przez lorda Besadii żabach z drzewa nala.

- Odkąd dwa tygodnie temu wrócił do domu, zażądał całego akwarium żywych żab z drzewa nala przy każdym transporcie przyprawy wysyłanym na Nal Hutta! - flandda Til zatarł z oburzeniem małe rączki.

- Jak ich użyjemy?



- Żaby z drzewa nala nie są istotami inteligentnymi, więc nie zareagują na waszą truciznę.

- Rzeczywiście nie powinny - zgodziła się Jiliak. - Mów dalej, proszę.

- Mogę hodować żaby w wodzie, do której będę dodawał tej substancji - ciągnął Teroenza. - Już od kijanki znajdują się w trującym roztworze, a więc ich ciała będą nią przesiąknięte. Takie właśnie żaby dostanie Aruk. Stopniowo będę zwiększał koncentrację substancji, a zatem Aruk będzie jej przyjmował coraz więcej. W końcu się od niej uzależni. A kiedy to nastąpi... - wykonał szybki ruch dłonią. - Koniec z trucizną! Do stanie zwykle żaby!

- I umrze - dokończyła Jiliak. - A jak nie umrze, to straci umiejętność myślenia. Co zresztą w pełni nas zadowala.

Jabba odniósł się do tego pomysłu z entuzjazmem.

- Tak zrobimy. Twój plan jest doskonały.

- Mam zamiar przekazać ci pierwszą część... hmm... wynagrodzenia - powiedziała Jiliak. - Gdzie mam przesać kredyty?

Wyłupiaste oczy Teroenzy zalsniły blaskiem chciwości.

- Zamiast kredytów wolałbym eksponaty do mojej kolekcji. W ten sposób łatwiej mi ukryć zapłatę. Jeśli będę potrzebował kredytów, zawsze mogę coś sprzedać i nikt nie zobaczy w tym niczego podejrzanego.

- Doskonale - odparła Jiliak. - Przedstaw nam listę poszukiwanych przedmiotów. Jeśli nie zdołamy ich odnaleźć, prześlemy kredyty, ale najpierw rozejrzymy się za eksponatami.

- Wspaniale - ucieszył się Teroenza. - A zatem zawarliśmy układ.

- Wznoszę toast - zawołał Jabba - za nasz sojusz i za rychły koniec Aruka.

- Niech się spełni - odpowiedział mu Teroenza unosząc kosztowną czarkę. - Pierwszym moim posunięciem będzie wyznaczenie tak wysokiej nagrody za głowę Hana Solo, że będzie za nim biegał każdy łowca w galaktyce.

- Za śmierć Aruka! - powiedziała Jiliak unosząc swoją czarkę.

- Za śmierć Aruka! - powtórzył Jabba.

Teroenza zawahał się przez ułamek sekundy, a potem przyłączył się do nich ochotczo.

- Za śmierć Aruka... i Solo.

Wypili razem.

Po wyjściu Teroenzy, który miał zostać niepostrzeżenie podrzucony z powrotem na Ilezję na pokładzie „Perły Smoka”, Jabba i Jiliak przystąpili do planowania dalszej strategii. Po śmierci Aruka przejmą stopniowo kontrolę nad Ilezją i wyeliminują najważniejszych Besadiich jednego za drugim, aż zdziesiątkowany klan straci zupełnie moc i znaczenie.

Ta perspektywa znakomicie poprawiła ich nastroje.

Nie na długo. Dobry humor popsuł im zaraz Lobb Gerido, który wkroczył do salonu energicznie gestykulując.

- Wasze ekscelencje! Jeden z naszych agentów z Regolith Prime przesłał transmisję holo. Bardzo niepokojące wieści z Centrum Imperium! Pilot je nagrał. Gdyby wasze ekscelencje zechciały włączyć holoprojektor...

Zaniepokojona Jiliak zrobiła to natychmiast. Pojawił się przed nimi trójwymiarowy obraz; Huttowie poznali Moffa swojego sektora - Sarna Shilda. Była to najwyraźniej oficjalna konferencja prasowa. Za Shildem widniał symbol Centrum Imperium - planety, która kiedyś zwała się Coruscant.

- Obywatele wewnętrznego i zewnętrznego sektora Rim - powiedział Sarn z poważną miną. - Nasz dostoyny Imperator został zmuszony do sflumienia jeszcze jednego buntu na obszarze Imperium. Rebelianci przy użyciu broni pochodzącej z naszego sektora zaatakowali posterunki Imperium na Rampie 2, raniąc i zabijając wielu żołnierzy. Odpowiedź Imperatora była natychmiastowa. Buntownicy zostali rozpoznani i schwytani. Wielu niewinnych mieszkańców poniosło przy tym śmierć z rąk rebelianckich rzeźników, którzy skierowali broń przeciwko nie uzbrojonym cywilom. Nie można pozwolić, aby takie incydenty się powtarzały. Imperator zwrócił się do wszystkich lojalnych wobec niego sektorów o ukrócenie przemytu nielegalnej broni. Z dumą oświadczam, że moja odpowiedź na wezwanie Imperatora będzie natychmiastowa. Doskonale wiemy, że źródłem większości dostaw nielegalnej broni i narkotyków jest przestrzeń Huttów. Wzywam więc wszystkich obywateli naszego sektora, aby poparli mnie przy rozprawianiu się raz na zawsze z huttyjską plagą. Mam zamiar ukrócić ten przemytniczy proceder i powalić na kolana lordów huttyjskich... - Shild umilkł na chwilę, bo przypomniał sobie, że Huttowie nie mają kolan - .. mówiąc w przenośni, oczywiście - dodał.

Odkasznął.

- Aby osiągnąć ten cel, zamierzam użyć poważnych sił wojskowych. Huttowie nauczą się, że nie wolno bezkarnie łamać praw ustanowionych przez Imperium. - Shild uniósł pięść w bojowym geście. - Porządek i prawo zapanują ponownie w naszym sektorze!

Hologram przygaśł przy ostatnich groźnych słowach Shilda. Huttowie patrzyli na siebie w milczeniu przez dłuższą chwilę.

- Nie jest dobrze, ciociu - powiedział wreszcie Jabba.

- Zupełnie źle - zgodziła się Jiliak. Zakłęła cicho. - Skąd Shild znalazł nagle tyle odwagi, aby wystąpić przeciw nam?

- Zdaje się, że bardziej obawia się Palpatine'a niż nas - odparł Jabba.

- Pokażemy mu, że się myli - powiedziała powoli Jiliak. - Nie możemy dopuścić, aby na Nał Hutta rządził Imperator i jego nędzne służusy.

- Nie możemy - przyznał Jabba.

Jiliak zamyśliła się.

- Ale spróbujemy kompromisu... - dodała.

- Tak, ciociu?

- Może uda nam się dogadać z Shildem. Przekupić go. Niech się rozprawi z Nar Shaddaa i z przemytnikami. Zawsze możemy znaleźć sobie następnych...

Jabba przesunął wielkim jeżorem po brzegu ust, jakby smakując coś bardzo słodkiego.

- Ciociu, podoba mi się kierunek twojego myślenia.

- Musimy przesłać Shildowi wiadomość - zdecydowała Jiliak. - I prezenty... na tyle cenne, by zwróciły jego uwagę. Wiesz, jaki jest chciwy. Na pewno dostrzeże pewne korzyści.

- Na pewno - zgodził się Jabba. - Tylko kto zawiezie mu wiadomość?

Jiliak pomyślała przez chwilę, a potem kąciki jej szerokich ust uniosły się ku górze.

- Znam takiego jednego...

## ROZDZIAŁ

# 9

### ZABAWKI DLA MOFFA

Han Solo stał z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi ze zdumienia ustami przed platformą Jiliak.

- Więc co chcesz, żebyś zrobił? - wykrztusił wreszcie.

- Ostrożnie, kapitanie Solo - ostrzegł Jabba. - Zwracaj się z szacunkiem do lady Jiliak.

Han zignorował uwagę huttyjskiego lorda.

- Ale... ale... - bełkotał- to czyste szaleństwo! To tak, jakbyście kazali mi przyłożyć sobie pistolet do głowy i pociągnąć za spust. Wszyscy wiemy, co Shild robi z przemytnikami. Gdybyście przypadkiem zapomnieli, wasze dostojności, to ja jestem przemytnikiem! - uderzył się kciukiem w pierś. - Jeśli pojedę do Sarna Shilda, aby wręczyć mu wasz prezent i przekazać wiadomość, będzie to mój ostatni spacer na wolności. Nie! Nie zrobię tego!

Sam trochę się dziwił, że potrafi przemawiać do potężnych huttyjskich przywódców w ten sposób, ale prośba Jiliak naprawdę go rozjuszyła. Kim oni są, do diabła? I co sobie wyobrażają?

- Kapitanie Solo... - Jiliak nie wyglądała na obrażoną słowami ani tonem głosu Hana. - Uspokój się. Zaopatrzymy cię w odpowiednie przebranie, doskonałe fałszywe papiery i jeden z naszych własnych statków kurierskich. Nikt się nie dowie, że jesteś Hanem Solo, przemytnikiem. Dla nich będziesz posłem dyplomatycznym z Nal Hutta, specjalnie upoważnionym do dostarczenia naszej wiadomości i prezentu.

Han wziął głęboki wdech. Cóż, skoro tak to wygląda...

- Ile warte jest dla was dostarczenie tej wiadomości? - zapytał po chwili namysłu.

- Dziesięć tysięcy kredytów - odparła Jiliak bez mrugnienia okiem.

Han wstrzymał oddech. Tak dużo? Tylko za lot na Coruscant i z powrotem?

Patrzył przez chwilę w milczeniu na huttyjskich lordów. W końcu odwrócił się do Chewbacki.

- A ty co myślisz, bracie?

Chewie najwyraźniej przeżywał takie same rozterki jak on. Wielki Wookiee parsknął i mlaskał, aż wreszcie mruknął, że z takimi pieniędzmi mogliby zacząć oszczędzać na statek, który mają zamiar kupić. Ale skoro głównie Han będzie narażał swoją skórę, ostateczna decyzja należy do niego.

Korelianin namyślał się jeszcze przez chwilę, a w końcu zwrócił się do Jiliak i Jabby.

- Dobrze - powiedział. - Zrobię to za dziesięć tysięcy. Ale płatne z góry.

Jabba zaczął protestować, ale Jiliak uciszyła go niecierpliwym gestem.

- Niech tak będzie, kapitanie. Dziesięć tysięcy płatne z góry. Kiedy możesz wyruszyć?

- Jeśli dzisiaj dostanę dokumenty i statek - powiedział ponuro Han - wyruszymy jutro z rana.

- Tak się stanie - zapewniła Jiliak.

Huttyjska przywódczyni dotrzymała słowa. Późnym wieczorem Han dostał doskonałe papiery na nazwisko Jobekk Jonn, oficjalny wysłannik dyplomatyczny Hurtów. Statek, którym miał podróżować, był małą koreliańską jednostką kurierską o nazwie „Żywe Srebro”. Przesłano mu też ubranie, o jakim dotąd nie mógł nawet marzyć - kurtkę i spodnie z wełny tomuona, uszyte w najmodniejszym fasonie.

Zgodnie z sugestią Chewiego Han zapuścił krótką brodę podczas podróży na Coruscant. Kiedy wylądowali w końcu w jednym z wielu doków kosmicznych planety, zacesał włosy do tyłu, wzmacniając fryzurę żelem. Sam był zdumiony, jak bardzo zmienił się jego wygląd. W szarym garniturze można go było wziąć za wysokiego urzędnika, na pewno zaś nikt nie domyśliłby się w nim przemytnika.

- Bez blastera czuję się nagi - marudził. - Niestety na Coruscant nie można nosić broni... to znaczy w Centrum Imperium. Poza tym... chyba posłowie dyplomatyczni nie chodzą z blasterami.

Chewie skomentował uczesanie Hana. Kudłatemu Wookiee-mu nie podobało się, że głowa przyjaciela była teraz gładka i błyszcząca jak polerowany kamień.

- Wierz mi, bracie, sam nie mogę się doczekać, aż wrócę do normalnego wyglądu - odparł Han.

Wziął paczkę z prezentami, kostkę holograficzną z przesłaniem od Jiliak i Wielkiej Rady Hurtów z Nal Hutta, i opuścił pokład „Żywego Srebra”. Małym promem pojechał na powierzchnię Centrum Imperium.

Powrót do stolicy Imperium obudził w nim wiele wspomnień, przeważnie nieprzyjemnych. Bria zostawiła go właśnie tutaj, na Coruscant. Tutaj też po dachach budynków ścigał go Garris Shrike, a w kwatery głównej Floty Imperium miał miejsce sąd wojskowy...

Han wiedział, pod jakim adresem szukać Moffa. Shild miał wiele rezydencji na różnych światach, ale teraz przebywał w Centrum Imperium, uczestnicząc w konferencji na temat prawa i porządku.

Pilot bez trudu dotarł do rezydencji Moffa, eleganckiego mieszkania na najwyższym poziomie jednego z najdroższych budynków w mieście. Przebrnął przez niezli-

zione posterunki ochronne, wręczył swój list akredytacyjny majordomusowi w średnim wieku, usiadł w przedpokoju i czekał. Wielkim wysiłkiem woli zachowywał na zewnątrz zupełny spokój. Po prawie czterdziestu pięciu minutach majordomus pojawił się ponownie.

- Mój pan może ci poświęcić tylko kilka minut - zapowiedział. - Dziś wieczorem wylatuje na Velga Prime.

Świetnie, pomyślał Han.

Velga Prime była planetoidą znaną z największych domów gry w galaktyce.

Szedł za służącym przez wyłożone dywanami korytarze i automatycznie rejestrował przebytą drogę, na wypadek gdyby rzeczy przybrały nieprzyjemny obrót i byłby zmuszony szybko opuścić ten lokal.

W końcu majordomus wprowadził go do gabinetu większego niż całe mieszkanie Hana na Nar Shaddaa.

- Pan Jobekk Jonn z Nal Hutta, ekscelencjo - zapowiedział służący.

Moff Sarn Shild był wysokim, bladym człowiekiem o czarnych włosach, małym wąsiku i ascetycznym wyglądzie. Szczupły, wręcz chudy, miał blade dłonie o długich paznokciach. Nie nosił żadnej biżuterii z wyjątkiem jednej czarnej smoczey perły w uchu. Jego ubranie było równie czarne jak ten klejnot.

Wskazał Hanowi fotel.

- Będę się streszczał, panie Jonn. Wiem, że swego czasu Huttowie byli dla mnie... hojni, ale tym razem Imperator przedstawił swoje życzenia dość jasno. Mam związane ręce.

- Nie spieszmy się aż tak bardzo, ekscelencjo - powiedział Han, zwracając uwagę na dykcję i gramatykę. Podświadomie wrócił do sposobu mówienia, jaki przyswoił sobie będąc oficerem w służbie Imperium. - Wierzę, że podarunek od Huttów i wiadomość, jaką mam przekazać, wydadzą się waszej ekscelencji bardzo interesujące. Czy mogę?

Shild skinął nieznacznie głową. Han ostrożnie położył pakunek na stole.

- Bardzo proszę o rozpakowanie - powiedział.

Moff ostrożnie rozwinął pakunek. Po błysku w oczach Han poznał, że huttyjscy lordowie dobrze znają gust Shilda.

Mała srebrna fajeczka ozdobiona szlachetnymi kamieniami. Miniaturowy holoprojektor, tak mały, że całkowicie krył się w ludzkiej dłoni. Naszyjnik ze złota i platyny ozdobiony drobnymi klejnocikami.

- Dla twojej pani, sir.

- Tak... spodoba jej się - mruknął Moff.

Pomiędzy brwiami dostojnika pojawiła się zmarszczka, gdy szybko przejrzał przesłaną mu wiadomość. Tekst ujawniał się dopiero wtedy, gdy projektor odczytał wzór jego tęczęwki.

- Proszę mnie posłuchać, panie Jonn - powiedział, kiedy skończył czytać. - Żałuję, że nie mogę zapewnić Nal Hutta lepszej osłony, ale jak powiedziałem, nie mam dużego wyboru. Imperator rozkazał namiestnikom ukrócić zdecydowanie przemyt, sprzedaż broni i wszelką nielegalną działalność. Mój sektor zawiera również obszary kontrolo-

wane przez Hurtów, a ich reputacja jest niestety na tyle znana, że nie będę prawdopodobnie mógł ich osłaniać. Wszystko, co mogę obiecać, to że Nal Hutta nie zostanie zajęta zbrojnie, jednak będziecie musieli współpracować.

- W jaki sposób?

- Niech Huttowie zrobią wszystko, co w ich mocy, by zachowywać się jak lojalni i przestrzegający prawa poddani Imperatora.

A to ci dopiero, pomyślał Han.

- A jeśli chodzi o Nar Shaddaa? Nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

Strach o los własny i przyjaciół sprawił, że zaschło mu w ustach.

- Nar Shaddaa posłuży za pouczający przykład - powiedział Shild. - Kiedy skończę z Księżcem Przemysłowców, cały ten przemysłowy proceder straci potężną bazę. Jego mieszkańcy będą mogli mówić o szczęściu, jeśli po ataku pozostaną przy życiu.

Han starał się ukryć szok. Co my zrobimy? - zastanawiał się gorączkowo.

Shild potrząsnął głową.

- Niestety muszę już jechać. Żałuję, że odbył pan tak długą drogę, a nasza rozmowa okazała się tak krótka, ale chodziło tylko o to, by ostrzec pańskich huttyjskich władców, że nie będzie możliwe... załatwienie tej sprawy.

Wstał, a Han automatycznie poszedł w jego ślady.

- Sarn? - kobiecy głos dobiegł zza drzwi prowadzących do sąsiedniego pokoju. Han zastygł w bezruchu. Ten głos!

- Kochanie, jestem tutaj - odpowiedział Sarn. - Właśnie wyprowadzałem posła z Nal Hutta.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich uśmiechnięta kobieta.

- Sarn, kochanie - powiedziała - musimy się spieszyć. Prom już stoi na dachu. Czy to jeszcze długo potrwa?

Han odwrócił głowę i ich oczy spotkały się... po raz pierwszy od sześciu lat.

Bria Tharen. Tym razem nie było mowy o pomyłce. Stała tam w jedwabnej sukni, niczym jeszcze jedna ozdoba pałacowej rezydencji Sarna. Krótka suknia miała kolor turkusowy jak jej oczy. Bria była oszałamiająco piękna.

Popatrzyła na Hana, odruchowo zamrugła i troszkę zbladła. Ale jej uśmiech nie zmienił się.

Jest niezła, pomyślał Han. On się zdradził, ale na szczęście Sarn nie patrzył wtedy na niego. Szybko przybrał maskę uprzejmego, ale chłodnego zainteresowania.

Shild przedstawił ich sobie.

- Pan Jobekk Jonn z Nal Hutta, moja... siostrzenica Bria.

Tylko dzięki wieloletniej praktyce przy sabaku Han zdołał ukryć swoje uczucia, kiedy Bria wyciągnęła do niego dłoń, mówiąc chłodno:

- Miło mi pana poznać, panie Jonn.

Pilot ujął spokojnie jej dłoń i pochylił się nad nią z uprzejmym uśmiechem.

- Jestem zachwycony - odparł. - Jest pan szczęśliwym człowiekiem, ekscelencjo, mając tak piękną... siostrzenicę.

Zauważył lekki rumieniec na policzkach Bria.

- Pan wygląda mi znajomo - powiedziała. - Czy już się nie spotkaliśmy? - Jej głos jednak nie zdradzał zainteresowania.

Han wiedział, że Bria się na nim odgrywa.

- Może na listach gończych - mruknął tak cicho, że Shild nie mógł tego usłyszeć.

Wypuścił jej dłoń, chociaż nade wszystko pragnął ją porwać i zabrać ze sobą. Ukłonił się sztywno Shildowi.

- Dziękuję za poświęcenie mi czasu, ekscelencjo.

Odrzucił się i wymaszerował zdecydowanym krokiem z pokoju.

Później, tej samej nocy, Bria Tharen leżała na małej koi na jachcie Moffa i tłumiała płacz poduszką. Za każdym razem, gdy przypominała sobie spojrzenie Hana, miała ochotę głośno krzyczeć. To oczywiste, że pomyślał sobie najgorsze - wziął ją za konkubinę Shilda. Znow wstrząsnął nią szloch. Tak właśnie miał pomyśleć; Sarn specjalnie stwarzał takie pozory. W gruncie rzeczy seksualne preferencje Moffa nie miały nic wspólnego z ludzkimi kobietami. Bria była jego eksponatem, przeznaczonym do pokazywania innym urzędnikom Imperium, jak każde inne trofeum. Tymczasem Bria utrzymywała porządek w jego domu, wysłuchiwała go, gdy miał ochotę się komuś zwierzyć, nadzorowała pracę jego służby i ułatwiała mu setki codziennych spraw. Ale nigdy nie dzieliła z nim łoża, co czyniło jej obecną misję możliwą do zniesienia.

Ale teraz... teraz Han ją zobaczył i pomyślał sobie najgorsze. Nawet cenne informacje, które Bria mogła zdobyć i dostarczyć rebeliantom na Korelii, nie równoważyły jej żalu i wstydu.

Poduszka był mokra. Bria odwróciła ją na drugą stronę i położyła się patrząc w ciemność. Jacht Moffa mknął przez nadprzestrzeń.

- Han... - szepnęła załamującym się głosem. - Han...

## ROZDZIAŁ

# 10

### ROZKAZY ADMIRAŁA

W drodze powrotnej na Nar Shaddaa Chewbacca sprawnie pilotował statek kurierski „Żywe Srebro”, ale jego myśli zaprzętało coś całkiem innego. Wookie przyglądał się swojemu partnerowi - człowiekowi, u którego miał dług życia- a jego niebieskie oczy miały smutny wyraz. Han siedział skulony w fotelu pilota i tępo śledził migające na zewnątrz linie gwiazd w nadprzestrzeni. Jego stan nie zmieniał się od kilku dni, odkąd wrócił na pokład „Żywego Srebra” po wypełnieniu misji w rezydencji Moffa na Coruscant. Rzadko się odzywał, a jeśli już, to tylko po to, by narzekać lub wygłaszać złośliwe komentarze.

A narzekał na wszystko - najedzenie, na szybkość małego stateczku, na pilotaż Chewiego, nudę podróży, chciwość Huttów...

Na każdy temat, który poruszał Chewie, Han miał coś złego do powiedzenia.

Po raz pierwszy, odkąd spotkał Korelianina, Chewbacca zaczął się zastanawiać, czy istnieją okoliczności, w jakich można by cofnąć przysięgę zwrócenia długu życia w honorowy sposób. Powiedzmy, bardziej honorowy niż zamordowanie osoby, której się tę przysięgę złożyło...

- Ten gruchot rusza się jak tysiącletni Hutt - zrzędził Han. -Zdawałoby się, że przy tych rozmiarach i takich silnikach mógłby osiągać jako taką prędkość... myślisz, że dałby radę przyspieszyć, gdybym wysiadł i trochę go popchnął?

Chewbacca powstrzymał się od komentarza. Powiedział tylko, że naprawdę już niedługo będą z powrotem na Nar Shaddaa.

- Dla mnie to i tak nie dość wcześnie - odparł Han gorzko.

Wstał i zaczął nerwowo krążyć po ciasnej kabinie. Po chwili zaczął narzekać na błękitną smugę światła widoczną na ekranie optycznym. Kiedy wyczerpał zapas przekleństw, warczał jeszcze chwilę niezrozumiale i rzucił się znów na fotel.

- Jak już zwrócimy Hurtom tego małego grata, trzeba chyba będzie wiać na Ucieczkę Przemytników. Jeśli tylko Br... - zaciął się przy tym słowie i poprawił się zaraz: - Jeśli tylko nasz przeklęty statek da sobie radę z polem asteroid.

Chewie zapytał, dlaczego właściwie mają tam lecieć. Przypomniał, że na Ucieczce Przemytników prawdopodobnie zastaną Wynni, a ona była ostatnią istotą, którą Wookie chciał spotkać. Nie był pewien, jak długo wytrzyma jej brutalne zaloty.

- Słuchaj, bracie - głos Hana ociekał sarkazmem. - W razie gdybyś jeszcze tego nie rozumiał, z Nar Shaddaa koniec. Moff Sarn Shild prawdopodobnie już wydał rozkaz zbiórki floty obok Teth. Niedługo strażniemy na zawsze z naszych butów kurz tego śmierdzącego księżyca.

Chewbacca zainteresował się, o jaką flotę chodzi.

- Och, każdy Moff Imperium ma taki mały zespół do własnej dyspozycji, w razie gdyby trzeba było przywrócić porządek w sektorze - powiedział Han i oparł buty o konsolę, nie patrząc, gdzie je kładzie.

Chewie odetchnął z ulgą, że żaden but nie natrafił na przycisk „hamowanie awaryjne”. Taki manewr w nadprzestrzeni nie był najmądrzejszym pomysłem.

- Shild też na pewno taki ma. Jego flota nie jest chyba specjalnie potężna, ale na taką misję wystarczy aż nadto.

Chewbacca trochę się pogubił. Dlaczego flota Moffa nie jest zbyt potężna?

- Takie po prostu są zasady we Flocie Imperium. Przestrzeń Huttów mieści się w sektorze Rim, z dala od cywilizacji, to znaczy od Coruscant. Założę się, że Sarn Shild ma tu trochę starych statków i broni. Wszystko, co najnowsze, jest teraz w sektorach Rampa 1 i Rampa 2.

Rampa 1?- zdziwił się Chewie. Dotąd sądził, że tylko w Rampa 2 trwają jakieś niepokoje.

- Tak, ale kiedy mieszkańcy Rampa 1 usłyszeli, co się dzieje, też zaczęli się burzyć - odparł Han. - Jakby mogło im to przynieść coś dobrego.

Chewie burknął, że nienawidzi Imperium, które zrobiło z niego niewolnika, i że bardzo chciałby się przyczynić do jego upadku.

Han parsknął.

- Hej, bracie, nie miej za dużych nadziei. Palpatine ma więcej statków i broni niż zajęcia dla nich. Każda rebelia przeciwko Imperium jest skazana na zagładę.

Wookie nie ukrywał, że nie wierzy w oświadczenie swojego partnera. Według niego miało to sens, aby wszystkie światy, które teraz cierpią pod żelaznym butem Palpatine'a, zjednoczyły się i zaczęły powstanie.

Han potrząsnął głową ze smutkiem.

- To się nigdy nie wydarzy, Chewie. A nawet gdyby, to wszyscy oni zostaliby skazani na zagładę, jak Nar Shaddaa.

Chewie wtrącił z oburzeniem, że w zwyczaju jego rasy nie leży unikanie walki. Czy Han nie chce walczyć przeciwko Flocie Imperium? Chewie był pewien, że przemytnicy są znacznie lepszymi pilotami i strzelcami niż żołnierze Floty Imperium. Może dałoby się odeprzeć atak?

Han roześmiał się głośno na tę sugestię.

Rozzłoszczony Chewie obnażył kły i warknął na partnera.

Pilot wyprostował się gwałtownie i spojrzał na przyjaciela ze zdumieniem. Chewie bardzo rzadko okazywał mu zniecierpliwienie, a gniew Wookiego nie był czymś, co można lekceważyć.

- Hej, nie masz się o co wściekać! Nic nie poradzę na to, że Nar Shaddaa nie ma najmniejszych szans. To nie moja wina!

Wookie wciąż wydobywał chrapliwe dźwięki z głębi gardzieli.

- Dobrze, dobrze - uspokajał go Han. - Pewnie, że ich ostrzeżę, żeby mogli uciec. Porozmawiam o tym z Mako, jak tylko złożę raport Jiliak. Może być?

Chewie uspokoił się i powrócił do sterowania, ale wciąż rozmyślał. Zapytał w końcu o powód złego humoru Hana.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nie można ze mną wytrzymać? - zdziwił się Han. - Nic się nie stało.

Komentarz Chewbacki był krótki i bezpośredni. Han zaczerwienił się.

- Co to znaczy przez kobietę? - oburzył się, jeszcze bardziej zdumiony. - Niby co na to wskazuje?

Chewie wymienił całą listę powodów, a potem wyraził przypuszczenie, o którą kobietę chodzi.

Han na przemian kłął i zaprzeczał, ale w końcu opadł ciężko na fotel i schował twarz w dłoniach. Wreszcie jęknął głośno i podparł ręką czoło.

- Masz rację, Chewie - wymamrotał. - To była ona, Bria. Z Samem Shildem. Nie potrafiłem w to uwierzyć. Jak mogła?

Chewbacca zauważył, że rzeczy czasem wyglądają inaczej niż nam się wydaje na pierwszy rzut oka.

- Ale nie tym razem - potrząsnął głową Han. - Zwróciła się do Sarna „kochanie” - dodał ze skargą w głosie.

Wookie zapytał, czy Bria może być żoną Moffa. Han westchnął.

- Nie. To nie był... formalny związek, Chewie. Nie mogę uwierzyć, że zdobyła się na coś takiego. To takie... tanie!

Chewbacca starał się go pocieszyć tłumacząc, że istoty są czasem zmuszane do robienia rzeczy, które niekoniecznie sprawiają im przyjemność. Może tak właśnie było w przypadku Brii?

Han próbował zmusić się do uśmiechu.

- Dzięki, stary. Chciałbym móc myśleć, że masz rację. Ale... - potrząsnął głową i dalej nie powiedział już ani słowa.

Reszta lotu aż do lądowania na platformie na Nar Shaddaa przebiegła w kompletnym milczeniu.

Han i Chewie złożyli raport Jiliak i Jabbie prawie natychmiast po wylądowaniu. Huttowie nie byli zadowoleni, kiedy usłyszeli, że Sarn Shild nie zamierza dłużej siedzieć u nich w kieszeni.

- Będziemy musieli dowiedzieć się czegoś więcej o tej flocie i ogólnej sytuacji - powiedziała Jiliak. - Kapitanie Solo, wróć za dwie godziny.

Han wzruszył ramionami i zgodził się. Miał już swoje dziesięć tysięcy kredytów - sprawdził stan konta jeszcze przed odlotem z Nar Shaddaa - więc nie zaszkodzi wydoić Hurtów jeszcze trochę. A w ciągu tych dwóch godzin akurat znajdzie Mako i przekaże ostrzeżenie przemytnikom.

Mako był nawet bardziej zaniepokojony niż Jiliak i Jabba, gdy usłyszał o całej sytuacji.

- Nie rozpowiadaj o tym, Han - poprosił patrząc na uliczki i budynki Nar Shaddaa. Stali na małym balkonie jego zagraconego mieszkania. - Jeśli plotka pójdzie w lud, znacznie się zbiorowa panika i Flota Imperium będzie miała ułatwione zadanie.

- Jeśli ostrzeże się wszystkich wcześniej, może uda się ich ewakuować... - zaczął Han, ale przerwał mu Mako, kręcąc przecząco głową.

- Na to nie ma szansy, dzieciaku. Zbyt wielu z tutejszych nie ma się dokąd udać. Weź na przykład tego Jarika, który latał z tobą i z Chewiem. To szczur z dolnych poziomów, który urodził się i wychował sam, bez niczyjej opieki tu, na Nar Shaddaa. Takich jak on są miliony, Han. Jeśli Imperialni chcą zrobić z Nar Shaddaa lekcję pogładową dla innych, zginie tu wiele istot.

Rozmowa z Mako otrzeźwiła Solo. Dotąd nie myślał o tym w taki sposób. Dopiero teraz zrozumiał, jakimi szczęściarzami są on i Chewbacca - mogą w każdej chwili wsiąść na statek i odlecieć, uciekając przed niebezpieczeństwem. Uznał, że jeśli nadejdzie czas, zabierze ze sobą Jarika. Zdążył polubić chłopaka.

Ale co z tymi wszystkimi stworzeniami, które nie będą mogły opuścić Nar Shaddaa? Księżyc miał tarczę ochronną, ale nie zdołała się ona długo opierać bombardowaniu imperialnej floty. Han wyobraził sobie te olbrzymie wieże w ogniu imperialnych turbolaserów, mieszkańców biegnących w panice po ulicach, wrzeszczących, chowających się, chroniących dzieci. Rodianie, Sullustianie, Twi'lekowie, Wookie, Gamorreanie, Bothanie, Chandra-Fan... wszyscy. Nie wspominając już o ludziach, o mnóstwie ludzi - sektor koreliański był ich pełen...

Toteż Han pojawił się na ponownej audyencji u Jiliak z głową pełną niewesołych myśli.

Huttyjska przywódczyni utkwiała w nim ponure spojrzenie.

- Powiedziałeś prawdę. Sprawdziliśmy w naszych źródłach na Teth i wiemy, że Moff rzeczywiście rozkazał tam się zebrać swojej osobistej flocie. Niektóre jednostki były na dalekich patrolach, więc pełna koncentracja sił zajmie około tygodnia, a może nawet dwóch, a potem co najmniej kilka dni potrwa przygotowanie samego ataku na Nał Hutta. Mamy zamiar powziąć wszelkie środki, aby zapewnić bezpieczeństwo naszej planecie.

Ale co z Nar Shaddaa? - zastanowił się Han.

Było typowe dla egoistycznych Hurtów, że nawet nie pomyśleli o Księżycu Przemyttników. Koncentrowali się na ocaleniu własnej skóry i własnego świata.

- Dowiedzieliśmy się także, że flotą Moffa dowodzi admirał Winstel Greelanx. Byłeś kiedyś oficerem w służbie Imperium, kapitanie. Znasz go?

- Nie - odparł Han. - Pierwsze słyszę. Ale admirał na czele oznacza, że flota jest duża.

- To prawda - powiedziała Jiliak. - Nasze źródła zapewniły nas jednak, że admirał Greelanx, skądinąd kompetentny oficer, swego czasu nie miał nic przeciwko pomnażaniu swej prywatnej fortuny, gdy tylko nadarzyła się sposobność. Dowodził w przeszłości kilkoma flotami patrolowymi i wiemy, że przy właściwym podejściu można go przekupić.

Han skinął głową, nie bardzo zaskoczony, a już na pewno nie zszokowany. Place oficerów Imperium nie były wcale przesadnie duże. Słyszał o niejednym skorumpowanym oficerze.

- Biorąc to pod uwagę, chcielibyśmy posłać ciebie na spotkanie - kontynuowała Jiliak - abyś negocjował w naszym imieniu.

- Ja? - zachnął się Han. Myśl o wycieczce w sam środek Floty Imperium nie była specjalnie sympatyczna. A zaproponowanie łapówki oficerowi Imperium... cóż, w przypadku zdemaskowania oznaczało to śmierć. Ale...

- Jesteś najlepszy i dlatego chcemy cię tam posłać, kapitanie Solo - zakończyła Jiliak.

- Ale...

- Żadnych ale, Han, mój chłopcze - powiedział Jabba przyjaznym tonem, jakim ostatnio się do niego zwracał. - Możesz sprostać temu zadaniu lepiej niż ktokolwiek inny. Byłeś przecież oficerem Imperium. Dostaniesz od nas mundur, fałszywe rozkazy i wojskowe dokumenty oraz identyfikatory. Łatwo dostaniesz się do admirała Greelanxa i wręczysz mu od nas mały prezent. Mówisz w jego języku, Han, i na pewno potrafisz przedstawić mu wszystko tak, aby to właściwie zrozumiał.

- Kredyty zrozumie na pewno - odparł Han. - Ale musi ich być dużo.

- Otrzymałam prawo występowania w imieniu Nal Hut-ta - powiedziała Jiliak. - Kwota nie gra roli, jeśli uda nam się zapewnić... współpracę admirała.

- Ale... - umysł Hana pracował gorączkowo. - Nie możecie oczekiwać, że nie przeprowadzi ataku. Moff zauważyłby przecież, że nie wypełnił rozkazów. Czeką go wtedy sąd wojskowy, a tu przysyłają znacznie większą flotę, która was zmiecie.

- A kolejny admirał, którego mianują, może nie być podatny na nasze perswazje - dokończyła Jiliak kiwając olbrzymią głową. - Dlatego chcemy, aby admirał Greelanx zatrzymał dowództwo. Ale musi być jakiś sposób, aby zapewnić sobie kłeskę jego floty.

Han zmarszczył brwi. Cały wysiłek w szkoleniu w Akademii kładziono na to, aby zapewnić zwycięstwo Imperium.

- Nie wiem jaki - odparł niepewnie.

- Nie moglibyśmy na przykład zażądać od admirała wyprowadzenia statków na takie pozycje, z których nie mogliby nas trafić? - zapytała Jiliak. - My, Huttowie, nie jesteśmy gatunkiem specjalnie uzdolnionym w dziedzinie wojskowości, kapitanie. Jak uzyskać efekt, którego pragniemy, czyli kłeskę imperialnej floty, ale bez oczywistego wskazania, że zapłaciliśmy admirałowi?

- Hmm... - zamyślił się głęboko Han. - Mógłby nam udostępnić swój plan bitwy. Dzięki temu moglibyśmy przygotować obronę i wszystkie nasze statki ustawić na właściwych pozycjach, co umożliwiłoby ewentualne pokonanie Floty Imperium. Zwłasz-

cza jeśli opłacony Greelanx przerwie walkę i wycofa się, gdy tylko będzie mógł usprawiedliwić taki manewr.

- A w jakich okolicznościach nie powinniśmy podejmować walki z Flotą Imperium? - zapytała Jiliak.

- Jeśli w skład floty Shilda wejdzie niszczyciel gwiazdny typu Victory albo, co gorsza, jeden z imperialnych superniszczycieli. Wtedy nie należy nawet o tym myśleć, ekscelencjo. Ale sądzę, że Imperium przeznaczyło do służby w Rim starsze jednostki, więc może istnieje jakaś szansa.

Jabba był najwyraźniej pod wrażeniem wiedzy Hana.

- To jest następny powód, dla którego ty, kapitanie, powinieneś podjąć się misji. Będziesz umiał ocenić siłę floty Moffa, mój chłopcze, a niewielu innych by to potrafiło.

Han spojrział na Chewbackę. Nawet nie pytając wiedział, że Wookie ma ochotę lecieć; zrobiłby wszystko, aby uratować swój zastępczy dom. Han pomyślał o hangarze Shuga i wszystkich wspaniałych chwilach, które spędził tam z przyjaciółmi. Jasne, zawsze marzył, żeby stać się szanowanym obywatelem, ale te marzenia to już odległa przeszłość. Był teraz przemytnikiem i pewnie zostanie nim do końca życia. Zresztą podobąło mu się to.

Myśl o wieżach Nar Shaddaa stojących w płomieniach i o rzezi niewinnych istot przeważała.

- Dobrze. Pojadę spotkać się z Greelanxem i porozmawiać z nim.

- Podkreśl, że takiej oferty żadna istota o zdrowych zmysłach nie powinna odrzucać - dodała Jiliak. - Zapłacimy dobrze.

- Upewnię się, że zrozumiał - zgodził się Han.

- Kiedy możesz odlecieć? - chciał wiedzieć Jabba. - Nie mamy wiele czasu.

- Dajcie mi mundur i papiery, a polecę jeszcze dzisiaj - odparł Han. - Jedyne, co muszę zrobić, to obciąć włosy...

To bardzo dziwne uczucie znów chodzić w mundurze - zdecydował Han, gdy trzy dni później maszerował po permabetonie imperialnej bazy na Teth. Starał się zachowywać naturalnie w szarym uniformie z niebieskimi i czerwonymi insygniami porucznika. Z krótko obciętymi włosami też czuł się dziwnie. No i brakowało mu starych butów. Te nowe były niestety odrobinę za ciasne. Uciskały mu stopę.

Wartownik przy bramie przeskanował jego identyfikator, przejrzał pobieżnie rozkazy wchodzącego, zsalutował mu i wpuścił do środka.

Han rozglądał się za grupką młodszych oficerów. Dzisiejszego popołudnia na okręt flagowy admirała - drednot, „Przeznaczenie Imperium” - powinno przylecieć sporo promów wypełnionych żołnierzami i oficerami, wracającymi na pokład po ostatnich przepustkach. Następny tydzień spędzą przygotowując wielki statek do misji przeciwko światom Hurtów. Na ile Han mógł to ocenić, gdy przyglądał się flocie podczas podchodzenia do lądowania, siły admirała Greelanxa składały się z trzech drednotów - „Przeznaczenia Imperium”, „Dumy Senatu” i „Obróńcy Pokoju” - czterech dużych krążowników i około dwudziestu mniejszych jednostek pomocniczych, w tym kilku lekkich

krażowników klas Guardian i Carrack. Większe jednostki miały na pokładzie mnóstwo myśliwców TIE.

Z pewnością była to siła wystarczająca do całkowitego zniszczenia Nar Shaddaa, ale cóż... mogło być gorzej. Han nie dostrzegł ani jednego gwiazdowego niszczyciela, a mógł się założyć, że gdyby teka jednostka wchodziła w skład eskadry Greelanxa, pełniłaby rolę okrętu flagowego.

Idąc w kierunku przystani promowej, Han dostrzegł młodych oficerów tłoczących się przy jednej z maszyn.

Tędy droga, pomyślał zмирzając w ich kierunku i stając na końcu kolejki. Teraz, kiedy znów był w mundurze, automatycznie wyprostował plecy, jego krok stał się sprężysty, a głowę niósł wysoko.

Młodzi oficerowie weszli na pokład promu, zajęli fotele i zapięli pasy. Siedzący obok Hana kiwnął mu uprzejmie głową. Han odpowiedział uśmiechem. Załoga drednota liczyła ponad szesnaście tysięcy osób, więc było mało prawdopodobne, by ktoś szybko się zorientował, że porucznik Stew Manosk jest przybyszem z zewnątrz.

Lot na drednota przebiegł bez żadnych wydarzeń. Siedzący obok Hana oficer zasnął. Han uśmiechnął się. Czyżby za dużo rozrywek na dole?

Kiedy osiedli w hangarze „Przeznaczenia”, Han przeszedł na pokład statku i udał się do najbliższego wolnego terminala komputera. Okręt był tak wielki, że z pewnością nikt by się nie zdziwił widząc go wywołującego schemat rozkładu pomieszczeń statku.

Tam pójdę, pomyślał... Czwartym poziom, sekcja trzecia...

Szybko odnalazł windę. Na następnym poziomie wszedł taki tłum, że Hana przyciśnięto do tylnej ściany. Nagle zdał sobie z przerażeniem sprawę, że zna oficera stojącego przy drzwiach. Był to Tedris Bjalin, młody porucznik, który kiedyś tak skrupulatnie obrywał insygnia Hana podczas sądu wojskowego.

Han natychmiast weisnął się w róg windy, kryjąc się za plecami wyższego od siebie mężczyzny i modląc się, aby Tedris nie patrzył w tym kierunku. Porucznik nie spojrział i wysiadł na następnym poziomie.

Han odetchnął z ulgą. Co za cholerny zbieg okoliczności, jeden z naprawdę wielu facetów, którzy mogliby mnie poznać! - pomyślał wściekły. Właściwie nie był to aż taki zbieg okoliczności. Tedris pochodził z zewnętrznego sektora Pum, nie powinno to więc nikogo dziwić, że służył właśnie tutaj. Po prostu znał sektor. Muszę uważać, żeby schodzić mu z drogi...

Na poziomie czwartym Han poszedł powoli korytarzem prowadzącym do trzeciej sekcji. Skręcił i doszedł do samego końca. Oficerowie najwyższym stopniem zawsze mieli ekrany widokowe - jeden z przywilejów rangi.

Odnalazł właściwe drzwi i zawahał się. W kieszeni czuł ciężar podarunku Hurtów. Był to piękny i bardzo cenny sygnet z platyny, ozdobiony wspaniałym bothańskim klejnotem.

W zewnętrznej kajucie siedział srebrny robot i pochylony nad biurkiem wprowadzał dane do komputera. Gdy Han wszedł, podniósł na niego wzrok.

- W czym mogę pomóc, poruczniku?

- Muszę się zobaczyć z admirałem Greelanxem - odparł Han.

- Jest pan umówiony, poruczniku?

- Niezupełnie - wyjaśnił Han. - Ale wiem, że zechce mnie przyjąć. Mam dla niego... pewne informacje. Wiesz, co mam na myśli? - Han zamrugał znacząco, świadomie starając się przeciążyć obwody logiczne robota.

Zielone oczy srebrnego robota świeciły lekko, gdy próbował prawidłowo zinterpretować treści, jakie chciał mu przekazać stojący przed nim człowiek. W końcu poddał się.

- Przepraszam, poruczniku, sądzę, że powinien porozmawiać pan z adiutantem admirała.

- Oczywiście - odparł Han w pełnej gotowości.

Robot pospieszył do sąsiedniego pomieszczenia. Dobiegły stamtąd odgłosy rozmowy. W końcu robot wrócił w towarzystwie mocno zirytowanego starszego porucznika. Han przyjął postawę zasadniczą i zasalutował.

- O co chodzi, poruczniku? - warknął nieuprzejmie przybysz.

- Porucznik Stew Manosk prosi o możliwość rozmowy z admirałem, sir!

- Proszę powiedzieć mi, o co chodzi, poruczniku - rozkazał przybyły, który według identyfikatora na mundurze nazywał się Kern Fallon.

- Sir, mam osobistą wiadomość dla admirała.

Han postanowił zaryzykować, wychodząc z założenia, że moralność Greelanxa nie różni się specjalnie od moralności większości wyższych oficerów, jakich znał. Jeśli facet brał łapówki, była też duża szansa, że nie jest ascetą i lubi towarzystwo kobiet...

Fallon uniósł brwi.

- Słucham, poruczniku?

Han wyczuł, że jest sprawdzany. Nie zmienił wyrazu twarzy.

- Sir, pani powiedziała mi, że wiadomość mogę przekazać wyłącznie admirałowi.

- Pani? - głos Fallona ścisł do szeptu. - Masz na myśli Malessię?

Han otworzył szeroko oczy ze zdumienia i postanowił zaryzykować.

- Sir, wiadomość jest od pani Greelanx! - powiedział wstrząśnięty. - Kto to jest Malessia?

Jeżeli Malessia to imię lady Greelanx, jestem ugotowany, pomyślał.

Jednak miał szczęście. Teraz to starszy porucznik Fallon wytrzeszczył oczy.

- Oczywiście, lady Greelanx! Ją właśnie miałem na myśli, to tylko... przejęzyczenie. Malessia to moja żona, ja właśnie... właśnie o niej myślałem. Proszę chwilę zaczekać.

Fallon wbiegł do sąsiedniego pomieszczenia, a Han pozwolił sobie na szelmowski uśmieszek. Czysty sabak, pomyślał. Można było z dużą dozą prawdopodobieństwa zakładać, że stary, dobry admirał Greelanx ma na boku jedną lub dwie panienki...

Obszerna kajuta admirała była urządzona ze smakiem i wyposażona w duży ekran widokowy, który pozwalał admirałowi podziwiać jego eskadrę wiszącą na wyznaczonych orbitach.

Greelanx był krępyim mężczyzną średniego wzrostu, lekko łysiejącym i szpakowatym. Nosił mały wąsik. Kiedy Han wszedł, stał za biurkiem wyraźnie zdenerwowany.

- Przybył pan tu z wiadomością od mojej żony, poruczniku? - zapytał cicho.



Han wziął głęboki oddech i zaczął:

- Sir, to, co mam panu do powiedzenia, może zostać przekazane tylko w cztery oczy.

Greelanx przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Wreszcie nakazał mu gestem podejść bliżej i nacisnął kilka guziczków na biurku.

- Włączyłem ekranowanie dźwięku i skanowania - powiedział. - Proszę mi wreszcie powiedzieć, o co chodzi.

- Admirale, przynoszę prezent od huttyjskich lordów z Nal Hutta. Chcą dojsć do porozumienia.

Oczy Greelanxa zabłyśły na widok cennego klejnotu, ale nie sięgnął po niego.

- Rozumiem - powiedział powoli. - Chociaż nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony. Ślimaki nie chcą, by zakłócać im ich spokojną kryminalną działalność?

Han skinął głową.

- Mniej więcej o to chodzi, admirale. I mają zamiar dobrze za to zapłacić. Mówimy tu o lordach Nal Hutta. Zamierzają być bardzo hojni.

Greelanx w końcu sięgnął po sygnet. Przyjrzał mu się uważnie i wsunął na palec. Pasował doskonale.

- W sam raz - zauważył Han.

- Tak - zgodził się admirał. Przesuwał w zamyśleniu sygnet wzdłuż palca. - Muszę przyznać, że oferta Hurtów jest... kusząca - powiedział w końcu. - Zwłaszcza, że w przyszłym roku mam zamiar odejść na emeryturę. Byłoby miło mieć pewną szansę... na wyższy standard życia.

- W zupełności się zgadzam, sir.

- Ale moje rozkazy są jasne i nie mogę działać wbrew nim - powiedział Greelanx zsuwając z palca sygnet i podając go Hanowi. - Obawiam się, że nie ubijemy interesu, młody człowieku.

Han zeszytniał, ale zmusił się do spokoju. Wiedział, że Greelanx da się skusić.

- A jakie są pańskie rozkazy, sir? - zapytał - Pomyślmy o czymś, co będzie możliwe do przyjęcia dla obu stron, a jednocześnie nie da podstaw do oskarżenia pana o niewykonanie rozkazu.

Greelanx roześmiał się krótko i gorzko.

- Mało prawdopodobne, młody człowieku. Moje rozkazy brzmią: wejść do sytemu Hurtów, wykonać operację Baza Delta Zero na Księżycu Przemysłowców Nar Shaddaa, a potem zablokować Nal Hutta i Nar Shaddaa, dopóki Huttowie nie zgodzą się na pełną inspekcję celną i obecność imperialnych wojsk na swoich światach. Moff nie chce potraktować Huttów zbyt bezlitośnie, ale Nar Shaddaa ma być obrócone w przynę. -

Han przełknął gwałtownie ślinę czując, że zaschło mu w ustach. Baza Delta Zero to operacja polegająca na zniszczeniu świata - całego życia, wszystkich statków i systemów. Nawet roboty miały być unicestwione. Jego najgorszy koszmar zaczynał się ziszczać.

- Admirale - zapytał - czy ma już pan kompletny plan bitwy?

- Mój sztab jeszcze nad nim pracuje, a ja właśnie go przeglądam. Dlaczego pan pyta?

- Huttowie chcieliby kupić dokładny plan, sir - wyjaśnił Han. - Proszę wymienić cenę.

Greelanx był najwyraźniej zaintrygowany.

- Kupić plan bitwy? - w jego głosie brzmiało zdziwienie. - W czym może im to pomóc?

- Być może da nam szansę walki, sir - odparł Han.

- Nam? - admirał spojrział ostro na Hana. - Jest pan jednym z nich? Przemysłowcem?

- Tak, sir.

Greelanx wzruszył ramionami.

- Jestem zaskoczony - przyznał. - Wygląda pan bardzo... przyzwoicie w mundurze.

- Dziękuję, sir - odparł szczerze Han.

Greelanx przemierzał wolnym krokiem kajutę. Najwyraźniej się zastanawiał. Podrzucał przy tym i łapał sygnet. W końcu zatrzymał się przed Hanem.

- Więc twierdzi pan, że pańscy huttyjscy mocodawcy zapłacą mi taką sumę, jakiej zażądam za plan bitwy? - zapytał.

- Tak, sir - odparł Han. - Za to i za wykorzystanie pierwszej rozsądnej i uzasadnionej strategicznie okazji, aby wycofać eskadrę. O resztę zadamy już my.

- Hmm - zastanowił się znowu Greelanx. Wreszcie chyba podjął decyzję, bo wsunął sygnet na palec. - A więc dobrze młody człowieku. Mamy umowę - powiedział. - Chcę otrzymać zapłatę w kamieniach... małych, łatwych do upłynnienia i nie rzucających się za bardzo w oczy. Sporządzą wam listę ich typów.

- Oczywiście, sir - odparł Han. - Proszę tak zrobić.

- Proszę usiąść tutaj - Greelanx wskazał kanapkę po przeciwnej stronie biurka. - Skończę przeglądać plan bitwy i dam go panu.

Han skinął głową i usiadł, gdzie mu polecono. Był trochę zaskoczony, że poszło tak łatwo. Zastanawiał się nawet, czy powinien ufać Greelanxowi, ale admirał naprawdę zdawał się opętany chciwością. Ale działało się tu coś jeszcze... coś, czego Han nie potrafił rozszyfrować.

Greelanx pracował w milczeniu przez jakieś dwie godziny. Wreszcie uniósł głowę i skinął na Hana, żeby się zbliżył.

- Gotowe - powiedział. - Nic specjalnie inspirującego. Standardowa taktyka imperialnej floty, ale dobrze się sprawdzająca. Obawiam się jednak, że rozniesiemy w pył każdą flotę przemysłowców.

- To już nasze zmartwienie - odparł Han. - Niech pan się tylko tego trzyma, admirale - wskazał na plan bitwy - a kiedy stanie się to możliwe, niech pan wycofa eskadrę. Jeżeli pan to zrobi, wrócę z zapłatą.

- Jest pan pilotem, prawda? - zapytał Greelanx.

- Jestem - odparł Han. Uśmiechnął się do starszego oficera. - Jeszcze będzie pan żałować, że nie walczę po pana stronie.

- Zadziorny - zachichotał admirał. - Ale najlepsi piloci tacy są. Bardzo dobrze. Zostawię czekający na pana prom. Oto współrzędne - nakreślił kilka dodatkowych znaków na planie bitwy. - I proszę mieć na sobie mundur. Wszystkie potrzebne kody dostępu

floty będą w komputerze promu. Będę pana oczekiwał dokładnie w tydzień po ataku, co do godziny. Czy to jasne?

Han skinął głową.

- Tak, sir, jasne. Może pan na mnie liczyć. Huttowie doskonale zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Zapłacą co do kredytu. Bez żadnych skarg.

Przynajmniej ty ich nie usłyszysz, dodał w myśli.

- Znakomicie. To zamyka naszą umowę - powiedział Greelanx. - Chociaż, młody człowieku... sędzę, że zanadto optymistycznie ocenia pan wasze szanse przeciwko mojej eskadrze.

Han skinął głową.

- Być może, admirale. Ale wszystko, czego chcemy, to szansa walki.

- A więc dostaniecie ją- zapewnił admirał. –Ale radzę wam dobrze się przygotować do obrony. Mój atak nie będzie zabawą.

Han zasalutował.

- Tak jest, sir.

Potem wykonał regulaminowy zwrot i sprężystym krokiem wymaszerował z kajuty admirała.

## ROZDZIAŁ

# 11

### PRZYGOTOWANIA DO BITWY

Kąciki bezwargich ust Aruka Hutta uniosły się do góry, gdy wpatrywał się badawczo wypukłymi oczami w ekran komputera, na którym pojawił się raport dotyczący dostaw. Zwykle długo i z upodobaniem wpatrywał się w rzędy liczb i danych - kwartalne, półroczne i roczne raporty, bilanse zysków z Ilezji, prognozy dotyczące nowych przedsięwzięć, wyceny netto wartości i wszystkie szczegóły finansowe z odległych i skomplikowanych przedsięwzięć kajidicca Besadii... jednak ostatnio coraz trudniej przychodziło mu koncentrować się na tym wszystkim.

Machinalnie sięgnął po następną żabę z drzewa nala, z dostawy przysłanej przez Teroenzę z Ilezji. T'landa Til dotrzymał obietnicy, że będą to wyłącznie najtłustsze, największe i najświeższe sztuki, jakie uda mu się zdobyć.

Ręka Aruka zacisnęła się wokół żaby. Przerazona istota rzuciła się dziko między palcami huttyjskiego lorda. Aruk wsunął do ust wijące się stworzenie i przycisnął jęzorem. Przez dłuższą chwilę napawał się rozpaczliwą walką żaby, po czym połknął ją w całości.

Pycha, pomyślał z zadowolonym westchnieniem.

Znów pochylił się nad komputerem. Raporty mogą poczekać...

Miał ochotę się zdrzemnąć, chociaż wiedział, że nie powinien. Jego lekarz i robot medyczny zgodnie twierdzili, że potrzeba mu więcej ćwiczeń fizycznych. W te dni, kiedy ani na moment nie schodził ze swojej platformy, by przejść się chociaż trochę o własnych siłach, narzekali i robili mu wykłady. Kiedy jadł coś tłustego albo palił hookah, syczeli, że osłabia układ krążenia. Aruk wiedział, że mają rację, że jego system krążenia jest słaby. Sam zauważył, że zielona barwa jego skóry pociemniała ostatnio.

Ale był stary, do pioruna, i w jego wieku powinno mu się pozwolić robić to, na co ma ochotę - a to oznaczało palenie, jedzenie tego, co mu smakowało, i błogie leniwo. No i rezygnację z czytania tych niezrozumiałych sprawozdań finansowych.

Aruk zdecydował, że przekaże to wszystko Durdze. Czas już, by młodzieniec zaczął zdejmować część ciężarów z barków swojego rodzica.

Wiekowy huttyjski lord wziął następną żabę z drzewa nala i połknął ją z westchnieniem. Potem zamknął wylupiające oczy i oddał się cudownej popołudniowej drzemce.

- Uciszcie się wreszcie wszyscy! - ryknął Mako Spince. Jego wzmacniany elektronicznie głos zadudnił echem w olbrzymim audytorium Pałacu Losu, gdzie Han kiedyś pierwszy raz widział przedstawienie Xaverri. Kasyno udostępniło salę, kiedy Mako zwołał zebranie reprezentantów wszystkich enklaw Nar Shaddaa, zarówno ludzkich, jak i nieludzkich. - Powiedziałem, uciszcie się!

Powoli gwar cichł. Mako czekał, dopóki nie upewnił się, że wszyscy zwrócili na niego uwagę. Wreszcie powiedział:

- Cóż, bracia, nie jestem jakimś tam politykiem, więc nie wiem, jak się wygłasza przemówienia. Jedyne, co mogę zrobić, to przekazać wam fakty, które znam. W porządku?

Tłum przyjął głośnym aplauzem ten wstęp, co zabrzmiało jak jeden wielki szum.

- Wał, Mako - wrzasnął stojący w pierwszym szeregu Gotal.

- Już się robi. - Mako uniósł prawą rękę w górę, a lewej używał, aby odznaczać palcami punkty, które wyliczał. - Po pierwsze, drodzy mieszkańcy Nar Shadda, nasz świat ma kłopoty. Mniej więcej za tydzień eskadra Floty Imperium wyruszy z Teth, wysłana przez naszego ukochanego Moffa Sarna Shilda. Eskadra ma rozkaz nas unicestwić. Nie postraszyc trochę czy zniszczyć część statków. Po prostu unicestwić całe życie na Nar Shaddaa. Z budynków mają pozostać tylko dym i gruzy.

Przez tłum przebiegł pomruk przerażenia, kiedy do zebranych dotarło znaczenie słów Mako.

- Po drugie - ciągnął Mako - jesteśmy zdani na własne siły. Huttowie wywalili kupę forsę na nowe osłony planetarne, więc będą za nimi siedzieć na Nal Hutta, podczas gdy do nas będzie walić imperialna flota. Huttowie najęli wprawdzie małą flotę najemników, aby pomogła im się bronić, ale ich główna strategia polega na oddaniu Imperium Nar Shaddaa i nadziei, że to wystarczy.

Znów rozległ się gwar, pomruki i syki przedstawicieli wszelkich możliwych ras, których zdołał zebrać Mako. Przemycnicy przeklinali w gniewie Huttów i ciskali groźby pod ich adresem. Upłynęło dobre pięć minut, zanim Mako mógł przemawiać dalej.

- Tak, tak! Mnie też to wkurza, przyjaciele, ale co możemy na to poradzić? To są Huttowie! Czego się spodziewaliście? A teraz do rzeczy. Cokolwiek z tym zrobimy, jest to nasz problem. Ślimaki nam nie pomogą.

Tłum przycichł stopniowo.

- Teraz fakt numer trzy. Nie jesteśmy tak do końca bezradni, przyjaciele. Wiemy z dobrych źródeł, że Flota Imperium nie będzie wyposażona w żadną superciężką jednostkę. Żadnych gwiazdnych niszczycieli. I to jest dobra wiadomość. Oznacza, że możemy walczyć!

Rozległy się zaskoczone szepty, które nagle urosły w entuzjastyczny ryk:

- Tak! Będziemy walczyć! Skopimy im tyłki! Chcemy walczyć! Ci Imperialni nie potrafią nawet dobrze strzelać! Nie będziemy wiać przed tą zgrają! Pozałużą, że się na nas porwali!

Na twarzy Mako pojawił się uśmiech.

- Właśnie tak myślę, bracia! Też mam zamiar walczyć z tą flotą, choćby okazało się, że stanie do tej walki tylko mój statek. Nikt nie unicestwi mnie bez walki! Nikt!

Tym razem ryk tłumu był ogłuszający.

- Tak! Mako! Prowadź nas, Mako! Będziemy walczyć!

Mako uciszył ich gestem.

- Ci, którzy chcą walczyć, niech podniosą ręce, łapy, macki czy cokolwiek innego. Ci, którzy nie chcą walczyć... radzę wam zabrać swoje kłamoty i rodziny, i zabierać się stąd jak najszybciej. Niedługo może być już za późno.

Han, który przyglądał się temu z boku sceny, był zaskoczony widząc, że większość zebranych zdecydowała się zostać. Tylko kilka tuzinów istot opuściło zgromadzenie.

Mako odczekał, aż tamci się oddalą, i przemówił znowu.

- A zatem, bracia... Po pierwsze chcemy, aby każdy, kto ma jakieś doświadczenie w walce, wystąpił naprzód. Nie mówię tu o takich, co strzelali do pirata, który podszedł za blisko, tylko o prawdziwym doświadczeniu w walce w przestrzeni, zwłaszcza przeciwko jednostkom Imperium. Podejdźcie bliżej.

Przez następne kilka minut około czterdziestu istot - w większości humanoidów - przepychało się ku scenie.

- Dobra, chłopaki - powiedział Mako. - Pierwszą rzeczą, jaką musimy załatwić w planie naszej obrony, jest wybór dowódcy. Ktoś na ochotnika?

Jeden z humanoidów, Bothanin, wskazał na przemycnika.

- Ty, Mako. Ty będziesz naszym wodzem! - wrzasnął.

Tłum zareagował entuzjastycznie. Rozległ się jeden zgodny ryk:

- Ma-ko! Ma-ko! Ma-ko! Ma-ko!

Krzyk osiągnął takie natężenie, że Han musiał zatkać uszy. Mako machnął ręką i natychmiast zapadła cisza.

- No, no- powiedział, a jego zęby błysnęły w szerokim uśmiechu. - Naprawdę mi pochwlebiacie, bracia. Przysięgam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy! Przysięgam!

Znów rozległ się entuzjastyczny ryk tłumu.

- Teraz jeszcze jedna rzecz, zanim się rozejdziemy - powiedział Mako. - Chcę wam przedstawić mojego pierwszego oficera, bracia. Wielu z was zna go jako przemycnika ze zdezelowanym statkiem i wielkim kudłatym towarzyszem. Han, chodź no tu!

Han wyszedł zza kotary. Właściwie obaj z Mako liczyli na to, że podstarzały przemycnik zostanie wyznaczony na wodza sił Nar Shaddaa. Wszystko potoczyło się właśnie tak, jak sobie zaplanowali.

Znów rozległy się wrzaski tłumu. Tym razem skandowali:

- Ma-ko! Han! Ma-ko-han! Ma-ko-han!

Han pomachał do zebranych czując, że się czerwieni. Nigdy dotąd nie przeżywał czegoś takiego: wielotysięczny tłum pozdrawiający właśnie jego. Kiedy był asystentem Xaverri, występował wprawdzie na scenie, ale to nie było to samo. Okrzyki tłumu na jego cześć wprawiały go w zakłopotanie, ale było to przyjemne zakłopotanie.

- Dobra, bracia - odezwał się znów Mako. - Teraz poproszę moich weteranów - wskazał grupkę na przodzie - aby byli z nami w kontakcie i pojawiali się w Pałacu Losu każdego poranka. Ogłoszenia o spotkaniach ogólnych i ćwiczeniach zostaną wywieszane na zewnątrz auditorium, zgoda? A teraz jeszcze poproszę o aplauz dla naszych weteranów.

Rozległy się wiwaty. Zebrani najwyraźniej poczuli się znacznie lepiej, mając świadomość, że nie będą beczynnie czekać na rzeź.

Kiedy tłum wreszcie sobie poszedł, Mako zwrócił się do zebranych weteranów.

- Han i ja przygotujemy plan obrony, co zajmie nam dzień albo dwa. Potem przedstawimy go wam i zaczniemy ćwiczenia. Zanim pojawi się tu Flota Imperium, każdy opanuje do perfekcji swoją rolę, obiecuję wam to. Jeśli znacie jeszcze kogoś z doświadczeniem militarnym, przyprowadźcie go ze sobą na następne spotkanie, jasne?

Weterani przytaknęli.

- To wszystko - zakończył Mako. - Przez następne kilka dni macie doprowadzić swoje statki do pełnej sprawności bojowej. Pełne naładowanie tarcz, uzupełnienie amunicji, doładowanie laserów... zresztą sami wiecie. Wszystkie jednostki muszą osiągnąć najwyższą sprawność. Do roboty!

- Tak jest! - krzyknęli chórem.

Mako pożegnał się z weteranami, a potem razem z Hanem udali się do sali konferencyjnej na zapleczu kasyna, gdzie czekała już na nich reszta przemytników ze „sztabu” - jak Mako i Han żartobliwie nazywali tę grupę. Chewbacca, Roa, Shug Ninx, Sal-la Zend, Lando Calrissian, Rik Duel i Sinewy Ana Blue - elitarna ekipa najbardziej doświadczonych przemytników.

Tylko im Mako i Han powiedzieli, że są w posiadaniu planu bitwy floty przeciwnika. Uważali, że gdyby wszyscy się o tym dowiedzieli, staliby się zbyt pewni siebie, a to mogło zakończyć się katastrofą. Nie zapominali też o tym, że niektórzy mieszkańcy Nar Shaddaa sprzedaliby własną babcinę za kilka kredytów, więc nie można było ryzykować.

Kiedy Han zasiadł obok niego, Mako wyświetlił hologram planu na swoim komputerze i rzutował go na stół. Pochylili się nad nim z uwagą.

- Spójrzcie. - Mako użył wskaźnika laserowego do opisywania holograficznych modeli statków. - W tym miejscu z nadprzestrzeni wyjdą największe statki Imperium, żeby zbliżyć się do Nar Shaddaa. Tutaj mamy szesnaście rozproszonych jednostek wsparcia. Są to lekkie krążowniki typu Guardian oraz korwety. Będą wychodzić z nadprzestrzeni w formacji muszli, która powinna otoczyć Nar Shaddaa. Tam mamy dwa statki rozpoznawcze, czyli krążowniki typu Carrack, po jednym z każdej strony... tutaj i tutaj. Wszyscy rozumiecie?

- Jasne - powiedział w imieniu reszty Rik Duel.

- Tutaj z tyłu, w formacji klina, mają być trzy drednoty i cztery ciężkie krążowniki... wielka armada. Pamiętajcie, że każdy z drednotów ma po dwanaście myśliwców TIE, a krążowniki typu Carrack po cztery rozpoznawcze TIE. To oznacza co najmniej czterdzieści cztery TIE, z którymi przyjdzie nam się zmierzyć.

Członkowie „sztabu” spojrzeli po sobie z zatroskanymi minami.

- Ucieczka Przemytników zaczyna mnie nęcić coraz bardziej - powiedziała Sinewy Ana Blue. - Imperium nigdy się nie zdecyduje, by posłać flotę w pole asteroid.

- Hej, poradzimy sobie z tymi TIE - pospieszył z zapewnieniem Han. - Pamiętajcie, że one nie mają tarcz. To szybkie skurczybyki, ale wystarczy je zahaczyć laserem i... - rozcapierzył obie ręce - ...bum!

Mako przytaknął.

- Han latał na TIE w misjach bojowych, a ja trenowałem na nich podczas pobytu w Akademii. I tylko dlatego jeszcze żyjemy, że już tego nie robimy. Piloci TIE są naprawdę bardzo, bardzo dobrzy... ale też żyją bardzo, bardzo krótko.

- Do rzeczy - wtrącił się Lando. - Wiemy, jaką siłą dysponuje Imperium i wiemy, w jakim szyku mają zamiar się do nas zbliżyć. Tylko jak mamy zamiar z nimi walczyć, używając frachtowców i kilku jednoosobowych myśliwców jak ten, który buduje Roa?

Wszyscy zwrócili oczy na starego przemytników

- Rzeczywiście, prawie go skończyłem - przypomniał sobie Roa. - To doskonałe małe cacko.

- Jak go nazwiesz? - zapytała Blue z łobuzerskim uśmiechem. Roa też się roześmiał.

- Oczywiście „Lwyll” - odparł.

Roa i jego wielka miłość, Lwyll, byli tematem opowiadań na Nar Shaddaa od wielu lat. Każdy znał Lwyll. Piękna blondynka była jedną z niewielu istot na Księżycu Przemytników, które prowadziły życie zgodne z prawem i uczciwie zarabiała codzienne kredyty ciężką pracą. Roa starał się od wielu lat, by się do niego przeprowadziła, ale Lwyll nigdy tego nie zrobiła. Widywała się z nim, owszem, ale także z innymi mężczyznami. Roa bardzo cierpiał za każdym razem, gdy coś takiego miało miejsce. Ale też nigdy nie potrafił zdobyć się na odwagę i poprosić ją, by za niego wyszła. Han i pozostali przemytnicy często wyśmiewali się z jego braku zdecydowania. Wszyscy jego przyjaciele byli przekonani, że Lwyll to najlepsza rzecz, jaka mogłaby go spotkać w życiu.

- Zamierzasz polecieć na „Lwyll” przeciwko TIE? - zapytał Mako. - A co na to powie prawdziwa Lwyll?

Roa westchnął i uśmiechnął się szeroko do przyjaciół.

- No pewnie, ona ma tu wiele do powiedzenia. Ale nie uwierzycie mi, dzieci... zeszłej nocy zebrałem się wreszcie na odwagę i poprosiłem Lwyll, żeby została moją żoną.

Wokół stołu rozległ się ogólny szmer zdziwienia.

- No, nie trzymaj nas w niepewności - nie wytrzymała wreszcie Blue. - Co powiedziała?

- Odmówiła - odparł Roa. Wesoły zwykle przemytnik zachmurzył się. - Powiedziała, że nie zamierza zostać wdową zaraz po ślubie.

- Wcale jej się nie dziwię - powiedział Lando.

Nikt z przemytników zebranych w pokoju nie miał rodziny. Nie był to przypadek. Żyjąc cały czas na pograniczu życia i śmierci, nie mogli wieść normalnego, rodzinnego życia.

Chewbacca zwrócił się do Hana i zawarczał niecierpliwie. Korelianin przetłumażył słowa Wookiego tym, którzy nie znali jego języka.

- Roa, Chewie powiedział, że gdybyś był Wookiem, byłby to najwyższy czas, żebyś założył rodzinę i osiadł z nią gdzieś. Sądzi, że Lwyll jest zbyt cenna, aby ją stracić. Lubi ją.

Roa uśmiechnął się.

- Ma rację. Dlatego też gdy skończy się ta bitwa, bracia przemytnicy... jeśli ją przeżyję, mam zamiar porzucić to życie i zacząć od nowa.

Wszyscy się zdumieli, wiedzieli bowiem, jak bardzo Roa kocha to, co robi.

- Tak, naprawdę odchodzę - potwierdził Roa. - A Lwyll powiedziała, że jeśli tak zrobię, zostanie moją żoną.

- No cóż... gratulacje! - powiedział Lando. - Wspaniała wiadomość. Będziesz miał cudowną kobietę, Roa.

Wszyscy przyłączyli się do gratulacji młodego hazardzisty.

- Wiem o tym - zgodził się Roa. - Cóż... wszystko, co mi zostało, to przeżyć bitwę...

- Skoro o tym mowa, czas wrócić do planu - sprowadził ich z chmur Mako. - I wymyślić, w jaki sposób poradzimy sobie z tymi wyskrobkami.

- Mamy jedną wielką przewagę - powiedział Roa. - Element zaskoczenia.

Mako popatrzył na niego.

- Wiemy, kiedy się zjawia, więc to oni są na gorszej pozycji. Ale w końcu to oni atakują nas... więc jak mamy ich zaskoczyć?

Roa uśmiechnął się szeroko i wskazał ręką na sufit.

- Pomyślcie trochę, przyjaciele. Co jest tam na górze?

- Tarcza, która wymaga wielu udoskonaleń - powiedział ponuro Mako.

- A za nią... - ciągnął Roa.

- Oznaczenia sygnalizacyjne - dopowiedział Han.

- Jeszcze dalej - powiedział Roa.

Han zastanowił się i nagle na jego twarz też wypłynął uśmiech.

Salla zaś roześmiała się w głos.

- Mam! Kosmiczne śmieci! Dziesiątki, setki wraków statków i ich części.

Roa kiwnął głową i popatrzył na przemytniczkę.

- Właśnie. Tak wiele wraków statków otacza pierścieniem Nar Shaddaa, że nasze jednostki mogą się pomiędzy nimi ukryć, a potem wyskoczyć i zaatakować Flotę Imperium z zaskoczenia.

Rozległo się zadowolone warczenie Chewiego. Mako także był podekscytowany.

- Myślę, że to jest jakaś myśl, Roa - powiedział. - Może się udać. Zwłaszcza jeśli ustawimy na zewnątrz kilka statków, które zaczną w pośpiechu uciekać za osłonę. Tamci pomyślą że to statki cywilne i zaczną je ścigać, a jak już będą blisko... - machnął energicznie ręką. - Wskakujemy zza tych wraków i walimy do nich.

Przemytnik natychmiast wstukał zarys operacji proponowanej przez Roę do swojego komputera. Członkowie sztabu patrzyli uważnie, jak komputer wyświetla na planie pierścień wraków otaczających Nar Shaddaa. Kiedy rozproszone statki Imperium skoczyły w pościg za dwoma małymi frachtowcami gnającymi ku prawej półkuli księżyca (jeśli patrzeć w stronę Nal Hutta), nagle cały rój innych frachtowców wyskoczył spoza wraków i zaczął ostrzeliwać ze wszystkich laserów jednostki Imperium.

- Może być. To nam powinno pomóc wyłączyć spory procent jednostek wsparcia - powiedział Han. - Ale co z rozpoznawczymi i co najważniejsze, z siłą główną... z drednotami i ciężkimi krążownikami?

Zapadła grobowa cisza. Wreszcie przemówił Mako.

- Wiem, że Huttowie wynajęli jakichś najemników, prawdopodobnie piratów, aby bronili Nal Hutta. Ślimaki nie nadstawią karku za Nar Shaddaa, wolą zadbać o swoje cenne skarby, ale jeśli kapitan najemników jest szybki, powinien się pokapować, że razem stanowimy większą siłę. Może zdołamy go nakłonić, kimkolwiek jest, aby wziął udział w bitwie? Warto przynajmniej spróbować.

Lando patrzył w zadumie na zbliżające się hologramy ciężkich krążowników i drednotów.

- Jaką siłą ognia dysponują ci piraci?

- Podobno całkiem sporą - wyjaśnił Mako. - Będą prawdopodobnie dysponować jakimiś zdobycznymi jednostkami imperialnymi, które zmodyfikowali. Mogą nawet mieć ciężką broń, na przykład torpedy protonowe. Ale nie sądzę, żeby w dużych ilościach. Ciężko jest tak po prostu kupić torpedę protonową, aby uzupełnić zapas. Imperialni trochę się zdziwią, gdy zobaczą, jak walą do nich ich własne statki.

Wokół stołu rozległ się głośny śmiech.

Han przyglądał się najcięższej formacji wroga.

- Każdy z tych okrętów ma bijące do przodu główne działa - powiedział. - Szkoda, że nie możemy atakować ich z boku. Ale po prostu nie starczy nam statków, jeśli większość naszych jednostek będzie walczyć z TIE i tymi lekkimi krążownikami.

- Może właśnie tutaj pomogą nam najemnicy - powiedział z namysłem Mako. - Jeśli zaatakują z boku, istnieje szansa, że unieruchomią jeden z tych dużych statków, a wtedy po bitwie będą mogli go przejąć. To im się chyba spodoba.

- Taaa... jeżeli uda nam się dokonać jakiejś dywersji, która umożliwi piratom atak z boku - powiedział Han.

Rik Duel pogładził w zamyśleniu krótką, elegancką bródkę.

- Potrzebujemy następnej floty, która popędzi wprost na nich z przodu - powiedział.

- Ale nie mamy tylu statków, by dzielić swoje siły - zaproponował Roa. - Jeśli tak zrobimy, przegramy w każdym punkcie.

- Jeśli zaś nie, prawdopodobnie stracimy Nar Shaddaa -zauważył Lando. - Nie jestem byłym oficerem jak Han, ale wydaje mi się, że musimy zrobić wszystko co tylko można, by uniemożliwić tym ciężkim jednostkom ostrzał naszych tarczy ochronnych. Są stare i niewiele mogą wytrzymać. A jak pękną, Imperialni zrównają z ziemią to miasto.

- Lando ma rację - powiedział Shug Ninx. - Musimy zająć czymś te ciężkie jednostki, aby najemnicy... albo ktokolwiek mógł wykonać atak z flanki. Moglibyśmy spróbować... nie wiem... odwrócić jakoś ich uwagę.

- No, formacja pędzących na nich od czoła statków na pewno spełniłaby to zadanie - powiedziała Salla. - Tylko skąd je wziąć? Będziemy mieli pełne ręce roboty tutaj - wskazała na hologram z TIE i lekkimi krążownikami.

Han patrzył w zamyśleniu na holograficzną inscenizację bitwy, myśląc, jak realistycznie wygląda miniaturowy obraz floty, nawet mikroskopijnych TIE. Szkoda, pomyślał, że nie możemy użyć hologramu tak, żeby Imperialni uwierzyli, że są naprawdę atakowani...

Nagle zaświtał mu szalony pomysł.

- Mam! - krzyknął. - To jest to! Może się udać!

Rozmowy wokół stołu nagle ucichły i wszyscy wpatrzyli się w Korelianina. Han obrzucił przyjaciół rozplamionym wzrokiem.

- Hej, sądzę, że znam kogoś, kto dostarczy nam floty do tego ataku. Taka dywersja na długo zajmie uwagę ciężkich jednostek!

Chewbacca najwyraźniej odgadł, kogo Han ma na myśli, bo uderzył ciężką pięścią w stół i ryknął z entuzjazmem, ale pozostali wciąż patrzyli na niego pytającym wzrokiem, najwyraźniej zagubieni.

- Mów - zażądał Lando. - Kto to jest?

Han zignorował to pytanie. Zerwał się na równe nogi i zwrócił się do Mako.

- Muszę się z kimś skontaktować. Czy jest tu gdzieś komunikator?

Zarządca Pałacu Losu z przyjemnością umożliwił Hanowi skorzystanie z komunikatora. Wszystkie wielkie kasyna wiedziały, że atak Imperium byłby bardzo niekorzystny dla ich interesów...

## ROZDZIAŁ

# 12

### MARZENIA I KOSZMARY

Bria Tharen stała u boku Sama Shilda na pokładzie obserwacyjnym stacji kosmicznej orbitującej wokół planety Teth. Palt-forma obserwacyjna była utrzymywana głównie przez pola mocy, więc pomiędzy nią a otaczającą ją pustką kosmiczną nie było żadnej widocznej bariery. Bria mogła patrzeć przed siebie, na boki, w górę i nie widzieć nic, tylko pustkę lub masywny owal planety. Poczula dreszcz na samą myśl o chłodzie, jaki panuje o kilka metrów od niej, w pozbawionej powietrza ciemności.

Ale mimo tego niepokoju z jej twarzy nie zniknął czarujący uśmiech. Przyjęła tę misję między innymi dlatego, że była doskonałą aktorką i potrafiła ukrywać prawdziwe uczucia.

Ale teraz, pomyślała ponuro, na pewno zdobyłabym nagrodę dla najlepiej zamaskowanego agenta. Szkoda, że nie ma takich konkursów...

Myśl była tak absurdalna, że na sekundę przybrała prawdziwy wyraz twarzy. Moff Shild otoczył ją ramieniem i wskazał punkt przed sobą.

- Spójrz, kochanie! Już lecą!

Mała grupka zebranych na pokładzie VIP-ów zaczęła bić brawo, gdy w zasięgu wzroku pojawiła się imperialna flota. Bria śmiała się i klaskała razem z nimi, a lekkie krążowniki, potem statki rozpoznawcze, a wreszcie ciężkie krążowniki i drednoty przesuwały się majestatycznie wzdłuż platformy. Wokół nich uwijały się maleńkie TIE, jak owady wokół stada krów.

Shild z zachwytem przypatrywał się swojej eskadrze. Mocniej przytulił Brie, która całym wysiłkiem woli powstrzymała się od strząśnięcia z obrzydzeniem jego ręki.

- Dziś rozpoczyna się nowa era prawa i porządku w sektorze zewnętrznym Rim, moja droga - powiedział na użytek wszystkich zebranych, po czym pochylił się do jej ucha i dodał ciszej: - A dla nas, Bria, to początek nowego życia.

Bria spojrzała na niego zaintrygowana.

- Naprawdę, Sarn? Co masz na myśli?

Wciąż mówił szeptem, ale bardzo zdecydowanie.

- Kiedy moja flota zmiecie Nar Shaddaa i przywoła Huttów do... to znaczy zmusi ich do posłuszeństwa, moja władza w tym sektorze stanie się niekwestionowana. A kiedy położę rękę na bogactwach Huttów... mniejszych klanów i klanu Desilijic... będę w stanie powiększyć swoje siły tak, aby mogły sobie poradzić ze znacznie poważniejszym przeciwnikiem niż banda złodziei i przemytników.

Dlaczego on zawsze mówi tak, jakby prowadził kampanię wyborczą? — zdziwiła się Bria. A głośno zapytała:

- Desilijic? A dlaczego nie Besadii?

- W poufnym rozkazie Imperator dał mi jasno do zrozumienia, że Besadii nie należy niepokoić - odparł Shild. - Są użyteczni, zaopatrując Imperium w wykwalifikowanych niewolników. Besadii mają prowadzić dalej swoją działalność.

Bria zanotowała w pamięci, żeby tę wiadomość przekazać Rionowi tak szybko, jak to tylko możliwe. Więc Palpatine macza palce nawet w wewnętrznej polityce Huttów? Czy jest coś, czego Imperator nie próbowałby obrócić na swoją korzyść?

- No tak, to ma sens - powiedziała głośno.

- Tak, Imperator jest bardzo sprytny - Shild wciąż mówił szeptem. - Ale może... niewystarczająco sprytny.

Bria była zaskoczona.

- Co masz na myśli, Sarn?

Uśmiechnął się oficjalnym uśmiechem, ale w jego oczach było coś, co bardzo ją zaniepokoiło.

- Obawiam się, że pomiędzy rebeliami narastającymi w wewnętrznych światach, a także w polityce zewnętrznej na najwyższym szczeblu, nasz ukochany Imperator przecenił swoje umiejętności. Traci władzę w zewnętrznych sektorach. Siły Imperium są tam tak rozproszone, że zdecydowany przywódca z odpowiednią siłą militarną mógłby... uwolnić się od władzy Imperium

Bria spojrzała na niego zszokowana. Tak otwarcie mówił o buncie! Czy nie zdrawał sobie z tego sprawy?

Shild wziął jej spojrzenie za pełne podziwu.

- Nie sądź, moja droga, że o tym nie pomyślałem. Nie ma powodów, dla których Sektor Zewnętrzny Rim nie miałby się stać następnym sektorem niezależnym od Imperium. Jeśli będę miał wystarczającą siłę, mogę poprowadzić go do niepodległości i dobrobytu. I do chwały!

Bria musiała zacisnąć zęby, żeby nie otworzyć ze zdumienia ust.

Co, na demony Xendoru, go opętało? - zastanawiała się. Zawsze wiedziałam, że Sarn jest arogancki, ale teraz przemawia jak szaleniec. Czy to możliwe, aby Moff był przez kogoś... kontrolowany? Bria wiedziała, że są gatunki obdarzone telepatyczną mocą, ale nigdy nie słyszała, żeby były zdolne do czegoś takiego. Może Shild naprawdę po prostu oszalał. To było jedyne możliwe wytłumaczenie.

Ale błyski w oczach Shilda nie oznaczały szaleństwa. Raczej człowieka, który ma poczucie misji.

- Kiedy poprowadzę terytorium Rim do chwały, moja droga- przytulił ją- możliwe, że zainteresuję się... powiedzmy, bardziej zaludnionymi obszarami galaktyki. Pod wła-

dzą Imperium światy są bardzo nieszczęśliwe... i czekają na przywódcę. A ja mogę być ich przywódcą.

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę! On mówi o rzuceniu wyzwania Imperatorowi! - myślała gorączkowo Bria. Była przerażona. Palpatine miał uszy wszędzie. Z pewnością Imperator dowie się o szalonych ambicjach Sarna i unicestwi go, jak zabija się dokuczliwego insekta.

Tymczasem Flota Imperium oddalała się od nich majestatycznie. Shild puścił Brie i stanął na samym brzegu platformy. Wyglądał bardzo dostojnie w mundurze Moffa. Zasalutował eskadrze znikającej w oddali.

Bria zatrzymała się przed wyjściem. Czuła lodowaty strach, który urastał w panikę. Całą siłą woli musiała się powstrzymać, by po prostu nie odwrócić się i nie uciec zostawiając Shilda, by sam spotkał się z konsekwencjami swoich egoistycznych ambicji. Dowiem się tylko, co on dokładnie planuje, jeśli zdołam, obiecała sobie, a potem odejdę.

Patrzyła na Shilda jak na człowieka, który zaraził się straszną, nieuleczalną chorobą i właściwie był już martwy. W gruncie rzeczy żałowała, że Shild uległ pragnieniu władzy. Moff zawsze traktował ją dobrze i jej misja mogła przebiegać w znacznie gorszych warunkach...

Przez jeden szalony moment chciała nawet przemówić mu do rozsądku, ale szybko porzuciła tę myśl. Moff wiedział, że była inteligentna i cenił to, ale miał też w sobie tyle męskiej arogancji, że nigdy nie posłuchałby kobiety, której używał jako parawanu dla swoich seksualnych perwersji.

Flota była już ledwie widoczna. Za kilka minut, gdy opuszczą studnię grawitacyjną Teth, wykonają skok nadprzestrzenny, który będzie pierwszym etapem ich długiej podróży do systemu Y'Toub. Zewnętrzny Sektor Rim był o wiele bardziej rozległy niż sektory w centrum galaktyki.

Bria nagle odkryła, że jej myśli, jak to często bywało, szybują ku Hanowi. Na pewno już nie przebywał na Nar Shaddaa. Pojechał do swoich huttyjskich władców, dostarczył im ostrzeżenie Shilda i odleciał. Han zawsze potrafił zadbać o własną skórę. Nie próbowałby takiego szaleństwa jak walka z eskadrą Imperium. A jeśli?

Nagle Brie zaschło w ustach. Oblizła wargi i z trudem przełknęła ślinę. Potem przeszła przez szerokie drzwi do wewnętrznych pomieszczeń stacji w poszukiwaniu filizanki stymherbaty. Popijając ją próbowała przekonać samą siebie, że Han dawno już opuścił Nar Shaddaa i flota admirała Greelanxa w niczym mu nie zagraża. Ale w głębi serca nie wierzyła w to. Nagle w jej pamięci pojawił się obraz Korelianina w momencie, gdy mieli zostać pochwyteni przez łowców niewolników. Han wyciągnął blaster, zacisnął zęby... i pamiętała, jak powiedział: „Nie dostaną mnie bez walki!”.

Ale przecież oni nie mają najmniejszych szans! Ręce Brie drżały tak mocno, że musiała odstawić filizankę. Zamknęła oczy próbując odzyskać panowanie nad sobą.

A jeśli będzie walczył? A jeśli go zabiją? Nawet nie będę wiedzieć...

I to byłoby najgorsze, pomyślała...

Kapitan Soontir Fel stał na pomoście bojowym drednota „Duma Senatu”, przygotowując się do skoku nadprzestrzennego w ślad za okrętem flagowym. W szarym mundurze z odpowiednimi insygniami wyglądał imponująco i budził zaufanie podwładnych.

Był jednym z najmłodszych w historii kapitanów statku w imperialnej flocie. Ten wysoki, muskularny mężczyzna o szerokich ramionach odznaczał się wyjątkową siłą. Z czarnymi włosami i oczami, z przystojną twarzą wyglądał, jakby dopiero co zszedł z plakatu rekrutacyjnego floty.

Fel był dobrym i rozsądnym oficerem, lubianym przez podwładnych. Łączyły go szczególne więzi z pilotami TIE, bo sam kiedyś latał na myśliwcach, a jego wyczyny z tamtych czasów przeszły do legendy.

Czasami Fel chciał być na dole, w kajutach pilotów - rozluźniony, opowiadający dowcipy, popijający stymherbatę razem z pozostałymi. Misja, którą mu powierzono, wcale go nie uszczęśliwiła. Po pierwsze ten drednot był starym powolnym pudłem, zwłaszcza w porównaniu z nowymi imperialnymi niszczycielami gwiazdowymi. Fel wiele by dał, by kiedyś dowodzić takim okrętem.

Miał nadzieję, że jeżeli spisie się dobrze w dowodzeniu „Dumą”, dadzą mu szansę. Fel przestudiował dokładnie plan ataku admirała Greelanxa i nie był specjalnie zachwycony. Plan teoretycznie nie był zły, ale zdaniem Fela za mało elastyczny i opierał się na zbyt wielu sztywnych założeniach, które zresztą Fel uważał za wątpliwe lub wręcz błędne.

Po pierwsze, Greelanx uważał, że przemytnicy to banda niezorganizowanych złodziei, którzy nie będą w stanie przeprowadzić skoordynowanego ataku. Soontir Fel miał okazję dowodzić statkami patrolowymi (tak samo zresztą jak Greelanx) i wiedział, że wielu z tych przemytników przewyższało pod wieloma względami pilotów regularnej floty. Mieli doskonały refleks, celne oko, a szalona odwaga czyniła ich bardzo groźnymi przeciwnikami w walce.

Po drugie, skoro Greelanx uważał, że przemytnicy w żaden sposób nie mogą mu zagrozić, zaniedbał element zaskoczenia. Według planu admirała flota miała się wynurzyć w realnej przestrzeni w zasięgu czujników Nar Shaddaa. Fel uznał to za przesadną pewność siebie. A takie zadufanie często prowadziło do klęski w bitwie. Ale najgorszym problemem, który go nurtował, był rozkaz Baza Delta Zero skierowany przeciwko Nar Shaddaa.

Fel wiedział, że o to nie może mieć pretensji do Greelanxa. Rozkaz pochodził od Moffa sektora. Ale będąc na miejscu admirała, Fel starałby się wpłynąć na Sarna Shilda, aby zmienił polecenie. Dyrektywa Imperatora nakazywała zakończyć operacje przemytnicze na Nar Shaddaa i w innych gniazdach przemytników, a przede wszystkim przerwać pirackie rajdy. Natomiast nie wspominała nic o unicestwieniu samego księżycyca. Fel miał spore doświadczenie w bitwach i wiedział, że istoty większości ras będą walczyć jak osaczone zwierzęta w obronie własnych domów i rodzin. Na Nar Shaddaa zapewne mieszkały miliony inteligentnych istot. Wiele z nich w ogóle nie miało do czynienia z przemytem. Starcy, dzieci... Soontir Fel skrzywił się niechętnie.

To będzie pierwsza masakra, w jakiej weźmie udział z rozkazu Imperium. Do tej pory miał szczęście unikać takich akcji.

Fel wykona rozkaz, ale nie sprawi mu to przyjemności. Wiedział, że gdy wyda polecenie otwarcia ognia, długo jeszcze będą go prześladować w nocy obrazy płonących budynków. A przecież potem mieli tam wylądować i wprowadzić do walki siły lądowe. I to on, Fel, miał dowodzić tą częścią operacji. Oczami wyobraźni widział obrazy zwęglonych zwłok i dymiących zgliszczy...

Wziął głęboki oddech.

Nic nie można na to poradzić. Torturowanie siebie nie posłuży niczemu...

Na jego oczach „Przeznaczenie Imperium” przyspieszyło, a potem znikło w nadprzestrzeni. To samo zrobił „Obrońca Pokoju”.

Fel poczuł ulgę, że ma wreszcie coś do roboty, co pomoże mu odpędzić czarne myśli. Spojrzał na swojego nawigatora.

- Parametry ustawione?

- Tak jest, kapitanie.

- Dobrze. Proszę przygotować statek do osiągnięcia szybkości światła.

- Tak jest, sir.

Fel patrzył, jak na pulpicie nawigatora zapalają się kolejne lampki współrzędnych.

- Włączyć silniki nadprzestrzenne - wydał w końcu rozkaz.

- Tak jest, sir.

Fel patrzył, jak punktowe światła gwiazd wydłużają się w jedną linię, i po raz pierwszy poczuł, z jak wielką prędkością porusza się ten olbrzymi statek.

Misja unicestwienia Nar Shaddaa rozpoczęła się.

Admirał Winstel Greelanx stał na mostku swojego własnego drednota, przyglądając się gwiazdnym liniom w nadprzestrzeni. On sam też martwił się obecną misją, choć z zupełnie innych powodów niż jego kapitanowie - Reldo Dovlis i Soontir Fel.

Greelanx był świadom, że Felowi nie podoba się jego strategia. Dovlis był starszym wiekiem oficerem o znacznie mniejszej wyobraźni, więc był zadowolony, że może bez pytań wykonywać rozkazy. Z nim Greelanx nie przewidywał problemów. Fel natomiast... tu sprawy mogły się skomplikować.

Greelanx westchnął ciężko. Gdyby tylko ta misja była tak prosta, jak wszystkim się zdawało. Lot na Nar Shaddaa, unicestwienie przemytników, a potem blokada systemu Y'Toub. Ale sytuacja wcale nie była łatwa.

Dzień po wezwaniu przez Moffa i odebraniu rozkazów bojowych na Teth, admirał dostał wiadomość zaszyfowaną najbardziej tajnym kodem Imperium, przesłaną do jego osobistego komunikatora z nagłówkiem „Tylko dla waszych oczu”.

Użyty kod był do tego stopnia tajny, że admirał nie śmiał powierzyć rozszyfrowania swojemu adiutantowi czy choćby robotowi-sekretarzowi. Zamiast tego sam usiadł z kluczem kodowym i pracowicie przetłumaczył całą wiadomość, wpisując ją w komputer. Zgodnie z poleceniem admirał nie wykonał kopii, a oryginał zniszczył natychmiast, gdy tylko skończył czytać. Wcześniej jednak dwa razy dokładnie sprawdził kod, podejrzewając, że zaszła pomyłka. Ale wszystko się zgadzało. Ta wiadomość przysła z naj-



wyższego poziomu służby wywiadowczej Imperium. Terminal, z którego pochodziła, był dostępny wyłącz- nie dla samego Imperatora albo jego najwyższego rangą poddanego - Lorda Vadera. Greelanx nigdy wcześniej nie otrzymał podobnej wiadomości, choć służył we flocie już trzydzieści lat. Zapamiętał wiadomość bez trudu, bo była krótka, a brzmiała tak:

Wyłącznie dla oczu admirała Winstela Greelanxa. Zniszczyć po przeczytaniu.  
Dotyczy misji Nar Shaddaa/Nal Hutta.

Dla dobra Imperium proszę wciągnąć przeciwnika w bitwę i ponieść porażkę strategiczną. Zminimalizować straty Imperium i wycofać się w zorganizowany sposób.

Powtarzam: ma pan przegrać bitwę, admirałe. Proszę nie próbować potwierdzać tych rozkazów. Nie dyskutować o nich z nikim. Jeśli nie zostaną wykonane, nie będzie dla pana żadnego usprawiedliwienia.

Proszę nie zawieść.

Co to miało znaczyć? - zastanawiał się Greelanx. Ktoś na samej górze chciał, żeby wyprawa Sarna Shilda przeciwko Hurtom zakończyła się klęską. Ale kto? I dlaczego?

Greelanx nie był wybitnie inteligentny ani obdarzony bujną wyobraźnią. Ale miał dość rozumu, by wiedzieć, że jeśli powie Samowi Shildowi o tym rozkazie, zostanie uznany za szaleńca. Nie miał żadnego dowodu, że go otrzymał. Odkodowana wiadomość miała automatycznie zniknąć po pewnym czasie i nie można jej było skopiować, chyba że ręcznie. Miała też zniknąć w kilka minut po załadowaniu w jego terminal.

A w dodatku ta łapówka Hurtów. Co za ironia w tych okolicznościach! Oto miał szansę setki razy zwiększyć swoją emeryturę. Nawet gdyby nie otrzymał tajnych rozkazów, i tak oferta byłaby kusząca. Czy te dwie sprawy są jakoś ze sobą powiązane? - zastanawiał się. Czy też to tylko przedziwny zbieg okoliczności?

Greelanx nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Był naprawdę zdenerwowany tym przedsięwzięciem. W jego głowie raz po raz pojawiały się nowe pomysły, które odrzucał jako zbyt ryzykowne. Czy powinien skontaktować się ze sztabem głównym floty? Powiedzieć Moffowi? Zabrać „Przeznaczenie Imperium” w jakieś odległe miejsce i zwać promem? To ostatnie zapewniało największe szanse przeżycia. Mógł udać się do któregoś z niezależnych sektorów. Gdzieś bardzo, bardzo daleko. Ale gdyby tak zrobił - zdał sobie nagle sprawę -jego rodzina zapłaciłaby za tę ucieczkę. Syn, córka, żona, być może także dwie kochanki.

Greelanxowi nie zależało specjalnie na żonie, ale też nie życzył jej zła. A swoje dzieci kochał. Syn i córka byli już dorośli i mieli swoje rodziny. Jego wnuk miał się wkrótce narodzić.

Nie, zdecydował admirał, nie może oddawać w zastaw ich życia. Gdyby zachował wiadomość i pokazał ją Moffowi, Greelanx wiedział, że podpisałby na swoje dzieci wyrok śmierci. Służby specjalne Imperium były bezlitosne. Greelanx mógłby uciec wraz z rodziną na koniec świata, a oddziały szturmowe i tak by go ścięły.

Jedyne, co mógł zrobić, to wypełnić rozkaz i liczyć, że wszystko dobrze się skończy.

Stojąc na mostku swojego okrętu, admirał pomyślał o tym młodym przemytniku, który zjawił się u niego z ofertą Hurtów. Ofertą, której nie mógł odrzucić. Czy wyczuł wtedy, że Greelanx ukrywa przed nim coś ważnego?

Ten chłystek wyglądał na bardzo inteligentnego. Greelanx gotów był się założyć, że kiedyś już nosił mundur Imperium. Dlaczego porzucił służbę i żył wyjęty spod prawa? Admirałowi nie podobała się myśl, że ten młody przemytnik może być jedną z wielu istot, które będzie musiał unicestwić, aby jego atak na Nar Shaddaa wyglądał poważnie.

Greelanx spoglądał w zamyśleniu na smugi gwiazd i martwił się. Dlaczego się w to wpakowałem? - zastanawiał się. I jak, na wszystkich bogów, mam się z tego wypłatać?

Durga Hutt pracował właśnie w swoim biurze, gdy gwałtownie wtoczył się do środka robot służebny.

- Sir, sir! Lord Aruk zachorował! Proszę za mną!

Młody Hutt porzucił natychmiast komputer i popęzł za robotem przez długie korytarze wielkiej posiadłości Besadiich. Znalazł swojego rodzica leżącego bezwładnie, z zapadniętymi oczami, w poprzek platformy grawitacyjnej. Osobisty lekarz Aruka, Hutt o imieniu Grodo, nachylał się nad nieprzytomnym przywódcą klanu, a asystowały mu dwa roboty medyczne.

- Co się stało? - zawałał Durga niemal bez tchu, gdy tylko ich ujrzał. Podpełzł bliżej za pomocą potężnych pchnięć ogona. - Wyjdzie z tego?

- Jeszcze nie wiemy, sir - odparł szorstko lekarz. Zajmował się energicznie nieprzytomnym Hurtem, kłuł go iniektorem i co chwila żądał tlenu. Do ciała Aruka przytknięto dwie pompy tłoczące, które pompowały tlen w potężne ciało Hutta. Z ust przywódcy wystawał sztywny, zielony, pokryty śluzem język. Ten widok przeraził Durgę. Młody Hutt zmusił się jednak do pozostania na miejscu, by nie przeszkadzać ratującemu.

- Mówił właśnie do swojego skryby, wydając mu jakieś polecenie, kiedy nagle opadł bezwładnie. Tak mówi robot.

- Co mogło być przyczyną? - zapytał Durga. - Czy powinienem wezwać straż, aby przeszukały pałac?

- Nie, sir - odparł Grodo. - Przyczyną jest niedotlenienie mózgu. Sądzę, że to z powodu złego krążenia. Wiesz, że często ostrzegałem twojego ojca...

- Tak, tak, pamiętam - przerwał mu Durga.

W złości chwycił za brzeg niskiego stołu. Zdał sobie sprawę, że nim rzucił, dopiero wtedy, gdy mebel rozprysnął się na kawałki.

Po chwili Aruk nagle zamrugał, drgnął i uniósł się powoli. Wyglądał na bardzo zdumionego.

- Co? - wyskrzecztał słabym głosem. - Co się stało?

- Upadłeś, panie - odparł Grodo. - Niedotlenienie mózgu jak podejrzewam.

- Spowodowane przez słabe krążenie, jak się domyślam - uzupełnił Aruk. - Czuje się już lepiej, tylko boli mnie głowa.

- Podam lekki środek przeciwbólowy - powiedział lekarz szykując iniektor.

W chwilę później Aruk odetchnął z ulgą.

- Już w porządku.

- Lordzie Aruk - powiedział poważnie lekarz - proszę mi obiecać, że będziesz bardziej dbał o swoje zdrowie. Niech to wydarzenie będzie dla ciebie ostrzeżeniem.

Aruk chrząknął z głębi wielkiego cielska.

- W moim wieku powinienem móc...

- Proszę ojcze - przerwał mu Durga. - Posłuchaj Grodo! Musisz zadbać o siebie! Lord Besadii mruczał i chrząkał jeszcze przez chwilę, wreszcie westchnął.

- Dobrze, obiecuję, że będę się poruszał co najmniej pół godziny dziennie. I rzucę palenie hookah.

- I tłuste jedzenie! - dodał lekarz wyczuwając odpowiedni moment.

- Dobrze - zawarczał Aruk. - Ale nie odmówię sobie moich ulubionych żab z drzewa nala. Z nich nie zrezygnuję.

- Sądzę, że na to jedno odstępstwo mogę waszej ekscelencji pozwolić - powiedział lekarz łaskawie, w obliczu zwycięstwa na pozostałych frontach. - Jeśli zrezygnujesz, panie, z tłustego jedzenia, możesz codziennie spożyć rozsądną porcję żab.

Durga był tak szczęśliwy widząc Aruka powracającego do życia, że podpełził do ojca i położył małą rączkę na jego szyi.

- Musisz zająć się swoim zdrowiem, ojcze. Sam pomogę ci w ćwiczeniach. W ten sposób będą przyjemniejsze.

Aruk otworzył usta i popatrzył czule na swojego potomka.

- Dobrze, drogie dziecko. Obiecuję, że będę o siebie dbał.

- Klan Besadii cię potrzebuje - dodał Durga. - Jesteś naszym największym przywódcą!

Aruk zrzędził jeszcze przez chwilę, ale Durga widział wyraźnie, że jest zadowolony z troskliwości syna.

Młody lord pozostawił ojca pod opieką lekarza i robotów medycznych, a sam wrócił do biura, wciąż jeszcze wstrząśnięty.

Przez chwilę naprawdę myślał, że Aruk umarł i że będzie musiał sam poprowadzić sprawę klanu. Zadrżał. To było przerażające; nie czuł się jeszcze na to gotowy.

Zwłaszcza wobec nadciągającego kryzysu, pomyślał. Flota Imperium może już być w drodze do ataku na Nar Shaddaa...

Aruk zapewnił potomka, że może się tym nie martwić. Powiedział, że Imperium nie zaatakuje Besadii ani Ilezji.

- Zaopatrujemy ich w niewolników - tłumaczył mu uspokajająco stary Hutt. - A Imperium potrzebuje niewolników. Dlatego też potrzebuje Besadiiich.

Durga miał wielką nadzieję, że jego rodzic nie mylił się w tej kwestii...

## ROZDZIAŁ

# 13

### MAGICZNE PRZYGOTOWANIA

Han, Chewbacca i Salla Zend stali na omiatanej wiatrem platformie lądowiska, przyglądając się, jak z burty „Widma” opada rampa. W chwilę później u jej szczytu pojawiła się postać z długimi czarnymi włosami i spojrzała w dół. Dostrzegłszy Hana pomachała ręką.

- To ona, chodźmy! - zwrócił się Han do Salli. Chewie już pobiegł do przodu, warcząc radośnie.

- Solo! - krzyknęła przybyła. - Chewbacca!

- Xaverri! - odrzyknął Han biegnąc ku niej. Jak dobrze było znów ją widzieć!

Dopał ją i chwycił w ramiona, ale ona otoczyła mu rękami szyję i przytuliła się mocno. Han oddał uścisk, ale uważał, by całować raczej w czoło niż w usta. Kiedy Xaverri przywitała się z Chewiem potężnym uściskiem, odwróciła się do Salli.

- Xaverri, to Salla... przemytniczka i doskonały mechanik.

- Cześć, miło mi cię poznać - powiedziała Salla i wyciągnęła rękę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Xaverri ściskając dłoń. - Każdy przyjaciel Solo jest moim przyjacielem.

Han jednak czuł się nieswojo. Nigdy dotąd nie był w sytuacji, w której spotkałyby się dwie jego dziewczyny, pomyślał. Korelianin zastanawiał się, czy przypadkiem Xaverri nie zechce podjąć ich znajomości w punkcie, w jakim ją przerwali kilka miesięcy temu. Salli na pewno by się to nie spodobało.

Cóż, nie jestem jej własnością, pomyślał bojowo. Nie jesteśmy małżeństwem ani niczym w tym guście.

Jednak na wszelki wypadek szedł u boku Salli, która wzięła torbę Xaverri. Razem ruszyli po permabetonowej nawierzchni lądowiska.

Później, przy chlebie i serze o smaku traladona - ulubionej koreliańskiej przystawce Hana - wytłumaczył Xaverri swój plan.

Kiedy skończył, spojrzała na niego badawczo.

- Powiedzmy sobie wprost. Chcesz, abym stworzyła holograficzną iluzję dużej grupy przemytniczych statków zmierzających na okręty bojowe Imperium. Chcesz, aby

ta iluzja była wystarczająco realna i trwała na tyle długo, żeby statki Imperium dały się wprowadzić w błąd i skupiły na walce z tą flotą. Czy dobrze zrozumiałam?

- Dokładnie tak - przytaknął Han. Dopiero teraz jednak zdał sobie sprawę, czego właściwie żąda. Xaverri nigdy nie stworzyła czegoś o tak dużej skali. Chyba nikt nigdy nie stworzył.

Potrząsnęła głową, a jej długie loki opadły na ramiona.

- Nie masz przypadkiem zbyt wygórowanych żądań, Solo?

- Hej - powiedział Han uśmiechając się. - Pomyśl, jakie to wyzwanie. Twoja największa iluzja!

- Każda iluzja holograficzna wymaga projektora - powiedziała Xaverri. - Czego moglibyśmy użyć?

- Myślę, że dostaniemy wszystkie trójwymiarowe holo-projektory z kasyn - odparł Han. - Wiesz, te, których używają, by pokazywać występy podczas gier, żeby ludzie w miłszym nastroju przegrywali ostatnią koszulę.

Xaverri zmarszczyła brwi.

- Może - powiedziała. - Ale nawet jeśli uda nam się stworzyć obraz floty, czujniki Imperialnych i tak powiedzą im, że to iluzja. Zignorują ją.

- Może uda nam się zablokować czujniki? - zasugerowała Salla. - Możemy w każdym razie zakłócać transmisję. Czy nie ma jakiegoś sposobu?

Magiczka spojrzała na nią szeroko rozwartymi oczami.

- Wiesz co... - powiedziała w zamyśleniu. - Chyba mam pewien pomysł.

Han pochylił się z zaciekawieniem.

- Tak? Jaki?

Wypiła łyk herbaty i zamyśliła się. Wreszcie uniosła wzrok.

- Przypuszczam, że możemy użyć sygnałów kontroli lotu, aby przesłać im fałszywe dane. Zobaczą więc iluzję w tym samym momencie, kiedy czujniki przyjmą te dane i powiedzą im, że to, co widzą, jest realne.

- Doskonale. Brzmi cudownie - zawołała podniecona Salla.

Xaverri uśmiechnęła się do niej

- Ale będę potrzebowała pomocy. Programiści do przeprogramowania sygnałów kontroli lotu, technicy do zbudowania właściwych projektorów. Macie dobrych programistów i techników?

Salla odruchowo wyciągnęła dłoń do Xaverri.

- Załóż się, że mamy - powiedziała, a dłonie kobiet połączyły się z delikatnym kłębieniem. - Shug i ja pomożemy ci we wszystkim.

Chewbacca wydał donośny i radosny ryk; robot niosący tacę zjedzeniem słysząc go upuścił ją i uciekł z powrotem do kuchni.

- Chewie powiedział, aby jego też w to włączyć - pospieszył z tłumaczeniem Han.

- Xaverri... na pewno odwołałaś ważne występy, aby do nas przyjechać. Chciałbym, żebyś wiedziała, że... doceniamy to...

- Hej, Solo, przecież to szansa, żeby zaszkodzić Imperium - powiedziała iluzjonistka. - Jak mogłabym odmówić?

Kiedy Han i Chewie przybyli na wielką odprawę pilotów bojowych, zastali większość przemytników i ich załóg zebranych w audytorium Pałacu Losu. Mako stał już także na scenie sypiąc żartami do publiczności. Widząc wchodzących przyjaciół, zabębnił palcami o brzeg mównicy, aby skupić uwagę zebranych.

- Teraz słuchajcie, kosmiczne włóczęgi! - krzyknął.

Zapadła cisza.

- I to słuchajcie bardzo uważnie- dodał. W jego głosie brzmiała duma i pasja, gdy spojrzął na swoją armię, zasłuchaną w jego słowa. - Słuchajcie, bo wasze życie i życie tych, którzy z wami polecą, może od tego zależeć.

Przerwał na chwilę i rozejrzał się po obecnych. Przekonał się, że wszyscy są bez reszty skoncentrowani na jego osobie.

- Oto jak rozegramy tę sztukę. Nie mamy pewności, kiedy Imperialni nas zaatakują, ale wiemy całkiem nieźle, jak będzie przebiegał ich atak. A to dlatego, że Flota Imperium ma standardowe plany na takie właśnie okazje i zazwyczaj ślepo się do nich stosuje. Nasz stary Han był oficerem Imperium i może potwierdzić moje słowa. Prawda, Han?

Han wkroczył na scenę bardzo energicznie.

- Mako ma rację! - wrzasnął, bo był za daleko od mikrofonu.

Starszy przemytnik zachęcił go gestem, aby podszedł bliżej do mównicy.

- Taka standardowa operacja przewiduje wylonienie się z nadprzestrzeni i uformowanie szyku w dość dużej odległości. Jeśli będziemy mieli szczęście, nasze czujniki ich wykryją. Jeśli nie, będziemy musieli błyskawicznie ładować się do naszych pudeł. Czy wszyscy są do tego gotowi?

Przemytnicy zapewnili gromko, że są gotowi.

- Cieszę się - powiedział Han. - A zatem będą formować szyk, a może rozwiązywać jeszcze ostatnie problemy. Potem Imperialni zrobią mini skok przez nadprzestrzeń, aby pojawić się dość blisko po odwróconej od planety stronie Nar Shaddaa, ale jednak jeszcze poza zasięgiem naszej broni. Do tego czasu my już będziemy w naszych statkach i w przestrzeni. Każda z naszych jednostek schowa się między śmieciami, albo będzie udawała normalny frachtowiec w ruchu. Kilka małych myśliwców, na przykład Roa na swojej „Lwyll”, polecą na zwiady. Większe statki będą udawać transportery, a myśliwce ukryjemy w ich ładowniach albo przyczepimy pod kadłubami. Reszta będzie po prostu niewinną drobnicą w przestrzeni, która natychmiast w panice zacznie uciekać, gdy tylko w zasięgu widoczności pojawią się Imperialni. Jasne, gangsterzy?

- Jasne! - wrzasnęli, uradowani ze zbliżającej się okazji utarcia nosa aroganckiej Flocie Imperium.

Mako przejął mikrofon.

- W tym momencie Imperialni wyślą swoje pikiety, aby szybko rozejrzeć się w sytuacji.

Jeden z pilotów w pierwszym szeregu uniośł szponiastą łapę.

- Co to jest pikieta, Mako?

Han i Mako spojrzeli po sobie i westchnęli.

- Przepraszam - powiedział Mako. - To jest większy statek rozpoznawczy z myśliwcami TIE, jasne? Oczekujemy, że zjawią się ze dwa takie statki, prawdopodobnie klasy Carrack, czyli lekkie krążowniki. Każdy z nich ma na pokładzie cztery myśliwce TIE. Razem z nimi nazywają się pikietami, jasne?

- Jasne! - krzyknęli przemytnicy.

Na twarzy Mako pojawił się złośliwy uśmiechek.

- Imperialni nie oczekują, że natrafią na zorganizowany opór, a my nie mamy zamiaru wyprowadzać ich z błędu, prawda, bracia?

- Prawda! - potwierdzili entuzjastycznie zebrani.

- Chcemy, aby Imperialni wiedzieli tyle, ile chcemy im pokazać, czy nie tak?

- Tak!

- No właśnie. Należy pokazać im właśnie to, co spodziewają się ujrzeć. W ten sposób potrafimy dokładnie przewidzieć, co zrobią, bo będą postępować według schematycznych procedur. Kiedy ich admirał pośle statki rozpoznawcze, a potem w rozproszonym szyku pozostałe lekkie jednostki, będzie chciał przekonać nas, że to jest atak główny. On sam zostanie z tyłu z kilkoma ciężkimi statkami i będzie oczekiwał, że rzucimy się jak dezorganizowana banda na te lekkie jednostki, bo jesteśmy zbyt głupi, aby się powstrzymać. Ten admirał sądzi, że weźmiemy te zwiadowcze statki za jego główną siłę uderzeniową.

- Pokażemy mu, że nie jesteśmy tępakami! - ryknęli przemytnicy.

- Tak jest, pokażemy mu. Zrobimy to tak, aby myślał, że naprawdę rzuciliśmy wszystko, co mamy, na pierwszych kilka statków, które zbliżą się do Nar Shaddaa. A to będą, jak już powiedziałem, statki zwiadowcze i lekkie wsparcie. Popatrzcie tutaj.

Mako skinął głową Hanowi, a ten przejął mikrofon, podczas gdy Mako przy użyciu holoprojektora i wskaźnika zaczął demonstrować na wielkim ekranie plan rozstawienia sił.

- Jak widzicie na diagramie Mako - zaczął Han - podzielimy nasze siły na dwie grupy. Grupę Pierwszego Uderzenia i Grupę Głównego Uderzenia. Grupą Pierwszego Uderzenia będą wszystkie małe jednostki bez ciężkiego uzbrojenia plus kilku najemników na zmodyfikowanych jednostkach patrolowych służb celnych. Słuchajcie teraz uważnie. Przeczytam nazwy statków i nazwiska kapitanów Grupy Pierwszego Uderzenia, a Mako w tym czasie umieści je na diagramie. Han odczytał listę.

- Zanim skończymy całe przygotowania - ciągnął - każdy z was będzie wiedział dokładnie, gdzie jest jego pozycja, co ma tam robić i kiedy. Dzisiaj jednak, jak już powiedzieliśmy, pokażemy wam tylko, jaką rolę macie odegrać w planie ogólnym.

Mako wręczył Hanowi wskaźnik i przejął mikrofon.

- Jeśli chodzi o Grupę Głównego Uderzenia, będzie się składać z wszystkich najszybszych dużych statków oraz frachtowców z ciężkim uzbrojeniem plus szwadron myśliwców. Mamy sześć Y-skrzydłowców, kilka myśliwców Cloakshape i typu Z-95 Łowca Głów. A oto lista.

Gdy Mako wyczytywał nazwy statków należących do Grupy Głównego Uderzenia, Han uzupełniał obraz holograficzny. Wkrótce wielki trójwymiarowy ekran umiesz-

czony w audytorium kasyna wyglądał jak skomplikowany wzór kolorowych linii i zawijasów, przeplatanych trójwymiarowymi modelami statków.

- Teraz wszyscy widzicie, do której grupy należycie. Czy ktoś jeszcze ma wątpliwości?

Kilku nowo przybyłych podniosło dłonie, łapy i macki. Szybko umieszczono ich w jednej lub drugiej grupie. Mako mówił dalej:

- Grupa Pierwszego Uderzenia zaatakuj pierwszą, jak na to wskazuje nazwa. Po zostanieie w takich parach, w jakich was tutaj rozpisano. Dwa statki mogą się nawzajem osłaniać i są znacznie bardziej efektywne jako grupa niż pojedynczo.

Han pochylił się ku zebrany.

- Słuchajcie wszyscy... uważajcie na turbolasy na krążownikach Imperium. Mogą rozwalić was na atomy jednym strzałem. Zawsze musicie kluczyć, gdy jesteście w zasięgu ognia większych jednostek, jasne?

- Jasne! - wrzasnęli piloci.

Mako podjął wykład.

- Pamiętajcie, bracia przemytnicy, że między większymi statkami rozpoznawczymi i lekkimi krążownikami będą tuziny myśliwców TIE. Są szybkie, bardzo szybkie, i mają niezłe lasery, ale są kruche. Jedno dobre trafienie i rozpadają się w kawałki. Są za szybkie na naprowadzanie, więc musicie strzelać na oko. Dobierajcie starannie cele. Większość waszych jednostek ma broń, która strzela do tyłu, więc możecie trzymać te TIE na dystans, kiedy zabierze się za jednostki główne. Nadążacie za mną?

- Tak!!! - wrzasnął tłum. - Zabić te TIE!

- Dobra. To jest wciąż jeszcze początek bitwy. Zaatakujemy więc statki zwiadowcze tak, aby sądzili, że to już wszystko, na co nas stać. Jeśli będziemy mieli szczęście, trafimy kilka z tych TIE, może nawet unieruchomimy jeden z krążowników typu Carrack, chociaż na to nawet Lando nic by nie postawił.

Mako na chwilę przerwał, bo po ostatniej uwadze rozległ się ogólny wybuch śmiechu.

- Hej, Lando, ile stawiasz do jednego? - krzyknął ktoś do młodego hazardzisty.

Han znów przejął prowadzenie.

- Mniej więcej w tym punkcie któryś z komandorów Imperium włączy do walki pozostałe lekkie jednostki wsparcia, rozkazując im zwiększyć szybkość i atakować. Będzie bowiem myślał, że zna już siły przeciwnika i może je spokojnie wykończyć. Na razie prawie na pewno będzie trzymał z tyłu ciężkie jednostki, planując włączenie ich do akcji dopiero przeciw tarczom Nar Shaddaa. Kiedy zacznie się bitwa z siłami lekkiego wsparcia, najważniejszą rzeczą jest, abyście utrzymywali wyznaczone wam pozycje. Z tych pozycji macie bowiem szansę uderzyć ich na tyle mocno, by przeładować tarcze. A potem ktoś z atakującej pary może mieć okazję zniszczyć to i owo, zanim się wycofacie. Ci z was, którzy mają rakiety albo torpedy, mogą porządnie przyłożyć tym lekkim krążownikom!

Han obrzucił swoich pilotów zatroskanym spojrzeniem.

- W tym czasie będzie tam już niezłe zamieszanie. Frachtowce będą próbowały się wycofać, a wszystkie nasze lżejsze jednostki przemierzają się z imperialnymi. Nie

stracie rozeznania, co się dzieje. Bądźcie gotowi reagować elastycznie. Upewnijcie się, że na każdym statku znajdzie się ktoś, kto będzie tylko słuchał komend z komunikatora, w razie gdybyśmy musieli gwałtownie zmienić koncepcję bitwy. Załapaliście?

- Taa... załapaliśmy - odezwało się niepewnie kilka głosów. Han zrobił zmartwioną minę i przyłożył dłoń do ucha.

- Ogluchłem ze starości, czy co? Pytałem, chłopaki, czy załapaliście?

- Jasne! Załapaliśmy! - wrzasnęli, tym razem chórem.

- Tak lepiej - powiedział Mako zabierając głos. - Dobra, lećmy dalej. Prawdę mówiąc, bracia, oczekujemy, że przyłożycie tym lekkim jednostkom. Będziemy mieli przewagę liczebną po wejściu Grupy Głównego Uderzenia, no i to jest w końcu nasz teren. Oczekujemy wykończenia co najmniej połowy z nich, co mocno zaskoczy imperialnego admirała. Ale kiedy otrząśnie się z pierwszego szoku i złości, i nabierze dla nas nieco więcej szacunku...

Mako urwał dramatycznie, a salę znów wypełniły krzyki zebranych.

- Tak! Tak!!! Nauczymy go respektu!

- Na pewno nauczymy! - dołączył do okrzyków Han.

Mako skończył myśl.

- .. ale ten admirał nie będzie tam stał zbyt długo z otwartą gębą. Nie chcę was martwić, chłopaki, ale on po prostu pomyśli: „Jak oni śmia?” i wyśle na nas swoje ciężkie jednostki. Możemy oczekiwać co najmniej dwóch albo trzech ciężkich krążowników, a może nawet drednota czy dwa na wsparcie. A te większe krypy będą miały potężne tarcze i panczerze oraz gigantyczne działa. Szczerze mówiąc, bracia, niewiele mamy jednostek, które mogą w ogóle marzyć o zrobieniu im jakiejś szkody, a żadnej, która mogłaby się z nimi jako tako równać.

Na sali zapadła głucha cisza. Han zmartwił się, że w tym momencie niektórzy mogą się wycofać, ale ku jego uldze nikt nie wyszedł.

- Ale słuchajcie - powiedział Mako - bo teraz będzie najważniejsze. .. jeśli uda nam się naprawdę uszkodzić jeden z tych ciężkich statków, Imperialni niemal na pewno się wycofają, ponieważ nie będą w stanie wykonać do końca swojego zadania, a ich standardowa dewiza brzmi: minimalizuj straty, jeśli nie możesz wygrać.

- No to jak go mamy uszkodzić, Mako? - krzyknął jakiś przemytnik.

- Dobre pytanie. Wypracowaliśmy strategię, która naszym zdaniem to umożliwi. Słuchajcie uważnie, chłopaki. Kiedy zbliżą się do nas większe statki, udajemy odwrot. Na umówioną komendę wracacie między Nar Shaddaa a Nal Hutta. Tylko, na wszystkie demony, nie róbcie zwrotu w równym szyku i nie znikajcie jak na komendę, gdy tylko pojawią się krążowniki. To musi wyglądać naturalnie, inaczej Imperialni nabiorą podejrzeń.

- To co mamy robić? - zapytał jeden z przemytników, Bothanin. - Zatrzymać się i zaprosić ich na drinka?

Mako spojrział karcąco.

- Bądź poważny, pajacu. Chcemy, żebyście się wycofali, ale tak, jakby to był wasz własny pomysł, a nie wykonywanie rozkazu. Ogon pod siebie i umykacie jak przerażone króliki. Tak to ma wyglądać. A oni mają was ścigać! Czy to jasne?

- Jasne! - wrzasnęli.

- Hej - odpowiedział ktoś - na pewno dobrze nam wyjdzie udawanie przerażonych, zwłaszcza jeśli naprawdę będziemy zestrachani.

Rozległ się śmiech.

- Dobrze, dobrze - uciszył ich Mako. - Tutaj - użył wskaźnika, by pokazać punkt leżący między Nar Shaddaa a planetą- będą czekać nasze własne ciężkie jednostki. I będzie to spora niespodzianka dla naszych imperialnych przyjaciół. - Odwrócił się i machnął zachęcająco ręką na prawą stronę sceny. - Xaverri, pozwól do nas, proszę.

Xaverri pojawiła się na scenie w stroju pilota, z czarnymi włosami ciasno upiętymi z tyłu i prawie bez makijażu. Han sugerował, żeby włożyła do tego wystąpienia swój kostium iluzjonistki, ale odmówiła.

- Nie, Han - powiedziała. - Jeśli mają zaufać mnie i temu, co mam zrobić, muszę wyglądać jak jedna z nich.

- Piloci i załogi - zaczaj Mako. - Chcę przedstawić wam Xaverri. Ona jest osobą, która wygra dla nas tę bitwę... Niektórzy z was już ją znają. Tym, którzy o niej nie słyszeli, mogę tylko powiedzieć, że w tym, co robi, jest najlepsza w galaktyce. A to, co robi, to iluzje.

Jednym ruchem dłoni Xaverri spowodowała, że światła w audytorium nagle przygasty, a potem bez najmniejszego ostrzeżenia w powietrzu pojawiły się pikujące w publiczność gwizdawce z Kayven. Trik był zaplanowany, ale nawet spodziewający się go Han z trudem się powstrzymał, aby nie paść na ziemię, kiedy jedno ze śmiertelnie groźnych zwierząt zmierzało ku jego głowie. Pozostali wrzasnęli i upadli jak ma komendę, a kiedy Xaverri spowodowała zniknięcie gwizdawców kolejnym machnięciem ręki, zerwali się w spontanicznym aplauzie.

Mako pozwolił tłumowi klaskać i tupać w podziwie; Xaverri uśmiechała się lekko, ale zrezygnowała ze scenicznego ukłonu...

- Jest naprawdę dobra, chłopaki - zaczął Mako, kiedy trochę ucichło. - I dla nas właśnie stworzy swoje największe arcydzieło. Kiedy ciężkie jednostki Imperium znajdują się tam, gdzie chcemy - wskazał znów właściwy punkt - Xaverri stworzy iluzję, że naprawdę wielka flota leci na nich od strony Nal Hutta. A kiedy oni zaczną walić ze swoich głównych dział w tę nieistniejącą flotę, wtedy my hukniemy ich z boku i z tyłu ze wszystkiego, co mamy.

Tłum zaczął wrzeszczeć z radości.

Han wystąpił do przodu i na jego znak okrzyki zaczęły powoli przycichać.

- Teraz coś tylko do waszej wiadomości. Kapitan Renthal i jej ciężkie jednostki będą czekać razem z Mako i naszą Główną Grupą Uderzeniową. Kapitan Renthal - odwrócił się i wskazał siedzącą w pierwszym rzędzie wielką, barczystą kobietę o bladej cerze i czerwono-złoty włosach - proszę o powstanie.

Przemytnicy powitali ją oklaskami, co było pewną niespodzianką, bo niektórzy z nich na pewno nieraz musieli uciekać przed „Pięścią” Renthal albo innymi statkami z jej pirackiej floty.

- Kapitan Renthal, twoje ciężkie jednostki będą musiały wyczyścić drogę dla naszych Y-skrzydłowców i pozostałych myśliwców. Każdy lekki krążownik Imperium

pomiędzy nami a burtami tych wielkich jednostek będzie waszym celem. Wasze turbo-lasery i protonowe torpedy muszą je wyeliminować. Nie możemy wykonać szarży na ciężkie jednostki pod ogniem ze wszystkich stron - poinformował Mako publiczność, bo on i Han omówili już tę część planu z Renthal po wielokroć.

Drea Renthal skinęła głową.

- Wykonam swoją robotę - powiedziała czystym, silnym głosem. - Zostałam wynajęta, aby powstrzymać Imperialnych przed zbliżeniem się do Nal Hutta. Przyjrzałam się waszemu planowi bitwy i zgadzam się, że jest to najlepsza droga do osiągnięcia mojego celu. - Odwróciła się do przemytników. - Możecie liczyć na mnie i moją flotę w tej bitwie!

Znowu okrzyki radości, a kiedy Renthal uniosła pięść w górę, tłum zupełnie oszalał.

- Już dobrze - próbował kontynuować Han, gdy okrzyki nieco przycichły. - Myśliwce bez rakiet i torped posłużą jako osłona. Musicie trzymać się z dala od nas TIE podczas tej szarży. - Korelianin wskazał resztę przemytników. - Reszta idzie do ataku i wybiera na cel jeden lub dwa ciężkie krążowniki. Kiedy przyjdzie czas, Mako wyda wam rozkaz. Musimy podejść tak blisko, jak tylko można i uderzyć skoncentrowanym ogniem prosto w systemy napędowe. Nie oszczędzajcie ich, walcie całą mocą, jaką mamy.

Znów rozległy się radosne okrzyki. Najwyraźniej świadomość, że mają do pomocy iluzje Xaverri i dobrze uzbrojoną piracką flotę, dodała przemytnikom ducha.

- Dobrze więc, bracia - powiedział Mako. - Jeszcze tylko jedno. Jeśli uda nam się to, co zaplanowaliśmy, zmiatacie stamtąd błyskawicznie. Te krążowniki potrafią całkiem niezłe wybuchać. Chyba nie chcecie znaleźć się w zasięgu takiej eksplozji?

- Racja! - ryknęli.

- To tyle - zakończył Mako. - Jeśli się nie uda... - wzruszył ramionami. - Cóż, musimy próbować. Nie możemy tak po prostu się poddać i wycofać.

Tłum przypatrywał mu się w milczeniu, nagle spoważniały... Han podszedł do brzegu sceny.

- Więc już wiecie - powiedział. - Taki jest plan. Teraz będziemy go powtarzać podczas ćwiczeń, aż przyswoicie sobie każdy szczegół. Jakies pytania?

Ku zdumieniu Hana, zanim upłynęło kilka dni, Xaverri i Sal-la stały się najlepszymi przyjaciółkami. On sam i Mako byli szalenie zajęci przeprowadzaniem nie kończących się ćwiczeń dla pilotów i ich załóg, stanowiących siły obronne Nar Shadda, więc nie miał zbyt wiele czasu, aby bywać w hangarze Shuga. Ale ilekroć tam wpadał, spotykał obie kobiety pracujące razem przy tworzeniu dzieła życia magiczki.

- To zadziała tylko dla odwrócenia uwagi, na jakieś dwie lub trzy minuty, Solo - ostrzegła go Xaverri. - Zobaczą te statki atakujące ich z bardzo bliska, a na swoich przyrządach odpowiadające temu złudzeniu odczyty. Ale statki pojawią się blisko, więc ich reakcją będzie obrócenie się, aby użyć laserów dziobowych. Tylko w tym momencie wystawią się na wasz atak z boku.

Xaverri wypila łyk stymherbaty, którą Han przyrządził dla niej, a także dla Salli, Shuga, Chewiego, Jarika i pozostałych techników pracujących nad iluzją Xaverri.

- Te statki mają być przerażające, więc muszą być blisko. Ale po kilku minutach, kiedy Imperialni zauważą, że żaden z nich nie został trafiony z laserów, zorientują się, że to oszustwo.

Han skinął głową.

- Trzy minuty to wszystko, czego nam potrzeba, Xaverri. Naprawę będziemy wdzięczni za taką dywersję. Skontaktowaliśmy się z tą kapitan piratów, których wynajęli Huttowie. Statek flagowy Drei Renthal, „Pięść”, ukryje się za Nar Shaddaa, to znaczy między księżycem a Nal Hutta, razem z towarzyszącymi mu jednostkami. Kiedy ciężkie okręty Imperium wychyła się zza księżyca i odwróca się przodem do twojej nieistniejącej floty, piraci i Mako będą mieli szansę porządnie im przyłożyć.

Jarik Solo przetarł zmęczoną twarz brudną ręką.

- Han, jaką siłą dysponuje ta flota najemników? Czy oni naprawdę będą pomocni?

Han przytaknął.

- Renthal ma także ciężki frachtowiec „Złote Marzenie”, który został przerobiony na bazę myśliwców. To całkiem duży statek produkcji SoroSuub, chociaż ze słabymi tarczami. Wypuści jednak swoich Łowców Głównych, a potem się wycofa. Poza myśliwcami i „Pięścią” jest jeszcze zdobyczny patrolowiec Imperium, na którym wymieniono jedną z obrotowych wieżyczek laserowych na działo jonowe, więc jest w stanie zaszkodzić ciężkim jednostkom. Ponadto jeszcze lekka korweta typu Stardrive... rendilińska produkcja, dobry stateczek, wyposażony ponad standard w pociski uderzeniowe i działka jonowe.

- Jak dla mnie, wygląda to na całkiem silną formację - stwierdziła Xaverri - chociaż nie bardzo rozróżniam działo jonowe od pocisku uderzeniowego.

- Kiedy zaczynałam zabawę z przemytem, też ich nie odróżniałam - roześmiała się Salla. - Ale kiedy od czasu do czasu ostrzeliwują cię patrole Imperium, bardzo szybko uczysz się, jaka to różnica.

Kobiety uśmiechnęły się do siebie. Han wciąż jeszcze nie mógł się nadziwić tej błyskawicznej przyjaźni. Mówiąc szczerze, był nawet trochę zazdrosny. Pod wieloma względami Salla i Xaverri zdawały się być bliżej ze sobą niż każda z nich była z nim. Zastanawiał się, czy rozmawiały czasem o nim. Może wymieniały spostrzeżenia?

Sama myśl spowodowała, że lekko się zaczerwienił. Na szczęście Jarik skierował rozmowę na inne tory.

- Han, czy mogę porozmawiać z tobą chwilę na osobności?

Han przełknął ostatni łyk stymherbaty i wstał.

- Oczywiście. Może przejdziemy do biura Shuga, aby nie tarasować tu drogi?

- Jasne - zgodził się chłopak. - Tutaj w każdej chwili może na nas wjechać podnosnik antygravitacyjny albo coś w tym rodzaju.

Rzeczywiście w hangarze głównym było rojno jak w mrowisku. Wszyscy przemytnicy dokonywali pospiesznych remontów swoich statków, czasem nawet modyfikowali je, starając się wycisnąć z silników dodatkową szybkość albo dołożyć tu i tam działko laserowe czy wyrzutnię pocisków.

Han i Jarik przeszli obok „Biegacza” Salli i pomachali do Shuga, gdy zobaczyli jego spoconą twarz wychylającą się zza kadłuba. Han przyłożył dłonie do ust i ryknął do mistrza mechaniki:

- Dobra robota, Shug! Ty i Salla na pewno zrobicie Imperialnym niemiłą niespodziankę!

Kiedy tylko nie pomagali Xaverri przy jej iluzji, Salla i Shug z pomocą Rika Duela przerabiali „Biegacza”, instalując mu od strony rufy parę ukrytych wyrzutni pocisków. Statek Salli był koreliańskiej budowy lekkim frachtowcem typu Gymsnor-4, ale jak niemal każdy statek przemysłowy, został poważnie zmodyfikowany. Wyglądał jak samo latające skrzydło, a jeśli chciało się zarobić pięścią od Salli, można było powiedzieć, że wygląda jak mynock. „Biegacz” był jednak szybki i zwrotny, a Sallę uważano za doskonałego pilota i Han bardzo na nią liczył w zbliżającej się bitwie.

Wiedział, że Salla będzie miała znacznie większą szansę, żeby narobić szkód statkom Imperium, niż on sam. „Bria” to sympatyczny mały stateczek, ale daleko jej do szybkości, jakie mogły rozwijać „Biegacz” czy „Sokół Millennium”. Jest też lżej uzbrojona.

Kiedy Han i Jarik dotarli do biura Shuga, musieli zdjąć z krzesel sterty narzędzi, żeby móc usiąść. Kiedy wreszcie zajęli miejsca, Han westchnął z ulgą.

- Cieszę się, że chciałeś ze mną porozmawiać, dzieciaku. Usiadłem po raz pierwszy od rana. Przez tę bitwę wciąż jesteśmy na nogach, ja i Mako.

- Taa, ja też byłem zajęty - powiedział Jarik. - Jeśli nie pomagałem pani Xaverri, to pracowałem z Chewiem przy „Brii” albo z Shugiem przy „Biegaczu”.

- Shug mówił, że stajesz się bardzo dobrym mechanikiem - powiedział Han. - A ja muszę dodać, że sporo też się nauczyłeś jako strzelec i pilot. Cieszę się, że polecisz ze mną. Chewie jest dobry, ale co dwóch strzelców, to nie jeden.

- Han... to jest... właśnie o tym chciałem porozmawiać. -Przystojna twarz Jarika zachmurzyła się. - Ja... ja nigdy wcześniej nie brałem udziału w bitwie - przelknął z trudem ślinę. -Zeszłej nocy zasnąłem, kiedy czyściłem „Brie” z sadzy, i... i miałem ten sen. Właściwie koszmar.

- Tak? A co ci się śniło?

- Śniło mi się, że walczyliśmy z Imperialnymi i... - przelknął znowu ślinę - i eksplodowaliśmy. Zobaczyłem TIE i... zamarłem ze strachu. Nie strzeliłem. A potem zobaczyłem zielone światło lasera pędzące wprost na mnie i nic nie mogłem zrobić. Śniło mi się, że... zginąłem.

Twarz Jarika była biała jak papier. Drżał.

- Han... boję się. Nie wiem, czy się do tego nadaję. Co będzie, jeśli nawalę i zabiją nas przez to, tak jak w moim śnie?

- Jarik - odezwał się Han. - Gdybyś się nie bał, martwiłbym się o ciebie. Kiedy pierwszy raz szedłem do bitwy jako pilot TIE, byłem tak przerażony, że o mało nie porzygałem się w hełm. Na szczęście siedziałem już wtedy w kabinie w próżni, więc wiedziałem, że jeśli to zrobię, uduszę się. Tylko dlatego zdołałem się powstrzymać. Potem ktoś do mnie strzelił i nawet nie myśląc, zacząłem odpowiadać ogniem. Po prostu szkolenie przeważało.

- Naprawdę? - Jarik przyglądał mu się, jakby chciał wy badać, czy ta historia nie powstała w celu podtrzymania go na duchu. - Ale przecież wszyscy wiedzą, że jesteś odważny. Nawet tak o tobie mówią: Han to ma odwagę. O mnie nikt tak jeszcze nigdy nie powiedział. A jeśli jestem tchórzem? Jak możesz zaryzykować i powierzyć mi swoje życie?

Han spojrział mu w oczy.

- Stoisz w obliczu problemu, z którym wszyscy musimy się zmierzyć. My na Nar Shaddaa stoimy poza prawem, a to zawsze jest niebezpieczne. Dla tchórzy nie ma tu miejsca. Zostają pożarci żywcem.

- Radzę sobie z wibroostrzem albo na pięści - przyznał Jarik. - Ale to niezupełnie to samo, co dezintegracja na atomy. Jedno „bum” i już jesteś historią.

- Dzieciaku, przypatrywałem ci się i sądzę, że podołasz. To prawda, że ludzi czasem paraliżuje strach podczas bitwy, ale dlatego właśnie Mako i ja zmuszamy was do ciągłych ćwiczeń w przestrzeni. - Han wzruszył ramionami. - Dokładnie tak samo robiliśmy, gdy byłem we Flocie Imperium. Ćwiczenia i ćwiczenia, a wszystko z tego powodu, że każdemu zdarza się stracić głowę w prawdziwej bitwie. Czasem nawet spotyka to weteranów. Ale jeśli odbyłeś wystarczająco dużo ćwiczeń, istnieje szansa, że chociaż mózg ci zdrętwieje, nie zagrozi to rękom. One same zrobią to, czego nauczyłeś się na ćwiczeniach, nawet jeśli twój umysł przez kilka sekund nie daje im poleceń. Jeżeli dużo trenowałeś i znasz swoją robotę... a ty ją znasz, tego jestem pewien... to mózg po chwili zaskoczy. Strach wciąż będzie w tobie, ale potrafiś przewyciężyć paraliż. Po prostu będziesz robił to, co powinieneś, i wszystko będzie dobrze.

Jarik zwilżył wargi.

- A jeśli nie? Może powinieneś mieć innego strzelca. Wolalbym umrzeć niż doprowadzić do twojej śmierci.

- Jeśli chcesz, wezmę kogoś innego - odparł Han. - Ale wolę ciebie. Znam cię, lataliśmy już razem i razem ćwiczyliśmy. Ale to twoja decyzja.

Chłopiec skinął głową.

- Dzięki. Pomyślę nad tym.

Han klepnął Janka w ramię, kiedy przechodził obok niego.

- Prześpij się trochę. Czeka nas pracowity poranek. Jarik uśmiechnął się do niego ciepło.

- Dobrze, Han.

Lando Calrissian okropnie się czuł, kiedy był brudny, ale powoli zaczynał do tego przywykać. Przygotowywanie „Sokoła Millennium” do bitwy było brudną i oślizłą robotą, ale ktoś w końcu musiał ją wykonać. W zeszłym tygodniu Shug pomógł mu dobrać i zainstalować wieżyczkę działową po prawej stronie statku, z tyłu kabiny, tuż nad służą wyjściową. Ale wciąż jeszcze pozostawało mnóstwo do zrobienia. Pomogliby mu chętnie Han, Chewie czy Salla, ale oni też mieli pełne ręce roboty, pomagając Xaverri przy jej hologramie albo przygotowując własne statki.

Lando zrozumiał, że związek Hana i Xaverri należy do przeszłości. Spawając podstawę nowego działka laserowego odkrył, że jego myśli biegną ku iluzjonistce. Z pew-

nością była wspaniałą kobietą - piękna, inteligentna, o dobrym smaku i poczuciu humoru, miała wszystkie te cechy, które Lando uważał za pociągające. Zastanawiał się, czy miałyby ochotę na związek z nim, taki sam, jak swego czasu z Korelianinem. Wyglądało na to, że ciągnie ją do rozmaitych zawadiaków, bo inaczej nigdy nie związałyby się z Hanem.

Może powinienem zapuścić wąsy, pomyślał Lando, będę miał bardziej zawadiacki wygląd. Uśmiechnął się samymi kącikami ust. Może Xaverri da się namówić na wspólną podróż, gdy to wszystko już się skończy.

Lando rozważał powrót do systemu Oseon. Miał kilka pomysłów na zdobycie sporych pieniędzy. Musiał w tym celu jeszcze popracować nad umiejętnościami gry w sabaka. Za jakieś sześć miesięcy w Mieście Chmur na Bepin miała się odbyć gra o naprawdę duże stawki i Lando bardzo chciał wziąć w niej udział. Ale żeby w ogóle o tym myśleć, musiał mieć duże pieniądze na wejście, a w tym celu musiał wrócić do Oseon. Tam wszystko szło łatwo...

No i przydałoby się, uznał Lando, towarzystwo jakiejś uroczej damy.

Ale może Xaverri cały czas kochała Hana? I co powiedziałby Han, gdyby jego była dziewczyna związała się z jego najlepszym kumpłem? No, powiedzmy, najlepszym ludzkim kumpłem - bo tak w ogóle najlepszym był niewątpliwie Chewbacca...

Pogrążony w marzeniach o sobie i Xaverri, wygrywających i uczujących w najlepszych kurortach systemu Oseon, Lando przejechał sobie płomieniem spawarki po kciuku. Zaklął i zaczął ssać oparzone miejsce, ale przestał, gdy z obrzydzeniem zauważył, jaką brudną ma rękę.

- Panie - zagadnął Vuffi Raa, wychylając się spod kadłuba „Sokoła”. Mały robot w każdej ze swoich pięciu kończyn, zakończonych podobnymi do macek giętkimi palcami, trzymał jakieś narzędzie. Jego czerwone oko wpatrywało się wprost w Lando. - Co się stało?

Wściekły, że nie może possać pięknego jak diabli kciuka, Lando rozżoślił się jeszcze bardziej.

- Vuffii, ile razy ci mówiłem, abys nie zwracał się do mnie „panie”?

- Pięćset sześćdziesiąt dwa razy, panie - zabrzmiała błyskawiczna odpowiedź.

Lando prychnął.

- Po prostu oparzyłem się w palec. To wszystko, stary. Nic mi nie będzie. Wracajmy do roboty. Dziś w nocy „Sokół” musi być gotów. Mako robi kolejne ćwiczenia.

- Bardzo dobrze - powiedział Vuffi Raa i odszedł.

- Hej, Vuffi - zawołał Lando. Robot zatrzymał się.

- Tak, panie?

Tym razem Lando zignorował tytuł.

- Jesteś pewien, że możesz pilotować „Sokoła” podczas bitwy?

- To nieco obciąży moje obwody, panie, ponieważ, jak wiesz, jestem zaprogramowany na nierobienie krzywdy żywym, a zwłaszcza inteligentnym organizmom. Ale ponieważ to pan będzie strzelał, sądzę, że będę mógł pilotować. Proszę tylko nie wydawać mi polecenia taranowania innego statku, bo nie będę w stanie go wykonać.

- I bardzo dobrze! - wykrzyknął Lando. - Dobra, mój mały odkurzacz. Do roboty.  
- Tak, panie.

Han i Mako nie powiedzieli prawie nikomu, kiedy dokładnie Greelanx zaatakuje. Niektórzy przemytnicy ze Sztabu wiedzieli, że Han i Mako znają czas akcji, ale zaakceptowali decyzję obu byłych oficerów Imperium, że nikt inny nie powinien tego wiedzieć.

Lando, Shug, Salla, Rik Duel, Blue i Jarik... wszyscy oni mieli świadomość, że kiedy pewnego razu zostaną wezwani na ćwiczenia, okaże się, że to prawdziwa akcja. Pozostali nie wiedzieli nawet tego.

Han i Mako musieli bardzo umiejętnie ćwiczyć swoje wojsko. Nie mogli dopuścić, żeby przemytnicy się znudzili albo zmęczeni, co mogło łatwo się przydarzyć, gdyby ćwiczyli zbyt intensywnie. Z drugiej strony wiedzieli, że ta zbieranina potrzebuje wielu praktycznych ćwiczeń. Jedyną szansą na wygranie bitwy z Flotą Imperium było dokładne wykonanie planu Mako i Hana.

Przemytnicy z Nar Shaddaa byli prymitywnymi indywidualistami i nie przywykli działać w większych grupach.

- To jak próba zapędzenia do stada dzikich kotów - powiedział Xaverri zrezygnowany Han. - Każdy z nich uważa, że wszystko wie lepiej i kwestionuje każdy rozkaz, który mu wydajemy. Niech ich wszystkich szlag trafi!

- Ale kiedy ostatnio robiliście ćwiczenia całą formacją - przypomniała Xaverri, by go nieco pocieszyć - udało im się zająć pozycje i wykonać zadanie w trzykrotnie krótszym czasie niż potrzebowali przy pierwszej próbie.

- Tak - zgodził się Han z zauważalnym brakiem entuzjazmu. - Tylko że przez to zaczynam siwieć, kochanie.

Uśmiechnęła się i przeczesła mu dłonią czuprynę udając, że szuka siwych włosów. Od czasu wizyty u admirała był krótko ostrzyżony.

- Nie widzę żadnego - powiedziała po chwili. Teraz on także się uśmiechnął.

- W takim razie te siwe rosną do wewnątrz. Poglądziła go po dłoni.

- Nie martw się, Solo. Uda nam się.

- Mam nadzieję - odparł. - Wiesz, kochanie...

- Tak?

- Dziękuję, że przyjechałaś nam pomóc. Bez ciebie nie mielibyśmy szansy.

Uśmiechnęła się do niego szelmowsko.

- Za nic bym tego nie opuściła. Samo spotkanie z Sallą było tego warte.

- Tak... zauważyłem, że wy dwie bardzo się do siebie... zbliżyłyście - powiedział ostrożnie Han. - O czym rozmawiacie, że cały czas śmiejecie się przy pracy?

Roześmiała się.

- Ty zarozumiałcze! Na pewno myślisz, że rozmawiamy o tobie.

- O mnie? Ależ skąd! - zapewnił gorąco Han.

- Na pewno tak myślałeś - roześmiała się widząc jego zdenerwowanie. - Przyznaj się, Solo!



Han wykręcał się, jak mógł, cały czas się zastanawiając, czy po tym wszystkim uda mu się jeszcze kontynuować dotychczasowy związek z Sallą. Widział, że Lando interesuje się i Xaverri, i Sallą i nie zawaha się o nie walczyć, jeśli tylko wyczuje, że ich zainteresowanie Hanem osłabło.

Czy Salli naprawdę na nim zależy, tak jak zależało Brii i Xaverri? Nie wiedział. Nigdy o tym nie rozmawiali. Bawili się dobrze, spędzali miło czas, pracowali razem. Ale nigdy nie poruszali tematu uczuć czy wspólnej przyszłości. Widocznie -jak przypuszczał Han - żadne z nich do niej nie dążyło.

A co on sam czuł do Salli?

Nie był pewien. Przez większość czasu był zbyt zajęty, żeby w ogóle się nad tym zastanawiać. Na pewno nie zamierzał zachować się tak jak Roa...

Zastanawiał się nad tym później w hangarze Shuga, ale zaraz zjawił się Chewie z lekką pretensją. Han podniósł głowę.

- Co? Odprawa? Faktycznie, zapomniałem.

Poszedł za Wookiem do auditorium Pałacu Losu. Czas na następny wykład. Musi się upewnić, że każdy przemytnik dokładnie rozumie swoją rolę w całej strategii...

Dwie godziny później, gdy przemytnicy opuszczali auditorium, Han spotkał się z Shugiem Ninxem i z Sallą Zend. Salla uściśnęła go mocno i pocałowała w policzek.

- Byłeś świetny - powiedziała. - Zawsze jesteś świetny, Han. Przysięgam, że jesteś urodzonym przywódcą.

Korelianin uśmiechnął się zawstydzony.

- Kto, ja?

Wyszli razem na zewnątrz.

- Kiedy następne ćwiczenia? - zapytał Shug.

- Nie wiem - skłamał Han. - Ogłosi je Mako. Czy „Biegacz” już gotów? Holoprojektor na miejscu? Sygnały kontroli ruchu sprawne?

- Wszystko gotowe - zapewnił go Shug. - Mówię ci, Han, kiedy to wszystko się skończy, a ja przeżyję, będę spał chyba tydzień.

Salla trąciła go w ramię.

- Nie mów nic o przeżyciu. To przynosi pecha.

- Znaleźliście już tylnego strzelca? - zapytał Han.

- Tak. Rik zgłosił się do obsługi wyrzutni rufowych - odparła Salla. - Mówi, że jest dobrym strzelcem.

- Jest dobry - potwierdził Han. - Ale... nie zostawiajcie go samego na statku, nie pożyczajcie mu pieniędzy i nie dawajcie kodów dostępu do niczego, co ma jakąkolwiek wartość, dobrze?

Salla uśmiechnęła się.

- Wiem. Ostrzegano nas już. Lepiej mu się palce nawet wśród swoich?

- Tak... delikatnie mówiąc - powiedział Han. - Mówiłem wam już, że mam dobre wieści?

- Nie, nie mówiłeś. Jakie?

- Mako zamierzał dowodzić obroną z „Pięści”. Ale kilka dni temu zdaliśmy sobie sprawę, że mamy trochę szczęścia. Zgadnijcie, kto jest tak bardzo zaabsorbowany ma-

cierzyństwem, że zapomniał zabrać swój jacht na Nal Hutta? A czyje wezwania do pilotów ciągle nie mogą dotrzeć, bo połączenia komunikacyjne między Nal Hutta a Nar Shaddaa niezmiennie są przeciążone? Na ustach Salli pojawił się uśmiech satysfakcji.

- Chcesz powiedzieć, że „Perła Smoka” wciąż tu jest?

- Owszem. I w odróżnieniu od swojego bratanka Jabby, Jiliak dba o utrzymanie pełnej gotowości bojowej statku. Ma tam sześć Łowców Głównych. Wszystkie sprawdziliśmy. Są w najlepszym porządku. Mamy też pilotów i obsługę laserów dla Mako, a Blue namówiliśmy na pilotaż. Jej statek jest za wolny, aby mogła nam pomóc, a jest za dobrym pilotem, żeby się marnowała. W ten sposób Mako będzie mógł się skoncentrować wyłącznie na ekranach taktycznych i obserwować wszystko uważnie.

Shug gwizdnął cicho.

- Jacht bardzo się przyda. Nie ma mocnego opancerzenia, ale całkiem niezłe lasery i tarcze.

- Ale jeśli zostanie zniszczony, Jiliak wytapetuje sobie ściany naszymi skórami - zauważyła Salla z uśmiechem. - Mimo wszystko powinniśmy zaryzykować. Potrzeba nam każdego statku.

- Nie będziemy rozgłaszać, kto naprawdę jest na pokładzie „Perły Smoka” - powiedział Han. - Jeśli Jiliak się o tym dowie, Mako będzie musiał potem udać się na długie wakacje na Ucieczkę Przemysłowców, ale mówi, że jest do tego przygotowany.

Wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Blue twierdzi, że potrafi mu zapewnić interesujący pobyt. Shug potrząsnął głową, a Salla parsknęła:

- Założę się, że potrafi!

Roa w ciśnieniowym stroju pilota stał na permabetonie lądowiska, a przy nim urodziwa blondynka ze łzami w oczach.

- Uspokój się, Lwyll - poprosił przemytnik. - Nie musisz się martwić. Będę ostrożny.

- Proszę... - powiedziała i chwyciła go mocno za ramię. - Proszę, wróć do mnie, Roa. Życie bez ciebie nie będzie wiele warte.

- Obiecuję, że wrócę - zapewnił ją. - „Lwyll” jest dobrym statkiem. Zadba o mnie tak jak ty. Dlatego tak go nazwałem.

Nachylił się i pocałował ją mocno.

- Poza tym to tylko następne ćwiczenia, kochanie. Przychodziłaś tu całować mnie na pożegnanie już osiem razy i zawsze wracałem po półgodzinie. Teraz też tak będzie.

Skinęła głową, ale po jej policzku spłynęła łza.

- Kocham cię, Roa.

- Ja też cię kocham, Lwyll. Wróć, kochanie. I już będziemy żyli spokojnie. Pobierzemy się. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Skinęła głową.

- Lepiej już idź.

- Racja. Nie chcę się spóźnić na ćwiczenia.

Wciąż z uśmiechem na twarzy Roa wcisnął swoje zwaliste ciało do wnętrza „Lwyll” - zmodyfikowanego statku zwiadowczego typu Redhorn, szybkiego i zwrotnego, ale uzbrojonego tylko w trzy lekkie dziobowe działka laserowe. Mały stateczek wyglądał jak cylinder zakończony iglicą z krótkimi trójkątnymi skrzydłami w części rufowej. Niemał tak szybka jak myśliwiec TIE, „Lwyll” miała nad nim jedną wielką przewagę - dysponowała tarczami.

Roa spojrzął w dół na swoją przyszłą żonę. Stała na permabetonie i machała do niego. Uśmiechnął się do niej i pokazał uniesiony do góry kciuk.

Potem sprawdził instrumenty, zapiął się w fotelu i włożył hełm.

Aby osiągnąć maksimum prędkości i mocy ataku, zdecydował podczas remontu wymontować część systemów podtrzymywania życia. Napierając na dźwignię uruchomił dolne silniki manewrowe i pchnął mały stateczek w górę. Wspinając się coraz wyżej spojrzął w dół, starając się dojrzeć jasną głowę Lwyll, ale znikła już w oddali.

Roa pomknął w stronę przewidywanej dla niego pozycji. Jako jeden z niewielu, nie latał z partnerem. Miał za zadanie użyć wielkiej szybkości Lwyll do śledzenia ruchów Floty Imperium. Specjalny kanał komunikacyjny umożliwiał mu bezpośredni kontakt z Mako.

Gdy atmosfera wokół niego przerzedziła się i niebo zmieniło kolor z szaroniebieskiego na kobaltowy, a potem czarny, usiany gwiazdami, Roa się rozluźnił. Zawsze uwielbiał latać, a „Lwyll” była cudowna w prowadzeniu - tak szybko reagowała na każdy ruch.

Przeleciał nad kulą Nar Shadda i osiągnął wyznaczoną pozycję w kilka minut. Oczekiwał, że jak zawsze dotąd, w jego słuchawkach za chwilę rozlegnie się głos Mako: „Wszystkie statki powrót do bazy. To były ćwiczenia. Wszystkie statki powrót do bazy po osiągnięciu wyznaczonej pozycji...”

Rzeczywiście kilka sekund później w słuchawkach zachrobotano i rozległ się głos Mako:

- Uwaga. Uwaga. Słuchajcie wszyscy uważnie. Zaczęło się. Imperialni pojawili się na naszych czujnikach. Zaczęło się. To nie są ćwiczenia. Powtarzam, to nie są ćwiczenia. Naprawdę się zaczęło, dzieci. Przygotować się do starcia z wrogiem.

Oczy Roi rozszerzyły się z wrażenia.

Kiedy głos Mako ucichł, przemytnik zauważył z przerażeniem statki Imperium wynurzające się z nadprzestrzeni...

## ROZDZIAŁ

# 14

### BITWA O NAR SHADDAA

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył admirał Winstel Greelanx, kiedy jego „Przeznaczenie Imperium” wynurzyło się z mikro-skoku nadprzestrzennego, był mały statek zwiadowczy, który odwrócił się gwałtownie i oddalił w panicznej ucieczce. Admirał uśmiechnął się chłodno. Zdaje się, że dzisiaj wiele takich zobacze, pomyślał.

Ta myśl go przynębiła. Naprawdę trudno będzie mu ponieść klęskę w walce z taką zaśloną bandą. Jak, na galaktykę, ma tego dokonać?

- Sir, flota wyłoniła się z nadprzestrzeni - poinformował jego zastępcę, komandor Jelon.

Zwyciężyło długoletnie doświadczenie i Greelanx bezwiednie wydał komendę:

- Rozkazać flocie uformować szyk.

Admirał wiedział dokładnie, co się dzieje, więc nie tracił czasu na obserwację. Ciężkie okręty ustawiły się zgodnie z planem w klin z „Przeznaczeniem” na czele. Za nim leciały dwa ciężkie krążowniki, „Łowca” i „Likwidator”, a wreszcie „Obrońca Pokoju” i „Duma Senatu”. Dwa pozostałe ciężkie krążowniki, „Siłacz” i „Mściciel”, stanowiły ariergardę. Drednoty wypuściły swoje myśliwce TIE, które otoczyły całą formację.

Dwa okręty zwiadowcze, lekkie krążowniki typu Carrack „Czujny” i „Czatownik”, wysunęły się przed flotę i również wypuściły swoje TIE. Szesnaście pozostałych lekkich jednostek - korwet i lekkich krążowników typu Guardian - uformowało półokrągłą muszlę, która miała uniemożliwić jakąkolwiek ucieczkę z Księżyca Przemytników. Wszystko to odbyło się szybko, sprawnie i bez najmniejszych zakłóceń. Greelanx do brze przećwiczył z dowódcami okrętów każdy punkt planu bitwy.

- Panie admirale, flota zajęła pozycje zgodnie z rozkazem - zameldował kilka minut później Jelon.

- Doskonale. Proszę wydać rozkaz przystąpienia do planowej operacji.

- Tak jest, admirale.

Cała flotylla ruszyła z przewidzianą prędkością w kierunku Nar Shaddaa, poprzędzana przez statki rozpoznawcze poruszające się nieco szybciej.

Greelanx przyglądał się temu przez ekran widokowy ze swojego mostka. Czujniki dalekiego zasięgu wskazywały, że Nar r Shaddaa jest otoczony przez setki, a może tysiące wraków kosmicznych i rozmaitego drobniejszego szmelcu. Nie zdoła przeprowadzić tamtędy swoich ciężkich jednostek, zwłaszcza jeśli przemytnicy podejmą jakąś próbę oporu. Kiedy bezpośrednio zbliżą się do księżycy, będzie musiał nakazać zmianę kursu, aby ominąć szerokim łukiem te latające śmiecie.

Admirał z dłońmi splecionymi za plecami przyglądał się maleńkiej kropce migającej na monitorze - ogarniętemu paniką stateczkowi, który spotkali jako pierwszy. Kiedy ten zbliżył się do kosmicznych śmieci, dołączyły do niego w równie panicznej ucieczce dwa inne frachtowce.

Greelanx westchnął. Jego plan przewidywał zdławienie wszelkiego oporu w mniej niż piętnaście minut. Musi naprawdę poważnie pomyśleć, w jaki sposób przegrać tę bitwę...

Przez pierwszych kilka minut Roa całą siłą woli musiał się powstrzymać przed skokiem w nadprzestrzeń. Widok Floty Imperium wstrząsnął nim do głębi. Wprawdzie wiedział, że flotylla będzie liczna, a część jednostek wielokrotnie większa niż każdy statek, jaki dotąd widział, ale to nie wystarczyło, by spokojnie przyjąć ten widok w rzeczywistości.

Niemal nie rejestrując tego, co robi, Roa natychmiast wykonał zwrot i pognął na pełnej szybkości w kierunku Nar Shaddaa. W końcu jednak odetchnął głęboko kilka razy i powstrzymał ślepa panikę. Wzięła w nim górę rutyna, nabyta dzięki wielokrotnym ćwiczeniom całej operacji. Muszę potwierdzić kontakt, pomyślał. Jestem przecież statkiem zwiadowczym.

Aktywował swój komunikator korzystając ze specjalnego kodu dostępu, który ustalili wcześniej.

- Obrońca Główny, tu „Lwyll”. Odbiór, Główny. W słuchawkach usłyszał głos Mako.

- Słyszemy cię „Lwyll”. Spotkałeś ich?

- Potwierdzam, Główny. - Roa upewnił się jeszcze, spoglądając na czujniki i monitor rufowy. - Ustawili szyk i zbliżają się.

- Dobrze. Pamiętaj, że o to właśnie nam chodziło. Po prostu ich prowadź. Zmniejsz nieco szybkość, jeśli nie wystawi cię to na zbytne niebezpieczeństwo. Posyłam „Gwiazdowego Podróżnika” i „Eleganta”, żeby pomogły ci podprowadzić chociaż jeden z tych krążowników zwiadowczych na pożądaną pozycję.

- Rozumiem, Główny.

Roa zwolnił trochę upewniając się, że robi to stopniowo. Był zdumiony, w jakim tempie zbliżają się statki typu Carrack. Szybkie są! Poczł się pewniej, gdy Mako przeznaczył mu do pomocy te dwie szybkie jednostki. W dodatku Danith Jalay i Renna Strego byli doskonałymi kapitanami.

Wziął głęboki oddech. Strach wciąż w nim był, ale przycisnął się gdzieś głęboko i przynajmniej już nie paraliżował mu myśli.

Roa wyprostował się w fotelu i skoncentrował na czekającym go zadaniu.

Stojąc na mostku „Perły Smoka” Mako wpatrywał się w ekrany taktyczne z napiętą uwagą. Bał się nawet mrugnąć. „Perła” była zbyt duża, aby ukryć ją pomiędzy latającymi wrakami i śmieciami, tak jak mogły to zrobić mniejsze statki, ale Mako kazał Blue tak ustawić się za księżycem, aby jednostki imperialne dostrzegły go dopiero po znalezieniu się na pozycji, na którą chcieli je ściągnąć.

Mako zobaczył, że jeden ze statków zwiadowczych zmienia kurs, aby zbliżyć się z drugiej strony do Nar Shaddaa, podczas gdy jego partner zmierza wprost w pułapkę. Taki manewr miał sens, przecież Greelanx nie wiedział, gdzie czekają na niego przemytnicy... Jeśli zaatakują zwiadowca pewnie zostanie tam i zaczeka, nie angażując się w walkę i obserwując pozycję za Nar Shaddaa, gotów do przechwycenia ewentualnych uciekinierów.

Drugi natomiast, który według przechwytywanych kodów identyfikacyjnych nosił nazwę „Czujny”, zbliżał się do wyznaczonej do ataku pozycji. Już prawie, pomyślał Mako wycierając mokre od potu dłonie o spodnie. Prawie...

Falan Iniro był Korelianinem. Przyjaciele mawiali o nim, że jest impulsywny i ma zbyt gorącą głowę. Iniro odpowiadał na to, że szybkość działania zazwyczaj wychodziła mu na korzyść; dzięki temu zagarniał najlepsze interesy, najdroższy towar i najlepsze rozdania w sabaku.

Teraz, siedząc na pokładzie swojego lekkiego frachtowca typu YT-1210, Iniro irytował się czekaniem. Na demony, myślał, co tam się dzieje?

Denerwowało go straszliwie to chowanie się za starym wrakiem statku, do którego był przyczepiony magnetyczną przysawką. Iniro znowu spojrzał na instrumenty i tym razem przyciągnęły jego uwagę. Zbliżało się do nich coś naprawdę dużego. I było blisko, coraz bliżej.

To musi być jeden z nich, pomyślał Iniro. Żałował, że nie zainstalował na swoim statku czujników nowej generacji. Głośno jednak powiedział do swojego strzelca, Rodianina o imieniu Gadaf:

- Hej, Gadaf, mam coś na ekranie. Bądź gotów do strzału.

- Tak jest, kapitanie - odparł Rodianin. - Pełna gotowość. Niektórzy przemytnicy uważali, że jego statek jest zbyt słabo

uzbrojony, by walczyć ze statkami Imperium, ale Falan Iniro był przekonany, że jego umiejętności pilotażu wystarczą aby zrównoważyć fakt, że ma tylko jedno działko laserowe umieszczone na obrotowej wieżyczce na szczycie statku.

- Chciałbym... - dotarł do niego pełen obaw głos Rodianina.

- Co byś chciał?

- Żebyśmy mieli czas wypróbować celowniki lasera przed bitwą, szefie. Ciagle musimy brać poprawkę na oko, bo wali za bardzo w prawo. Nie miałem czasu go skalibrować.

Iniro nie odniósł się ze zrozumieniem do jego żalów.

- Na oko też można, Gadaf. Ja jakoś zawsze trafiam z tego działka.

- Wiem, szefie - odparł Rodianin. - Nie mówię, że ja nie daję rady...

No, pomyślał z irytacją Iniro, kiedy wreszcie dostaniemy ten cholerny rozkaz?

Na ekranie wyglądało to tak, jakby duży statek zaraz miał się z nimi zderzyć.

No dalej, dalej! Na co...

Drgnął odruchowo, gdy usłyszał nagle w słuchawce głos Mako, zakłócany przez trzaski, ale rozpoznawalny.

- Grupa Pierwszego Uderzenia, tu Obrońca Główny. Przygotować się do...

Iniro wydał westchnienie ulgi i nagle zdał sobie sprawę, że nie dosłyszał ostatniego słowa. Czy to zabrzmiało „ataku”? Był tego niemal pewien.

Przez moment zastanawiał się, czy nie włączyć komunikatora i nie poprosić o powtórzenie komendy, ale nie zrobił tego. Chłopaki by się z niego śmiali, a poza tym została by z tyłu w tym rajdzie.

- Naprzód! - wrzasnął i odłączył magnetyczną przyssawkę.

Wychylając się zza wraku Iniro dostrzegł, że są z nim także dwa inne statki. Tylko dwa? A gdzie, na wszystkich sługusów Xendoru, podzieli się pozostali?

Nie miał jednak czasu długo nad tym rozmyślać, bo niemal natychmiast stał się celem ataku myśliwca TIE.

Odczuł uderzenie w przednią tarczę. Wyrównał cios polem energetycznym i poczuł wstrząs statku, gdy Gadał walił już w tego TIE. Zupełne pudło. Za bardzo na lewo.

Za duża poprawka, ty głupcze! - pomyślał. Położył statek w ostry skręt, wyciskając z niego całą możliwą moc.

- Wal w niego, Gadał- wrzasnął.

Wystrzelił czerwony promień, niemal się ocierając o obracającego się wzdłuż podłużnej osi TIE.

Iniro zaklął i rzucił się za nim w pościg. Nie było to łatwe między całym tym latającym śmieciem. Cały czas musiał obracać się w płaszczyźnie pionowej, aby uniknąć zahaczenia skrzydłami o jakiś wrak.

- Zaraz będzie czysty strzał! - wrzasnął. - Przygotuj się!

Tak jak obiecał, w następnym ułamku sekundy znalazł się w jednej linii z TIE, a pomiędzy nimi była tylko pusta przestrzeń. Następny czerwony promień pomknął przez próżnię i tym razem ugodził myśliwca w sam środek kadłuba.

Ten eksplodował i rozbłysnął, najpierw żółtą, potem białą, rozszerzającą się kulą ognia...

Potem nie było już myśliwca, tylko drobne kosmiczne odpadki dryfujące w przestrzeni.

Ale Iniro nie zdążył nacieszyć się zwycięstwem. Kiedy rzucił błyskawicznie okiem na ekran taktyczny, zobaczył, że ładuje się wprost na większą jednostkę. Był prawie nad jej wieżyczką bojową. Kapitan Iniro rozpaczliwie napał na ster, starając się desperacko poderwać w górę. Kątem oka dostrzegł błysk...

Na sługusów Xendoru, to...

Nie zdołał nigdy dokończyć tej myśli. Ciężkie turbolasy lekkiego krążownika typu Carrack rozpały się zieloną poświatą, która zmieniła lekki frachtowiec w kosmiczny pył w czasie krótszym niż potrzeba człowiekowi na mrugnienie powieką...

Już w sekundę po tym, jak w ślad za statkiem Falana Iniro wyskoczył zza wraku, Niev Jaub wiedział, że popełnił wielki błąd. Mały Sullustianin siedział za sterami swojego zmodyfikowanego lekkiego frachtowca o nazwie „3nef Nile”. Dostrzegłszy wyskakującego z ukrycia Iniro pomyślał w pierwszej chwili, że może sam źle zrozumiał rozkaz Mako... i wyskoczył za nim. Gdy tylko znalazł się w odkrytej przestrzeni, zauważył, że po nim wyskoczył jeszcze tylko jeden statek. A zatem wyszli przed orkiestrę. Atak najwyraźniej wcale się jeszcze nie zaczął.

Przebiegła mu przez głowę myśl, aby natychmiast dokonać zwrotu i ukryć się ponownie, ale było już za późno. Zielony promień lasera myśliwca TIE niemal otarł się o jego bok. Jaub pchnął swój mały stateczek, przypominający z wyglądu opancerzonego gada z jego rodzinnej planety, w manewr uniku.

W odróżnieniu od większości obrońców Nar Shaddaa, Jaub był uczciwym handlarzem, który po prostu robił interesy na Księżycu Przemysłowców, dostarczając tu żywność dla jednego z eleganckich hotelów-kasyn. Na Nar Shaddaa była spora enklawa sullustiańska i mały humanoid miał tu wielu przyjaciół i krewnych. Więc kiedy Mako rzucił hasło walki, Jaub uznał, że jego obowiązkiem jest wziąć w niej udział. Nie mógł pozwolić, aby jego rodzina i przyjaciele cierpieli. Musiał im pomóc.

Co teraz? - pomyślał strzelając do TIE. Nie mogę równać się z tymi pilotami. Nigdy dotąd nie strzelałem w prawdziwej walce!

Ale nie było już odwrotu. Na scenę wszedł lekki krążownik i oczy Jauba rozszerzyły się z przerażenia, gdy zobaczył unicestwienie statku Iniro w ogniu turbolaserów. Z trudem powstrzymał nagły atak torsji.

Gdyby miał najmniejsze szanse w walce z którymś z tych statków, pewnie by spróbował, ale Jaub był realistą. Jedyne, co mógł zrobić, to starać się pozostać jak najdłużej przy życiu i liczyć przy okazji na jakąś czystą pozycję do strzału. Przecież Mako za kilka sekund powinien nakazać właściwy atak!

Jaub położył się na bok, gdy TIE nie wiadomo skąd zaszarżował na niego. Manewr uniku wprowadził go w zasięg turbolaserów krążownika. Sullustianin jęknął w straszliwym przerażeniu, gdy zielony snop ognia liźnął jego statek.

Jestem cały! Nie trafił mnie, nie trafił mnie, nie trafił... o bogowie. .. jednak trafił! - przemknęło mu gorączkowo przez myśl.

Wskaźniki mocy gwałtownie spadały. Promień ledwie go musnął, ale musiał skasować jego prawą tarczę i uszkodzić napęd. „3nef Nile” wciąż mknął do przodu siłą inercji, ale silniki odmówiły współpracy.

Jaub wypróbował zapasowe silniki manewrowe i stwierdził, że wciąż są na chodzie. Nie mógł wyhamować ani przyspieszyć, ale wciąż jeszcze mógł się odwrócić.

Obejrzał się i zobaczył, że z góry spadają mu za rufę dwa TIE. Za moment znajdą się w pozycji do strzału i przerobią go na atomy.

Krążownik najwyraźniej postanowił nie marnować energii potężnych turbolaserów na małego uszkodzonego frachtowca. Wielki statek Imperium kontynuował swój kurs równoległe i nieco z tyłu w stosunku do rozpędzonego statku Jauba.

Sekundy... zostały mi tylko sekundy. Mogę je policzyć, pomyślał Jaub.

Sullustianie nie byli wprawdzie bohaterską rasą, ale za to bardzo praktyczną.

Za pomocą silników manewrowych Jaub wprowadził swój statek w korkociąg w płaszczyźnie poziomej. Zawirowały mu w oczach gwiazdy i kosmiczne wraki, a żołądek podszedł pod gardło.

- Bnef nile, chłopaki! - wrzasnął, kierując nagłym skretem swój wirujący statek prosto w bok lekkiego krążownika.

Bnef nile w języku Sullustian oznacza: „niech wam szczęście sprzyja”.

W pierwszej chwili Jaub sądził, że mu się nie uda, że krążownik porusza się zbyt szybko, ale w ostatnim ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że naprawdę uderzy w boczną tarczę wielkiej jednostki.

Wypełniła go radość, a potem zobaczył jeszcze tylko błysk ognia...

- Cholerni głupcy! Dlaczego nie poczekali na mój rozkaz? - wrzasnął Mako patrząc na ekran taktyczny. - Dlaczego wyskoczyli przed wszystkimi?

Może go nie zrozumieli? Wydał komendę „przygotować się do odskoku”, a kiedy tylko skończył mówić, ci trzej wariaci wyskoczyli z kryjówek. Mako patrzył na ekran i kłął na czym świat stoi w kilku językach, widząc agonię dwóch z tych impulsywnych załóg. Przynajmniej ten drugi, kimkolwiek był, zrobił coś pożytecznego. A nawet ten głupiec, który zaczął to całe zamieszanie, zabrał ze sobą jednego TIE.

Teraz zaś trzeci statek zawracał wprost na niego z siedzącym mu na ogonie myśliwcem.

- Świetnie! - ryknął Mako. - Podprowadź go prosto do miejsca, gdzie się kryjemy! Jeśli przeżyjesz, osobiście cię dopadnę i uduszę własnymi rękami!

- Mako, jeśli zaraz czegoś nie zrobimy, będzie po nim - powiedziała z napięciem w głosie Blue.

- Powinienem pozwolić temu głupcowi zdechnąć - warknął Mako, ale spojrzał na ekran taktyczny i upewnił się, że krążownik był już zbyt głęboko pomiędzy wrakami, aby wykonać szybki zwrot i wycofać się. Wystarczy, pomyślał.

- Dobra! - powiedział do Blue i obsługi działek. - Uratujemy mu tę nic nie wartą skórę!

Pochylając się nad komunikatorem powiedział spokojnym głosem.

- Uwaga, przeprowadzić atak! Grupa Pierwszego Uderzenia, powtarzam... do ataku, chłopcy i dziewczęta! Weźcie na siebie te TIE, a ja ruszam na krążownik. Przygotujcie się, żeby mnie wesprzeć. Załatwimy tego sukinsyna!

Blue wyprowadziła „Perłę Smoka z ukrycia. Uciekający frachtowiec dostrzegł ich i skreślił w ich kierunku, jak dziecko szukające schronienia w sukni matki. Blue wydała szybką komendę załogom strzeleckim i sześć potężnych turbolaserów huttyjskiego jachtu posłało zielone płomienie zniszczenia ku myśliwcowi TIE. Ten eksplodował spektakularnie.

- Marnotrawstwo mocy - mruknął Mako. - Ten szmelc nie ma nawet tarcz.

„Perła” sunęła już ku krążownikowi, który dopiero teraz zorientował się, że będzie miał do czynienia z groźniejszym niż dotąd przeciwnikiem.

- Blue, wypuść tych Łowców Głównych! - wrzasnął Mako.

- Zrobiłam to już dwie minuty temu - odrzyknęła. - Przestań mi mówić, co mam robić.

Tymczasem krążownik był gotów do pojedynku. Miał oczywiście znaczną przewagę w walce - był lepiej opancerzony, lepiej uzbrojony, miał silniejsze tarcze. Był także szybszy, chociaż pod tym względem nie o wiele przewyższał jacht. A jednak załoga Mako miała dwa wielkie atuty. Po pierwsze, Blue miała praktykę w lataniu między wrakami, a pilot Imperium nie. Po drugie, huttyjski jacht był mniejszy, a więc bardziej zwrotny. Blue wykorzystwała te atuty w maksymalnym stopniu, przyskakując w atakach i gwałtownymi ciasnymi zwrotami unikając odpowiedzi krążownika. Kiedy sztuczna grawitacja zaczęła wariować, po kilku gwałtownych zwrotach i trafieniach, Mako poszybował na podłogę, ale zaraz się pozbierał i przypiął pasami do fotela. Zobaczył z prawej strony błyski laserowego ognia i rozjarzoną odbijającą je tarczę, ale z tego miejsca nie mógł dostrzec krążownika.

Obawiał się przez chwilę, że mają do czynienia z nowszym modelem, wyposażonym w promienie trakcyjne, ale na szczęście tak nie było.

Huttyjski jacht drżał pod kolejnymi ciosami.

- Kończy się tarcza prawej burty - powiedziała krótko Blue. - Jeszcze jedno trafienie z tamtej strony...

Bum!

„Perła” zatrzęsła się paskudnie, jak zranione zwierzę pochwycone w pazury drapieżnika. Blue zaklęła.

- Ognia! Traficie go jeszcze!

Jacht Jiliak drżał, gdy raz za razem turbolaser strzelały pełną mocą.

Mako umierał z pragnienia, żeby wstać i zobaczyć, co tam się dzieje, ale przy gwałtownych manewrach statku byłoby to bardzo niebezpieczne. Mógł łatwo złamać rękę albo skreślić kark.

Bum! Bum!

- Szlag by to trafił! - powiedziała Blue. - Straciliśmy trzy wieżyczki.

Bum!

- Powiedzmy, cztery.

- Blue, co tam się, do diabła, dzieje? - wrzasnął Mako w przerwie pomiędzy kolejnymi wstrząsami. - Czy my ich w ogóle trafiamy?

- Tak - potwierdziła. - Trafiamy. Dalej, chłopcy. Jeszcze raz! Nie mogą wytrzymać dłużej, Mako rozpiął pasy i przemknął na pomost zobaczyć, co się dzieje.

- Jego prawe tarcze słabną - powiedziała krótko Blue. - Naszych prawych nie ma w ogóle.

Manewrowała jachtem tak, aby zwracać się do przeciwnika w miarę jeszcze silną tarczą dziobową.

- Silniki są słabe - zauważył Mako czując oporny ruch statku.

- Co ty powiesz? - warknęła Blue.

„Perła” strzeliła ponownie, i jeszcze raz, i jeszcze...

Mako wydał okrzyk radości, gdy nagle zamiast błysku płomienia lasera odbijanego przez tarczę dostrzegł wielki ślad spalinowy na opancerzonej burcie krążownika.

- Skończyła mu się prawa tarcza!  
 - Podobnie jak nasza - przypomniała Blue.  
 - Ale teraz, kotku, jest nasz. Wychodź z walki! Mako pognał z powrotem do centrum dowodzenia.

- Uwaga, słuchajcie, „Już za Późno” i „Minestra”. Wzywa Obrońca Główny. Odbiór!

Mako wzywał dwa statki najemników, które miały wyznaczone pozycje w pobliżu. „Już za Późno” był zdobytym i przerobionym patrolowcem Imperium, a „Minestra” również zdobyczą lekką korwetą. Oba nosiły teraz na burcie symbol płonącego pazura, który oznaczał piratów.

- Tu „Minestra”, słyszymy cię, Mako - zgłosił się statek.  
 - „Już za Późno” też cię słyszy.  
 - Uwaga, chłopaki, dobra wiadomość! Właśnie załatwiliśmy prawe tarcze tego sukinsyna!

- Jesteśmy gotowi, żeby wejść i go wykończyć! - odparł kapitan „Ministry”. - Mako, widzieliśmy łomot, jaki dostałeś. Lepiej się stamtąd wynoś, zanim pojawią się następne statki.

- Z wielką chęcią - odparła Blue i statek boleśnie powoli zaczął oddalać się z miejsca starcia. Mako zerknął na wskaźniki zniszczenia i zaklął. Brak prawej tarczy, zablokowane silniki podświetlne, zniszczenia kadłuba i utrata jego szczelności... Jiliak nie będzie zachwycona.

Dwaj piraci pojawili się tymczasem na polu walki i wraz z frachtowcami rzucili się na zranionego „Czujnego” jak padlinożercy na umierającą ofiarę. Mako widział, że krążownik inkasuje trafienie za trafieniem, aż w końcu jego pancierz nie zdołał tego wytrzymać i na prawej burcie pojawiło się olbrzymie rozdarcie. Przemysłowcy zaś grzmocili równo w silniki, mostek, kadłub; po chwili statek dryfował już bezradnie przez przestrzeń. Wokół niego pojawiły się małe kapsuły ratunkowe. Resztki załogi zaczęły opuszczać wrak.

Mako uśmiechnął się.

- Dobra robota, chłopaki. Mój statek wychodzi z walki, przynajmniej dopóki nie damy rady choć pobieżnie naprawić zniszczeń. Zmierzam do punktu iluzji trochę wcześniej niż zaplanowano. Trzymajcie się. Ich jednostki wsparcia zaraz tam będą!

Admirał Greelanx wysłuchał komandora Jelona i popatrzył w osłupieniu na swojego podwładnego.

- Powiedzieliście, komandorze, że „Czujny” został wyłączony z bitwy? Kapitan Eldon nie żyje?

- Tak jest, admirale. Żałuję, sir, ale to prawda.

- Co z jego TIE?

- Wszystkie zniszczone, sir.

Greelanx był zbyt opanowany, żeby zakląć na głos, ale zrobił to w myślach.

- Rozkaż jednostkom wsparcia wejść do walki z pełną szybkością. Wsparcie dwie eskadry TIE. Proszę przekazać im, by atakowali wroga bez dalszych rozkazów.

- Tak jest, sir.

Przez chwilę Greelanx rozważał włączenie do walki drugiego krążownika, ale zrezygnował. „Czatownik” może być jeszcze potrzebny. Nie chciał ryzykować straty drugiego okrętu zwiadowczego.

Pokażemy tym nędznym bandytom, pomyślał ze złością, kompletnie zapominając, że miał przecież przegrać tę bitwę.

Kapitan Soontir Fel wpatrywał się w małą holograficzną postać admirała Greelanxa, która zdawała się stać na blacie komunikacyjnym „Dumy Senatu”. Poczul się, jakby właśnie otrzymał cios w żołądek.

- Eldon nie żyje? Greelanx przytaknął krótko.

- Rozumiem. Proszę o pozwolenie na przekazanie uwagi.

- Zgadza się - odparł bez specjalnego zapалу Greelanx.

- Może powinniśmy potraktować tych przemysłowców... poważniej, sir? Najwyraźniej są zdolni do przeprowadzania skoordynowanych ataków, nie tylko do chaotycznego strzelania.

- Pańska propozycja zostanie rozważona, Fel. Wyłączam się.

Mała holograficzna figurka znikła bez śladu.

Soontir Fel stał przez chwilę z opuszczoną głową. Kapitan Darv Eldon był jednym z jego kolegów z Akademii. Przyjaźnili się od ponad dziesięciu lat. Jego śmierć odczuł jak cięcie wibroostrzem.

Przełknął ślinę i wyprostował się. Potem przyjdzie czas na smutek. Teraz ma obowiązek zabić tylu przemysłowców, ilu tylko zdoła...

W pierwszej chwili Han poczuł się nienaturalnie: dlaczego strzela do TIE zamiast latać jednym z nich? Gdy tylko Mako wydał komendę ataku Pierwszej Grupie, Han z Chewiem i Jarikiem, obsługującym działka na skrzydłach „Brii”, skoczyli naprzód i zaczęli bój z myśliwcami. Do tej pory załatwili dwa. Teraz latając między śmieciami Han rozglądał się za następnym przeciwnikiem.

„Bria” miała trochę osłabioną tarczę rufową i w przypadku kolejnego trafienia jej silniki mogły się znaleźć w niebezpieczeństwie, ale poza tym na razie nie była uszkodzona - głównie dzięki znakomitemu pilotażowi Hana.

Han był jednym z niewielu pilotów bez partnera. Mako chciał dać mu swobodę, aby mógł przyglądać się sytuacji i przesuwac tam, gdzie jest najbardziej potrzebny. Han wiedział, że decyzja Mako wynika z jego opinii o zdolnościach przyjaciela, więc był zadowolony.

Zerknął na lewą burtę i zobaczył Janka. Siedział w helmie na ruchomym fotelu wewnątrz wieżyczki strzeleckiej. Jak dotąd dzieciak nie spisywał się najlepiej. Ponościły go nerwy i chybiał za każdym razem. Han zaczynał podejrzewać, że niepotrzebnie zachęcał go do wzięcia udziału w bitwie.

Chewbacca radził sobie znacznie lepiej - trafił jednego TIE i wprowadził go w korkociąg. W chwilę później myśliwiec wałnął w jeden z wraków i eksplodował.

Drugiego TIE zestrzelił osobiście Han ze swoich podwójnych laserów dziobowych.

W słuchawkach przebił się przez trzaski głos Mako.

- Uwaga, okręty wsparcia zaraz wchodzą do walki. Wszyscy pełna gotowość!

Han właśnie podjął decyzję o zapolewaniu na jedną z tych większych jednostek, kiedy przyskoczył do nich błyskając laserami kolejny TIE.

- Chewie, Jarik! - wrzasnął. - Uwaga!

Automatycznie wykonał unik i sam odpowiedział z laserów dziobowych.

Piękne pudło. Han zaklął.

Leciał ku nim drugi TIE. Widocznie zamierzały wziąć „Brie” w krzyżowy ogień. Han strzelił jeszcze raz posyłając statek pionowo w górę i dostrzegł wybuchający ogniem myśliwiec. Dostał!

W tym momencie dołączył drugi TIE. Tym razem na miejscu był strzelający wściekle Chewie...

W słuchawkach Hana zabrzmiał nagle skowyt gniewu i frustracji Wookiego. Trafili go! Ta pierwsza myśl zmroziła go strachem, ale kiedy spojrział w prawo, zobaczył, że Chewie miota się wściekle w fotelu, ryczy, przeklina i macha włochatymi łapami w ataku furii, ale najwyraźniej cały i zdrowy.

Co mu się stało? - pomyślał Han, ale kiedy spojrział drugi raz, już wiedział.

Gałka sterująca laserem tkwiła w dłoni Chewiego. Zwisła z niej wiązka kabli. Rozemocjonowany Chewbacca zapomniał o swojej niezwykłej sile i wyrwał po prostu gałkę z tablicy rozdzielczej.

Teraz z kolei Han zaklął.

Ty wielki kudłaty kłocu! Coś ty narobił? - wściekał się w duchu.

Chewbacca warknął w jego słuchawki, że doskonale wie, co narobił. Han nigdy nie słyszał, aby jego przyjaciel używał takich przekleństw.

Łup!

Strzał z TIE uderzył w środkową tarczę „Brii”.

Hej, Solo, skoncentruj się na pilotowaniu, bo zaraz będziesz martwy, upomniał się Han. Potrząsnął głową zdając sobie nagle sprawę, że jego prawa burta jest teraz właściwie bezbronna i że musi chronić ją maksymalnie.

- Jarik- powiedział do mikrofonu - słuchaj, dzieciaku. Chewie złamał cholerną dźwignię lasera w prawej wieżycze! Teraz to ty musisz wykończyć tego TIE.

Głos Jarika był ledwie słyszalny i drżący.

- Jjjaaa? - wybąkał.

- Tak, ty! Uważaj! On wraca!

Jarik zamarł w swoim fotelu zmrożony przerażeniem. Właśnie sprawdza się mój koszmar, pomyślał. Zabiję nas wszystkich!

Zmusił się do opanowania paniki i drżenia rąk. Rozejrzył się za TIE. Celownik był tuż przed nim. Czy zdoła go wreszcie odpowiednio ustawić? Nie wiedział. Jak do tej pory chybiał haniebnie.

Gdzie on jest? Gdzie?

Nagle go zobaczył. Nurkował właśnie z góry mierząc prosto w dziób „Brii”.

Nie dam rady!... Co zrobić, kiedy nie dam rady? - dudniło w głowie Jarika, ale jego ręce poruszały się same i ciało też, gdy błyskawicznie okręcił się w bok i ku górze w swoim fotelu. Tu był obraz w celowniku, a tam był TIE, i nagle... oba obrazy przez moment stały się jednym.

Nie kontrolowany zupełnie przez umysł, kciuk Jarika wcisnął przycisk.

Wystrzelił czerwony promień trafiając TIE w sam środek kadłuba.

W zupełnej ciszy myśliwiec eksplodował.

Jarik siedział bez ruchu przyglądając się temu szokowany. Czy to ja? - zastanawiał się.

- Doskonały strzał, dzieciaku! - usłyszał w słuchawkach głos Hana. - Tylko tak dalej!

Czy to ja? To ja! Ja! Mogę to zrobić!

Jarik Solo uśmiechnął się z satysfakcją i dumą.

- Jasne, Han.

Sprawdził stan energii, a kiedy „Bria” wykonała zwrot, rozejrzył się wokół za następnym celem.

Na pokładzie „Biegacza” Salla Zend sprawdziła swoją pozycję i zerknęła, czy jej partner już jest na swoim miejscu. „Biegacz” osiągał prawie taką samą szybkość jak „Sokół Millenium”, więc jej partnerem był Lando ze swoim dziwnym małym robotem jako pilotem. Dobrym zresztą, musiała przyznać Salla. Nigdy dotąd nie słyszała, żeby robot pilotował statek, ale z tego co widziała, Vuffi Raa był specjalną konstrukcją wykonaną w odległej części galaktyki. Na pewno nie był zwyczajnym mechanikiem pokładowym. Od momentu, kiedy się zaczęło, Vuffi Raa nie tylko potrafił utrzymywać cały czas odpowiednią pozycję i szyk w formacji, ale także niekiedy zaskakiwał ją wyjątkowo sprawnymi manewrami. r Odezwała się do mikrofonu przy helmie:

- Widzisz którąś z jednostek wsparcia na swoich czujnikach, Vuffi?

- Do tej pory nic, lady Sallo - odparł mały robot. - I mam na imię Vuffi Raa, jeśli można.

- W porządku, Vuffi Raa - odpowiedziała. - A co właściwie oznacza twoje imię?

- W języku tych, którzy mnie programowali, oznacza to liczbę, lady Sallo.

- Coś takiego - mruknęła do siebie Salla, patrząc na odczyty czujników. Nie byli w bezpośrednim niebezpieczeństwie, ale widziała wyraźnie sygnały dużej grupy większych jednostek przesuających się przez chmurę śmieci otaczającą Nar Shaddaa. To była już tylko kwestia czasu.

- Lando, bądź gotów na działach. Wszędzie widzę te imperialne ślimaki.

- W porządku, Salla - usłyszała głos Lando.

- Rik? Shug? Wchodzimy do walki w każdej sekundzie. Jesteście gotowi, chłopaki?

- Gotowi, piękna pani - odparł Rik Duel tonem, który jemu wydawał się uwodzicielski.

Salla skrzywiła się w ironicznym uśmiechu i uniosła oczy ku górze.

- Spadaj z tym, Rik. Skup się. Nie czas na podrywianie.

- Salla, nic nie poradzę, że tak na mnie działasz. Musiałbym zamknąć oczy - odparł Rik urażony. - Ten włóczęga Solo nie docenia tego, co ma. Zaslugujesz na kogoś lepszego niż ten koreliański łachudra. Jesteś cudowną kobietą, a on...

- Zamknij jadaczkę, Rik - warknęła Salla zmęczona jego nadawaniem. - I popracuj trochę nad tekstami. Stają się nieco przestarzałe.

- Ależ Salla - zaprotestował oburzony - Spodobałaś mi się od chwili...

- Lady Sallo! - przerwał gwałtownie Vuffi Raa. - Wchodzimy!

Salla spojrzała na czujniki i kody identyfikacyjne statków. Imperialny lekki krążownik typu Guardian! Sprawdziła tor jego lotu, by zaatakować od czoła. Była pod wrażeniem szybkości, z jaką Vuffi Raa dostosował się do jej manewru. W chwilę później krążownik mknął już na nich, waląc z działek laserowych. Salla dostała drobne trafienie, ale przejęła je tarcza. Jednostka Imperium była szybka i równie zwrotna, jak ich frachtowce. Był to w końcu podstawowy typ statku używany przez służby celne, który miał chwycić przemytników. Shug również wypalił do niego z działek, ale spuścił, bo pilot imperialny wykonał sprawny unik. Jest naprawdę dobry, pomyślała Salla. Ale będzie nasz. Mamy przewagę liczebną.

Zajęta walką z krążownikiem, Salla przegapiła trzy drobne rozbłyski światła na ekranie taktycznym, które bardzo szybko zbliżały się do pozycji zajmowanej przez jej statek.

- Lady Sallo! Myśliwce TIE! - rozległ się skrzek Vuffiego Raa.

Salla dostała strzał w dziób; tarcza zdołała jednak wytrzymać. Shug i Lando strzelali teraz ogniem ciągłym. Jeden z TIE został trafiony i natychmiast eksplodował. Salla nie potrafiła nawet powiedzieć, kto go trafił.

Unik! Salla położyła „Biegacza” na boku, ale mimo wszystko została trafiona. Większość mocy zneutralizowała tarcza, ale „Biegacz” zatrzęsł się cały.

- Zabierz te TIE! - wrzasnęła.

- Próbuje-dobiegły ją jednocześnie odpowiedzi Lando i Shuga. Salla zakląła głośno. Gdzie ten krążownik? W całym zamieszaniu straciła go na chwilę z oczu.

Bum!

„Biegacz” znowu zatrzęsł się cały. Salla ledwie zdołała zapanować nad statkiem, który wypchnięty z kursu o mało nie roztrzaskał się o jeden z dryfujących wraków. Dostrzegli trafienie z boku i tarcza była bardzo poważnie osłabiona. Sądząc po mocy trafienia musiał to być krążownik, a nie TIE.

- Juhuuu! - usłyszała krzyk Lando w słuchawkach i zobaczyła eksplozję kolejnego TIE.

Dwa na dwa. Tak już znacznie lepiej, Tylko... gdzie jest krążownik? Na ognie Lando? Nie! Dokładnie za nią!

- Unik, Salla! Unik!!! - usłyszała przerażony głos Calrissiana.

- Co to, to nie! - wrzasnęła. - Na to właśnie czekałam! Rik, rusz się, padalco! Wykończ go!

Kapitan Lodrel, dowódca krążownika „Lianna”, uśmiechnął się z ponurą satysfakcją, gdy jego jednostka znalazła się dokładnie na ognie wrogiego frachtowca. Mam

cię! - pomyślał triumfalnie i otworzył usta, by wydać rozkaz zniszczenia bezradnego wroga.

Ale zanim go wydał, Lodrel dostrzegł, że coś dziwnego dzieje się na rufie ściganego. Wysunęły się stamtąd rury dwóch ukrytych wyrzutni.

Zamiast krzyknąć „ognia”, Lodrel wrzasnął:

-Unik!

Ale w tej samej chwili dwa pociski gnały już wprost na niego.

Hej, to nie było fair! - pomyślał odruchowo.

Była to jego ostatnia myśl.

- Jest! - wrzasnęła Salla, widząc na swoim wstecznym ekranie, że wrogi krążownik rozpada się na atomy. - Mamy go! Świetny strzał, Rik!

- Czy to znaczy, że po powrocie dostanę buziaka? - usłyszała głos w słuchawkach.

- Bez szans - odpowiedziała wesoło. - Ale postawię ci drinka.

- Gratuluję, lady Sallo - powiedział Vuffi Raa, jak zwykle beznamiętnym, oficjalnym tonem.

- Świetnie, Salla! - Lando za to entuzjasmował się za nich obu. - W podnieceniu zupełnie zapomniałem o tych wyrzutniach. Shug, jesteś najlepszy!

- Tak, Shug. Jesteśmy ci coś winni - zgodziła się Salla.

- Było super - zachichotał Shug. - Powtarzamy zabawę?

- Oczywiście! - zakrzyknęli Salla i Lando zgodnym chórem.

Mako Spince odetchnął z ulgą, gdy jego pokieroszowana „Perła Smoka” zdołała doczołgać się do punktu iluzji pod względną ochroną większych statków floty najemników Drei Renthal. Sprawdził odczyt czujników, słuchając jednocześnie raportów walczących statków.

Przemytnicy dość dobrze radzili sobie z imperialnymi jednostkami wsparcia. Ale jednak ponosili też straty... straty, na które nie było ich stać. Mako zmarszczył brwi, gdy zaczął sprawdzać statek po statku. Straciłem dzisiaj wielu przyjaciół, pomyślał smutno. Zbyt wiele odeszło dobrych ludzi i statków...

Przyjrzał się spisowi. Prawie dwadzieścia pięć procent jednostek. Nawet jeśli wygrają tę bitwę, operacje przemytnicze Nar Shaddaa ulegną na długo zahamowaniu. Ale Imperialni stracili już ponad połowę TIE i prawie połowę lekkich jednostek wsparcia.

Pytanie, pomyślał Mako, kiedy Greelanx ruszy swoje ciężkie jednostki.

Zbliżały się powoli, ale były wciąż jeszcze poza polem bitwy.

Mako zerknął na ekran i zobaczył jeden z przemytniczych statków wzięty w dwa ognie przez krążowniki Imperium. O, nie!

W słuchawkach Mako rozległ się spanikowany głos:

- Obrońca Główny! Czy możesz podesłać mi wsparcie? Jestem uszkodzony i...

Głos nabral wysokich tonów i zakończył się krzykiem agonii, a potem nagle ucichł. Mako patrzył, jak jeden z punktów na jego ekranie taktycznym rozbłyska nagle jaśniej, a potem znika. Zaklął cicho i bezsilnie.



- Komandorze Jelon - oznajmił admirał Greelanx - rozkażcie pozostałym TIE startować do bitwy.

- Tak jest, sir.

Wielkie jednostki Imperium były teraz w odległości pięciuset kilometrów od pierścienia kosmicznego śmiecia otaczającego Nar Shaddaa. Greelanx wypił łyk stymherbaty i przyjrzał się uważnie odczytowi czujników. Mógł śledzić lot dwunastu pozostałych TIE zmierzających w kierunku bitwy.

- Komandorze, proszę wydać komendę okrętom, aby zmieniły kurs na styczny do tego pierścienia. Unikniemy wejścia pomiędzy te śmieci.

- Tak jest, sir.

- I proszę nakazać podejście pełną prędkością. Zaczynamy atak.

- Tak jest, sir!

Greelanx jeszcze raz przyjrzał się pozycjom swoich jednostek. Był pod wrażeniem nieustępliwości przemytników. Już dawno spodziewał się, że zaprzestaną walki i uciekną. Ale wciąż walczyli i w dodatku znacznie przetrzebili jego lekkie jednostki. Wciąż jednak przegranie tej bitwy nie będzie łatwe. Przemytnicy walczyli odważnie, to prawda, ale ich lekkie frachtowce nie mogły poważnie zagrozić ciężkim jednostkom Imperium. Greelanx westchnął. Możliwe, że będzie musiał rozkazać jednemu ze swoich okrętów uczynić coś, co spowoduje jego zniszczenie.

Admirał przełknął kolejny łyk herbaty. Czuł się tak, jakby czyjaś potężna dłoń ścisnęła go za gardło. Posyłał swoich ludzi na śmierć wiele razy, ale nigdy z rozmysłem. Nie był pewien, czy potrafi zrobić coś takiego.

Ale czy miał jakieś wyjście?

Ruszają! Przyspieszają do prędkości bojowej! - zdał sobie sprawę Mako obserwując czujniki. Przełączył swój komunikator na specjalny kanał prywatny.

- Han, tu Mako. Słyszysz mnie?

- Tak, Mako - usłyszał głos przyjaciela, nieco zniekształcony, ale zrozumiały. - Słyszę. Co się dzieje?

- Greelanx zaczął manewry ciężkimi jednostkami Mam zamiar nakazać odwrót. Wyświadczysz mi pewną przysługę, bracie?

- Jasne.

- Ty i Chewie będziecie w ariergardzie podczas odwrotu. Cofnij się. Masz robić za owczarka tego stada. Niech reszta trzyma się planu. Nie pozwól im uciekać zbyt wolno, ale też powstrzymaj, jeśli polecą za szybko. Chcę, żeby Imperialni lecieli im na ogonie.

- Zrobi się - powiedział Han. - Jak nam idzie?

- Ogólnie nieźle. Ale straciliśmy kilku przyjaciół.

- Wiem. Wiedziałem parę trafień - odparł Han ze smutkiem.

- Wyłączam się.

Teraz Mako przełączył się na inną specjalną częstotliwość.

- Kapitan Renthal?

- Tu Renthal.

- Mam zamiar zaraz nakazać odwrót. Bądźcie gotowi.

- Jesteśmy gotowi. Wezwę „Minestrę”.

- A co z „Już za Późno”?

- Zniszczony.

- Aha.

- Wyłączam się.

Mako przełączył się na ogólny kanał.

- Chłopcy i dziewczęta, tu Obrońca Główny. Nieźle wam poszło, kosmiczne łązęgi. Teraz czas opuścić imprezę. Wszystkie jednostki, wycofać się według wyznaczonych współrzędnych. Przypomnijcie sobie ćwiczenia. Powtarzam, macie wycofać się według wyznaczonych współrzędnych. Początek natychmiast. Obrońca Główny wyłącza się.

Xaverri stała w specjalnie wydzielonym pomieszczeniu hangaru Shuga Ninxa i przyglądała się transmisji bitwy, którą przekazywano dla niej z „Perły Smoka”. Patrzyła, jak przemytnicy podwijają ogon pod siebie i uciekają przed zbliżającymi się ciężkimi jednostkami Imperium. Jej przyjaciele wykonywali manewr tak, aby wyglądał na paniczną ucieczkę; w rzeczywistości był on dokładnie przygotowanym manewrem odwrotu i oderwania się od przeciwnika. Mako i Han po wielokroć ćwiczyli ich, ustalając, jak daleko powinni zostawić za sobą Imperialnych, pozostając jednak na skraju zasięgu ich laserów i wykonując uniki, gdyby jakiś strzelec imperialny miał zbyt dobre oko. Iluzjonistka oblizła wargi w napięciu. Oto nadchodzi jej chwila - szansa, by zdmuchnąć więcej ludzi Imperium za jednym zamachem niż kiedykolwiek jej się uda.

Bardzo dobrze, pomyślała patrząc, jak klin ciężkich okrętów zbliża się coraz bardziej do współrzędnych, gdzie miała zogniskować się iluzja. Jeszcze troszkę, ścigajcie ich, wpadnijcie prosto w pułapkę...

Zastygła jak polująca zmija i wpatrywała się gorejącymi oczami w punkciki przesuwające się na ekranie, aż piekące powieki zmusiły ją do mrugnięcia. Kiedy spojrzała znów, już tam byli. Okręt prowadzący tkwił dokładnie na przecięciu współrzędnych. Xaverri Uśmiechnęła się drapieżnie. Włączyła komunikator i przemówiła na specjalnym kanale.

- Mako, tu Xaverri.

- Tu Mako. Słyszę cię, Xaverri.

- Aktywuję iluzję... teraz - powiedziała i przerwała kontakt. Potem powoli i z wyczuciem nacisnęła wielki czerwony przycisk na konsoli, pod którym widniał napis: „Nie dotykaj, jeśli nie jesteś Xaverri”.

- A teraz umrzecie - wyszeptła.

„Przeznaczenie Imperium” przeleciało obok tarczy Nar Shaddaa i skrzyło ostro zgodnie z rozkazem, aby ominąć kosmiczne śmieci otaczające Księżyc Przemytników. Teraz admirał Greelanx mógł w końcu zobaczyć planetę Nal Hutta, olbrzymią nawet z odległości stu dwudziestu trzech tysięcy kilometrów. Jego okręt flagowy prowadził pościg za uciekającymi przemytnikami. Ciężkie jednostki zachowywały idealną formację, a pozostałe TIE i lekkie jednostki wsparcia ochraniały z flanki ten potężny klin.

Greelanx stał na mostku przyglądając się coraz bliższym ofiarom. Śledził czerwone i zielone promienie imperialnych turbolaserów, strzelające w uciekającą cizbę frachtowców, i zastanawiał się, jak, u diabła, w takich warunkach ma ponieść klęskę i wycofać się.

Przemytnicy walczyli twardo - Greelanx musiał to przyznać - ale widok wielkich okrętów najwyraźniej przeraził ich, i to tak bardzo, że wszelki duch walki w nich upadł. A teraz uciekali jak koreliańskie vrelty przed ogarami...

- Panie admirale! - krzyknął nagle operator czujników. - Sir, mam jakiś zamiar, ale skąd to... nadciąga flota, sir!

Greelanx spojrział na czujniki i natychmiast podszedł do ekranu widokowego. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

Wprost na nich, od strony Nal Hutta leciały całe setki przemytniczych statków różnej wielkości, włączając w to kilka koreliańskich korwet. Najemnicy, pomyślał Greelanx. Przemytnicy nie mają żadnej tak dużej jednostki!

- Skąd oni się wzięli? - zapytał ostro Jelon operatora czujników. - Dlaczego ich nie śledziliście?

- Sir, musieli wystartować z Nal Hutta. Koncentrowałem się na śledzeniu uciekających przemytników, zgodnie z rozkazem.

Greelanx zmarszczył brwi. Jego instynkt, wyczulony po dekadach służby we flocie, kazał mu się zastanowić, czy może w tym być jakaś sztuczka.

- Pełne skanowanie! - warknął.

- Tak jest!

W chwilę później na ekranie pojawił się wydruk, któremu Greelanx przyjrzał się z uwagą. Huttowie musieli trzymać najemników w rezerwie, a teraz zdesperowani wypuścili ich do walki - zdecydował.

Odchrząknął.

- Komandorze Jelon, proszę rozkazać klinowi oraz naszej osłonie zwrot o sto dzieśnięć stopni w płaszczyźnie osi Y. Niech przystąpią do walki z tą eskadrą- Kiedy zostanie zakończony manewr skrętu, otworzyć ogień.

Mako Spince wydał okrzyk triumfu, gdy zobaczył pojawiającą się widmową flotę, a potem skręt imperialnej eskadry.

- Tak! Dali się nabrać! - Włączył komunikator. - Kapitan Renthal!

- Widzę - powiedziała z napięciem. - Aż do tej chwili nie wierzyłam, że to się uda, ale muszę przyznać... Przystępuję do ataku pełną szybkością!

- Dopadnij ich!

Zgodnie z życzeniem Mako, Han Solo leciał w ariergardzie przemytników uciekających między dryfującymi wrakami. Gdy znaleźli się po przeciwnej stronie tarczy Nar Shaddaa, rozkazał im opuścić zaśmiecony rejon i wiać w udawanej panice dalej w przestrzeń. W ten sposób Greelanx mógł ich widzieć bardzo dokładnie i kontynuować swój pościg wprost w pułapkę.

Kiedy Han wynurzył się spomiędzy wraków po ostrym skręcie, zauważył, że znalazł się na ogonie Floty Imperium, która szerokim łukiem omijała pierścień śmieci. Widział ich z przodu i rozważył okrążenie ich na maksymalnej prędkości, aby zdążyć jeszcze wziąć udział w ataku z flanki. Dostrzegł także przed sobą na czujnikach dwa inne statki przemytników i był mile zaskoczony, kiedy zidentyfikował je jako „Biegacza” Salli i „Sokoła” Lando. Czy któreś z nich zostało trafione i potrzebowało pomocy? Aktywował swój komunikator.

- Obrońca Główny, tu Han. Zgłoś się, Mako.

Teraz, gdy Han znalazł się poza pierścieniem wraków, głos Mako brzmiał o wiele czyściej.

- Tu Mako, Han. Imperialni prawie osiągnęli punkt iluzji.

- Mam na czujnikach Sallę i Lando. Wszyscy jesteśmy na tyłach floty Imperium, Mako.

- Taa... Kazałem im nie spieszyć się z odwrotem, na wypadek gdybyś wpadł na jakiś zabłąkany statek wsparcia - odparł Mako.

- A więc z nimi wszystko w porządku?

- O ile wiem.

- Przełącz mnie na ich kanał.

- Robi się.

Aby uniknąć bałaganu przy połączeniach, wszystkie kanały biegły przez Mako i tylko wybrane pary, jak Lando i Salla, mogły przełączyć się na bezpośredni kanał. W chwilę później Han usłyszał głos Lando:

- Han, stary draniu!

- Lando, jestem za tobą i zastanawiam się, jak przelecieć przez flotę Imperium, aby znowu wziąć udział w akcji.

- Salla i ja myślimy nad tym samym. Nie chcę przegapić okazji, aby zaliczyć jeszcze kilka trafień wśród tych jednostek wsparcia. Razem z Sallą parę z nich już wyłączyliśmy - powiedział z dumą Lando.

- Trzy lekkie krążowniki typu Guardian - włączyła się Salla.

- Uuu, gratuluję!

- Panie - beznamietnego głosu Vuffiego Raa nie sposób było pomylić z innym - czy sądzisz, że powinienem skrócić tak, abyśmy mogli utworzyć grupę z kapitanem Solo?

- Pewnie, Vuffi Raa... właściwie czemu nie? I... nie nazywaj mnie panem.

- Tak, panie.

Han wkrótce znalazł się tak blisko swoich przyjaciół, że widział ich przez ekran widokowy, gdy wynurzyli się z przestrzeni. Zachichotał.

- Gdzie właściwie zdobyłeś takiego robota?

- To długa historia.

W chwilę później wszystkie trzy statki leciały już równolegle. Han był naprawdę szczęśliwy, widząc przyjaciół w dobrym zdrowiu. Dobrze się czuł lecąc razem z nimi przeciwko Flocie Imperium. Ponownie włączył komunikator.

- No to jak? Przelecimy przez tę flotę do punktu iluzji?

W tej chwili Chewie, który porzucił bezużyteczną wieżyczkę na skrzydle i powrócił do kabiny głównej, do obsługi laserów dziobowych, warknął ponaglająco, wskazując na czujniki.

Han spojrział i zobaczył, jak imperialna grupa pościgowa zwalnia i zaczyna przeprowadzać manewr ostrego skrętu, cały czas jednak utrzymując regularny szyk.

- Bierz ich, Xaverri! - krzyknął i włączył komunikator. - Hej, Lando, Salla... sprawdźcie swoje czujniki dziobowe.

Statki Imperium były teraz poza zasięgiem wzroku. Hana opanowała nagle wściekła żądza, żeby ich dopaść i poczynić jak największe zniszczenia.

- Oni to widzą - powiedział Lando. - A dlaczego my nie?

- Bo my jesteśmy za iluzją - wyjaśnił Han. - Wszystko zależy od kąta padania światła. Trochę to skomplikowane, ale wierz mi. Imperialni widzą teraz gnającą na nich wielką flotę.

Eskadra Imperium kontynuowała skręt.

Nie cierpię tkwić bezczynnie z dala od głównej akcji, pomyślał Han. Gdy obserwował kierunek, w jakim skręcała flota, przysłała mu do głowy pewna myśl.

- Lando, Salla! - odezwał się do komunikatora. - Jesteśmy wystarczająco blisko ich formacji, aby dokonać dwusekundowego mikroskoku nadprzestrzennego wprost w środek tej iluzji. Jeśli zmienimy nasz wektor tuż przed skokiem, pojawimy się tam we właściwej pozycji, aby wypaść między tymi fantomami i postrzelać. Nadajmy flocie Xaverri trochę realności.

- Han! - zaprotestowała Salla - Jesteśmy wewnątrz studni grawitacyjnej, gdybyś tego nie zauważył.

- Jesteśmy blisko miejsca, w których równoważy się wpływ obu ciał - upierał się Han. - Możemy tego dokonać. No, chodźcie! Róbcie to co ja.

Han zmienił trochę azymut swojego lotu i zauważył z zadowoleniem, że „Biegacz” i „Sokół” powtórzyły jego manewr.

- W porządku, ustawienie jest właściwe - powiedział z napięciem w głosie. - Czas na skok.

- Hej, Han, ta iluzja będzie działać tylko przez kilka minut - zaprotestował Lando.

- Nie zdążymy na czas zaprogramować parametrów skoku.

- Przemyślałem to - odparł Han. - Po prostu musisz polecić swojemu zabawnemu małemu robotowi, aby zaprogramował skok na czoło tej iluzorycznej floty. Podasz nam parametry przez komunikator. Zrobisz to szybko, Vuffi Raa?

- Jestem robotem drugiej klasy. Oczywiście, że potrafię zrobić takie elementarne obliczenie - odparł Vuffi Raa. Tym razem jego beznamiętny głos wydawał się lekko obrażony. - Muszę jednak przypomnieć, że to, co pan proponuje, jest dość ryzykowne. - Han wyobraził sobie małego robota, drapiącego się w rozterce po głowie.

- Lando, dalej! Rozkaż mu to zrobić!

Usłyszał westchnienie Lando nawet przez komunikator.

- Dobra, ty wariacie. Vuffi Raa, moje mechaniczne liczydelko, zrób, co powiedział Han!

W chwilę później Han usłyszał zrezygnowany głos robota:

- Parametry skoku gotowe.

- Dalej! - krzyknął Han i natychmiast dokonał skoku. Na ułamek sekundy gwiazdy zamieniły się w świetlne pasy i nagle zobaczył, że gna wprost na Flotę Imperium. Spojrzał w obie strony i zobaczył, że Lando i Salla wciąż tworzą z nim jedną formację. A za nimi i z boku pędziła widmowa flota Xaverri. Han był pod wrażeniem, chociaż spodziewał się zobaczyć coś dużego.

- Dobra jest! - wrzasnął radośnie. - Dzięki, Vuffi Raa!

Gdy widmowa flota zaczęła zbliżać się do wroga, statki Imperium bluznęły ogniem na ich powitanie. Han nagle zdał sobie sprawę, jak wielką przewagę daje im to, że są częścią wielkiej iluzji. Przy tak ogromnej liczbie jednostek istniała spora szansa, że żaden z trzech małych statków nie stanie się celem. Mimo to był przygotowany do uniku w każdej chwili.

- Jarik, jesteś gotów, dzieciaku?

- Gotów, Han!

- Chewie, gotów z tymi dziobowymi? Wookie warknął z zapalem.

Han wybrał cel: drednota po lewej, bo był najbliższej.

- Lecę na tego drednota na prostej - powiedział do komunikatora. Zerknął na identyfikikator statku. - Na „Obrońcę Pokoju”!

- Zostajemy przy tobie - odparł Lando. - Będziemy cię osłaniać.

- Super! - Han przeżywał jedną z najradośniejszych chwil w życiu. - Czy to nie jest szalona jazda?

- Han, co ty właściwie zamierzasz? - zapytała zaniepokojona nagle Salla.

- Eee... pomyślałem, że możemy przelecieć mu nad mostkiem i pomachać kapitanowi - odparł zachwycony. - Taka mała przyjacielska wizyta...

- Han! - zaprotestowała Salla. - Chciałabym przeżyć ten lot!

- Szaleniectwo - mruknął Lando.

- Hej - powiedział Han. - Czym się martwicie? To przecież ja!

Kapitan Reldo Dowlis, dowódca drednota imperialnego „Obrońca Pokoju”, potrząsnął zdegustowany głową.

- Wstrzymać ogień! - warknął. - Nie są prawdziwe. Nie mogą być. Nie trafiliśmy ani jednego z nich, a żaden z ich strzałów nie uczynił nam najmniejszej szkody. Marnujemy tylko czas i energię.

Jego operator czujników uniósł głowę.

- Czujniki wciąż uznają to za realne, sir.

- A zatem kłamia - warknął Dowlis. Spojrzał na ekran taktyczny i dostrzegł grupę statków zbliżających się od rufy „Obrońcy Pokoju”. - Przeciwnik zbliża się od rufy - powiedział. - Wykonać obrót i wycelować dziobowe turbolazery. Przygotować się do otwarcia ognia na mój rozkaz.

Wielki statek zaczął się powoli obracać. Dowlis patrzył w napięciu na zbliżające się jednostki wroga. Z ulgą zauważył, że zdążą je stosownie przywitać. Sądząc z ich wielkości, powinno...

Nagle pilot wydał zduszony okrzyk, a „Obrońca Pokoju” zatrzęsł się. Czerwony promień lasera eksplodował na jego przedniej tarczy ochronnej.

W sekundę później wrogi statek śmignął tak blisko ekranu widokowego na mostku, że nawet Dowlis krzyknął i pochylił się odruchowo. Napastnik, mały podniszczony frachtowiec, wykonał idealną pętlę i odleciał w kolejnym rajdzie.

Nie wszystkie są fantomami, zdał sobie nagle sprawę Dowlis.

- Wstrzymać obrót! - wrzasnął. - Ognia do tego statku!

„Obrońca” zaczął się znowu okręcać. Teraz Dowlis znów dojrzał flotę przemytników i aż wstrzymał oddech widząc, jak są blisko. Jeszcze dwa inne frachtowce zaczęły strzelać do niego.

- Celować w te jednostki! - rozkazał kapitan. - Ognia!

Załoga Mako Spince'a zdołała częściowo naprawić „Perłę Smoka”. Jacht Hurtów miał teraz znów częściową tarczę prawej burty, a nieszczelność kadłuba zlikwidowano. Napęd pod-światlny wciąż nie był w pełni sprawny, mimo to Mako zamierzał zaryzykować włączenie się do bitwy. Kapitan Renthal wysłała mu do osłony Y-skrzydłowca. Szybka, doskonale uzbrojona jednostka trzymała się teraz jego osłabionej prawej burty.

Przyglądając się czujnikom i ekranowi taktycznemu Mako dostrzegł, że ma już w zasięgu swój cel - ciężki krążownik „Likwidator”. Statek wciąż był zwrócony rufą do pirata i przemytnika, wystawiony na ich atak.

- Mako - powiedziała Blue - jesteśmy w zasięgu.

Mako skinął głową pięknej pilotce.

- Doskonale! Najpierw wypuścimy Y-skrzydłowca, a potem nasza kolej. Każ strzelcom wziąć na cel jego lewą tylną tarczę, tę, która kryje pomieszczenia napędowe. Chcemy atakować to samo miejsce, co Y-skrzydłowiec.

- Przyjęte - odpowiedziała Blue i wydała rozkazy.

Mako był zadowolony z obecności Y-skrzydłowca, który osłaniał mu prawą burtę. Szybki, nowoczesny myśliwiec był uzbrojony nie tylko w działa laserowe, ale także w torpedy protonowe, które w obecnej sytuacji nadzwyczajnie się przydawały. Włączył swój komunikator i nawiązał łączność z piratem.

- Tutaj Mako. Gotowi?

- Gotowi.

- To naprzód!

Mako śledził na swoich czujnikach lot Y-skrzydłowca. Mały stateczek wykonał rajd umieszczając torpedy dokładnie w wyznaczonej części kadłuba.

- Dobra, Mako - powiedział pilot zwracając ku jachtowi. - Tarcze albo wykończone, albo ledwie się trzymają. Twoja kolej.

- Z wielką przyjemnością.

Mako odwrócił się do Blue i skinął głową. Zwiększyła prędkość do maksymalnej (co wciąż nie było zbyt dużo) i ruszyła na „Likwidatora” waląc ze wszystkich turbolaserów.

Już po pierwszym trafieniu Mako wiedział, że tarcze ciężkiego krążownika są praktycznie wyczerpane. „Perła” kilkakrotnie dosięgła przeciwnika turbolaserami, za-

nim ociężały statek Imperium zdołał się odwrócić, aby użyć swoich potężnych dział dziobowych.

Ale wtedy już prawa burta statku i jego komory napędowe były tylko wypaloną dziurą. „Likwidator” sunął powoli przez przestrzeń, bezradny i rozhermetyzowany.

Kapitan Drea Renthal pochyliła się zaaferowana w fotelu dowodzenia. Nareszcie jakaś mała, ale własna akcja. Dowodzenie walczącymi jednostkami dawało pewną satysfakcję, ale nie taką jak to, co miało nadejść. Teraz wchodził wreszcie do boju jej własny statek - wchodził, by zabijać.

Jej celem był kolejny z ciężkich krążowników, „Łowca”. „Pięść” Drei Renthal była potężnie uzbrojonym i szybkim narzędziem zniszczenia. Oprócz dwóch podwójnych turbolaserów w górnych i dolnych wieżyczkach obrotowych, ta koreliańska korweta miała też cztery mniejsze działa laserowe na każdej burcie przeciwko myśliwcom i dwie wyrzutnie torped protonowych na dziobie tuż pod mostkiem. Jej zapas torped - głównej broni przeciwko ciężkim jednostkom - był jednak ograniczony, tak jak przewidywał Han. Renthal miała ich tylko cztery. Cóż, nie były łatwe do zdobycia. Ale kiedy zbliżali się do „Łowcy”, Renthal była zdecydowana zrobić z każdej z nich dobry użytek. Kiedy podeszli na zasięg ognia, odezwała się do swoich strzelców:

- Przygotować się do wystrzelenia dwóch torped. Cel: rufa. Bardzo chciałabym zobaczyć eksplozję reaktora.

- Tak jest, sir.

Renthal uśmiechnęła się. Bardzo lubiła, gdy zwracano się do niej „sir”.

Gdy „Pięść” stanęła w odpowiedniej pozycji, krzyknęła tylko:

- Pal!

Statek zadrzał lekko raz i drugi, kiedy torpedy protonowe wystrzeliły w otoczenie niebieskiego płomienia. Pierwsza z nich zlikwidowała tarczę krążownika. Druga eksplodowała na samym kadłubie i spowodowała niezłe zniszczenia.

- Ognia z turbolaserów! - wydała teraz komendę Renthal, zwracając z następnym atakiem.

„Łowca” drżał od kolejnych wstrząsów. Turbolasery wgrzyzały się coraz głębiej w jego wnętrzości, poszukując serca-reaktora, który dawał moc silnikom.

Renthal nie była nawet pewna, co właściwie ją ostrzegło. Może instynkt rozwinięty po dwudziestu latach życia w boju. Obróciła gwałtownie swój statek i przyspieszyła maksymalnie. Za jej plecami „Łowca” eksplodował, jakby był kruchym myśliwcem TIE.

Renthal uśmiechnęła się z zachwytem. Rany, to była zabawa.

Mako krzyknął radośnie, gdy zobaczył, że pięć Y-skrzydłowców Renthal zaatakowało skutecznie rufę drednota mierząc w czułą strefę napędu salwą torped protonowych.

Drednot był znacznie trudniejszym celem niż niezgrabne, ciężkie krążowniki, ale sądził, że mają szansę zniszczyć tego jednego.

Najwyraźniej Han, Salla i Lando wymyślili jakąś bardzo ryzykowną zabawę, która jednak odwróciła uwagę „Obrońcy Pokoju”, zanim zjawily się Y-skrzydłowce. Mako widział w oddali migające punkciki stateczków. Sam czekał nie marnując mocy, aż protonowe torpedy Y-skrzydłowców poradzą sobie z tarczami ochronnymi. Zaczął w myślach podliczać powtarzające się trafienia w olbrzymi statek. Dwie salwy po dwie torpedy każda, z pięciu Y-skrzydłowców... to by oznaczało dwadzieścia trafień torpedami protonowymi!

Wyglądało to na dużo, ale Mako latał już na pokładzie imperialnego dreadnota i wiedział doskonale, jak twarde potrafią być te stare statki.

Znów salwa... dziesięć torped... dziesięć trafień...

Mako policzył od nowa i uznał, że teraz już rufowe tarcze „Obrońcy Pokoju” powinny być w bardzo kiepskim stanie. Kiedy Y-skrzydłowce zawróciły ponownie, na panczeru prawej burty dreadnota zaczęły pojawiać się ciemne smugi. Teraz, kiedy tarcza przestała istnieć, rufę dreadnota zaczęły też atakować inne jednostki przemytników. Kapitan próbował chyba odwrócić jednostkę, aby móc odpowiadać ogniem, ale Mako wiedział, że statek był już zbyt powolny i opornie wykonywał każdy manewr.

A potem nagle z miejsca, gdzie krył się system napędowy, eksplodował jasny płomień i oświetlił całą prawą burzę.

Mako zagwizdał cicho. Zdaje się, że ma kłopoty...

- Sir, przeładowany reaktor prawej burty! Układy zabezpieczające już go odcięły! - meldował kapitanowi jego zastępca. - Brak mocy napędowej, sir.

Reldo Dowlis rozejrzał się wokół z rozpaczą. Bez silników nie mógł uciec. Statki przemytników były zbyt małe, aby zrobić mu poważną szkodę, ale mając dość czasu, mogły pociąć jego okręt na kawałki, zaczynając od odsłoniętej już rufy i posuwając się dalej ku mostkowi. Mogą zniszczyć tarcze jedną za drugą i kadłub fragment po fragmencie, nawet przy tych małych laserach...

- Musimy ponownie uruchomić silniki albo będzie po nas - powiedział Dowlis. - Wyłączyć systemy zabezpieczające. Potrzebujemy mocy!

- Ale, kapitanie... - na twarzy młodego oficera malowało się przerażenie. Dowlis nie winił go za to. Reaktory to nie zabawka. Ale czy miał jakąś alternatywę? Wszystkie pozostałe jednostki były zajęte walką. Nie sądził, by Greelanx mógł mu w miarę szybko pospieszyć z pomocą. Dowlis liczył na to, że choć systemy bezpieczeństwa uznawały reaktor za przeciążony, daleko jeszcze było do zagrożenia eksplozją. Spojrzał twardo na podwładnego.

- Wydałem rozkaz, prawda?

- Tak jest, sir!

Gdybyśmy tylko uruchomili silniki na parę chwil, by podejść do pozostałych jednostek, pomyślał Dowlis. Dryfujący „Obrońca Pokoju” mógł zostać ściągnięty przez grawitację Nar Shaddaa.

Dowlis słyszał, jak silniki drżą przy odpalaniu. Bolało go serce, że robił to swojemu statkowi, ale stawką było ich życie.

„Obrońca” zadygotał, szarpnął i powoli ruszył do przodu... jednak po chwili zatrzęsło nini potężnie i prawy silnik eksplodował. Lewy wciąż jeszcze działał i zaczynał wprowadzać dreadnota w narastający ruch wirowy.

- Odciać moc! - krzyknął Dowlis, ale stwierdził, że chieł już uprzedził jego rozkaz. Zapadła cisza, ale statek kontynuował raz nadany obrotowy ruch. Sztuczna grawitacja wciąż funkcjonowała, zasilana awaryjnym systemem mocy, który jednak nie był na tyle silny, by odpalić silniki manewrowe. Nie mieli żadnej możliwości wyjścia z ruchu wirowego. Ponowne włączenie lewego silnika tylko przyspieszyłoby obroty.

Reldo Dowlis patrzył z narastającym przerażeniem na wirujące wokół gwiazdy i powierzchnię Nar Shaddaa, migoczącą lekko pod wielką tarczą ochronną... znów gwiazdy... i księżyc...

Zrób coś! - krzyczało w głębi jego umysłu. Ściąga nas grawitacja księżyc! Najwyżej za minutę uderzymy w tarczę energetyczną Nar Shaddaa!

Ależ to będzie eksplozja!

Gwiazdy... księżyc... gwiazdy... księżyc...

Dryfował w nie kończącym się i oszołamiającym wirze, niezdolny do zatrzymania...

Gwiazdy... księżyc... gwiazdy... księżyc... gwiazdy... i księżyc, jakże teraz blisko...

Dowlis starał się zachować godność. Był bądź co bądź oficerem Imperium.

- Czy ktoś ma jakiś pomysł ratunku? - zapytał starając się mówić spokojnie.

Załoga mostka patrzyła na niego w milczeniu. Prawo grawitacji było równie okrutne i nieuniknione, jak prawa stanowione przez Imperatora.

Gwiazdy... księżyc... gwiazdy... księżyc... tuż, tuż...

A potem już tylko księżyc, ściągający statek na siebie i na swoją energetyczną tarczę.

I wreszcie nic...

Jednym z przemytników, którzy rzucili się, aby dobić konającego „Obrońcę Pokoju”, był Roa. Czuł się doskonale. Zastanawiał się wcześniej, czy nie jest już za stary na taką bitwę, czy wciąż ma dawny refleks, ale oto dzisiaj wdał się w dwa pojedynki sam na sam z TIE i oba zakończyły się jego zwycięstwem.

Hej, jeszcze nie jest ze mną tak źle! - pomyślał posyłając „Lwyll” w pościg za wirującym dreadnotem. Przemknął nad tworzącym potężny wir statkiem, odczuwając wyraźnie działające na niego siły... w chwilę później „Obrońca Pokoju” eksplodował uderzając w tarczę Nar Shaddaa.

Chociaż Roa już odlatywał, fala uderzeniowa rzuciła nim na pulpit sterowniczy. Część instrumentów strzaskała się, raniąc mu ręce i pierś na podobieństwo małych sztyletów.

Eksplozja dreadnota zniszczyła wielki fragment tarczy, a płonące resztki zostały wessane przez grawitację planety.

Podobnie jak Roa.

Siła uderzenia zamroczyła go i z trudem starał się odzyskać pełną świadomość. Nie było to łatwe. Przed oczami przelatowały mu fale ciemności. Ale Roa był wojownikiem. Cały czas próbował rozpaczliwie otworzyć oczy i podnieść głowę.

Kilka sekund później zebrał myśli i zorientował się, gdzie jest i co się z nim dzieje. Spadał jak kamień wprost na powierzchnię Nar Shadda. Był już w atmosferze.

Zamrugał, bo poczuł na oczach coś ciepłego. Krew? Pewnie tak. Potrząsnął głową i dźgnął go ból. Każda próba poruszenia się była prawdziwą torturą.

Panel kontrolny jego statku był jedną wielką ruiną, ale niektóre instrumenty wciąż działały. Również skafander próżniowy Roi nie był całkiem szczelny... ale na szczęście wyszedł już z próżni.

Zmuszając się do odzyskania kontroli nad ciałem, Roa sięgnął do resztek sterów i zaczął walkę o wyrównanie lotu statku, aby zapewnić w miarę miękkie lądowanie. Niechby było i twarde... najważniejsze, żeby w ogóle wylądować!

„Lwyll” próbowała odpowiadać na jego działania. Uniosła dziób, zagarniając powietrze pod skrzydła. Spadek stał się trochę wolniejszy.

Roa sprawdził silniki hamujące i manewrowe, ale te reagowały opornie. Wciąż jeszcze spadał, ale spadek stał się bardziej kontrolowany. Pod sobą widział platformę lądowiska. Wyciskając wszystko, co mógł z silników manewrowych, zdołał ustawić „Lwyll” dokładnie nad nią; mógł być teraz pewien, że siądzie na płycie, a nie poza jej krawędzią, co oznaczałoby zsuniecie się między budynki.

Permabeton zbliżał się szybko...

Za szybko!

Roa walczył z grawitacją niczym z zapaśnikiem, który dąży do zwarcia.

Permabeton był tuż. Roa skulił się...

Nie pamiętał samego momentu uderzenia. Nie wiedział też, jak wiele czasu minęło, zanim znów otworzył oczy, powracając powoli do świadomości. Sekundy? Minuty? Godziny?

Nie wiedział i nie obchodziło go to. Bolało go całe ciało, ale przerażenie zmusiło do działania natychmiast po przebudzeniu. Czuł zapach spalenizny... „Lwyll” płonąła! Mogła eksplodować w każdej chwili, a wtedy jego walka o wylądowanie okazałaby się niepotrzebna...

Ignorując odłamki szkła, wciąż tkwiące w jego ciele, Roa uniósł się lekko i spróbował otworzyć górną klapę sterowni. Niezdarnie odpiął zabezpieczenia; wreszcie udało mu się wstać z fotela. Zatoczył się, o mało nie upadł. Z wysiłkiem próbował dźwignąć osłabione ciało i wydostać się na zewnątrz...

Nagle chwyciły go czyjeś dłonie i uniosły w górę. Przez hełm słyszał odległy, niezrozumiały głos. Teraz go niesiono... słyszał ciężkie kroki na permabetonie, wiele kroków, szybkich kroków...

Zdawało mu się, że jego ciało drży tak samo jak w chwili pierwszego trafienia przez podmuch wybuchu.

Roa uniósł z wysiłkiem głowę i spojrzął na „Lwyll” dokładnie w momencie, gdy jego ukochany mały stateczek rozerwała eksplozja.

Ale ja żyję, pomyślał tępo. Ja żyję... i wciąż mam prawdziwą Lwyll...  
Z tą myślą zapadł w nieświadomość.

Jak na człowieka, którego życzenie właśnie się spełniło, Greelanx wcale nie był szczęśliwy. Admirał wpatrywał się w ekran taktyczny i w czujniki, a widząc zniszczenia, jakie dotykały jego eskadrę, zgrzytał zębami ze wściekłości.

Jak śmieli ci przemytnicy? Jak śmieli?

Jeden dreadnot całkowicie zniszczony. Krążownik typu Carrack zdolny tylko do wycofania się z walki. Jeden z ciężkich krążowników pozbawiony napędu i dryfujący, drugi zamieniony w pył wirujący wokół Nar Shaddaa...

Greelanx czuł przemożną chęć przegrupowania eskadry i kontynuowania bitwy. Wciąż dysponował wielką siłą, zwłaszcza w porównaniu z przemytnikami. Wciąż była spora szansa, może pół na pół, że zdoła wygrać bitwę i wykonać rozkaz.

Ale nie mógł tego zrobić. Zależało mu, żeby zdobyć usprawiedliwienie dla wycofania się i oto je otrzymał.

Odwrócił się do komandora Jelona.

- Proszę rozkazać wszystkim jednostkom wycofanie się z zachowaniem szyku. Kiedy wyjdą z kontaktu bojowego, proszę nakazać zgrupowanie według ustalonych wcześniej parametrów skoku nadprzestrzennego.

Jelon spojrzął ze zdumieniem na przełożonego.

- Odwrót, sir?

- Tak, odwrót - powiedział szorstko Greelanx. - Nie możemy dokończyć zadania w systemie Y'Toub. Rozsądek nakazuje wycofanie się z walki, póki jeszcze możemy ten manewr wykonać w kontrolowany sposób.

W normalnych warunkach Greelanx prędzej wyszedłby na zewnątrz statku bez skafandra niż tłumaczył się z wydanych rozkazów podwładnemu, ale teraz zaczynał już w myślach układać oficjalny raport i oceniał, jak to zabrzmi. Jelon przybrał natychmiast postawę zasadniczą i zasalutował sztywno. - Tak jest, sir!

Odwrot? - pomyślał kapitan Soontir Fel z osłupieniem. Odwrót? Przecież wciąż jeszcze możemy wygrać!

Nie byłoby to łatwe, ale jednak możliwe. Tego był pewien. Nie mógł wprost uwierzyć w taki brak woli walki u admirała Greelanxa.

- Wycofać się zachowując formację - powtórzył komandor Jelon. - To rozkaz admirała.

Fel był wyższy stopniem od Jelona i to dało mu odwagę, by głośno wypowiedzieć swoje myśli, czego nie śmiałyby zrobić przy samym admirałe.

- Wciąż są tam jeszcze walczące TIE. Nie możemy ich zostawić!

- Admirał oczekuje, że cała eskadra dokona skoku w nadprzestrzeń z wyznaczonego punktu w momencie, gdy wyda rozkaz - odparł sztywno Jelon.

Fel zacisnął usta.

- Wyłączam się - odpowiedział krótko i holograficzny wizerunek Jelona zniknął.

Fel zwrócił się do swego zastępcy.

- Nadać wezwanie alarmowe do TIE wzywające do powrotu na „Dumę”. Przyjmę ich tyle, ile zdołam, aż do zapełnienia wszystkich hangarów. W tym samym czasie mamy wyjść z walki i wycofać się, Toniv.

- Z jaką szybkością, sir?

- Jedna czwarta.

- Jedna czwarta, sir?

- Słyszeliście rozkaz!

- Tak jest, sir!

Fel dlatego nakazał tak powolne wycofywanie, by przyjąć na pokład tak wiele TIE, jak tylko było to możliwe. Literalnie rzecz biorąc nie złamał rozkazu - Greelanx nie wspomniał o prędkości odwrotu - ale jednak działał niezgodnie z jego duchem.

Ale nie przejmował się tym. Nie miał zamiaru zostawić tych pilotów!

Pięć minut później jego hangary były pełne. Przyjął dwanaście TIE i trzy dodatkowo w hangarze promów. Czujniki nie wychwytywały żadnych więcej TIE na zewnątrz, więc Fel nakazał zwiększyć prędkość „Dumy” do maksimum, aby dogonić resztę uchodzącej eskadry.

Prawie natychmiast na panelu kontrolnym wyrosła mała holograficzna figurka admirała.

- Kapitanie Fel!

Fel opanował się z trudem. Wciąż miotała nim wściekłość.

- Tak, admirałe?

- Z rozmysłem nie wykonał pan mojego rozkazu!

- Wycofałem te myśliwce, admirałe, i ich pilotów. Uważałem to za... ważne.

Mały obraz Greelanxa zamigotał.

- Kapitanie, ta decyzja może pana kosztować dowództwo statku. Złożę pełen raport.

Fel przełknął ślinę, ale nie odwrócił wzroku.

- Ja też oczywiście złożę pełny raport - odparł. - Zgodnie z regulaminem mam zamiar przedstawić cały przebieg bitwy, tak, jak ją widziałem.

Greelanx dłuższą chwilę patrzył na niego w milczeniu. Żaden z nich nie odwrócił wzroku. Wreszcie admirał skinął głową.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie.

Mała figurka znikła.

Soontir Fel opadł na fotel. Oparł się chęci schowania twarzy w dłoniach. Czy życie tych pilotów TIE było warte jego kariery?

Wkrótce miał się o tym przekonać.

Soontir Fel westchnął ciężko. Życie czasem bywa bardzo skomplikowane. Ale potem przysła mu do głowy pewna myśl, która znacznie poprawiła jego humor: „Przynajmniej nie musiałem wykonać rozkazu Baza Delta Zero... to też jest sporo warte”.

## ROZDZIAŁ

# 15

## POŻEGNANIA

Dwadzieścia cztery godziny po tym, jak szczęśliwie wylądował „Bria” z powrotem na Nar Shaddaa (obyło się bez większych zniszczeń, z wyjątkiem wyrwanej gałki działka i osłabionej tarczy rufowej nad komorą napędową), Han stał z Xaverri na omiatanej wiatrem permabetonowej powierzchni lądowiska, u podstawy rampy wiodącej do kabiny „Widma”. Salla i Chewie towarzyszyli im prawie cały czas, ale teraz dyskretnie się wycofali, by nie przeszkadzać w pożegnaniu.

Han spojrział na Xaverri, znowu ubraną w modny, kolorowy strój, i potrząsnął ze smutkiem głową.

- Nienawidzę pożegnań - powiedział żałośnie. - Nigdy nie mogę znaleźć odpowiednich słów, a teraz jest nawet gorzej niż zwykle. Nie wiem, naprawdę nie wiem, jak mam ci dziękować, Xaverri. Twoja iluzja nas uratowała. Bez ciebie nie zdołalibyśmy tego dokonać.

Uśmiechnęła się do niego, a w jej czarnych oczach zobaczył czułość.

- Hej, Solo... nie oddałabym tego za wszystkie kredyty galaktyki. Żałuję tylko, że nie mogłam być wtedy na mostku któregoś z tych okrętów Imperium, aby zobaczyć ich miny.

Han roześmiał się.

- Na pewno musiały im opaść szczęki.

Impulsywnie wyciągnął ręce, a Xaverri przytuliła się do niego mocno.

- Będę za tobą tęsknił - powiedział w jej włosy. - Kiedy już rai się wydawało, że przywykłem do życia bez ciebie, muszę przechodzić przez to jeszcze raz. To nie fair, Xaverri.

Wysunęła się z jego objęć i pocałowała go mocno w usta.

- Nie przejmuj się - powiedziała z uśmiechem. - Salla nie będzie miała ci tego za złe. Ta dziewczyna ma klasę.

- Pewnie, że ma - zgodził się. - O wielu rzeczach podobnie myślimy...

Xaverri skinęła głową.

- Mam nadzieję, że będziecie ze sobą szczęśliwi, Solo. Dbajcie o siebie nawzajem, dobrze?

Han obiecał.

- Ty też na siebie uważaj.

- Będę. Nie zapomnij o mnie...

- Nigdy - powiedział ze ściśniętym gardłem. - Nigdy nie mógłbym o tobie zapomnieć, Xaverri.

Wysunęła się z jego objęć, a on pozwolił jej odejść. Wbiegła po rampie na pokład swojego statku nie odwracając się ani razu...

Trzy dni po bitwie o Nar Shaddaa (bo tak zaczęto nazywać to wydarzenie) Han, Chewie, Salla i Lando wzięli udział w ślubie Roi. Stary przemytnik już prawie wyzdrowiał dzięki długim kąpielom w odżywczych substancjach, a Lwyll wyglądała promiennie w pięknej sukni. Powszechnie było wiadomo, że czwórka przyjaciół odegrała decydującą rolę w osiągnięciu sukcesu w bitwie, toteż teraz chodzili w glorii bohaterów. Niemał każdy chciał uścisnąć im dłoń i złożyć gratulacje.

Lando podszedł do Roi i otoczył go ramieniem.

- Rozumiem, że porzucenie fachu przemytnika jest jednym z warunków tego ślubu?

- Zgadza się.

- Z tego wynika, że będziesz poszukiwał uczciwego zajęcia. Co byś powiedział na pracę dla mnie?

- A co miałbym robić?

Lando roześmiał się.

- Nie patrz tak podejrzliwie. Zarządzać moją firmą z używanymi statkami. Mam zamiar wybrać się znów do Centrum i chciałbym powierzyć ten interes komuś zaufanemu.

Roa namyślał się tylko chwilę.

- No... czemu nie? Myślę, że mógłbym się tym zająć. Dzięki, Lando. A... dokąd wyjeżdżasz? Masz coś zaplanowanego?

- Wracam do Centrum z Vuffi Raa, bo tak sobie myślę, że na dostawach dla tych zbuntowanych planet można zrobić niezły majątek. - Lando pogładził się z uśmiechem po wąsach. - A jeśli się nie uda, zawsze jeszcze pozostają kasyna w systemie Oseon. Przyda mi się odświeżenie umiejętności gry w sabaka. Jak się nie gra, rdzewieją. Tutaj na Nar Shaddaa mają byle jakie stawki. A ja potrzebuję prawdziwego hazardu, żeby poczuć żyłkę emocji.

Han, który akurat przechodził, przystanął słysząc słowa Lando.

- Gra w sabaka? Żyłka emocji? O co chodzi? Kto chce odświeżyć umiejętności gry w sabaka?

Lando roześmiał się.

- Ja. Jeśli zdołam uzbierać na wejście, mam zamiar wziąć udział w naprawę ostrej grze, która rozegra się na Bepin za sześć miesięcy. Tylko że na początek trzeba dzieściu tysięcy kredytów.

- Dziesięć tysięcy kredytów! - gwizdnął cicho Han. - To naprawdę niezła gra.

Lando uśmiechnął się do przyjaciela.

- Hej, ty też jesteś całkiem niezłym graczem, Han. Powinieneś pomyśleć o swojej wejściówce.

Han potrząsnął energicznie głową

- Nic z tego.

- Dlaczego nie?

- Dla mnie to za wysokie progi - odparł Han. - Gdybym zdołał uzbierać dziesięć tysięcy kredytów, zainwestowałbym je we własny statek.

- Taaa... ale mógłbyś przecież wygrać i go sobie kupić - zauważył Lando.

- Nie mam tyle szczęścia - powiedział Han.

- Oj, daj spokój, Han- kusił Lando. - Na pewno zebrałbyś tyle kredytów. - Spojrzał na stojącego z tyłu Chewbackę.

- Chewie mógłby ci zresztą pożyczyć... prawda, Chewie? W końcu jest twoim najlepszym przyjacielem.

Chewie warknął krótko i potrząsnął znacząco głową.

Han roześmiał się

- Nie na tyle dobrym, by ryzykować dziesięć tysięcy kredytów, Lando!

Durga Hurt siedział pogrążony w rozpacz u podnóża platformy grawitacyjnej swojego ojca, przyglądając się w milczeniu, jak roboty medyczne i huttyjski lekarz Grodo próbują desperacko uratować Aruka. Ale nawet on mógł przewidzieć, że ich wysiłki są skazane na niepowodzenie.

Aruk upadł kilka minut temu krzycząc z bólu, wijąc się i jęcząc. Potem drzał już tylko w potężnych spazmach. Durga nigdy dotąd nie czuł się tak bezradny, jak teraz, gdy patrzył na walkę ojca o oddech i o życie.

Aruk Hutt zawsze był silny i odporny, toteż zanim nadeszła śmierć, cierpiał jeszcze straszliwie przez cztery długie godziny. Durga był przy nim cały ten czas. Miał nadzieję, że ojcu powróci choć na chwilę świadomość, ale tak się nie stało.

Odczuł ulgę, ale i rozpacz, gdy walczące tak długo serce lorda Besadii poddało się wreszcie i ojciec uwolnił się na zawsze od straszliwego bólu.

Trzymał bezwładną rękę Aruka, patrzył na zielony śluz wypływający z kącików jego ust... i wiedział, choć nie miał żadnych dowodów, że to morderstwo.

Kto to zrobił?

A komu, jeśli nie klanowi Desilijic, ta śmierć przyniosłaby największy zysk?

Przez cztery następne dni Durga był zbyt przybity, by normalnie funkcjonować - mało co jadł, włóczył się po pałacu jak zabłąkany duch. Odmówił pochowania ciała zmarłego. Po badaniach zawartości żołądka jego lekarz stwierdził wprawdzie brak śladów trucizny i śmierć z powodów naturalnych, Durga jednak był przekonany, że tej śmierci ktoś pomógł. Rozkazał zamrozić ciało Aruka i postanowił zlecić badania specjalistom z Centrum Imperium, którzy mogliby tu przybyć podczas przerwy w normalnej działalności.



Na razie kajidic Besadii rozdzierały walki. Wyloniły się w nim dwie frakcje, z których jedna popierała Durgę, a druga była mu przeciwna. Durga musiał podjąć pewne kroki dla wzmocnienia swojej władzy. Nawiązał kontakt ze słynnym kryminalnym syndykatem Czarne Słońce, zarządzanym przez potężnego księcia Xizora, i wyjaśnił mu, w jaki sposób ich organizacje mogą skorzystać na wzajemnej współpracy...

W ciągu następnych trzech tygodni śmierć dosięgła trzech potężnych lordów Besadii - dwóch zginęło w katastrofach promów kosmicznych, jeden utonął, gdy jego barka rzeczna wpadła na nie zaznaczoną na mapie skałę.

Po tych wypadkach grupa przeciwna Durdze bardzo przycichła.

Czekając na przyjazd biologów z Centrum Imperium, Durga sporządził listę podejrzanych. Na pewno musiał być jakiś ślad, kto to zrobił... i jak.

Postanowił zacząć od sprawdzenia danych finansowych. Jak każdy Hutt, doskonale czytał w nich pomiędzy wierszami. Sprawdzi finanse każdego członka klanu Desilijic, potem Besadii, a potem pozostałych klanów. Poszuka śladu. W rachunkach zawsze można było znaleźć ślad zbrodni, jeśli tylko wie• działo się, jak szukać...

Powoli, dzień po dniu, młody Hutt znajdował siłę, by radzić sobie w dalszym życiu bez ojca.

Ktoś za to zapłaci, powtarzał sobie jednak każdego poranka, patrząc na hologram Aruka na ścianie swojej sypialni. I to zapłaci srogą cenę...

## ROZDZIAŁ

# 16

## ZAPLATA

Tym razem obdarzony wielkim nohalem ordynans admirała Greelanxa wprowadził Hana do prywatnych pomieszczeń swojego pana bez zbędnych pytań. Najwyraźniej bardzo wyczekiwano jego przybycia. Korelianin uśmiechnął się pod nosem. Sam też bardzo chciałby się spotkać z kimś, kto przynosi mu fortunę...

Admirał spoglądał w zadumie na ekran widokowy. Kiedy Han wszedł, odwrócił się i skinął głową na jego powitanie, ale bez uśmiechu.

- Są tutaj? - zapytał.

- Tak, sir. Wszystkie, zgodnie z zamówieniem - odparł Han. Ostrożnie przesunął kilka przedmiotów leżących na biurku

Greelanxa, a na pusty blat wysypał zawartość małej sakiewki. Greelanx spojrział na migoczącą fortunę w postaci stosu różnokolorowych klejnotów i oczy mu zabłyśły.

- Huttowie dotrzymali słowa - powiedział. - Mam nadzieję, że pan się nie obrazi... - sięgnął po szkło powiększające.

- Proszę bardzo - odparł Han.

Admirał spędził następne kilka minut przyglądając się największym i najpiękniejszym z kamieni - gallinoreńskie deszczowe klejnoty, kamienie corusca, smocze perły z Krayt różnych rozmiarów i barw.

- Rozumiem, że bez przeszkód znalazł pan prom w umówionym miejscu - powiedział w końcu admirał - skoro przybył pan punktualnie.

- Tak, admirale, był dokładnie tam, gdzie pan powiedział. Greelanx uniósł głowę. Wciąż trzymał przy oku szkło powiększające, co czyniło jego żrenicą nienaturalnie wielką.

- W jaki sposób zamierza pan opuścić mój statek? - zapytał od niechcienia.

Han wzruszył ramionami.

- Zabierze mnie mój partner.

- Doskonale. Młody człowieku, kamienie są dokładnie takie, jak zamówiłem. Proszę przekazać pańskim huttyjskim władcom, że jestem zadowolony. /

Han skinął głową ale sprostował:

- Oni nie są moimi władcami. Po prostu dla nich pracuję.  
 - Mniejsza o to - odpowiedział Greelanx. Zawahał się, a potem dodał: - Nie wierzyłem, że może wam się udać. Nawet z tym planem bitwy.  
 - Wiem - odparł Han. - Ale nie mieliśmy wyboru. My walczyliśmy o życie, wy o kredyty. To spora różnica.  
 - Ta iluzja holograficzna był mistrzowskim posunięciem taktycznym.  
 Han uśmiechnął się i skłonił lekko głowę.  
 - Dziękuję.  
 ■ - To pańskie dzieło? - zapytał zdziwiony Greelanx.  
 - Nie, miałem eksperta od tych spraw, ale pomysł był mój.  
 - Aha. - Admirał zapytał z nutą żalu w głosie: - Pogardza pan mną prawda, młody człowieku?  
 Han spojrzał na niego zdumiony.  
 - Ależ nie. Też robię niezbyt chwalebne rzeczy dla kredytów.  
 - Ale są takie, których by pan nie zrobił. Han zastanowił się.  
 - Noo... to prawda.  
 - Aja...  
 Greelanx przerwał, bo nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich ordynans z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami.  
 - Admirale! Sir!  
 - O co chodzi? - zapytał rozdrażniony Greelanx.  
 - Sir, właśnie powiadomili mnie z służby promu... on właśnie wylądował. To jest niezapowiedziana inspekcja. On idzie teraz do pana!  
 Greelanx wziął głęboki oddech i wyprosił ordynansa.  
 - Chyba powinienem być się tego spodziewać, biorąc pod uwagę okoliczności - mruknął i podszedł szybko do ściany. Za godłem Imperium znajdowały się ukryte drzwiczki sejfu. Greelanx stanął na chwilę przed nimi, wpatrując się w czytnik tęczówki. Drzwiczki się otworzyły. Admirał chwycił garść klejnotów z biurka i wrzucił je do środka, potem wrócił, zebrał resztę i wrzucił je także.  
 Kiedy tak biegał między biurkiem a sejfem, Han przyglądał się jego poczynaniom z niebotycznym zdumieniem.  
 - Co tu się dzieje? - zapytał.  
 - Nie ma czasu - powiedział Greelanx zatrzasnąwszy sejf. - Musi pan zaczekać tutaj. On nie może pana zobaczyć. Gdyby zobaczył... - admirał przygryzł nerwowo wargi i otworzył drzwi do pokoju jego sekretarza. Pokój był pusty i ciemny.  
 - Proszę tam zostać i nawet nie drgnąć. Najmniejszego szmeru, rozumie pan?  
 - Nie - odparł Han absolutnie skołowany. - Ani trochę.  
 Greelanx nie starał się nawet wyjaśniać. Chwycił Hana za ramię, pchnął go do środka i zatrzasnął drzwi.  
 Han stał w ciemnościach i zastanawiał się, o co, u wszystkich diabłów, chodzi. Kim był On? Brzmiało to tak, jakby Greelanx oczekiwał przybycia jakiegoś potwora z bajek dla dzieci.

Hana kusilo, aby wejść tam z powrotem i życzyć admirałowi udanego starcia. Zamiast tego jednak podszedł cichutko do drzwi, które - jak odkrył - nie były do końca zamknięte. Słyszał kroki Greelanxa, a potem ciche szelesty, jakby ktoś coś przesunął.  
 Przywraca poprzedni wygląd blatowi biurka - skojarzył.  
 Potem rozległo się ciche skrzypnięcie. Widocznie admirał usiadł na swoim eleganckim fotelu pokrytym skórą jaszczura. Han widział oczami wyobraźni, jak Greelanx stara się przybrać przypadkową pozę.  
 Drzwi zewnętrzne otworzyły się z cichym sykiem. Han słyszał ciężkie kroki wchodzącego i szelest tkaniny. Czy przybysz miał na sobie długą szatę? Płaszcz?  
 Korelianin usłyszał jeszcze jeden dźwięk, który rozpoznawał - głośny, sztuczny oddech, który musiał dobywać się z maski respiracyjnej. A zatem przybysz nie był w stanie oddychać samodzielnie. Maskę respiracyjną... przybysz w masce... te głośne, syczące dźwięki wydawały się złowieszcze. Han przełknął ślinę i stał bez najmniejszego ruchu.  
 Usłyszał głos Greelanxa. Brzmiał swobodnie i miło, ale głębiej czaił się strach.  
 - Lordzie, co za nieoczekiwana przyjemność! Zewnętrzny Pierścień czuje się zaszczycony pańskim przybyciem. Zapewne chce pan przeprowadzić inspekcję? Musi pan zrozumieć, że dopiero co wzięliśmy udział w bitwie...  
 - Greelanx - powiedział głęboki, mechanicznie wzmocniony głos, na dźwięk którego Han dostał gęsiej skórki - jesteś równie głupi jak chciwy. Czy naprawdę sądziłeś, że najwyższe dowództwo pozostanie nieświadome twojej zdrady?  
 Greelanx już nawet nie próbował ukrywać przerażenia.  
 - Lordzie, błagam! Nie rozumie pan, wydano mi ro... - jego głos załamał się i przeszedł w odgłosy krztuszenia.  
 Oczy Hana rozszerzyły się. Nie wszedłby teraz do tamtego pokoju za wszystkie smocze perły w galaktyce.  
 W kompletnej ciszy, która potem nastąpiła, słyszał tylko ciężki, miarowy oddech. Cisza trwała przez kilka sekund. Potem usłyszał głuche uderzenie, jakby coś dużego upadło na gruby dywan, i mechaniczny głos:  
 - Ależ rozumiem doskonale, admirale.  
 Znów rozległ się odgłos ciężkich kroków, a potem otwieranych drzwi. I cisza.  
 Han odczekał dobrych pięć minut, zanim odważył się wreszcie uchylić drzwi i zajrzeć do pokoju. Nie był specjalnie zaskoczony widokiem ciała Greelanxa leżącego na dywanie. Sprawdził puls i nie znalazł go - co też nie było zaskakujące.  
 Natomiast zdumiał go brak najmniejszych obrażeń na ciele. Han nie słyszał blastera, więc spodziewał się, że zabójca użył wibroostrza. Doświadczony fachowiec mógł użyć go tak, by obyło się bez walki i dużych ilości krwi. Ale na ciele Greelanxa nie było najmniejszego śladu...  
 Han spojrzał na twarz admirała, na której zastygło śmiertelne przerażenie. Wstrząsnął nim dreszcz. Kim był tamten facet?  
 Podszedł do ściany i przyjrzał się sejfowi. Tak jak się spodziewał, był dobrej jakości i otwierany według wzoru tęczówki. Nawet gdyby wydłubał oko admirałowi - paskudne, ale możliwe - był on już martwy zbyt długo, więc sejf nie otworzyłby się.

Wynoszę się stąd, zdecydował. Przekroczył ciało admirała i zatrzymał się, gdy coś zachrząściło mu pod stopą i potoczyło się po dywanie.

Han schylił się i podniósł smoczą perłę z Krayt. Mała, ale bez skazy. Czarna jak opal. Cenny kolor. Schował perłę do wewnętrznej kieszeni i wybiegł na zewnątrz.

Dziesięć minut później zakończył przygotowania do ucieczki. Stał na skraju komory z kapsułami ratunkowymi i pośpiesznie kończył przygotowywanie kapsuły do wystrzelenia. Kiedy wcisnął ostatni przycisk i z sykiem otworzyła się kłapa pojazdu, zamarł nagle słysząc za sobą kroki i znajomy głos:

- Stój spokojnie, Han. Odwróć się teraz... powoli.

Han odwrócił się i zobaczył właściciela głosu - tak jak się spodziewał, jego stary przyjaciel Tedris Bjalin. Stał z blasterem wycelowanym w Hana.

- Co ty tu robisz? Widziałem cię na korytarzu, widziałem, jak wszedłeś do kajuty admirała. Dlaczego rozmawiałeś z admirałem? O co tu chodzi?

Przypiszą mi zamordowanie Greelanxa, zdał sobie nagle sprawę Han. Zastrzela mnie, zanim cokolwiek zdolał wytłumaczyć.

- Hej, Tedris, opanuj się - powiedział uśmiechając się szeroko. Zrobił ostrożny krok naprzód. - Przecież chyba nie zastrzelisz starego kumpla?

- Stój tam, Solo - powiedział Bjalin, ale ręka trzymająca broń trochę opadła. Byli bądź co bądź bliskimi przyjaciółmi. - Skąd masz ten mundur? Po co tu...

- Posłuchaj, masz sporo pytań, więc lepiej chodźmy gdzieś porozmawiać - zaczął Han. - Mogę odpowiedzieć na każde...

Urwał w pół zdania i rzucił się nagle do przodu, zadając bardzo niesportowy cios nogą. Bjalin osunął się na ziemię, skurczony z bólu. Hanowi zdawało się, że przez mgnienie oka dojrzał w jego oczach wyrzut. Schylił się, podniósł blaster przyjaciela i przyklęknął przy nim na jedno kolano.

- Posłuchaj mnie, Tedris - powiedział łagodnie. - Nie mam zamiaru cię zabić, chociaż przez moment może to być nieprzyjemne. Chcę też, żebyś coś wiedział. Ja tego nie zrobiłem. Jasne? Zapamiętaj to sobie na później. I wiesz co, Tedris? Jesteś zbyt dobrym człowiekiem, żeby pozostawać w tej pełnej łajdaków imperialnej flocie. Przyjmij moją radę i wiesz stąd, póki jeszcze możesz.

Han ogłuszył przyjaciela, przeszedł nad jego bezwładnym ciałem i przeciągnął go do jednej z kapsuł ratunkowych. Upewnił się, że zabezpieczenia są w niej na swoim miejscu i nie nastąpi przypadkowe wystrzelenie.

Potem sam wsunął się do innej kapsuły, którą wcześniej odbezpieczył. W chwilę później leciał już przez przestrzeń. Kierował torem lotu tak, jakby kapsuła została przypadkowo wystrzelona. Nie było to aż takie dziwne, w końcu „Przeznaczenie” odbyło niedawno sporą bitwę...

Przez moment się niepokoił, że może Imperialni będą chcieli odzyskać kapsułę, ale najwyraźniej nie byli zainteresowani.

Chewie podjął go po godzinie dryfowania. Przez cały ten czas Han zastanawiał się, co właściwie stało się z Greelanxem.

Wookie umieścił skradzioną kapsułę ratunkową w komorze towarowej „Brii” i warknął, że muszą się stąd szybko wynosić, bo wokół mnóstwo patrolujących myśliwców TIE.

Han zgodził się z nim w pełni. Kiedy szli do kabiny pilotów, usłyszeli odgłos uderzenia, które zatrzęsło nieznacznie statkiem. Następne uderzenie było na tyle silne, że obaj upadli na ziemię.

- Chewie, jesteśmy pod ostrzałem! - krzyknął Han. - Leć do wieżyczki strzelniczej! - Sam wsunął się błyskawicznie na fotel pilota i zobaczył dwa TIE, nawracające do następnego rajdu... a potem także czerwoną migającą lampkę na pulpicie sterowniczym.

- Chewie! Reaktor jest przeładowany! Trafili nas prosto w osłabioną tarczę! Musimy opuścić statek!

Zerwał się na równe nogi i pobiegł do wieżyczki. Chwytał Wookiego i zaczął wyciągać. Chewbacca próbował protestować, ale Han wrzasnął:

- Biegnij, ty wielki klocu! Ten statek zaraz eksploduje!

Kiedy dopadli komory ładunkowej, Wookie zawahał się przed wczolaniem do kapsuły imperialnej, ale Han mu wytłumaczył:

- Nie rozumiesz tego, Chewie? „Bria” jest skończona. To nasza jedyna szansa! Właź do środka i wkładaj maskę tlenową!

Kiedy Chewie siedział już bezpiecznie w kapsule, Han w pośpiechu włożył skafander próżniowy i otworzył szeroko służę zewnętrzną.

Łup! Łup! Łup! - usłyszał.

Poddaję się, pomyślał Han, przyczepiając zespół antygrawitacyjny do kapsuły i przesuwając ją ku służce zewnętrznej. I tak już po nas...

Zapukał w dach kapsuły i pokazał Chewiemu, co zamierza uczynić, a ten kiwnął głową.

Jednym płynnym ruchem Han pchnął kapsułę na zewnątrz, a Chewie w tym momencie otworzył ją wciągając Hana do środka. Cała akcja nie trwała dłużej niż sześć sekund, więc gwałtowna dekompresja nie zdążyła zedrzeć z Wookiego jego twardej skóry. W sekundę po zamknięciu kapsuły znów wypełniła ją atmosfera.

Ledwie zdążyli opuścić „Brie”, statek eksplodował. Podmuch wprawił maleńką kapsułę w ruch wirowy. Han skulił się, oczekując w każdej chwili ataku jednego z TIE, ale miał trochę nadziei, że dzięki wybuchowi ich ucieczki nie zauważono. W środku było im okropnie ciasno. Han zdołał jakoś zdjąć hełm i siedzieli z Chewiem niemal ramię przy ramieniu. Patrzyli to na siebie, to na szybkojące za ich plecami fragmenty statku.

- Lando nie będzie zachwycony - mruknął z żalem Han. - „Bria” była starym, humorzystycznym pudłem, ale trochę już do niej przywykłem.

Chewie warknął cicho.

Han spojrzął na niego i wzruszył ramionami.

- Co będziemy robić? Wiem tyle, co i ty. To jest w końcu zamieszkały system, więc wylądujemy tą kapsułą w miejscu, skąd znajdziemy sobie jakiś transport.

Chewie warknął ciszej.

- A, co mamy zamiar zrobić ze statkiem? - domyślił się Han. - To naprawdę dobre pytanie...

On nie żyje! - pomyślał z niedowierzaniem Teroenza, kiedy przeczytał wiadomość z Nal Hutta. Udało się! Nie mogę uwierzyć, że nie ma już Aruka.

Przez moment poczuł lekkie wyrzuty sumienia, ale roztopiły się w uczuciu ulgi i podniecenia. Nie ma już Aruka, a on ma mnóstwo kredytów Desilijic i nic nie może go powstrzymać przed przejęciem pełnej kontroli nad operacją ilezjańską. Durga był na Nal Hutta i miał wystarczająco dużo roboty z walką o utrzymanie władzy. Kibbick zaś, jak każdy wiedział, to idiota.

Teroenza spojrział na swoją kolekcję i zobaczył ją oczami wyobraźni taką, jaka będzie w przyszłości. Trzeba zbudować następną halę, aby ją pomieścić. No i sprowadzi tu swoją partnerkę. Nigdy więcej samotnych dni i nocy. Razem będą kąpać się w bagnie, zrealizują najdziksze fantazje...

Spędził kilka minut próbując przybrać żalobną minę. Potem flanda Til poszedł poinformować Kibbicka, że jego wuj nie żyje...

Moff Sarn Shild stał samotnie w swojej pałacowej rezydencji na Teth, rozmyślając, gdzie zrobił błąd. Błędem był oczywiście atak na Nal Hutta. Greelanx nie wykonał zadania i w dodatku został zamordowany w tajemniczych okolicznościach.

Shild był w domu sam, jeśli nie liczyć robotów. Wszyscy jego służący uciekli, nie wiedział nawet dokąd. Bria też odeszła, zniknęła kilka dni temu.

Nie powiedziała nawet do widzenia...

Wczoraj Shild został wezwany przez Imperatora do Centrum Imperium, aby stanąć przed sądem za źle przeprowadzony atak na system Y'Toub. Wiadomość od Palpatine'a jasno wskazywała, że Imperator jest bardzo niezadowolony.

Shild usiadł i spróbował to wszystko rozgryźć. Kilka dni temu czuł się prawie władcą galaktyki. Teraz nawet nie pamiętał, dlaczego zrobił to, co zrobił. Czuł się niemal tak, jakby jakaś obca istota zawładnęła wtedy jego umysłem.

Spojrział na swoje ozdobne biurko. Leżał na nim blaster, a obok fiołka z trucizną. Shild wziął głęboki oddech. Nie miał złudzeń - podróż do Centrum Imperium była tylko odwleczeniem tego, co nieuniknione. A wszystko było lepsze niż gniew Palpatine'a. Tylko czego powinien użyć - blastera czy trucizny?

Zastanawiał się przez chwilę, ale nie mógł się zdecydować. Wreszcie w desperacji powrócił myślami do lat dzieciństwa. Wskazując palcem to jedno, to drugie narzędzie śmierci (czy też może drogę ucieczki) zaczął recytować głośno:

- Ene, due, like...

## EPILOG

To dziwne uczucie być znów na Korelii po tylu latach, pomyślał Han sześć miesięcy później. Ulice były zarazem znajome i obce, napawające poczuciem bezpieczeństwa i strachem. Na jego świecie zdarzyło mu się tak wiele złych rzeczy...

Ale może wreszcie jego los miał się odmienić. Han pogładził się po kieszeni, w której spoczywała mała smocza perła i złota statuetka z rubinowymi oczami. Przedstawiła paladora - wymarłe koreliańskie zwierzę. Wiele lat temu Han ukrył statuetkę, którą ukradł z kolekcji Teroenzy, w bezpiecznym miejscu na swojej planecie. Teraz zamierzał upłynnić obie te zdobycze, których wartość ocenił na jakieś dziesięć tysięcy kredytów. Wielka gra w sabaka na Bespin zacznie się już za kilka dni...

Odetchnął z ulgą widząc, że sklep Galidona Okanora wciąż stoi tam, gdzie stał. Okanor nieźle płacił, chociaż jak wszyscy paserzy lubił się targować.

Dziesięć tysięcy kredytów, pomyślał Han. Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek będę tak zdesperowany, żeby zaryzykować taką sumę w grze w sabaka... zwłaszcza grając przeciwko takiemu bystrzakowi, jak Lando...

Ale musiał mieć swój statek, a nie przychodził mu do głowy żaden inny sposób zdobycia odpowiednich funduszy.

Han zatrzymał się przy drzwiach Okanora i wziął oddech.

Noto...

Chwytnąjąc wszystkie swoje marzenia i nadzieję w spoconą dłoń, nacisnął nią klamkę i wszedł do środka.

## PODZIĘKOWANIA

Jak już wspomniałam w mojej poprzedniej powieści z tej serii - Rajskiej pułapce - pisanie o świecie Gwiezdných Wojen jest jak adopcja do jednej wielkiej rodziny. Pisarze i fani dzielą się w niej informacjami, anegdotami i opowieściami, również o tym, jak wiele radości dostarczają im wędrówki po tym właśnie świecie przez wszystkie te długie lata jego istnienia.

Czuję się wyróżniona będąc pierwszą pisarką, która mogła skorzystać z dodatkowych informacji i obrazów, jakie przyniosły nowe edycje filmów Gwiezdne Wojny, Imperium kontratakuję i Powrót Jedi. Zobaczenie nowych wersji tych filmów wraz z nowymi scenami - zwłaszcza tą, w której Jabba porusza się o własnych siłach - było dla mnie wielką pomocą.

Zaznaczając, że wszystkie popełnione tu błędy obciążają tylko mnie, chciałabym podziękować następującym osobom za pomoc:

Na pierwszym miejscu mojemu przyjacielowi Steve'owi Osmańskiemu, który pomógł mi przy fragmentach zawierających opisy militarne, strategiczne i techniczne, cierpliwie odpowiadając na setki moich pytań i czytając po wiele razy opisy bitew.

Mojej przyjaciółce Mary Frey - żonie Steve'a - za wypożyczenie mi swego męża na czas, gdy planowaliśmy te wszystkie bitwy i rozwiązania strategiczne.

Timowi O'Brienowi - ekspertowi w każdej kwestii dotyczącej floty Imperium - który cierpliwie odpowiadał na moje pytania i udzielał mi licznych porad-(Steve i Tim O'Brien sporządzili plan bitwy o Nar Shaddaa i na zawsze pozostaną ich dłużniczką za przekazaną mi wiedzę dotyczącą systemu walki w świecie Gwiezdných Wojen).

Billowi, Peterowi i Paulowi z West End Games, którzy odpowiadali na moje nie kończące się pytania o świat Gwiezdných Wojen i jego mieszkańców.

Michaelowi Capobianco - prawdziwemu fanowi Gwiezdných Wojen - który dzięki swemu doświadczeniu jako prezydent SFWA, pomógł mi w przygotowaniu wszystkich huttyj-skich intryg. Również dzięki Michaelowi udało mi się zakończyć tę pracę na moim antycznym komputerze.

Patowi LoBrutto i Tomowi Dupree - wydawcom tej książki.

Dziękuję wam, panowie, za wszelką udzieloną mi pomoc, a także za waszą cierpliwość i wyrozumiałość. Dziękuję także Evelyn Cainto, dzięki której tak sprawnie pracuje departament Gwiezdných Wojen w Bantam.

Nancy Wiesenfeld - za współpracę redakcyjną.

Sue Rostoni z Lucasfilm - za cierpliwy przegląd książki.

Moim kolegom piszącym o świecie Gwiezdných Wojen za ich pomoc, dobre rady i wypożyczenie swoich postaci, których mogłam użyć w tej książce - Vondzie N. McIntyre, Michealowi A. Stackpole'owi, Kristine Kathryn Rusch i Kevi-nowi J. Andersonowi.

Wam, fani Gwiezdných Wojen, za takie zainteresowanie tą książką od samego początku jej tworzenia.

I jak zawsze - George'owi Lucasowi za rozpoczęcie tego wszystkiego dwadzieścia lat temu.

Niech Moc będzie z Wami!